

*H.R. Gigerowi*  
*Mistrzowi aerografu subtelnego i złowieszczego.*  
*Który odsłania nasze prawdziwe oblicza*  
*I mówi więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć.*  
*A.D.F.*

ALAN DEAN FOSTER

**OBCY**

**DECYDUJĄCE STARCIE**

Tłumaczył JAN KRAŚKO  
Wydawnictwa ALFA WARSZAWA 1992

Tytuł oryginału  
ALIENS  
A novelization by Alan Dean Foster  
Based on a sceneyplay by James Cameron  
Story by James Cameron  
Charakters created by Dan O'Bannon and Ronald Shusett  
Copyright © 1986 by Twentieth Century-Fox Film Corporation  
Published by arrangment with Warner Books, Inc.  
First published by Warner Books, Inc.

Ryszard Jankowski

For the Polish translation  
Copyright © 1992 Jan Kraśko  
For the Polish edition  
Copyright © 1992 by Wydawnictwo "Alfa"

ISBN 83-7001-530-1  
WYDAWNICTWO „ALFA” - WARSZAWA 1992  
Wydanie pierwsze  
Zakład Poligraficzny Wydawnictwa „Alfa”  
Zam. 671/92

# 1.

Dwoje śniących.

Na pierwszy rzut oka kompletnie do siebie niepodobnych, ale w sumie nie istniała między nimi aż tak wielka różnica. Jeden był mniejszy, drugi większy. Jeden - osobnikiem rodzaju żeńskiego, drugi męskiego. Otwór gębowy pierwszego zawierał mieszaninę zębów ostrych i płaskich, co wskazywało jednoznacznie, że osobnik ów jest wszystkożerny, natomiast uzębienie drugiego było przystosowane wyłącznie do szarpania i rozdzierania zdobyczy. Oboje byli potomkami rasy krwiożerczych drapieżników. Osobnik pierwszy nauczył się ową genetycznie uwarunkowaną krwiożerczość w sobie tłumić. Ten drugi zaś nie - ostał się całkowicie dziki, jak jego przodkowie.

Istotniejsze różnice dało się zauważyć nie tyle w ich wyglądzie zewnętrznym, co w snach, jakie śnili. Osobnik pierwszy spał niespokojnie. Z głębin jego podświadomości wypełzały wspomnienia niewypowiedzianych koszmarów, które ostatnio przeżył, i zakłócały cykl zwykle spokojnego snu hibernacyjnego. Gdyby nie spoczywał w pojemniku krepującym jego ruchy i gdyby nie fakt, że w czasie hibernacji aktywność mięśni jest ograniczona do minimum, rzucałby się niebezpiecznie i przewracał z boku na bok. Dlatego owszem, rzucał się i przewracał, lecz... tylko w myślach.

I nie zdawał sobie z tego sprawy. Podczas snu hibernacyjnego nie zdaje się sobie sprawy z niczego.

Niekiedy jednak ponure i ohydne wspomnienia z przeszłości wypływały na wierzch niczym ścieki kipiące pod ulicami miasta i na jakiś czas opanowywały jego świadomość. Wtedy w kapsule hibernacyjnej rozległ się cichy jęk, a serce zamkniętego w niej osobnika zaczynało bić szybciej. Komputer, który obserwował go niczym anioł stróż, odnotowywał podwyższoną aktywność organizmu w kapsule i natychmiast wkraczał do akcji, obniżając temperaturę w kapsule o stopień czy dwa, wprowadzając do organizmu śpiącego większą dawkę środków odurzających. Wtedy jęk ustawał. Śniący uspokajał się, opadał na poduszki. Zmory powrócą, ale dopiero za jakiś czas.

Drugi osobnik, ten mniejszy, spoczywający tuż obok reagował na owe sporadyczne ataki nerwowymi drgawkami, jak gdyby wyczuwając stropy gnębiące towarzysza podróży. Później też się uspokajał i śnił o małych ciepłych ciałkach, o strumieniach gorącej krwi, o kojącym wpływie przebywania między przedstawicielami własnego gatunku, o tym, że kiedyś jego sny się na pewno spełnią. Bo dzięki jakiemuś szóstemu zmysłowi wiedział, że albo wyjdą z kapsuły razem, albo nie wyjdą z niej nigdy.

Ta ostatnia możliwość bynajmniej nie zakłócała mu odpoczynku. Mniejszy osobnik był o wiele cierpliwszy niż jego towarzysz i bardziej realistycznie oceniał swoją pozycję w kosmosie. Zadowalał się więc snem i oczekiwaniem, wiedząc, że jeśli w ogóle odzyska świadomość, znów będzie mógł polować i zabijać. Tymczasem zaś odpoczywał.

Czas mija. Groza - nie.

W nieskończoności, którą zwą kosmosem, słońca są ledwie ziarenkami piasku, a biały karzeł to twór godny tylko pobieżnej uwagi. Niewielki statek kosmiczny, jak na przykład prom ratunkowy z Nostromo, jest niemal zbyt mały, by istnieć w takiej pustce. Dryfował przez bezkresne otchłanie niczym elektron uwolniony ze swej atomowej orbity.

Jednak nawet uwolniony elektron może zwrócić na siebie uwagę pod warunkiem, że natknie się na niego ktoś dysponujący odpowiednimi detektorami. I zdarzyło się tak, że prom ratunkowy zdryfował w pobliże znajomej gwiazdy. Ale zauważono go tylko i wyłącznie dzięki łutowi szczęścia. Przelatywał bowiem niedaleko innego statku; w przestrzeni kosmicznej "niedaleko" to każda odległość mniejsza niż rok świetlny. Przelatywał więc w pobliżu innego statku i znalazł się na granicy zasięgu jego skanerów, na samym progu rozdzielczości pokładowych monitorów.

Niektórzy sugerowali, żeby ową maleńką, pulsującą na ekranach kropeczkę zlekceważyć. Jest za mała jak na statek kosmiczny, utrzymywali, i w ogóle nie powinno jej tam być. No i statki kosmiczne odpowiadają na zapytania, a obiekt milczał jak zaklęty. Najpewniej w grę wchodził jakiś zbłąkany asteroid, odprysk żelazonikłowy, który wybrał się na krajoznawczą przejażdżkę po wszechświecie. Bowiem gdyby to był statek, na pewno robiłby przynajmniej jedno: nadawał ciągły sygnał ostrzegawczy, i nadawałby go do wszystkich i do wszystkiego, co znalazłoby się w zasięgu jego radiostacji.

Ale nasz kapitan był człowiekiem ciekawskim. Niewielka odchyłka kursu da im szansę zbadania milczącego wędrowca, a sprytnie zakamuflowany wpis w księgi rozliczeniowe statku na pewno umotywuje dodatkowe koszty, o które spyta armator. Gdy zbliżyli się do tajemniczego obiektu, osąd i decyzja kapitana znalazły pełne potwierdzenie: oto mieli przed sobą prom ratowniczy z jakiegoś statku.

Prom wciąż nie dawał znaku życia, nie odpowiadał na grzeczne zapytania; nawet światła pozycyjne miał wygaszone. Ale nie, nie był całkowicie martwą skorupą. Niczym organizm narażony na przenikliwe zimno wykorzystywał resztki energii, by chronić w swym wnętrzu coś niezmiernie drogiego.

Kapitan wybrał trzech ludzi, którzy mieli wejść na pokład zbłąkanego wędrowca. Łagodnie, jak orzeł muskający w locie zgubione piórko, większy statek

przybił do burty Narcissusa. Metal dotknął metalu. Uruchomiono wieloszczękowe chwytaki. Odgłosy manewru cumowania niosły się echem we wnętrzu obu statków.

Nałożywszy ciężkie skafandry ciśnieniowe, trzech zwiadowców weszło do śluzy. Mieli z sobą przenośne reflektory oraz niezbędny sprzęt. Ponieważ tlen jest zbyt cenny, by oddawać go próżni, cierpliwie czekali, aż wchłoną go urządzenia klimatyzacyjne statku. Później rozsunęli zewnętrzne drzwi.

Pierwsze wrażenia, jakie odnieśli patrząc na prom z bliska, przyniosły rozczarowanie: przez iluminator w luku wejściowym nie dostrzegli żadnych świateł, nie zauważyli też najmniejszych oznak życia. Manipulowali chwilę przyciskami na burcie promu, ale luk ani drgnął - zaklinowano go na dobre od wewnątrz. Sprawdziwszy, że w kabine nie ma powietrza, uruchomili automatyczny spawacz. W ciemności rozbłysły dwie jaskrawe smugi płomienia, uderzyły w metal z obu stron luku i obrysowały go spotykały się na dole bariery. Dwóch zwiadowców przytrzymało trzeciego, który kopnął nogą w metalową płytkę i odrzucił ją na bok. Droga na pokład stała otworem.

We wnętrzu promu było ciemno i cicho jak w grobie. Na podłodze wił się kawałek liny cumowniczej. Jej urwany i nadpalony koniec spoczywał tuż przy luku. Nieco dalej, obok kabiny sterowniczej, dostrzegli nagle światło. Ruszyli w tamtą stronę.

W głębi, spod kopuły pojemnika hibernacyjnego, biła mglistoczerwona poświata. Pojemnik hibernacyjny... Dobrze znali ten kształt. Nim podeszli bliżej, wymienili między sobą szybkie spojrzenia. Dwóch z nich pochyliło się nad grubym szkłem przezroczystego sarkofagu. Trzeci został z tyłu. Studiował wskaźniki i głośno mamrotał:

- Ciśnienie wewnętrzne w normie. Zakładając, że kadłub i oprzyrządowanie są nienaruszone... Na pierwszy rzut oka wszystko działa. Aparatura jest po prostu wyłączona. Ktoś chciał zaoszczędzić jak najwięcej energii... Ciśnienie w kapsule hibernacyjnej stabilne. Prąd wciąż płynie, ale głowę daję, że akumulatory niedługo by zdechły. Spójrzcie tylko na wskaźniki. Ledwo się tlą. Widzieliście kiedy hibernator tego typu?

- Pochodzi z końca lat dwudziestych... - Zwiadowca oparł się o szkło kapsuły i wymamrotał do wewnętrznego mikrofonu: - Niezłą kobitkę tu mamy...

- Niezłą kobitkę, cholera... - burknął jego towarzysz, chyba nieco rozczarowany.  
- Wszystkie diody świecą na zielono, a to znaczy, że ona żyje, nie? Premię za odzyskanie utraconego mienia szlag trafił.

Nagle jeden ze zwiadowców, wyraźnie zdziwiony, uniósł rękę.

- Hej! Coś tam koło niej leży! To nie człowiek. I chyba też żyje. Nie widzę za dobrze, jest częściowo przykryte włosami kobiety... Jakież takie rudawe...

- Rudawe? - Dowódca patrolu rozepchnął podwładnych i przytknął osłonę hełmu do przezroczystego sarkofagu. - Nie wiem, co to jest, ale ma pazury... - zauważył.

Zwiadowca trącił kolegę łokciem.

- Ty, a może to jakaś obca forma życia, co? Takie coś warte jest kilku dolców jak nic...

W tym właśnie momencie Ripley zdecydowała się poruszyć. Leciutko, leciuteńko. Kosmyk włosów opadł na poduszkę i odsłonił stworzenie, które spało wtulone w zagłębienie jej ramienia.

Dowódca wyprostował się i, zniesmaczony, pokręcił głową.

Mamy niefart, chłopcy - oświadczył. - To tylko kot.

Musiała walczyć, żeby cokolwiek usłyszeć. Zobaczyć coś? Wykluczone. Jej gardło - wypalone do sucha, zalatujące lekkim żywicznym posmaczkiem - zastygło niczym żyła antracytu biegnąca w bryle lekkiego pumeksu, jakim była czaszka. Język? Błąkał się bez celu po zapomnianych zakamarkach ust. Rozchyliła wargi i wypchnęła powietrze z płuc. Od dawna nie używane miechy aż jęknęły z bolesnego wysiłku. Rezultatem znużonej i męczącej współpracy między wargami, podniebieniem, językiem i płucami było króciutkie acz triumfalne słowo:

- Pić...

Między wargami poczuła coś gładkiego i chłodnego. Wilgoć. Rozkoszny szok, szok niemal druzgocący. Ale pamięć sprawiła, że w pierwszym odruchu Ripley chciała wypluć rurkę z wodą. Tam, wtedy, tego rodzaju penetracja była wstępem do jedyne go w swoim rodzaju, do iście unikalnego rodzaju śmierci. Ale tym razem z rurki popłynęła tylko woda. Chłodnemu strumyczkowi towarzyszył cichy, spokojny głos.

- Proszę pić powoli, nie łapczywie - radził.

Posłuchała, chociaż część mózgu nakazywała jej ssać ożywczy płyn tak szybko, jak tylko się da. Dziwne, ale nie była chyba całkowicie odwodniona. Nie, czuła tylko straszliwe pragnienie.

- Dobrze... - szepnęła chrapliwie. - Macie coś treściwszego?

- Za wcześnie - odparł głos.

- Akurat. Może jakiś sok owocowy?

- Kwas cytrynowy spaliłby wnętrzności. - Głos zawahał się lekko, jakby coś rozważając. - Proszę spróbować tego.

Lśniącą metalowa rurka znów wsunęła się ostrożnie między jej wargi. Ripley zaczęła ssać. Robiła to z wielką przyjemnością. Przelyk załazy kaskady zimnej, osłodzonej herbaty, gasząc pragnienie i zaspokajając pierwszy głód. Zasygnalizowała, kiedy miała dość, i rurkę wyciągnięto. Jej uszy zaatakował nowy dźwięk: świergot egzotycznych ptaków.

Mogła więc już słyszeć, odzyskała też smak. Nadszedł czas, by wypróbować zmysł wzroku. Otworzyła oczy i ujrzała... podzwrotnikowy, tropikalny las. Drzewa strzelały w niebo gęstymi zielonymi koronami. Z gałęzi na gałąź przemykały w locie jakieś skrzydlate, jasne i opalizujące stworzenia. Ptaki szybujące i nurkujące w pogoni za owadami ciągnęły za sobą długie pierzaste ogony, które wyglądały jak smugi kondensacyjne za śmigającymi odrzutowcami. Z kryjówki wśród pnączy figowca zerkał na nią ciekawski kwezal.

Wszędzie kwitły rozbuchane pęki storczyków, a po liściach i leżących na ziemi gałęziach biegały rozgorączkowane żuki, podobne wędrującym klejnocikom. Nagle z gąszczu wychynęło jakieś królikopodobne zwierzę. Wychynęło, spostrzegło Ripley i natychmiast skoczyło z powrotem w wybujałe poszycie. Po lewej stronie, na konarze drzewa żelaznego huśtała się małpka, mrużąc pieszczotliwie do swego dziecka.

Ripley nie wytrzymała nadmiaru bodźców wzrokowych i słuchowych. Zamknęła oczy i odcięła się od rozedrganej i rozkrzyczanej obfitości życia.

Później (po półgodzinie? następnego dnia?) w skarpie splątanych korzeni wielkiego drzewa ukazała się wąska szczelina. Szczelina rozszerzyła się, zacierając korpus podskakującej małpy, i wyszła z niej kobieta. Kobieta zamknęła za sobą bezkrwawą ranę w drzewie i w zwierzęciu, dotknęła ukrytego na ścianie przełącznika i tropikalny las... zniknął.

Fantastyczny, ludzako realistyczny hologram - solido. Teraz, kiedy zgasł, Ripley ujrzała skomplikowaną aparaturę medyczną, ukrytą dotychczas za murem sztucznej dżungli. Po lewej stronie, tuż obok, zobaczyła autodoka, który tak rozważnie i tak skwapliwie reagował na jej prośby o pierwszy łyk wody, który podał jej później zimną herbatę. Nieustannie czuwająca maszyna wisiała nieruchomo na ścianie, wiedząc o wszystkim, co dzieje się w jej ciele, gotowa natychmiast zaaplikować odpowiednie lekarstwo, dostarczyć pożywienie i picie lub w razie potrzeby wezwać na pomoc człowieka.

Nowo przybyła uśmiechnęła się do pacjentki i pilotem przymocowanym do kieszeni na piersi uruchomiła dzwignię, która uniosła oparcie łóżka. Jaskrawa naszywka na śnieżnobiałym kitlu oznaczała, że kobieta jest pielęgniarką, starszym technikiem medycznym. Ripley obrzuciła ją znużonym wzrokiem. Nie umiała powiedzieć, czy uśmiech kobiety jest szczery, czy tylko rutynowo-zawodowy. Ale głos tamtej był miły, przekonywająco miły, niemal matczyzny.

- Środki uspokajające przestają działać - stwierdziła uprzejmie. - Chyba już ich pani nie potrzebuje. Czy pani mnie rozumie?

Ripley skinęła głową.

Kobieta oceniła wygląd pacjentki i podjęła decyzję.

- Spróbujmy czegoś innego. Dlaczego na przykład nie otworzymy tu okna?

- Pojęcia nie mam. A pani wie?

Jej uśmiech lekko przygasł, ale natychmiast wrócił. A więc to tytko wyćwiczony uśmiech zawodowy, do szczerości mu daleko, myślała Ripley. Ale niby dlaczego miałyby uśmiechać się szczerze i od serca? Ja nie znam jej, ona nie zna mnie. A co tam...

Kobieta obróciła łóżko, ustawiając je nogami do przeciwległej ściany.

- Proszę uważać na oczy.

Oto alternatywa z rodzaju non sequitur... dumiała Ripley. Mimo to zmrużyła oczy w oczekiwaniu jaskrawego blasku, który, jak wskazywały słowa tamtej, miał ją za chwilę oślepić.

Cichutko zamruczał silnik i ścienne płyty wpełzły w sufit. Pokój zalało ostre, nader przykre światło. Choć przefiltrowane i sztucznie złagodzone, było szokiem dla wyczerpanego organizmu Ripley.

Za oknem ciągnęło się pasmo kosmicznej pustki. Niżej zaś leżało... wszystko. Po lewej stronie w aksamitną czerń nieba strzelała otwarta pętla habitatów stacji Gateway; sześciennie boki zmodularyzowanych obiektów wyglądały jak dziecięce klocki nanizane na sznurek. W dole widać było górne fragmenty dwóch anten telekomunikacyjnych. Ale nad całą scenerią dominował jasny łuk Ziemi. Afryka była brązowym, pokrytym białymi smugami trójkątem, żeglującym po błękitnym oceanie, a Saharę koronowała szafirowa tiara Morza Śródziemnego.

Ripley już to wszystko widziała, najpierw w szkole, później stąd, z góry. Dlatego nie była widokiem w jakiś szczególny sposób podekscytowana, nie. Po prostu cieszyła się, że Ziemia w ogóle tam jeszcze jest. Bo wspomnienia ostatnich wydarzeń sugerowały, że mogło być inaczej, że niedawno przeżyty koszmar to rzeczywistość, a ta łagodna, zapraszająca półkula to tylko urągająca rzeczywistości złuda. Ale nie, widok był znajomy i pocieszający, dodawał otuchy jak stary miś z mocno już wytartego pluszu. Tło owej kosmicznej scenografii uzupełniał błyśnięcie sierp księżycy snującego się po niebie niczym wędrująca kropka od wykrzyknika. Wszystko zaś otulał nieprzenikniony, bezpieczny i ciepły koc systemu planetarnego.

- I jak się dzisiaj mamy?

Ripley zdała sobie sprawę, że kobieta mówi raczej do niej niż pod jej adresem.

- Okropnie.

Kiedyś ktoś jej powiedział, że ma ładny i jedyny w swoim rodzaju głos. Musi go chyba w końcu odzyskać... Ale tymczasem ani jedna część jej ciała nie funkcjonowała z optymalną wydajnością. Ripley powątpiewała, czy w ogóle kiedyś to nastąpi, gdyż stała się kimś zupełnie innym. Bo tamta Ripley wyruszyła w rutynową podróż transportowcem, który już nie istniał, który po prostu zniknął. Wróciła Ripley inna, Ripley odmieniona, i leżała teraz pod szpitalnym prześcieradłem, spoglądając na pielęgniarkę.



- Tylko okropnie? - spytała tamta.

Nie tak łatwo ją zniechęcić, zastanowiła się Ripley. Rzecz godna podziwu...

- Zatem mamy się o wiele lepiej niż wczoraj - mówiła dalej pielęgniarka. - Powiedziałabym, że między "okropnie" a "koszmarnie" istnieje wprost gigantyczna różnica.

Ripley zacisnęła powieki i wolno je rozwarła. Ziemia wciąż tkwiła na swoim miejscu. Czas, który przedtem obchodził ją tyle co nic, zyskał nagle na wartości.

- Od jak dawna tu jestem? - spytała.

Wciąż ten sam uśmiech.

- Ledwie od kilku dni.

- Czuję się tak, jakbym leżała tu całe wieki.

Pielęgniarka odwróciła głowę i Ripley nie wiedziała, jaką reakcję wywołała tą uwagą. Jej rozmówczyni była znudzona? Może zaniepokojona...?

- Ma pani dość siły, żeby przyjąć gościa?

- A mogłabym go nie przyjąć?

- Oczywiście. Jest pani pacjentką. Decyzje lekarzy i pani życzenia są dla nas święte. Chce pani zostać sama, zostaje pani sama.

Ripley wzruszyła ramionami, lekko zdziwiona, że mięśnie w ogóle zareagowały.

- Mam już dość samotności. A co tam. Kto to taki? Pielęgniarka podeszła do drzwi i znów się uśmiechnęła.

- Właściwie to jest ich dwóch.

Do pokoju wszedł jakiś mężczyzna. Niósł coś grubego, rudawopomarańczowego i wybitnie znudzonego. Mężczyzny Ripley nie znała, lecz doskonale wiedziała, co niesie.

- Jones! - wykrzyknęła i bez niczyjej pomocy usiadła na łóżku.

Mężczyzna podał jej kocura, a zrobił to z wyraźną ulgą i wdzięcznością.

Ripley tuliła do siebie Jonesa i szeptała:

- Chodź do mnie, chodź, ty moje brzydactwo, ty włochata beczko tłuszczu, ty...

Kot wytrzymał ów zenujący i typowo ludzki wybuch namiętności z całą cierpliwością i godnością, jaką odziedziczył po przodkach. Koty zawsze tolerowały człowieka i jego postępowanie było najlepszym tego dowodem. Jakiś pozaziemski obserwator nie miałby absolutnie żadnych wątpliwości, które z dwojga stworzeń na szpitalnym łóżku obdarzone jest wyższą inteligencją.

Mężczyzna, który przyniósł dobre, rudawopomarańczowe nowiny, przystawił do łóżka krzesło i cierpliwie czekał, aż Ripley raczy zauważyć jego obecność. Miał koło trzydziestki, był w miarę przystojny i nosił nie rzucający się w oczy garnitur. Uśmiechał się jak pielęgniarka, uśmiechem ani mniej, ani bardziej sztucznym, choć na pewno ćwiczył go znacznie dłużej. Ripley skinęła mu w końcu głową, ale nadal

rozmawiała tylko z kotem. Mężczyzna doszedł najwyraźniej do wniosku, że jeśli nie zrobi pierwszego kroku, będzie traktowany jak najzwyklejszy goniec.

- Ładny pokój - zauważył nieszczercze i przysunął bliżej krzesło.

Ripley stwierdziła, że facet wygląda jak wiejski ćwok, z tym, że wiejskie ćwoki mówią zupełnie inaczej.

- Nazywam się Burke. Carter Burke. Jestem pracownikiem Towarzystwa, ale nie, nie tego Towarzystwa. Porządny ze mnie facet, proszę mi wierzyć. Cieszę się, że dochodzi pani do siebie. - Przynajmniej ostatnia kwestia zabrzmiała tak, jakby wypowiedział ją od serca.

Ripley wciąż głaskała Jonesa, który mrucał z ukontentowaniem i obsypywał sterylną pościel kocia sierścią.

- A kto mówi, że dochodzę do siebie?

- Pani lekarze i aparatura medyczna - odparł. - Powiedzieli mi, że słabość i uczucie zagubienia czy też dezorientacji wkrótce miną, chociaż według mnie wcale nie wygląda pani na osobę zdezorientowaną. Twierdzą, że to skutki uboczne wyjątkowo długotrwałej hibernacji czy coś w tym rodzaju. W szkole nie przepadałem za biologią. Wolałem raczej matematykę, liczby, figury... Na przykład pani zachowała figurę wprost idealną mimo ciężkich przeżyć.

- Mam nadzieję, że wyglądam lepiej, niż się czuję, bo czuję się jak egipska mumia. Wspomniał pan, że to "skutki wyjątkowo długotrwałej hibernacji". Właśnie, jak długo tam byłam? - Kiwnęła głową w stronę obserwującej ich pielęgniarki. - Nie chcę mi tu nic powiedzieć.

Burke przybrał łagodny, iście ojcowski ton głosu.

- Chyba nie powinna się pani tym zamartwiać, przynajmniej nie w tej chwili...

Jej ręka wystrzeliła spod prześcieradła i chwyciła. Burka za ramię. Szybkość, z jaką Ripley zareagowała, siła jej uchwytu najwyraźniej go zaskoczyły.

- Nie. Odzyskałam pełną świadomość i nie musicie się już ze mną cackać. Jak długo, Burke?

Zerknął na pielęgniarkę. Tamta wzruszyła ramionami i obróciła głowę, żeby zająć się jakąś straszliwie pogmatwaną płataniną rurek i fosforyzujących kabli. Gdy znów spojrział na kobietę siedzącą na łóżku, stwierdził, że nie może oderwać wzroku od jej przenikliwych oczu.

- No dobrze. To wprawdzie nie mój obowiązek, ale coś mi mówi, że ma pani dość siły, by to znieść. Pięćdziesiąt siedem lat.

Pięćdziesiąt siedem lat! Słowa uderzyły ją jak ciężki młot, jak pięćdziesiąt siedem ciężkich kowalskich młotów. Czowała się bardziej zdruzgotana niż w momencie przebudzenia, bardziej oszołomiona niż w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała Ziemię. Zbladła i naraz jakby powietrze z niej uszło, jakby straciła wszystkie siły - opadła bezwładnie na poduszkę. Sztuczna grawitacja, równa grawitacji

ziemskiej, jakby nagle wzrosła, wzrosła co najmniej trzykrotnie, i wgniatała ją teraz w łóżko. Wypełniony powietrzem materac, na którym leżała, napęczniał i unosił się wokół niej jak rozdęty balon, grożąc uduszeniem i stłamszeniem.

Pielęgniarka spojrzała na czujniki, ale żaden z nich nie zareagował.

Pięćdziesiąt siedem lat. Przespała, prześniła ponad pół wieku! Zostawiła na Ziemi przyjaciół, którzy zestarzelili się i umarli, rodzinę, która dojrzała i odeszła, świat, który przeszedł zapewne taką metamorfozę, że Bóg jeden wie, jak teraz wygląda. Do władzy dochodziły nowe rządy, rządy upadały. Na rynku królowały nowe wynalazki, które się szybko starzały i odchodziły w niepamięć. Nikt nie przeżył w hibernatorze dłużej niż sześćdziesiąt pięć lat. Sześćdziesiąt pięć lat to nieprzekraczalna granica. Później ciało ludzkie zawodzi i przestaje reagować na wysiłki aparatury podtrzymującej funkcje organizmu. A więc niewiele brakowało. Otarła się o granice fizjologicznych możliwości człowieka, a wszystko tylko dlatego, by stwierdzić, że tak naprawdę to przeżyła już swoje życie.

- Pięćdziesiąt siedem lat!

- Dryfowała pani przez systemy zewnętrzne - tłumaczył Burke. - Automatyczny nadajnik wysyłający sygnały pozycyjne i ostrzegawcze zawiódł. Miała pani wprost niesamowite szczęście. Załoga jednego z naszych dalekobieżnych statków przechwyciła prom, gdy... - Urwał, bo...

Bo nagle Ripley zbladła jeszcze bardziej, bo nagle wytrzeszczyła oczy.

- Czy... Czy dobrze się pani czuje?

Odkaszlnęła raz, później drugi raz, znacznie gwałtowniej. Ten ucisk... Jakby od wewnątrz... Z jej twarzy zniknął wyraz zaniepokojenia, ustępując miejsca straszliwemu przerażeniu. Burke chciał podać chorej szklankę wody z nocnego stolika, ale wytrąciła mu ją z rąk. Szklano roztrzaskało się o podłogę. Jones zjeżył się, przeraźliwie miaucząc i sycząc zeskoczył z łóżka, zazgrzytał pazurami po śliskiej wykładzinie i uciekł pod szafkę. Ripley chwyciła się za piersi, wygięła w łuk i zaczęła wic się w upiornych konwulsjach. Brakło jej tchu, coś ją od środka dusiło.

Pielęgniarka krzyczała do kierunkowego mikrofonu:

- Alarm na czterysta piętnastce! Alarm na czterysta piętnastce! Cztery jeden pięć! Alarm!

Razem z Burke'em trzymała pacjentkę za ramiona, tymczasem Ripley miotała się na łóżku. Trzymali ją, gdy do pokoju wpadł lekarz i dwóch pielęgniarzy.

Nie, to niemożliwe! To przecież niemożliwe!

- Nie! Nieeeee...!

Pielęgniarze próbowali skrępować jej pasami ręce i nogi. Wierzgnęła dziko, odrzucając prześcieradło. Trafiała. piętą jednego z nich i zwałił się na podłogę. Drugą nogą wyrznęła w szklane, bezduszne oko autodoka. Jones siedział bod szafką. Patrzył na swoją panią i syczał.

- Trzymajcie ją! - wrzeszczał lekarz. - Dajcie tlen! I piętnaście centymetrów...

Gwałtowny wytrysk krwi splamił szkarłatem górną część jej koszuli. Prześcieradło zaczęło się unosić, wypychane od dołu czymś, czego nie mogli na razie widzieć. Oszołomieni lekarz i pielęgniarze odstąpili od łóżka. Prześcieradło unosiło się coraz wyżej i wyżej.

Wreszcie opadło na materac i wtedy Ripley zobaczyła to wyraźnie. Pielęgniarka zemdląca, lekarz wydawał z siebie jakieś zduszone odgłosy. Z rozerwanej klatki piersiowej pacjentki wychynał nagi, bezoki i uzębiony czerw. Wolno obracał głowę, aż najeżona siekaczami paszcza znalazła się ledwie o stopę od twarzy nosicielki. Wtedy przenikliwie zaskrzeczał. Ten ohydny dźwięk zabił w pokoju wszystko co ludzkie, wypełnił Ripley do cna, zaatakował jej otepiały mózg, wibrował echem w całym jestestwie nieszczęsnej kobiety i...

...zanosząc się straszliwym krzykiem, usiadła na łóżku, sztywna i spięta.

Ciemna szpitalna separatka. Ripley była sama. Diody żarzące się na pulpicie aparatury medycznej świeciły niczym kolorowe owady. Miotana emocjami sennego koszmaru, wciąż trzymała się za pierś, próbując odzyskać oddech, który zabrała jej zmora.

Ciało miała nienaruszone: mostek, mięśnie, ścięgna i więzadła były na swoim miejscu, reagowały na rozkazy płynące z mózgu. Nie istniał żaden oszalały stwór, żaden obłąkany potwór nie rozrywał jej żeber i nie wypruwał wnętrzości, nie odbywał się tu żaden ohydny poród. Rozbieganymi oczyma zlustrowała separatkę. Na podłodze też nic na nią nie czatowało. Ani za szafką. Nie, nic tam nie było, nic nie czekało, by ją zaskoczyć. Stały tu tylko cichutkie maszyny czuwające nad życiem, tylko wygodne łóżko życie podtrzymujące. Chociaż w separatce panował przyjemny chłód, Ripley sphywała potem. Zaciśniętą w pięść dłoń przyciskała obronnym gestem do mostka, jak gdyby musiała się nieustannie przekonywać, że wciąż jeszcze żyje, że jest cała i nienaruszona.

Lekko drgnęła, gdy rozbłysnął ekran monitora zawieszzonego nad łóżkiem. Z ekranu spoglądała na nią starsza kobieta, nocna pielęgniarka. Z jej twarzy biła szczerza, nie udawana troska.

- Znowu koszmary? - spytała. - Czy podać pani coś na sen?

Z lewej strony łóżka, tuż przy ramieniu siedzącej, z cichym szumem ożył autodok. Ripley spojrzała na niego z niesmakiem.

- Nie. Dość już spałam.

- Jak pani sobie życzy. Pani wie najlepiej. Gdyby jednak zmieniła pani zdanie, proszę tylko zadzwonić. - Wyłączyła się. Ekran ściemniał.

Ripley opadła wolno na uniesiony materac i wcisnęła jeden z licznych guzików umieszczonych z boku nocnej szafki. Płyty ochraniające okno w przeciwległej ścianie separatki rozsunęły się ponownie i zniknęły w suficie. Znow mogła wyrzucić

na zewnątrz. I oto znów ujrzała część łańcucha Gateway, zalanego teraz jaskrawą iluminacją, a dalej, w dole, ziemski glob okryty mrocznym całunem nocy. Nad mikroskopijnymi świetlistymi punkcikami miast wisały strużki chmur. Miasta. Tętniące życiem, pełne szczęśliwych ludzi, ludzi nieświadomych nagiej rzeczywistości, jaką jest obojętny na wszystko kosmos.

Coś upadło na łóżko, tuż obok niej. Ale tym razem Ripley nie podskoczyła z przerażenia. Nie zważając na zdawkowe pomiaukiwania, będące wyrazem kociego protestu, przytuliła do siebie znajomy, natarczywy kłęb miękkiej sierści.

- W porządku, Jones - szepnęła. - Udało się nam, jesteśmy bezpieczni. Bardzo mi przykro, że cię tak przestraszyłam. Teraz będzie już dobrze, zobaczysz, będzie dobrze...

Tak, dobrze, z tym, że znów musi nauczyć się zasypiać i normalnie spać.

Poprzez liście pnączy sączyły się promienie słońca. Za drzewami widać było zieloną łąkę, ukwieconą jasnymi plamami dzwonek, stokrotek i floksów. Na ziemi, u podnóża jednego z drzew harcował rudzik poszukujący owadów. Nie widział, że skrada się ku niemu groźny drapieżnik. A ten miał czujny, skupiony wzrok i napięte mięśnie. Ptaszek pokazał mu ogon i wtedy myśliwy zaatakował.

Jones grzmotnął w solido rudzika, ani nie chwytając zdobyczy, ani nie zakłócając obrazu. Ptaszek skakał wesoło dalej, polując na obrazy insektów. Kocur potrząsnął gwałtownie łbem i odszedł chwiejnie od ściany.

Ripley siedziała niedaleko, na ławce, i obserwowała wyczyny ulubieńca.

- Ty głupi kocie. Tyle razy to widziałeś i wciąż niczego nie rozumiesz?

Chociaż z drugiej strony może nie powinna od niego zbyt wiele wymagać. Podczas tych pięćdziesięciu siedmiu lat projekcja solido znacznie się udoskonaliła. Podczas ostatnich pięćdziesięciu siedmiu lat udoskonaliło się wszystko. Tylko nie ona i nie Jones...

Hermetyczne szklane drzwi oddzielały atrium od reszty obiektu. Realizm drogiego solido lasu północnoamerykańskiego, typowego dla klimatu umiarkowanego, uwydatniały doniczkowate krzewy i gęsta trawa pod stopami. Chociaż projekcja była bardziej realistyczna niż prawdziwe rośliny, te ostatnie przynajmniej uczciwie pachniały. Ripley nachyliła się nad doniczką. Zapach gleby, wilgoci, kielkującego życia. Jakby kapusta... analizowała chłodno. I koński nawóz...

Tak, chciała już stąd wyjechać: Tęskniła za błękitnym niebem, które oddzieliłoby ją wreszcie od złowrogiej pustki kosmosu. A Ziemia była tak blisko, tak kusząca...

Szklane drzwi atrium rozsunały się i w progu stanął Carter Burke. Przyłapała się na tym, że przez chwilę patrzyła na niego jak na mężczyznę, a nie jak na jednego z rozlicznych urzędników z Towarzystwa. Może to znak, że wraca do normy...? Złagodziła nieco swoją o nim opinię, a to dzięki temu, że uświadomiła sobie pewien

fakt. Otóż kiedy Nostromo wyruszał w naznaczony śmiercią rejs, Burke jeszcze się nie urodził; przyszedł na świat dopiero dwadzieścia lat później. Ale to nie powinno mieć jakiegokolwiek znaczenia. Oboje byli mniej więcej w tym samym wieku biologicznym.

- Przepraszam. - Zawsze ten wesoły uśmiezek. - Od samego rana jestem ze wszystkim spóźniony. W końcu się jednak wyrwałem.

Ripley nigdy nie przepadała za rozmowami o niczym. A teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem życie zdawało się być zbyt cenne, by marnować je na przelewanie z pustego w próżne. Dlaczego ludzie nie mogą po prostu powiedzieć tego, co mają do powiedzenia, i odpuścić sobie pięciominutowy taniec wokół zasadniczego tematu?

- Znaleźli już moją córkę? - spytała. Burke czuł się wyraźnie nieswojo.

- No tak... Chciałem z tym poczekać, aż panią przesłuchają...

- Czekałam pięćdziesiąt siedem lat, Burke, zaczynam tracić cierpliwość. Niech ją pan lepiej zaspokoi.

Skinął głową, położył teczkę i trzasnął zamkiem. Przez chwilę grzebał wśród dokumentów, wreszcie wy dostał kilka plastikowych arkusików.

- Czy ona...?

Burke ujął pierwszy arkusik i zaczął czytać:

- Amanda Ripley-McClaren. To chyba po mężu. Wiek. Sześćdziesiąt sześć lat w chwili... śmierci. To było dwa lata temu. Mam tutaj całą historię jej życia. Nic spektakularnego, nic godnego szczególnej uwagi. Jak z tego widać, pędziła zwyczajne, przyjemne życie. Chyba takie jak większość z nas. Bardzo mi przykro. - Podał jej dokumenty. Ripley zaczęła przeglądać komputerowe wydruki. Obserwował jej twarz. - Zdaje się, że to mój dzień, nie ma co. Od rana roznoszę same dobre nowiny...

Ripley studiowała hologram odbity na jednym z arkusików. Przedstawiał pulchną, lekko bladą kobietę w wieku sześćdziesięciu paru lat. Można by ją wziąć za czyjąkolwiek ciotkę. Bo w holograficznej twarzy nie dostrzegła niczego szczególnego, niczego znajomego, niczego, co rzuciłoby się w oczy, krzyżąc wspomnieniami. W żaden sposób nie mogła pogodzić zdjęcia starszej kobiety z obrazem małej dziewczynki, którą tu niegdyś zostawiła.

- Amy... - szepnęła.

Burke trzymał w ręku jeszcze kilka dokumentów. Podczas gdy Ripley wbijała oczy w fotografię, on znów zaczął czytać.

- Rak. Hmm... Wciąż nie umieją sobie poradzić z niektórymi odmianami. Ciało poddano kremacji. W Domu Wieczystego Spokoju w Little Chute, w stanie Wisconsin. Nie miała dzieci.

Ripley ominęła go wzrokiem i spojrzała w stronę leśnego solidu. Nie na las jednak patrzyła. Oglądała niewidzialny krajobraz przeszłości.

- Obiecałam Amy, że wrócę na jej urodziny, na jedenaste urodziny. Tak, trochę się spóźniłam... - Znow zerknęła na hologram. - Już wcześniej zdążyła się przekonać, że moje obietnice należy traktować z przymrużeniem oka. A przynajmniej te związane z rozkładem lotów.

Burke kiwnął głową, usiłując przybrać współczujący wyraz twarzy. Nawet w normalnych warunkach przychodziło mu to z trudnością, a tego ranka zupełnie nie mógł sobie z tym poradzić. Ale był przynajmniej na tyle rozsądny, że trzymał gębę na kłódkę, zamiast mamrotać pocieszycielsko -grzeczne idiotyzmy.

- Wie pan, jak to jest - mówiła Ripley. - Człowiek zawsze myśli, że kiedyś wszystko tej drugiej osobie wynagrodzi. Później, za jakiś czas. - Westchnęła. - Ale ja już jej tego nie wynagrodzę. Nigdy.

Wtedy zapłakała. Spóźnione łyzy. Spóźnione o pięćdziesiąt siedem lat. Osamotniona, w innym czasie i przestrzeni, siedziała na ławce i cicho szlochała.

W końcu Burke poklepał ją po ramieniu. Lekko, dla dodania otuchy. Był skrepowany sytuacją i mocno się pilnował, żeby tego po sobie nie okazać.

- Przesłuchanie rozpoczyna się o wpół do dziesiątej. Lepiej bądźmy na czas, nie zepsujmy pierwszego wrażenia. Skinęła głową, wstała.

- Jones. Chodź tutaj, Jones.

Miaucząc, kocur podszedł do niej niespiesznie i pozwolił się wziąć na ręce. Ripley, nieco zażenowana, otarła zapłakane oczy.

- Muszę się przebrać - oświadczyła. - To tylko moment. - Potarła nosem o grzbiet kota. Jones zniósł tę zniewagę w milczeniu.

- Czy odprowadzić panią do pokoju?

- Oczywiście, dlaczego nie?

Burke ruszył w stronę korytarza. Drzwi rozsunęły się, umożliwiając im wyjście z atrium.

- Jest pani tutaj kimś bardzo uprzywilejowanym - zauważył. - Chodzi o kota. Zwierzęta domowe nie mają tu wstępu.

- Jones nie jest zwykłym zwierzęciem. - Podrapała kocura za uchem. - To kosmiczny rozbitek.

Zgodnie z obietnicą zdążyła przed czasem; Burke nie chciał wejść do pokoju i czekał przed drzwiami, studiując raporty. Kiedy ujrzał ją w progu, stwierdził, że przeszła wprost imponującą transformację. Nie miała już bladej, woskowej skóry. Zgorzkniały wyraz twarzy gdzieś zniknął, a chód zyskał na pewności: Determinacja? myślał, gdy szli w stronę głównego korytarza. Czy tylko zręczny kamuflaż?

Milcząc dotarli na poziom , gdzie mieściła się sala przesłuchań.

- Co im pani chce powiedzieć? - spytał w końcu Burke.

- A zostało coś jeszcze go powiedzenia? Wszystko już powiedziałam. Czytał pan moje oświadczenie. Jest szczegółowe i kompletne, bez upiększeń. Żadne upiększenia nie były konieczne.

- Proszę posłuchać. Ja pani wierzę, ale spotka tam pani kilku twardogłowych, z których każdy będzie się doszukiwał dziury w całym. Są tam federalni, są ważniacy z Międzygwiazdnej Izby Handlowej, grube ryby z Administracji Kolonialnej, z ubezpieczeń, z...

- Jasne, już rozumiem.

- Niech pani im po prostu powie, co się stało. Ważne jest, żeby zachowała pani spokój i opanowanie.

Pewnie, myślała, spokój i opanowanie. Rodzina wymarła, wszyscy przyjaciele i kumple z załogi nie żyją, przespała pięćdziesiąt siedem lat, których nikt jej nie zwróci, a teraz musi tylko zachować spokój i opanowanie.

Jednak, mimo całej determinacji, koło południa po spokoju i opanowaniu zostały tylko wspomnienia. W kółko te same pytania, te same idiotyczne dysputy na temat wydarzeń, które opisała w raporcie, nużące rozpatrywanie spraw mało istotnych, uporczywe pomijanie naprawdę ważnych - wszystko to razem frustrowało ją i wpędzało w złość.

Kiedy zwracała się do ławy posępnych inkwizytorów, olbrzymi wideoekran umieszczony za nią wyświetlał zdjęcia oraz kopie licznych dokumentów. Cieszyła się, że tego nie widzi, bo twarze, które się na nim ukazywały, były twarzami członków załogi Nostromo. Parker szczerzący zęby w głupim uśmiechu. I Brett, spokojny i znudzony, jakby czekał, aż kamera zrobi swoje. Był tam Kane i Lambert. I ten zdrajca Ash, z bezduszną gębą, z której promieniowało fałszywe, bo zaprogramowane uduchowanie. I Dallas...

Dallas.

Dobrze że ekran był za nią. Za nią były wspomnienia.

- Uszu dzisiaj nie mylicie czy co?! - warknęła w końcu.- Siedzimy tu od trzech godzin. Na ile sposobów mam to opowiadać? Jeśli sądzicie, że lepiej to zabrzmi w swahili, sprowadźcie tłumacza i polecimy w swahili. Spróbowałabym po japońsku, ale wyszłam z wprawy. I straciłam już cierpliwość. Zawsze tak długo podejmujecie te wasze kolektywne decyzje?

Van Leuwen złożył ręce jak do modlitwy i zmarszczył brwi. Twarz miał szarą i nijaką jak jego garnitur. Oblicza pozostałych członków wysokiej komisji były równie puste jak twarz przewodniczącego. Zasiadało ich tam ośmioro. Ośmioro członków oficjalnej komisji dochodzeniowej i ani jednej przyjacielskiej duszy. Dyrektorzy. Administratorzy. Rozjemcy. Jak takich przekonać? Przecież to nie ludzie, tylko uosobienia biurokratycznej dezaprobaty, to złudne fantomy. Z



rzeczywistością Ripley zawsze umiała sobie jakoś radzić. Zawilóść manewrów polityczno-korporacyjnych ją przerastały.

- To nie takie proste, jak zdaje się pani sądzić - odrzekł cicho van Leuwen. - Proszę na to spojrzeć z naszej perspektywy. Przyznała się pani dobrowolnie do zdetonowania silników transportowca galaktycznego klasy „M”, co pociągnęło za sobą jego całkowite zniszczenie. Taki transportowiec jest rzeczą dość drogą...

Biegły z ubezpieczeń był chyba najnieszczęśliwszym członkiem komisji dochodzeniowej

- Czterdzieści dwa miliony dolarów, po przeliczeniu na aktualny kurs. Oczywiście bez ładunku. Po eksplozji silników nie zostało tam nic, co można by jeszcze odzyskać. Nawet jeśli po pięćdziesięciu siedmiu latach udałoby się nam zlokalizować szczątki.

Van Leuwen skinął machinalnie głową i mówił dalej:

- Nie, żebyśmy sądzili, iż pani kłamie. Urządzenie rejestrujące przebieg lotu promu ratunkowego potwierdza niektóre fragmenty pani raportu. Te najmniej kontrowersyjne. Że w uwzględnionym w dokumentacji czasie Nostromo wylądowało na LV426, na nie zbadanej i uprzednio przez nikogo nie odwiedzonej planecie. Że dokonano napraw. Że po krótkiej przerwie w podróży wrócił na kurs. Że zaprogramowano go następnie na samozniszczenie, i że do samozniszczenia rzeczywiście doszło. I że to pani wydała rozkaz, który doprowadził do eksplozji silników. Że wydała go pani z powodów całkowicie nieznanych.

- Mówiłam przecież, że...

Van Leuwen jej przerwał. Słyszał ten argument wielokrotnie.

- Jednak urządzenie rejestrujące - kontynuował - nie zanotowało ani jednej wzmianki na temat obcej formy życia, którą mieliście jakoby zabrać na statek podczas postoju na wspomnianej planecie.

- Nie zabraliśmy jej! - warknęła. - Mówiłam już, że....

Urwała, spojrzawszy na kamienne twarze gapiące się na nią, chłodnym pustym wzrokiem. Traciła tylko czas. Tak naprawdę to nie przesłuchanie się tu odbywało. To było czuwanie przy zwłokach, to była stypa. Nie chodziło im o sprawdzenie faktów w celu ewentualnej obrony i windykacji, nie. Chodziło o wygładzenie chropowatości, żeby całość znów była cacy i w porządku. I już wiedziała, że nie może na to nic poradzić. O jej losie zdecydowano, zanim jeszcze weszła do sali. Posiedzenie komisji dochodzeniowej było przedstawieniem, pytania błagą i zwykłym mydleniem oczu. Żeby zadośćuczynić protokołowi.

W takim razie ktoś się dorwał do rejestratora i spreparował dane - stwierdziła.- Dobry technik poradziłby sobie z tym w godzinę. Kto miał dostęp do czarnej skrzynki?

Przedstawicielką Zarządu Kolonizacji Ekstrasolarnej była kobieta w wieku lat pięćdziesięciu kilku. Dotychczas sprawiała wrażenie znudzonej. Teraz siedziała w fotelu i kręciła wolno głową.

- Czy zechce pani siebie przez chwilę posłuchać? - spytała. - Czy naprawdę pani oczekuje, że uwierzymy w te historyjki, które nam tu pani opowiada? Po długotrwałej hibernacji człowiek potrafi wygadywać przezabawne rzeczy.

Wściekła z bezsilności, Ripley przeszła ją wzrokiem.

- Chce pani usłyszeć coś przezabawnego? - warknęła.

Van Leuwen zainterweniował. Werbalnie.

Zespół śledczo-analityczny przeczesał każdy centymetr kwadratowy promu i nie znalazł żadnego namacalnego dowodu obecności stworzenia, które nam pani opisała. Nie znalazł absolutnie niczego. Żadnych uszkodzeń wewnętrznych. Żadnych kwasopodobnych wytrawień na metalu, będących rezultatem oddziaływania jakichś nieznanymi substancji żrących.

Ripley panowała nad sobą przez cały ranek; wyrozumiała i cierpliwa, odpowiadała na najbardziej idiotyczne pytania. Zapas racjonalnych odruchów był już na wykończeniu, podobnie jak zapas cierpliwości.

- Bo wywaliłam to bydle z promu! - krzyknęła. - Ślużą! - Nieco ochłonęła, bo jej słowa powitała grobowa cisza. - Jak już zresztą mówiłam - dodała.

Ekspert z towarzystwa ubezpieczeniowego pochylił się nad stołem i spojrzał na przedstawicielkę Zarządu Kolonizacji Ekstrasolarnej.

- Czy na LV 426 zamieszkuje jakiegokolwiek „wrocie formy życia”? - spytał.

Nie. - Z większym przekonaniem nie mogła tego powiedzieć. - To naga skała. Nie ma tam żadnych lokalnych form życia większych od prymitywnego wirusa. A już na pewno organizmów bardziej złożonych. Nawet robaka tam nie uświadczysz. LV 426 nigdy nic takiego nie zamieszkiwało i zamieszkiwać nie będzie.

Ripley zacisnęła zęby, usiłując zachować spokój.

- Mówiłam państwu, że to nie jest żadna lokalna forma życia. - Próbowała ściągnąć na siebie ich wzrok. Bezskutecznie. Skoncentrowała się więc na van Leuwanie i na przedstawicielce ZKE. - Skanery Nostromo przechwyciły sygnał dochodzący z powierzchni planety i Matka nas obudziła, zgodnie z zakodowanym programem. Odszukaliśmy źródło emisji i okazało się, że to statek, obcy statek kosmiczny, jakiego ani wy, ani nikt inny nigdy przedtem nie widział. To też było w czarnej skrzynce, musiało być. Statek był wrakiem. Rozbitym, porzuconym wrakiem... Nie wiadomo skąd... Szliśmy na sygnał. Znaleźliśmy pilota, który również nie przypominał żadnej znanej nam dotychczas istoty. Był martwy, siedział w fotelu. W klatce piersiowej miał wyrwę wielkości butli z gazem do spawania.

Może ta historia znudziła przedstawicielkę ZKE, a może po prostu była już zmęczona wysłuchiwaniami jej po raz drugi. Tak czy inaczej zdecydowała, że powinna zabrać głos.

- Szczerze powiedziawszy, zbadaliśmy ponad trzysta planet i nikt nigdy nam nie doniósł o istnieniu stworzenia, które, tu zacytuję pani słowa... - pochyliła się, żeby odczytać fragment oficjalnego raportu Ripley - ...które „wykluwają się z zarodka wprowadzonego do żywego organizmu człowieka-nosiciela” i w którego żyłach „zamiast krwi krąży stężony kwas molekularny”.

Ripley zerknęła na Bure'a, który milcząc i zaciskając usta siedział na drugim końcu stołu. Nie był członkiem komisji, więc podczas całego przesłuchania ani razu nie zabrał głosu. Zresztą wiedziała, że nie mógł jej w niczym pomóc. Wszystko zależało od tego, jak zostanie przyjęty jej oficjalny raport dotyczący zagłady Nostromo. Bez mocnych dowodów, bez danych z czarnej skrzynki promu ratunkowego komisja nie dysponowała praktycznie żadnym materiałem oprócz zeznań przesłuchiwanej, a już od samego początku było wiadomo, jak małą wagę do nich przywiązuje. Kto się mógł dostać do rejestratora? I dlaczego...? zastanawiała się po setny raz Ripley. A może urządzenie rejestrujące najzwyczajniej w świecie nawaliło, samo z siebie? Lecz w obecnej sytuacji nie miało to zbyt wielkiego znaczenia. Ripley była już tą grą po prostu zmęczona.

- Posłuchajcie, szanowni państwo. Widzę, do czego to wszystko zmierza. - Uśmiechnęła się uśmiechem pozbawionym wesołości. Chcą grać, to będzie z nimi grała i skończy tę grę, nawet jeśli nie ma szans na zwycięstwo. - Cała ta historia z androidem... i oczywiście pytanie, dlaczego Nostromo zboczył z trasy, przechwyciwszy sygnał ostrzegawczy, to wszystko ma razem sens, to do siebie pasuje, chociaż nie potrafię niczego udowodnić. - Popatrzyła po siedzących za stołem i teraz uśmiechnęła się na prawdę. - Ktoś tu najwyraźniej kryje swojego Asha i żeby sprawa się nie wydała, zdecydowaliście państwo spuścić po mnie wodę. Dobra, w porządku. Ale jednego nie zmienicie, jednego faktu nie jesteście w stanie przeinaczyć. Te ohydztwa istnieją. Mnie możecie uciszyć albo zagłuszyć, ale to niczego nie zmieni. Na tamtej planecie jest obcy statek, a na tym statku tysiące jaj. Tysiące. Rozumiecie? Czy w ogóle usiłowaliście zrozumieć, co to oznacza? Radzę, żebyście wysłali tam ekspedycję i zlokalizowali go, wykorzystując dane z czarnej skrzynki. I radzę zrobić to szybko. Zlokalizujcie go i rozprawcie się z tymi szkaradztwami, najlepiej za pomocą orbitalnego pocisku nuklearnego. Bo jeśli przedtem wyślecie tam oddział rozpoznawczy, jeden z waszych dzielnych wojaków może wrócić na pokład z małą niespodzianką w brzuchu.

- Dziękuję pani - zaczął van Leuwen. - To by było...

Ale Ripley nie pozwoliła sobie przerwać.

- Bo w przeciągu dwunastu godzin od wyklucia się jedno z tych paskudztw zdołało wymordować całą załogę Nostromo!

Przewodniczący wstał. Ripley nie była tu jedyną osobą, która straciła cierpliwość.

- Dziękuję pani - powtórzył.- Kończymy....

- Niczego nie kończymy! - Ripley przeszła go wzrokiem.- Skończymy dopiero wtedy, kiedy te potwory trafią tutaj! Tutaj! Na Ziemię! Wtedy będziecie mogli się z nią pożegnać! Buźka, drodzy państwo! Wielka buźka, a potem do widzenia!

Przedstawicielka ZKE zwróciła się spokojnie do van Leuwena:

- Panie przewodniczący, sądzę, że dysponujemy wystarczającymi informacjami, żeby wydać orzeczenie. Myślę, że czas już wreszcie zamknąć posiedzenie i udać się na naradę.

Van Leuwen rzucił okiem na członków komisji. Równie dobrze mógłby zerknąć w lustro. Mimo powierzchownych różnic, jakie ich dzieliły, takich jak budowa ciała czy kształt twarzy, w sumie byli wszyscy tacy sami. I całkowicie jednomyślni.

Ale owej jednomyślności nie mogli głosić otwarcie, o nie. To by źle wyglądało w protokóle. Bo najważniejsze, żeby w protokole wszystko wyglądało jak trzeba.

- Panowie, panie....?

Zgodne i przyzwalające skinienia głowami.

Van Leuwen spojrzał na przesłuchiwaną. To gorsze niż sekcja zwłok... pomyślał zgorzkniały.

- Musimy teraz panią przeprosić...

- Chyba się nie dam - burknęła.

Zawiedziona i rozdygotana ruszyła ku wyjściu. Idąc zerknęła na wielki ekran i aż do samych drzwi nie mogła oderwać od niego wzroku. Bo z ekranu patrzył na nią obojętnie Dallas. Kapitan Dallas. Przyjaciel Dallas. Kumpel Dallas. Martwy Dallas.

Wyszła gniewnie z sali.

Nic więcej nie mogła zrobić, nic więcej powiedzieć. I tak orzekną, że jest winna, a teraz będą brnąć przez kolejne punkty procedury prawnej, żeby tylko stworzyć pozory uczciwego procesu. Formalności. Towarzystwo i sojusznicy Towarzystwa uwielbiali formalności. Że tragedia? Że śmierć człowieka? Jeśli tylko uda się oczyścić raport z całej warstwy emocjonalnej, w tragedii i w śmierci człowieka nie ma nic złego. I wtedy taki raport można już bezpiecznie ująć w sprawozdaniu rocznym. Dlatego przesłuchanie musiało się odbyć, emocje musiały być przełożone na wysterylizowane kolumny cyfr, musiał zapaść wyrok. A wszystko po cichutku, aby nie za głośno, żeby, broń Boże, sąsiedzi nie podsłuchali.

Tak naprawdę to żadna z tych spraw jej nie dręczyła. Nie martwiła nawet groźba przedwczesnego zakończenia kariery. Ale nikomu nie wybaczyłaby jednego:

pyszałkowej głupoty, z jaką obnosili się wszechpotężni zasiadający w tej sali, z której przed chwilą wyszła. A więc nie uwierzyli jej. Biorąc pod uwagę typ umysłowości, jaki reprezentowali, i brak wiarygodnych dowodów, mogła to jeszcze zrozumieć. Ale żeby kompletnie zlekceważyć jej słowa? Żeby nie weryfikować zeznań? Tego im wybaczyć nie można. Nigdy. Bo stawką w tej grze było coś więcej niż jedno parszywe życie, niż bezbarwna kariera oficera transportowego. A oni mieli to gdzieś. Nie ma strat nie ma zysku, więc nic ich to nie obchodzi.

Stała koło Burke'a i oparła się o ścianę. Burke kupował kawę i pączki z maszyny w holu. Automat przyjął kartę kredytową i grzecznie podziękował. Jak niemal wszystko w stacji Gateway, maszyna sprzedająca napoje i żywność nie miała zapachu. Czarna ciecz, którą wydawała, też nie. Jeśli zaś chodzi o tak zwane pączki, niewykluczone, że kiedyś zdarzyło im się raz przelecieć nad polem pszenicy.

- Jedli ci z ręki, dziecinko.

Burke usiłował ją pocieszyć. Była mu za to wdzięczna, choć celu nie osiągnął. Ale nie miała też powodów, żeby wyładować na nim złość.

Wybór kilku rodzajów cukru i sztuczna śmietanka nadawały erzackawie jako taki smak.

- Wyrok zapadł, nim w ogóle tam weszłam - odrzekła. - Zmarnowałam cały ranek. Powinni byli rozproszyc wśród wszystkich gotowce i już. Czy nie prościej by było, gdybym swoją rolę wyrecytowała z kartki? Przynajmniej nie musiałabym przypominać sobie prawdy. - Zerknęła na Burke'a. - Wiesz, co oni o mnie myślą?

- Wyobrażam sobie - odparł wbijając zęby w ciasto.

- Myślą, że mi odbiło.

- Bo ci odbiło - rzucił wesoło - zjedz pączka. Wolisz z czekoladą czy z maślanką?

Spojrzała z niesmakiem na zakalcowaną spłaszczoną kulkę, którą ją częstował.

- Naprawdę czujesz jakąś różnicę w smaku?

- Nie, ale kolory są ładne.

Nie uśmiechnęła się ale też i go nie wyszydziła.

„Narada” nie trwała długo. No bo niby dlaczego miałyby długo trwać? myślała, sadowiac się na swoim miejscu. Burke usiadł w drugim końcu sali. Chciał do niej mrugnąć, później zmienił zamiar, a całość sprawiała wrażenie, jakby nagle dostał drgawek twarzy. Ripley wszystko to zauważyła i ucieszyła się, że nie dokończył tego, co zaczął.

Van Leuwen odchrząknął. Nie uznał za konieczne spojrzeć na członków komisji i szukać u nich wsparcia.

- Komisja dochodzeniowa orzeka, co następuje - zaczął. - Wiadoma decyzja podoficer Ellen Ripley, NOC-14672, była nie umotywowana, a więc nie właściwa. W związku z powyższym komisja dochodzeniowa stwierdza, że podoficer Ripley

jest niezdolna do pełnienia obowiązków oficera transportowego na liniach handlowych.

Jeśli któreś z nich oczekiwało jakiegokolwiek reakcji ze strony potępionej i skazanej, to się niemile rozczarowali. Ripley siedziała i patrzyła na nich w milczeniu. Miała zaciśnięte usta, wyzywająco-prowokujące spojrzenie. Najpewniej jednak im ulżyło. Bo przecież gwałtowna reakcja nerwowa musiałaby zostać zaprotokołowana.

Van Leuwen kontynuował, nieświadom faktu, że Ripley ubrała go w czarną pelerynę i kaptur.

- Wobec powyższego komisja orzekła bezterminowe zawieszenie licencji, do ponownego rozpatrzenia w terminie późniejszym. - Znów odchrząknął. Czyżby sumienie go gryzło? - Uwzględniając jednak fakt, że podoficer Ripley przeżyła wyjątkowo długotrwałą hibernację oraz fakt, że efekty, jakie takowoż hibernacja może wywrzeć na organizm człowieka, nie dają się naukowo określić, komisja zdecydowała, że tym razem zarzuty oskarżenia nie będą postawione.

Tym razem! pomyślała wesoło Ripley. W ich języku, w języku Towarzystwa, znaczyło to tyle co: „Trzymaj gębę na kłódkę, popędź gryzpiórków z prasy, a dostaniesz emeryturę.”

- Zostanie pani zwolniona za pisemnym zobowiązaniem wobec sądu, że podda się pani sześciomiesięcznemu nadzorowi psychometrycznemu oraz comiesięcznym badaniom psychiatrycznym, prowadzonym przez wyznaczonego i zatwierdzonego specjalistę oraz leczeniu lub kuracji, zgodnie z zaleceniem lekarza prowadzącego.

Krótko, zgrabnie i treściwie, ale wcale nie do śmiechu. Przyjęła wszystko bez słowa. Van Leuwen skończył i wyszedł. Wtem Burke dostrzegł w jej twarzy coś, co groziło kolejnym wybuchem. Usiłował temu zapobiec.

- Odsuść sobie - szepnął

Odrącała jego rękę i szła korytarzem przed siebie.

- Już po wszystkim - dodał.

Wydłużyła krok i rzuciła przez ramię:

- Zgadza się. Nic więcej nie mogą mi zrobić.

Zrównała się z van Leuwenem, który czekał na windę.

- Dlaczego nie chcecie tego sprawdzić na miejscu, na LV 426? - spytała

Obrócił głowę.

- To by niczego nie zmieniło, proszę pani - odrzekł tylko. - Decyzja komisji jest ostateczna.

- Do diabła z decyzją komisji. Nie mówimy teraz o mnie. Mówimy o następnych nieszczęśnikach, którzy znajdą ten statek. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego nie chcecie tego sprawdzić.

- Bo nie musimy - odrzekł szorstko. - Ludzie, którzy tam mieszkają, sprawdzili wszystko lata temu i nie mieliśmy żadnych doniesień o jakichś „wrogich formach życia” czy obcych statkach kosmicznych. Czy myśli pani, że jestem durniem? Czy sądzi pani, że komisja nie zweryfikowałaby pani raportu choćby dlatego, żeby uniknąć w przyszłości dodatkowego śledztwa? A tak przy okazji, LV 426 nazywają teraz Archeonem.

Pięćdziesiąt siedem lat. To bardzo długo. W ciągu pięćdziesięciu siedmiu lat ludzie mogli wiele dokonać. Mogli wiele zbudować, odbywać dalekie podróże, mogli wreszcie założyć wiele kolonii.

Ripley zmagiała się z szokiem, jaki wywarły na niej słowa van Leuwena.

- O czym pan mówi? Jacy ludzie?

Van Leuwen dołączył do pasażerów windy, która właśnie nadjechała. Ripley wsunęła ramię między drzwi, żeby się nie zamknęły. Posłusznie czekały aż zabierze rękę.

- Terraformerzy - odrzekł przewodniczący. - Inżynierowie planetarni. Kiedy pani spała, sporo się w tej dziedzinie zdarzyło. Dokonaliśmy znaczących postępów, zrobiliśmy olbrzymi krok naprzód. Kosmos nie jest miejscem gościnnym, ale usiłujemy go zmienić. Takie kolonie jak Acheron nazywamy kuchniami polowymi. Zajmują się instalowaniem procesorów atmosferycznych, które zmieniają skład lokalnej atmosfery i czynią ją zdatną do oddychania. Dzisiaj to już nie problem. Robimy to skutecznie i ekonomicznie, o ile tylko planeta ma jakąkolwiek atmosferę pierwotną. Wodór, argon, wszystko jedno. Atmosfera metanowa jest najlepsza. Acheron dosłownie pływa w metanie. Oprócz metanu jest tam trochę tlenu i wystarczająca ilość wodoru, żeby rozpocząć cykl transformacyjny. Dzisiaj to już nic nowego. Fakt, na razie można tam ledwo oddychać, ale czas, cierpliwość i ciężka praca stworzą w przyszłości nowy, nadający się do zamieszkania świat, który człowieka przygarnie i wspomocze. Za określoną cenę, rzecz jasna. Towarzystwo nie jest instytucją filantropijną, choć chcielibyśmy myśleć, że nasze poczynania służą dalszemu postępowi ludzkości. Acheron to olbrzymie przedsięwzięcie, obliczone na całe dziesięciolecie. Ludzie mieszkają tam już od dwudziestu lat. Mieszkają spokojnie i bez żadnych dziwnych przygód, Ripley...

- Dlaczego nic mi nie powiedzieliście?

- Ponieważ uważaliśmy, że informacja tego rodzaju może wpłynąć na pani zeznania. Osobiście uważam, że niczego by to nie zmieniło. Pani najwyraźniej wierzy w to, w co pani wierzy. Ale niektórzy z moich kolegów byli odmiennego zdania. Nie sądzę, by zaważyło to na naszej decyzji.

Drzwi chciały się zamknąć, ale Ripley rozsunęła je z trzaskiem. Pasażerowie zaczęli się wyraźnie denerwować.

- Ilu ich tam jest? - spytała. Van Leuwen zmarszczył brwi.

- Zgodnie z ostatnim spisem, chyba około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu rodzin. Stwierdziliśmy, że ludzie pracują wydajniej, jeśli nie pozbawić ich towarzystwa bliskich. Koszta oczywiście rosną, ale na dłuższą metę sprawa jest opłacalna. No i dzięki temu koloniści czują się jak prawdziwi koloniści, a nie jak wyalienowany zespół inżynierów na odległej placówce. Tak, niektórym kobietom i dzieciom jest bardzo ciężko, lecz kiedy skończy się im kontrakt, mogą natychmiast przejść na dostatnią emeryturę. Tym sposobem wszyscy z tego korzystamy.

- Chryste Panie... - szepnęła Ripley.

Jeden z pasażerów wychylił się z gromadki i zirytowany spytał:

- Pozwoli pani?

Bezwiednie opuściła rękę. Czujniki, jak zawsze odpowiedzialne i posłuszne, zamknęły cicho drzwi. Van Leuwen zdążył już o niej zapomnieć, ona zapomniała już o nim. Bo patrzyła teraz na obraz, jaki podsuwała jej wyobraźnia.

A to, co widziała, wcale się jej nie podobało.



## 2.

Czas nie był z pewnością najlepszy, a miejsce na pewno najgorsze z możliwych. Nieziemskie siły meteorologiczne wytwarzały potężny wiatr, który nieustannie smagał nagą powierzchnię planety. Owe huraganowe wichury wiały tutaj od zawsze, od chwili narodzin LV 426. Ponieważ na Acheronie nie było oceanów, które mogłyby stawić im czoła, Już całe eony temu wyszorowałyby planetę do cna, do czysta. Ale na powierzchni, dzięki niespokojnym mocom drzemiącym w głębi bazaltowej skorupy, nieustannie wybrzuszały się coraz to nowe góry i płaskowyże. Wiatry Acherona prowadziły otwartą wojnę z planetą, która dała im życie.

Ongiś nie istniało tu nic, co mogłoby powstrzymać ich bezlitosną działalność. Nic, co ujarzmiłoby piaskowe burze, zastopowało ryczącą zawieruchę, co stawiałoby jej czoła, miast ulec potędze szalejącego wichru, pana acherońskich przestworzy. Tak było do chwili, gdy na Acherona przybyli ludzie, którzy zaczęli rościć sobie doń prawo. A rościli sobie prawo nie do planety takiej, jaką zastali, nie do sponiewieranych huraganem skał, ledwo widocznych w żółtawym, zapyłonym powietrzu, o nie. Rościli sobie prawo do planety takiej, jaką Acheron będzie, gdy maszyny generujące atmosferę skończą swoją pracę. Bo najpierw należało zmienić jej skład, zmniejszając ilość metanu na korzyść tlenu i wodoru. Wówczas wiatry zostaną poskromione. Wiatry i powierzchnia Acherona. Przemiany zaowocują łagodnym klimatem, a przyjazny klimat da planecie i śnieg, i deszcze, i... zielone rośliny.

Tę spuściznę miały odziedziczyć dopiero przyszłe pokolenia. Bo dzisiaj mieszkańcy Acherona obsługiwali tylko maszyny i walczyli o urzeczywistnienie marzeń, trwając na planecie dzięki sile determinacji, humorowi i czekom na okazałe sumy. Wiedzieli, że nie dożyją czasów, kiedy Acheron będzie krainą mlekiem i miodem płynącą. Tylko Towarzystwo tej chwili doczeka. Bo w przeciwieństwie do nich Towarzystwo było nieśmiertelne.

Jak wszyscy pionierzy żyjący w trudnych warunkach, mieszkańcy Acherona mieli poczucie humoru. Widać to było wszędzie, w całej kolonii, ale chyba najbardziej świadczyła o tym stalowa tablica, osadzona na betonowych słupach za ostatnim budynkiem kompleksu.

HADLEY. PRZYŁĄDEK NADZIEI - Populacja 159 Witajcie na Acheronie

Ignorując brak oficjalnej zgody na tego rodzaju twórczość, i dysponując puszką niezmywalnej farby w sprayu, jakiś miejscowy żartowniś dodał poniżej, co następuje:

MILEGO DNIA, KOLEŚ

Wichura najwyraźniej zlekceważyła owo życzenie. Unoszone wiatrem ziarenka piasku i kamyczki żwiru zniszczyły większą część tablicy. A nowy gość na

Acheronie, który przybył tu dzięki uprzejmości procesorów klimatycznych, dopisał na niej swój własny, brązowy i żrący komentarz: pierwsze deszcze zrodziły rdzę.

Za tablicą leżała sama kolonia: skupisko bunkropodobnych struktur z metalu i tworzywa sztucznego, połączonych w całość hermetycznymi korytarzami, pozornie zbyt kruchymi i delikatnymi, by wytrzymać napór nieustannych huraganów. Pudełkowate schrony stanowiły widok równie atrakcyjny jak otaczający je krajobraz, pełen wypolerowanych wichrem skał i erodujących gór, lecz były jak owe skały masywne i o wiele bardziej od nich zaciszne. Chroniły przed szalejącymi burzami, przed wpływem wciąż jeszcze szkodliwej atmosfery, zapewniały możliwość spokojnej pracy tym, którzy w nich mieszkali.

Na otwartej przestrzeni, po drogach wiodących od budynku do budynku pełzały ciągniki na wysokich kołach; wczołgiwały się i wyczołgiwały z podziemnych garaży jak wielkie stonogi. Na gmachach handlowych migotały kapryśne neony, reklamując kilka żalonych, lecz w sumie uczciwych rozrywek, za które żądano iście horrendalnych cen; i ceny te bez szemrania płacono. Gdzie jest gruba gotówka, tam zawsze rozkwita interes na skalę co prawda niewielką, za to kierowany przez ludzi z wybujałymi marzeniami i ambicjami. Samo Towarzystwo nie interesowało się tak nisko dochodowymi przedsięwzięciami, ale chętnie sprzedawało koncesje tym, którzy pragnęli spróbować swych sił.

Za kompleksem budynków wznosił się pierwszy z procesorów atmosferycznych. Napędzany energią syntezy jądrowej, wypluwał w niebo nieprzerwany strumień oczyszczonego powietrza, bezustannie atakując gazową otoczkę, która spowijała Acherona. Cząsteczki w niej zawieszane i gazy niebezpieczne dla człowieka były usuwane albo poprzez spalanie, albo poprzez proces rozkładu chemicznego; tlen i wodór zwracano zamglonej atmosferze. Tak więc do maszyny wchodziło powietrze złe, wychodziło dobre - nic skomplikowanego, ale za to jakże czasochłonne i kosztownego.

Ale, z drugiej strony, ile może kosztować nowy świat? W dodatku Acheron nie należał wcale do planet najgorszych, nie, bo Towarzystwo inwestowało w terraformowanie światów znacznie mniej atrakcyjnych. Miał już przynajmniej atmosferę zdatną do modyfikacji. Bo rzeczą o wiele prostszą jest odpowiednie jej przekształcenie niż start od kompletnego zera. No i Acheron miał swój klimat, i normalną grawitację. Istny raj!

Ognista poświata unosząca się nad koroną wulkanoidalnego procesora zapowiadała nadejście prawdziwie nowego królestwa. Tak, koloniści we wszystkim doszukiwali się symbolu. Symbolika była inspiracją dla ich humoru. Na Boga, nie przyjechali tu przecież ze względu na pogodę!

W korytarzach łączących poszczególne budowle kompleksu nie uświadczyłybyś ludzi o sflaczałych mięśniach czy bladych, wymizerowanych twarzach. Nawet

tutejsze dzieci sprawiały wrażenie hardych. Nie „hardych” w negatywnym tego słowa znaczeniu, bo nie wyglądały na tchórzy znęcających się nad słabszymi, o nie. One naprawdę były harde, silne duchowo i fizycznie. Dla tchórzy na Acheronie nie było miejsca. Współpracy uczyły się już od kołyski, rosły szybciej niż ich ziemscy rówieśnicy czy ci, którym przyszło żyć na Światach obfitszych i łagodniejszych. Stanowiły z rodzicami rasę samą w sobie, rasę ludzi niezależnych, a mimo to od siebie uzależnionych. Nie byli przez to kimś wyjątkowym czy jedynym w swoim rodzaju. Ich przodkowie podróżowali końmi i krytymi wozami, bo o raketach nawet wówczas nie śnili.

Łatwiej się żyło, gdy człowiek uważał siebie za pioniera. Pionier. Brzmiało to o wiele lepiej niż numer statystyczny wykonywanego zawodu.

W centrum owego gigantycznego, mechaniczno-ludzkiego węzła wyrastała budowla znana jako blok sterowniczy. Górowała nad wszystkimi sztucznymi konstrukcjami Acherona z wyjątkiem stacji procesorów atmosferycznych. Z zewnątrz blok sprawiał wrażenie obszernego i pojemnego. Ale wewnątrz nie znalazłbyś ani metra kwadratowego wolnej powierzchni. Aparatura stała tu w kątach, wciskano ją w odizolowane przestrzenie pod podłogą i w dukty serwisowe nad podwieszonymi sufitami, ale niewiele to pomagało. Ludzie przysuwali się więc do siebie, tłoczyli jak sardynki w puszcze, żeby komputery i urządzenia je nadzorujące miały więcej miejsca. Mimo nieustających wysiłków, by każdy najmniejszy nawet skrawek informacji zamieniać na elektroniczne bajty, we wszystkich zakamarkach piętrzyły się sterty papierzysk. Fabrycznie nowy sprzęt szybko obrastał swojską patyną zadrapań, wkleśnięć i okrągłych plam po filiżankach z kawą.

Blok sterowniczy, a tym samym cała kolonia podlegała nadzorowi dwóch mężczyzn. Jeden pełnił funkcję kierownika operacyjnego, drugi - jego zastępcy. Mówili do siebie po imieniu. Na światach pionierskich oficjalny sposób bycia nie był w modzie. Wyniosli i butni zwolennicy tytułomanii, ci, którzy chcieli, żeby zwracano się do nich per pan, mogli pewnego dnia skończyć na zewnątrz, za murami, bez kombinezonu i komunikatora.

Simpson i Lydecker, tak się nazywali. Trudno było powiedzieć, który z nich sprawiał wrażenie bardziej sponiewieranego. Obaj wyglądali na takich, co to traktują sen jak żółwowatą, rzadko odwiedzaną kochankę. Lydecker miał aparycję księgowego, który dziesięć lat temu źle naliczył komuś podatek i od dziesięciu lat przeżywa koszmar udreki z tym związanej. Simpson zaś był mężczyzną dużym i krzepkim, i chyba wolałby prowadzić ciężarówkę niż kolonię. Niestety, Bozia dała mu nie tylko mięśnie, ale i mózg, czego nie potrafił ukryć przed pracodawcami. Prząd koszuli miał nieustannie zapocony.

Lydecker zbierał się do wyjścia. Staął przed kierownikiem.

- Widziałeś prognozę pogody na następny tydzień? Simpson zuł coś aromatycznego, coś, co zabarwiało mu wnętrze ust. Jakaś zakazana używka, bez dwóch zdań... pomyślał Lydecker. Ale milczał. To sprawa Simpsona, a Simpson tu szefował. Poza tym Lydecker zastanawiał się, czy aby nie pożyczyć od kierownika choć kawałka prymki. Na Acheronie takich nałogów z reguły nie akceptowano, lecz i nie piętnowano ich, o ile nie wpływały ujemnie na pracę ludzi. Żyło się tutaj ciężko, o krok od szaleństwa.

- Nie, a bo co? - spytał kierownik operacyjny.

- Znosi się na to, że będziemy mieli prawdziwe babie lato. Prędkość wiatru spadnie do czterdziestu węzłów.

- Świetnie. Wyjdę na zewnątrz z buteleczką olejku do opalania. Cholera, ile bym dał za jeden solidny promyczek tego naszego słońeczka.

Lydecker pokręcił głową w geście udawanej dezaprobaty.

- Nigdy zadowolony, co? Przecież wiesz, że ono tam gdzieś jest. To ci nie wystarczy?

- Jestem zachłanny, wiem, nic na to nie poradzę. Powinienem zamknąć gębę i cieszyć się licznymi błogosławieństwami, jakimi nas tu obsypują, nie? Coś cię gryzie, Lydecker, chyba że masz teraz jedną z tych swoich godzinnych przerw na kawę?

- Cały ja. Marnuję czas, kiedy tylko mogę. Przypuszczam, że następna okazja trafi mi się za jakieś dwa lata, co? - Sprawdził coś na komputerowym wydruku. - Pamiętasz, kilka dni temu wysłałeś na płaskowyż paru zwariowanych ryzykantów. Na ten płaskowyż za Ilium Rangę, zapomniałeś?

- A tak. Jacyś marzyciele na staruszce Ziemi są zdania, że za Ilium Rangę mogą być złoża pierwiastków radioaktywnych. No to spytałem, kto na ochotnika, i facet nazwiskiem Jordan podniósł łapę. Więc mówię, jeśli chcesz, to idź i szukaj. Niewykluczone, że w tym samym kierunku pojechało kilku innych. A co? Coś nie gra?

- Facet ma dylemat. Zabrał się z całą rodziną. Wiesz, ekspedycja z cyklu tatuś, córuś i mamuś. Mówi, że coś namierzyli i pyta, czy uznamy ich prawo do znaleźnego.

- Dzisiaj każdy jest prawnikiem. Czasami myślę, że sam powinienem się był tym zająć.

- Co? I zniszczyć swój wyrafinowany image? Poza tym nie ma tu zbyt dużego zapotrzebowania na prawników. No i na bloku zgarniasz więcej forsy.

- Tak, tak, powtarzaj mi to od czasu do czasu. To pomaga. - Simpson pokręcił głową i przeniósł wzrok na zielony ekran. - Jakiś facet siedzi sobie w zacisznym gabinecie na Ziemi, podaje namiary i mówi, że mamy tam czegoś szukać. To zadupie absolutne, ale my szukamy, a jakże. Dlaczego? Po co? Facet ani piśnie, a ja

nie pytam. Nie pytam, bo odpowiedź idzie od nich dwa tygodnie i jest zawsze taka sama. „Żadnych pytań.” Czasami się zastanawiam, po cholere to wszystko.

- Właśnie ci tłumaczę. Dla szmalu. - Lydecker oparł się o konsolę. - Więc co mam człowiekowi powiedzieć?

Simpson obrócił głowę i spojrzął na wideoekran zajmujący prawie całą ścianę. Ekran wyświetlał komputerową mapę topograficzną zbadanej części Acherona. Obszar, jaki pokrywała, nie był wprawdzie zbyt duży, lecz jeśli chodzi o jego ukształtowanie i cechy charakterystyczne, to najupiorniejsze rejony pustyni Kalahari wyglądały przy nim jak wyspy Polinezji. Simpson rzadko kiedy miał okazję wyjść na powierzchnię planety. Obowiązki szefa kolonii wymagały, by zawsze był do dyspozycji Wydziału Operacyjnego. Simpsonowi to jak najbardziej odpowiadało.

- Powiedz mu - odparł - że jeśli chodzi o mnie, sprawa jest jasna. Każdy, kto ma dość odwagi, żeby pakować się w taką imprezę, zasługuje na to, by mógł sobie zatrzymać, co znalazł.

Ciągnik miał sześć kół, pancerną karoserię, olbrzymie opony i odporne na korozję podwozie. Nie był za to całkowicie odporny na lokalne wpływy atmosferyczne, ale czy istniał tu jakiś sprzęt, który tak naprawdę był? Wielokrotne łatanie i spawanie przekształciły lśniący niegdyś traktor w monstrum zbudowane z płatów odbarwionego metalu, pospawanych do kupy palnikiem i uszczelnionych żywicą epoksydową. Grunt, że dawał osłonę przed wiatrem i systematycznie posuwał się naprzód. Ludziom, których chronił, najzupełniej to wystarczało.

Ciężko posapując, wspinał się teraz na łagodne zbocze. Spod grubych opon tryskały fontanny wulkanicznego pyłu, ale wichur natychmiast je gasił. Huragan szedł od zachodu i wyl bez przerwy, tam, za opancerzonymi burtami. Z uporem, w nieustannych wysiłkach zmierzających do oślepienia ciągnika i jego pasażerów, atakował porysowane okna i osłonięte reflektory. Jednak determinacja załogi oraz niezawodny silnik pchały traktor w górę zbocza. Motor mruczał uspokajająco, a filtry wylapywały i usuwały wszędobyłski pył i żwir strzegąc wewnętrznego sanktuarium. Bo maszyna potrzebowała czystego powietrza tak samo jak ludzie.

Mimo iż Russ Jorden wyglądał nieco lepiej niż jego pokierszowany traktor, to i tak można było po nim poznać, że spędził na Acheronie znacznie więcej czasu, niż przewidywał kontrakt. Ogorzały i wysmagany wiatrem. Ten sam opis, choć może nie do końca, pasował do jego żony, Anny, lecz już nie do dwojga dzieci, które harcowały w tyle obszernej kabiny. Biegały i skakały wokół przenośnego urządzenia do pobierania próbek i jakimś cudem zawsze udawało się im uniknąć przykrego spotkania ze stalowymi ścianami. Ich przodkowie już od wczesnego dzieciństwa musieli posiąść sztukę jeżdżenia na czymś, co nazywali koniem. Ruchy ciągnika nie różniły się zbyt wiele od ruchów, z jakimi trzeba było sobie radzić na

grzbiecie empatycznego czworonoga i dzieciaki doszły w tym do mistrzostwa niemal tak szybko, jak nauczyły się chodzić.

Chociaż traktor wyposażono w teoretycznie szczelne poszycie, ubrania i twarze miały uwalane pyłem. To skrzeczała achemońska rzeczywistość. Można było stosować jak najsolidniejsze uszczelnienia, ale cząsteczki pyłu zawsze przenikały do wnętrza pojazdów, domów czy biur. Jeden z pierwszych kolonistów ukuł nawet termin określający to zjawisko: „osmoza cząsteczkowa”, termin bardziej opisowy niż naukowy. Ach, te achemońskie naukowości... Koloniści obdarzeni co większą wyobraźnią utrzymywali, że pył ma swego rodzaju świadomość, że czatuje w ukryciu przy drzwiach i oknach, a kiedy się je choć minimalnie uchyli, natychmiast wpada do środka. Gospodynie domowe zaś przekomarzały się krotoczwilnie, czy pył schodzi z ubrania szybciej pod wpływem prania czy trzepania.

Russ Jordan dokonywał ciągnikiem wprost karkołomnych manewrów. Omijał głązy zbyt wielkie, by się na nie wspiąć, wypatrywał wąskich jak szczelina przesmyków i wciąż parł w górę zbocza. Sił dodawało mu monotonne popiskiwanie lokalizatora, które odbierał jak prawdziwą muzykę. Im bliżej źródła elektromagnetycznych zakłóceń, tym było głośniejsze, lecz Russ nie chciał wyciszyć urządzenia naprowadzającego. Każdy pisk to melodia sama w sobie, niczym brzęk starodawnej kasy sklepowej. Tak więc mąż siedział za kierownicą, a żona nadzorowała systemy podtrzymujące życie i wskaźniki dostarczające danych o stanie technicznym ciągnika.

- Spójrz tylko na ten tłusty, na ten soczysty profil magnetyczny! - Jordan stuknął palcem w niewielki wskaźnik po prawej stronie. - I to wszystko moje, moje, moje! Lydecker mówi, że Simpson się zgodził i mamy to na taśmie. Teraz nie mogą nam już niczego zabrać. Nawet Towarzystwo nie może. To moje, wszystko moje!

Anna zerknęła z uśmiechem na męża.

- Połowa jest moja, kochanie.

- A trzecia połowa moja! Moja! Autorką tego wesołego okrzyku, który profanował fundamentalne podstawy arytmetyki, była Newt, córeczka Jordena. Miała sześć lat, wyglądała na dziesięć i wrzało w niej więcej energii niż w ojcu, matce i w ciągniku razem wziętych.

Jorden uśmiechnął się czule, nie odrywając oczu od pulpitu sterowniczego.

- Mam za dużo współników.

Dziewczynka bawiła się ze starszym bratem, aż w końcu padł ze zmęczenia.

- Tim już się znudził, tatusiu, i ja też - oświadczyła.

- Kiedy wracamy do miasta?

- Kiedy będziemy bogaci, Newt.

- Zawsze tak mówisz. - Wstała zwinnie jak łasiczka.

- Chcę do domu. Chcę zagrać w labirynt potworów.

Brat przysunął twarz do jej twarzy.

- Tym razem zagrasz sobie sama. Za bardzo oszukujesz.

- Nieprawda! - Zaciśnęła dłonie w pięści i oparła je o nie wykształcone jeszcze biodra. - Po prostu jestem najlepsza, a ty mi zazdrościsz.

- Akurat! Włazisz tam, gdzie się nie mieścimy!

- No to co? Właśnie dlatego jestem najlepsza.

Matka wygospodarowała moment, żeby oderwać wzrok od konsoly i zerknąć na dzieci.

- Przestańcie już. Jeśli kiedykolwiek złapię któreś na zabawie w przewodach wentylacyjnych, spiorę na kwaśne jabłko. To nie tylko wbrew przepisom obowiązującym w kolonii, ale i niebezpieczne. A co by było, gdyby tak jedno z was poślizgnęło się i wpadło do pionowego szybu, co?

- Mamusiu, trzeba być chyba ostatnim fajtłapą, żeby spaść do studzienki - odparła Newt. - Wszystkie dzieci w to grają i nikomu nic złego się jeszcze nie stało. Jesteśmy ostrożni. - Na jej twarz powrócił uśmiech. - A ja jestem najlepsza, bo mogę wcisnąć się w takie miejsca, gdzie nikt nie wejdzie.

- Jak mały robal. - Brat pokazał jej język.

Ona pokazała jemu

- Beee! Zazdrościuch! Zazdrościuch!

Wyciągnął rękę, chcąc złapać ją za język, więc krzyknęła przeraźliwie i dała nura za połowy analizator rud.

- Słuchajcie, dzieciaki... - W głosie Anny było więcej miłości niż gniewu. - Spróbujcie się na moment uspokoić, dobrze? Niedługo dojedziemy na miejsce. A jak tylko skończymy, natychmiast wracamy do miasta i...

Russ uniósł się w fotelu i wyteżając oczy wpatrywał się w przednią szybę. Anna zapomniała chwilowo o pertraktacjach z dziećmi i dołączyła do męża.

- Masz coś, Russ! - Musiała wesprzeć się na jego ramieniu, gdyż ciągnik przechylił się mocno na lewą stronę.

- Tam coś jest - odrzekł. - Widziałem to. Wiatr rozwał na sekundę chmury i zobaczyłem coś. Nie mam pojęcia co, ale jaki to olbrzym! I jest nasz! Twój i mój! I dzieci!

Sześciokołowy traktor zastygł w bezruchu w pobliżu obcego statku. Wyglądał przy nim jak karzelek. Z rufy wraka strzelały w niebo dwa łuki czegoś, co przypominało metalizowane szkło. Wyginały się z wdziękiem, lecz było w nich coś niepokojącego. Z daleka wyglądały jak ramiona martwego człowieka leżącego na brzuchu, wyciągnięte i zeszywniałe w pośmiertnym skurczu. Jedno było krótsze, a mimo to ogólna symetria statku została zachowana.

Materiał, z którego go zbudowano, był również niesamowity i obcy jak cała konstrukcja. Smukły, lekko wybrzuszony kadłub zachował jeszcze szklisty połysk, którego niesiony wiatrem żwir nie zdążył zatrzeć.

Jorden wcisnął hamulec.

- Bingo, moi drodzy! Tym razem bingo! - zakrzyknął. - Anno, dawaj skafandry. Ciekawe, czy ci z Hadley Cafe umieją syntetyzować szampana.

Żona Jordena nie ruszyła się ze swego miejsca. Stała i patrzyła w okno przeszklone grubą, solidną szybą.

- Wolałabym to coś zbadać i wrócić bezpiecznie do domu, Russ. Na oblewanie będzie jeszcze czas. Może nie jesteśmy tutaj pierwsi?

- Chyba żartujesz - rzucił przechodząc na tył kabiny. - Na całym płaskowyzu nie ma ani jednego oznacznika. Nikogo tu przed nami nie było. Nikogo! Jest cały nasz.

Anna wciąż miała wątpliwości.

- Trudno uwierzyć, że coś tak wielkiego, coś, co daje taki rezonans magnetyczny, leży tu sobie od tylu lat i nikt tego dotąd nie zauważył.

- Bzdura. - Jorden już wkładał skafander, już zapinał zatrzaski, już dociskał pierścienie uszczelniające, a robił to wszystko błyskawicznie, z pewnością i wprawą wielu lat praktyki. - Niepotrzebnie tak się przejmujesz. Mogę ci podać od groma powodów.

Anna odwróciła się niechętnie od okna i również zaczęła naciągać skafander.

- Na przykład? - spytała.

- Na przykład taki, że detektory w bazie nie mogły niczego wykryć, bo od tego miejsca oddziela je pasmo gór. A sama dobrze wiesz, że przy tej atmosferze namiary satelitarne są guzik warte.

Zasunęła zatrzask z przodu skafandra.

- A podczerwień, Russ?

- Jaka podczerwień? Spójrz sama. To wrak, trup. Pewnie leży tutaj od tysiący lat. A nawet gdyby wylądował wczoraj, to i tak niczego byś podczerwienią nie wykryła. Dlaczego? Bo świeże powietrze walące w niebo z procesorów jest za gorące, dlatego.

Nakładał już sprzęt, utykała za pasem narzędzi.

- No to jakim cudem ci z Wydziału Operacyjnego znali namiary?

Wzruszył ramionami.

- A skąd u licha mogę wiedzieć? Skoro cię to gryzie, jak wrócimy zapytamy Lydeckera. Najważniejsze, że akurat nas wybrali na ten zwiad. Mieliśmy szczęście. - Stał przy luku słuzy. - Chodź, stara. Otwórzmy ten kufer złota. Założę się, że nasze maleństwo jest wypchane skarbami.

Z równym entuzjazmem, choć o wiele większym opanowaniem zacisnęła pierścienie uszczelniające skafandra. Później przeprowadzili wzajemną inspekcję:



tlen, narzędzia, reflektory, akumulatory - wszystko jak trzeba. Gdy byli już gotowi do wyjścia, Anna uniosła osłonę hełmu i posłała dzieciakom surowe spojrzenie.

- Macie siedzieć w kabinie, jasne? Nie żartuję.

- Ale mamusiu... - Tim był po dziecięcemu rozczarowany. - Nie mogę pójść z wami?

- Nie, nie możesz. Jak wrócimy, wszystko ci opowiemy. - Zamknęła za sobą luk służby.

Tim podbiegł natychmiast do najbliższego iluminatora i przytknął nos do szyby. Na zewnątrz posępny krajobraz Acherona tonął w półmroku. Rozświetlały go tylko promienie reflektorów bijące z hełmów Anny i Russa.

- Nie wiem, dlaczego nie mogę iść z nimi.

- Bo mamusia tak powiedziała.

Newt przycisnęła nos do sąsiedniego okienka i myślała właśnie, w co by tu się teraz zabawić. Światła na hełmach rodziców rozmywały się w ciemności. Tatus i mama szli w stronę obcego statku.

Coś chwyciło ją od tyłu. Pisnęła, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z bratem.

- Oszustka! Mała oszustka - Krzyknął i co sił w nogach popędził w głąb kabiny, żeby się gdzieś schować.

Wrzeszcząc w niebogłosy, Newt ruszyła za nim.

Nad dwojgiem ludzi majaczył gigantyczny kadłub obcego statku. Szli przez rumowisko, które go otaczało. Wył wiatr. Pył przesłaniał słońce.

Anna patrzyła na wypolerowane cielsko olbrzyma.

- Czy nie powinniśmy nawiązać łączności z bazą, Russ?

- I co im powiesz? Że niby co znalazłaś? Zaczekaj, trzeba to najpierw jakoś nazwać. - Kopnął kawał wulkanicznej skały, który nawinął mu się pod nogi.

- Może powiemy, że znaleźliśmy „coś wielkiego i niesamowitego”?

- Russ spojrzał na nią ze zdziwieniem

- Hej co się z tobą dzieje, kochanie? Zdenerwowana?

- Zaraz wejdziemy do wnętrza obcego statku kosmicznego. No pewnie, że jestem zdenerwowana.

Poklepał ją po plecach.

- Lepiej myśl o tych górach pieniędzy, złotko. Sam statek jest wart fortunę, nawet jeśli jest pusty. To bezcenny zabytek. Ciekawe, kto go zbudował. Skąd przylecieli i dlaczego rozwalili się na tej żwirowatej bryle zastygłej lawy, co? - Twarz miał rozemocjonowaną, głos pełen entuzjazmu. Wskazał ręką ciemną szczelinę w burcie statku. - Tam jest chyba jakaś wyrwa. Idziemy.

Ruszyli. W miarę jak podchodzili bliżej, Anna przypatrywała się szczelinie z coraz większym niepokojem.

- To mi nie wygląda na rozdarcie, Russ. To jest chyba... element kadłuba. Ktokolwiek projektował to dziwadło, najwyraźniej nie lubił kątów prostych...

- Mam gdzieś, co kto lubił. Wchodzimy do środka.

Newt wpatrywała się w szybę. Już całe wieki. Po policzku spływała jej wolno łza. Dziewczynka zeszła w końcu z krzesła i stanęła przy fotelu kierowcy, żeby potrząsnąć za ramię Tima. Brat spał. Newt pociągnęła nosem, otarła łzę nie chcąc, żeby brat widział, jak płacze.

- Timuś, obudź się. Bardzo długo nie wracają.

Tim zamrugał, zdjął nogi z pulpitu sterowniczego i usiadł. Zerknął obojętnie na chronometr wbudowany w deskę rozdzielczą, później wyrzwał przez okno na mroczny, targany wicherą świat. Mimo solidnej warstwy izolacyjnej na burtach traktora, przy wyłączonym silniku w kabinie słychać było szum piaskowej zamieci. Tim zagryzł dolną wargę.

- Wszystko będzie dobrze, Newt. Tatuś wie, co robi. W tej samej chwili trzasnęły zewnętrzne drzwi. Do środka wdarł się wiatr i pył. W progu zamajaczył jakiś duży ciemny kształt. Newt krzyknęła. Tim wygramolił się niezdarnie z fotela.

Anna zerwała z głowy hełm i odrzuciła go na bok, nie zważając na szkody, jakie mogła wyrządzić wśród delikatnej aparatury. W jej oczach czaiło się szaleństwo, ścięgnięta szyi miała napięte jak struny. Odepchnęła dzieci, chwyciła z pulpitu mikrofon i wrzasnęła:

- S.O.S! S.O.S! Alfa kilo dwa cztery dziewięć wzywa bazę. Powtarzam. Tu alfa kilo...

Newt prawie jej nie słyszała. Obie ręczki przyciskała do ust, żeby nie oddychać stęchłą atmosferą. Tuż za nią wyły żałośnie filtry, zmagające się z naporem zapyłonego powietrza. Przez otwarte drzwi spoglądała na ziemię. Bo tam, na kamieniach, leżał jej ojciec. Leżał na plecach, twarzą ku niebu. Matka dowlokła go jakimś cudem ze statku aż tutaj.

Ojciec miał coś na twarzy.

Coś płaskiego, mocno porysowanego siatką żył, z pajęczymi, chitynowatymi odnóżami. To coś miało też długi, silnie umięśniony ogon, który owinęło wokół szyi ojca osłoniętej kołnierzem skafandra. Najbardziej przypominało chyba zmutowanego kraba z rozmiękłym pancerzem. Jego odwłok unosił się i opadał, unosił się i opadał, pulsował rytmicznie jak mechaniczna pompa. Jak maszyna. Z tym, że to nie była maszyna. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że owo coś było żywe, ohydnie, obrzydliwie żywe.

Newt znów zaczęła krzyczeć i tym razem długo nie przestawała.

### 3.

Gdyby nie bełkotliwy jazgot lejący się ze ściennego ekranu, w mieszkaniu byłoby zupełnie cicho. Ripley nań nie zważała. Całą uwagę skupiła na wstążeczce dymu unoszącej się z beznikotynowego papierosa. W nieruchomym powietrzu dym rysował mgliste leniwe wzorki.

Chociaż było już późne popołudnie, jak dotąd zdołała uniknąć spojrzeń w lustro. Może to i lepiej, bo wymizerowana twarz, jaką by w nim ujrzała, zaniedbany strój i rozczochrane włosy dobiłyby ją jeszcze bardziej. Pokój też nie wyglądał lepiej. Tu i tam jakaś ozdóbka i... nic więcej. Gdyby nie one, mieszkałaby w isticie spartańskich warunkach. Inna kobieta nazwałaby te drobiazgi osobistymi, lecz nie Ripley. To zresztą całkiem zrozumiałe. Ripley przeżyła wszystko, co niegdyś można było określić mianem „drobiazgu osobistego”. W zlewie piętrzyła się sterta brudnych talerzy, chociaż tuż pod nią stała pusta zmywarka do naczyń.

Ripley miała na sobie szlafrok, który starzał się równie szybko jak jego właścicielka. W sypialni obok, w nogach materaca, leżał bezładny stos koców i prześcieradeł. Po kuchni grasował Jones, szukał czegoś do zjedzenia. Ale z reguły niczego nie znajdował. Mimo celowego braku współpracy ze strony lokatora kuchnia dbała sama o siebie i zachowywała w miarę antyseptyczne warunki.

- Hej, Bob! - nudził bełkotliwie ekran. - Słyszałem, że opuszczasz Ziemię wraz z rodziną, że wybierasz się do jednej z naszych kolonii!

- To najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem, Phil - odparło nierealne, głupkowato uśmiechnięte indywiduum z sąsiedniej ściany. - Na tym dziewiczym świecie zaczniemy nowe, wspaniałe życie. Nie ma tam przestępstw, nie ma bezrobocia...

Ripley słuchała gładzenia jednym uchem. Durna komedyjka zatwierdzona przez władze, stwierdziła z gorzką ironią. A tych dwóch nieprzekonywających palantów mieszka sobie gdzieś w Zielonym Kręgu, na wschodnim wybrzeżu, pewnie w jednym z tych nadmorskich osiedli na Cape Cod, koło Martha's Vineyard albo Hilton Head, albo w jakimś innym nie zanieczyszczonym, horrendalnie drogim sanktuarium dla bogatych snobów, dla tych nielicznych wybrańców losu, którzy posłusznie odgrywali swoje role, którzy zgarniali za to ciężki szmal, którzy umieli tańczyć. - „Tak jest, proszę pana, już się robi!” - gdy wielkopańscy szefowie olbrzymich korporacji pstryknęli tylko palcami. Nie dla niej chłodne górskie wiatry. Ona mieszkała w Miejskim Okręgu Wewnętrzny i miała szczęście, że dali jej aż tak hojną jałmużnę.

Niedługo coś sobie znajdzie, na pewno. Jakiś czas będą jej pilnować, żeby za dużo nie gadała, żeby się trochę uspokoiła. Później z przyjemnością ją przekwalifikują i dadzą inną robotę. Po czym bez przykrości o Ripley zapomną. I

fajnie! Bo Ripley nie chciała mieć z Towarzystwem nic wspólnego, tak samo jak Towarzystwo z nią.

Gdyby tylko nie zawiesili jej licencji, dawno by już jej tu nie było.

Zadzwonił dzwonek. Ostro, gwałtownie. Przywołał ją do rzeczywistości. Jones uniósł tylko łeb, spojrzął, zamiauczał i potruchtał do łazienki. Nie znosił obcych. Tak, Jones zawsze był mądrym kotem.

Odłożyła papierosa (bez środków rakotwórczych, bez nikotyny, bez tytoniu - całkowicie nieszkodliwy dla zdrowia; tak przynajmniej głosił napis na pudełku) i podeszła do drzwi. Nie zawracała sobie głowy wyglądem przez judasza. Dom, w którym mieszkała, był strzeżony jak forteca, Zresztą, po ostatnich doświadczeniach, w ziemskich miastach trudno było o coś, co by ją mogło przestraszyć.

Za progiem stał Carter Burke. Jak zawsze uśmiechał się tym swoim przepaszającym uśmiechem. Obok Burke'a stał mężczyzna nieco młodszy, z wyglądu bardziej oficjalny, ubrany w czarny, pozbawiony wszelkich ozdób mundur oficera Kolonialnej Piechoty Morskiej.

- Cześć, Ripley - rzucił Burke i wskazał swego towarzysza. - To jest porucznik Gorman z Kolonialnej...

Trzasnęła drzwiami, nie pozwalając mu dokończyć. Odwróciła się, żeby odejść, ale zapomniała wyłączyć głośnik w korytarzu. Z ukrytej membrany doszedł ją głos Burke'a.

- Ripley, musimy pogadać.

- Nie, wcale nie musimy. Spadaj, Burke. I zabierz z sobą swego przyjaciela.

- Nie mogę. To ważna sprawa.

- Ale nie dla mnie. Dla mnie już nic nie jest ważne. Burke zamilkł, ale czuła, że wciąż tam tkwi. Tak łatwo się nie podda, na tyle go znała. Przedstawiciel Towarzystwa nie należał do ludzi nachalnych, ale umiał znakomicie pertraktować.

Jak się okazało, pertraktować nawet nie musiał. Wypowiedział tylko jedną kwestię i już Ripley miał.

- Straciliśmy kontakt z Acheronem.

Jakby ziemia się pod nią zapadła. Próbowwała rozważyć wszelkie implikacje płynące z tego, co tak nieoczekiwanie usłyszała. Czyżby nieoczekiwanie...? Chyba jednak nie całkiem. Wahała się jeszcze chwilę, później otworzyła drzwi. Nie, to nie podstęp. Tyle przynajmniej mogła wyczytać z wyrazu twarzy Burke'a. Gorman spoglądał to na nią, to na kolegę. Tamci nie zwracali na niego uwagi i czuł się trochę niezręcznie, choć próbował tego po sobie nie okazywać.

Ripley zrobiła im przejście.

- Proszę.

Burke obrzucił wzrokiem pokój i na szczęście powstrzymał się od idiotycznych komentarzy w rodzaju „ładnie tu u ciebie”, bo ładnie u niej było jak na

zapuszczonym strychu. Nie skomplementował jej też wyszukany: „świetnie wyglądasz”, gdyż i to mijałoby się z prawdą. Szanowała go za tę wstrzemięźliwość. Gestem ręki wskazała stół.

- Podać wam coś? Kawy? Herbaty? Czegoś z bąbelkami?

- Poproszę kawę, jeśli można - odparł Burke; Gorman skinął lekko głową.

Weszła do kuchni i wcisnąwszy kilka przycisków, nastawiła ekspres. Kiedy syntetyzator zaczął bulgotać, wróciła do pokoju.

- Nie musiałeś sprowadzać piechoty morskiej, Burke. - Posłała mu lekki uśmiech. - Napady szału mam już za sobą. To opinia psychiatry. Dał mi ją na piśmie. Tam jest karta chorobowa. - Machnęła ręką w stronę biurka zawalonego dyskietkami i papierami. - Więc po co ta eskorta?

- Jestem tutaj jako oficjalny przedstawiciel korpusu - odrzekł Gorman.

Wyraźnie skrepowany sytuacją. Gorman z wielką chęcią zwałiby na Burke'a obowiązek prowadzenia rozmowy. Ile o niej wiedział? Co mu powiedzieli? myślała Ripley. Czyżby był rozczarowany, że nie spotkał tu jakiejś zaćpanej wiedźmy? Ale opinia Gormana niewiele ją w sumie obchodziła.

- No więc straciliście kontakt z Acheronem - powiedziała z udawaną obojętnością. - I co dalej?

Burke spojrział na swoją smukłą, ale solidnie opancerzoną dyplomatkę.

- Musimy ich sprawdzić. I to szybko. Siadły wszystkie łącza. Za długo to trwa, żeby przypisać sprawę zwykłej awarii. Kolonia na Acheronie istnieje od wielu lat. Mają tam doświadczonych ludzi i odpowiednie systemy zabezpieczające. Niewykluczone, że wciąż jeszcze prowadzą naprawy. Ale jak powiedziałem, cisza trwa za długo, żeby czekać z założonymi rękami. Ludzie zaczynają się denerwować. Ktoś tam musi polecieć i sprawdzić wszystko na miejscu. To jedyny sposób, inaczej chłopcy się nie uspokoją. Tamci najprawdopodobniej zlikwidują usterki, kiedy statek będzie w drodze i cała wyprawa okaże się stratą czasu i pieniędzy. Ale pora ruszać.

Nie musiał się rozgadywać. Ripley dawno już wszystko zrozumiała, i to aż za dobrze. Wyszła do kuchni i przyniosła kawę. Gorman popijał napar małymi łyżkami, a ona zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. A przynajmniej próbowała, bo miejsca tam było stanowczo za mało. Burke czekał.

- Nie - odrzekła zdecydowanie. - Wykluczone.

Posłuchaj, Ripley, to nie tak, jak myślisz...

Stała na środku pokoju i wbiła w niego zdumione oczy.

- Co nie jest tak, jak myślę? - rzuciła. - Co nie jest tak? Ja wcale nie muszę myśleć, Burke. Twój kumpel wsadził mnie do pralki, wyprali, odwirowali i przepuścili przez wyżymaczkę. A ty chcesz, żebym tam wróciła?! Kaktus mi tu wyrośnie, jak z wami polecę!

Cała się trzęsła. Gorman myślał, że ze złości, a ona trzęsła się ze strachu, ze zwierzęcego strachu. Była przerażona, śmiertelnie przerażona i maskowała to oburzeniem. Burke wiedział, co Ripley czuje, a jednak napierał. Nie miał innego wyjścia.

-Posłuchaj - zaczął swoim najbardziej, jak sądził, pojednawczym tonem głosu. - Nie wiemy, co tam się dzieje. Jeśli nawalił satelita przekaźnikowy, a nie nadajnik stacjonarny w bazie, naprawić go może tylko i wyłącznie ekipa z Ziemi. Bo na Acheronie nie ma ani jednego statku kosmicznego. Jeżeli więc doszło do awarii satelity przekaźnikowego, koloniści siedzą tam teraz i przeklinają Towarzystwo, które nie ruszyło jeszcze tyłka i nie wysłało ekipy naprawczej. Jeśli to satelita, nikt z naszej ekipy nie będzie nawet musiał lądować na Acheronie, jasne? Ale nie wiemy w czym problem i jeżeli to nie satelita, chciałbym cię mieć przy sobie. Jako doradcę. Wszystko.

Gorman opuścił rękę, w której trzymał filiżankę z kawą.

- Nie brałaby pani udziału w akcji - powiedział. - Zakładając, że do akcji w ogóle by doszło. Mogę pani zagwarantować całkowite bezpieczeństwo.

Wywróciła oczami i wbiła wzrok w sufit.

- Nie lecą z nami zwykli miejscy gliniarze ani wojsko, Ripley - oświadczył z mocą Burke. - Piechota kolonialna to twardzi faceci, dysponujący potężną siłą ognia. Ludzie plus maszyny. Nie ma takiego boju, z którego nie wyszliby zwycięsko. Dobrze mówię, poruczniku?

Gorman pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Umiemy sobie radzić w sytuacjach nieoczekiwanych. Tak nas przeszkolono. Działaliśmy już na terenach cięższych niż Acheron. Współczynnik naszych strat w tego rodzaju operacjach równa się zeru. Mam nadzieję, że po wizycie na Acheronie poprawimy go jeszcze bardziej.

Jeśli swoim oświadczeniem Gordon miał Ripley zaimponować, po prostu chybił.

Ripley spojrzała na Burke'a.

- A wy? Jaki macie w tym interes? - spytała.

- No cóż, przedsięwzięcie na Acheronie było finansowane przez Zarząd Kolonialny i... nasze Towarzystwo. Daliśmy zaliczkę na poczet przyszłych praw do wykorzystywania surowców mineralnych i spodziewamy się też odsetek od długoterminowego kredytu rozwojowego. Lokujemy dzisiaj pieniądze w różnych przedsięwzięciach, angażujemy olbrzymie środki w terraformowanie coraz to nowych planet. To taki handel nieruchomościami na skalę galaktyczną, Ripley. Tworzenie lepszych światów i w ogóle wszystko, co się z tym łączy.

- Tak, tak - mruknęła. - Widziałam te wasze reklamy.

- Korporacja nie będzie miała z Acheronu żadnych większych zysków do chwili, aż zakończy się proces terraformowania, ale finansując tak olbrzymie przedsięwzięcie, musimy to brać pod uwagę. - Widząc, że jego słowa nie wywierają

na gospodyni żadnego wrażenia, Burke szybko zmienił temat. - Pracujesz teraz w dokach przeładunkowych na Portside? - spytał.

Natychmiast przyjęła postawę obronną. Co było do przewidzenia.

Tak. A bo co? I tego mi nie wolno?

Zignorował wyzwanie.

- Obsługujesz ładowarki, podnośniki widłowe, suwnice, dźwigi, tego rodzaju urządzenia, tak?

- Tylko taką robotę znalazłam. Sądziłeś, że do końca życia będę przyjmowała jałmużnę? Jeszcze nie zwariowałam. A to daje przynajmniej zapomnienie... Dni wolne są gorsze. Mam zbyt dużo czasu na rozmyślanie. Wolę się czymś zajmować.

- Lubisz tę pracę?

- Zgrywasz się, Burke?

Bawił się zameczkiem dyplomatką.

- Niewykluczone, że mógłbym ci zaproponować coś lepszego. A gdybym tak mógł załatwić ci powrót do dawnej pracy? Na stanowisko oficera transportowego. Gdybym tak mógł załatwić ci odwieszenie licencji? I nowy kontrakt. Tak, za zgodą Towarzystwa. Koniec przepychanek z komisją, koniec nieprzyjemnych sporów. Oficjalna nagana znika z twoich akt personalnych. Bez śladu. Jak by się kto pytał, byłaś po prostu na urlopie. To zupełnie normalne po dłuższym okresie służby. Wszystko będzie tak, jakby się nic nie wydarzyło. No i oczywiście emeryturę będą ci naliczać jak dawniej.

- A co z tymi z ZKE i z ubezpieczeń? - spytała.

- Ubezpieczenie jest spłacone, formalności załatwione, sprawa zakończona. Przestali się tym interesować. Ponieważ w aktach niczego nie znajdują, nie będziesz stanowiła dla nich większego ryzyka niż przedtem, przed ostatnią wyprawą. A jeśli chodzi o ZKE, oni też chętnie zobaczyliby cię w składzie ekipy.

- Jeśli polecę - wtrąciła.

- Jeśli polecisz. - Skinął głową i lekko się pochylił. Właściwie to jej nawet o nic nie prosił, nie. Mówił raczej głosem doświadczonego agenta handlowego. - Masz teraz okazję, dziewczyno. Większość z tych, których komisja uziemi, nigdy nie ma szansy na powrót. Jeśli problem sprowadza się tylko do awarii przekaźnika, będziesz sobie siedziała w kabinie i czytała, bo resztą zajmą się technicy. Będziesz czytała, hibernowała i zgarniała za to szmal. Jadąc z nami, wyzbędziesz się wszystkich nieprzyjemności i wrócisz tam, gdzie twoje miejsce. Dostaniesz pensję według dawnej siatki płac, pełną emeryturę i tak dalej. Czytałem twoje akta. Jeszcze jedna wyprawa tego typu i kwalifikujesz się do egzaminu na licencję kapitana. A poza wszystkim innym, stawisz wreszcie czoła strachom, które cię gnębią, ostatecznie je pokonasz. To najskuteczniejsza metoda. Musisz skoczyć na głęboką wodę i samodzielnie dopłynąć do brzegu.

- Daruj sobie, Burke - rzuciła lodowato. - Badania psychiatryczne miałam w zeszłym miesiącu.

Uśmiech mu nieco przygasł, ale głos zyskał na determinacji.

- W porządku, Ripley, darujmy sobie owijanie w bawełnę. Czytałem wyniki tych badań. Co noc budzisz się zrana potem, noc w noc dręczą cię te same koszmary...

- Nie! Nie lecę! I nie zmienię zdania! - Dając im do zrozumienia, że rozmowa skończona, zebrała ze stołu filiżanki, chociaż żadna nie była jeszcze pusta. - A teraz proszę, idźcie już, zbierajcie się. Przepraszam.

Wymienili między sobą krótkie spojrzenia. Z oblicza Gormana nie mogła niczego wyczytać, ale odniosła wrażenie, że zmienił do niej stosunek: przedtem był jej po prostu ciekaw, teraz nią gardził. W cholerę z Germanem. Cóż on mógł wiedzieć?

Burke sięgnął do kieszeni, wyjął przezroczystą wizytówkę i położył ją na stole. Później wstał i ruszył do drzwi. W korytarzu zatrzymał się, odwrócił i posłał jej uśmiech.

- Przemysł to sobie.

I już ich nie było.

Ripley została sam na sam ze swoimi myślami. Niezbyt przyjemne towarzystwo. Wiatr. Wiatr, piasek i zawodzące jęklivé niebo. Błada tarcza obcego słońca, trzepocząca nad rozdartą atmosferą niczym wycięty z papieru krążek. I to straszliwe, nasilające się wycie, coraz bardziej i bardziej przejmujące, coraz głośniejsze i bliższe, wreszcie wszechogarniające, pozbawiające tchu, dławiące, zabijające oddech.

Z gardłowym jękiem, zaciskając kurczowo ręce na piersi, usiadła na łóżku. Dyszała jak po ciężkim biegu, boleśnie. Wciągnąwszy w płuca haust powietrza, rozejrzała się po maleńkiej sypialni. W mglistym świetle lampki wbudowanej w nocny stolik ujrzała nagie ściany, toaletkę, szyfonierkę, prześcieradło skopane w nogi łóżka. Na szyfonierce górującej nad pozostałymi meblami leżał wygodnie Jones. Gapił się na nią obojętnym wzrokiem. Nabrał tego zwyczaju zaraz po ich powrocie. Kiedy szli spać, zwijał się w kłębek obok niej, by wkrótce po tym, jak zasnęła, wskoczyć na solidną i bezpieczną szyfonierkę. Wiedział, że niedługo zaczną się koszmary i ustępował im miejsca.

Rogiem prześcieradła otarła policzki i czoło. Poszperała w szufladzie stolika i znalazła papierosa. Wcisnęła przycisk zapalniczki i czekała, aż żarnik zrobi swoje. I nagle... Błyskawicznie odwróciła głowę. Nie, to tylko zegar, to tylko cichutki szum zegara. Nikogo tu nie ma. Tylko Jones. Jones i ona. I niczego. A na pewno już wiatru.

Wychyliła się, wsunęła rękę do drugiej szuflady i wyszperała z niej wizytówkę Burke'a. Obracała ją chwilę między palcami, później włożyła w otwór na konsolcie



przy łóżku. Olbrzymi ekran na przeciwległej ścianie ożył i natychmiast wyświetlił słowa: PROSZĘ CZEKAĆ. Czekwała cierpliwie, aż ukazała się na nim twarz Burke'a. Wyrwała go ze snu. Oczy miał zaspane i kaprawe, był nie ogolony, ale gdy zobaczył, kto dzwoni, wykrzesał z siebie uśmiech.

- Taaak? To ty, Ripley? Cześć.

- Burke, powiedz mi jedno. - Miała nadzieję, że sypialnia jest dostatecznie oświetlona, by kamera wychwyciła wyraz jej twarzy. I że Burke zrozumie determinację, z jaką mówiła. - Że lecicie tam, żeby te szkaradztwa zabić. Nie żeby je badać. I nie po to, żeby ściągnąć je tutaj. Że chcecie je spalić, zniszczyć, wytluc co do jednego.

Zauważyła, że natychmiast się rozbudził.

- Taki mamy plan. Jeśli łazi tam coś niebezpiecznego, trzeba to zlikwidować. Musimy ochraniać kolonię. Żadnego cackania się z potencjalnie niebezpiecznymi stworzeniami. Taka jest polityka Towarzystwa. Jeśli znajdziemy coś, co będzie zagrażało życiu kolonistów, czymkolwiek by było, natychmiast to kasujemy. Naukowcy mogą się wypchać. Masz moje słowo. - Długa chwila ciszy. Burke zbliżył twarz do kamery. Jego oblicze zdominowało cały ekran. - Ripley ? Jesteś tam?

Nie ma czasu na myślenie. Może nadeszła pora, żeby przestać myśleć i wreszcie coś zrobić.

- Dobra. Lecę.

I już. Zrobiła to, wydusiła z siebie.

Burke chciał odpowiedzieć, jakoś zareagować, złożyć jej gratulacje czy podziękowania. Przerwała połączenie, zanim zdążył otworzyć usta.

Coś wylądowało na łóżku, tuż obok niej. Jones. Spojrzała na niego z czułością. Przeciągnęła paznokciami po grzbiecie kocura, a on, rozkosznie napuszony, ocierał się o jej biodro i mruczał.

- A ty, mój kochany, zostaniesz tutaj - oświadczyła nie przerywając pieszczot.

Kot spojrzał na nią i zamrugał. Wątpliwe, czy zrozumiał jej słowa lub też sens rozmowy, którą przed chwilą odbyła. Tak czy inaczej, nie wykazywał chęci, by jej towarzyszyć.

Przynajmniej jedno z nas ma jeszcze odrobinę oleju w głowie, pomyślała i wsunęła się pod koc.

## 4.

Statek był szpetny, sponiewierany, dobity długotrwałym użytkowaniem, po stokroć naprawiany, ale w dalszym ciągu zbyt cenny, żeby pójść na złom. Jego właścicielom łatwiej go było stale ulepszać i modyfikować niż zbudować nowy. Sylwetkę miał niekształtną, silniki wielkie i sterczące. Ta latająca kupa żelastwa kompozytów i spieków ceramicznych, ów nieważki pomnik wojny przepychał się brutalnie przez tajemnicze rejony czegoś, co ludzie nazywają hiperprzestrzenią. I jak ludzie, których wiozł, był całkowicie sprawny. Nazwano go Sulaco.

Na statku znajdowało się czternastu śpiących. Jedenastu przeżywało typowe, morfeuszowskie fantazje, proste i nieskomplikowane jak statek, który niósł ich przez pustkę. Dwóch śniło sny bardziej złożone, bardziej indywidualne i charakterystyczne. Tego ostatniego, czternastego, często nawiedzały koszmary, więc regularnie otrzymywał dawkę środków uspokajających. Czternastu śpiących. I jeden, dla którego sen był tylko zbyt dużą abstrakcją.

Oficer pokładowy Bishop sprawdził uważnie wskaźniki. Długie oczekiwanie dobiegało końca. W brzuchu masywnego transportowca zabrzmiał sygnał alarmu. Drzemiące dotychczas urządzenia - energia to cenna rzecz - ożyły. Ocknęli się też ludzie. Elektroniczny impuls i wieka kapsuł hibernacyjnych uniosły się. Cenny ładunek przetrwał bezpiecznie podróż. Bishop zainicjował manewr wprowadzania statku na geostacjonarną orbitę wokół Acherona.

Pierwsza otworzyła oczy Ripley. Nie dlatego, że miała większe zdolności adaptacyjne niż jej koledzy czy szybciej zwalczyła efekty posthibernacyjne, ale dlatego, że jej pojemnik uaktywnił się pierwszy. Siedząc na wbudowanej w kapsułę koi, rozmasowała szybko ramiona, a później wzięła się za nogi. W kapsule naprzeciwko ujrzała Burke'a, a za nim tego porucznika... jak mu tam... a tak, Gormana.

Pozostałe hibernatory mieściły kontyngent zbrojny Sulaco: ośmiu mężczyzn i trzy kobiety. Stanowili znakomicie dobraną grupę osobników, których łączyło między innymi to, że większość czasu - poza hibernatorami, oczywiście - dobrowolnie ryzykowali życie. Byli to ludzie nawykli do długotrwałego snu, poprzedzającego krótkie, ale niezwykle intensywne okresy czuwania. Typom takim jak oni zazwyczaj ustępuje się miejsca na chodniku czy w barze.

Starszy szeregowy Spunkmeyer był szefem załogi promu. Razem z pilotem kapralem Ferro odpowiadali za bezpieczny przewóz grupy na powierzchnię świata, który przyszło im akurat odwiedzić i za bezpieczny odwrót po wykonaniu zadania; za odwrót nierzadko pospieszny, zależnie od potrzeby. Przetarł oczy, zamrugał i spojrzawszy na komorę hibernacyjną, jęknął.

- Jestem już na to za stary...

Komentarz pozostał bez echa, gdyż wszyscy doskonale wiedzieli (a przynajmniej tak głosiła fama), że Spunkmeyer zaciągnął się do piechoty kolonialnej jako niepełnoletni chłopak. Gdy jednak w sterowanym przez niego promie spadali jak kamień na powierzchnię nowej planety, z jego wiekowej dojrzałości - czy też z jej braku - nikt jakoś nie żartował.

Z kapsuły stojącej obok wyturlał się szeregowy Drake. Był nieco od Spunkmeyera starszy i o wiele brzydszy. Jego aparycja i ogólna konstytucja miała wiele wspólnego z aparycją tudzież konstytucją Sulaco. Bo Drake wyglądał jak wielki, gorylowaty bandzior. Graby miał niczym legendarny jednooki żeglarz z baśni, nos zniekształcony tak, że specjaliści od chirurgii plastycznej umywali ręce, i okropną bliznę, dzięki której jedna strona jego ust wykrzywiła się w permanentnym szyderczym uśmiechu. Z blizną chirurdzy daliby sobie radę, ale Drake nie chciał jej usuwać - była jednym medalem, jaki mógł oficjalnie nosić. Zwykle paradował w mocno dopasowanej sflaczałej czapce, której nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się nazwać „twarzową”.

Drake był operatorem logicznego pistoletu maszynowego. Umiał też po mistrzowsku strzelać z wszelkiego rodzaju strzelb i rewolwerów, rzucał celnie dowolnym nożem czy granatem, w walce potrafił wykorzystywać nawet własne zęby, i to z wprawą.

- Za mało nam za to płacą - wymamrotał.

- Jasne, że za mało. Już za samo patrzeć na twoją mordę powinniśmy dostawać więcej. - To słowa kaprala Dietrich. Kapral Dietrich uchodziła, rzecz była co prawda sporna, za najpiękniejszą w zespole; psuła sobie reputację tylko wtedy, gdy otwierała usta.

- Daj się wyssać próżni, lala - odburknął Drake i zerknął na lokatora innej kapsuły. - Hej, Hicks, wyglądasz tak, jak ja się czuję!

Starszy kapral Hicks ustępował rangą tylko starszemu sierżantowi Apone'owi, który był ich bezpośrednim przełożonym. Spokojny i małomówny, w ciężkich i niebezpiecznych chwilach był zawsze na miejscu, a to koledzy z piechoty bardzo sobie cenili. Gdy inni gadali, co ślina na język przyniesie, on myślał i wiedział swoje. Natomiast gdy już coś mówił, zwykle warto było tego posłuchać.

Ripley wstała. Przywróciwszy krążenie krwi w nogach, zaczęła wykonywać serię przysiadów, żeby rozruszać niemrawe stawy. Przyglądała się badawczo żołnierzom, gdy mijali ją w drodze do szafek z ubraniami. Nie zauważyła wśród nich supermenów czy jakichś nadmiernie umięśnionych goliatów, lecz każdy był dobrze zbudowany, szczupły i hardy. Podejrzewała, że najdrobniejszy z zespołu Gormana mógł biegać przez cały dzień po planecie, gdzie siła ciężenia dwukrotnie przewyższała ziemską, targać z sobą wypakowany plecak, zaatakować z marszu nieprzyjaciela, wygrać potyczkę, a później spędzić noc na rozmontowywaniu i

montowaniu skomplikowanego sprzętu komputerowego. Chociaż woleli posługiwać się żargonem miejskich uliczników, Bóg obdarzył ich sownie odwagą i rozumem. Odwaga i rozum - najlepsza mieszanka, jaką współczesna armia mogła zaoferować Ripley poczuła się trochę bezpieczniej. Ale tylko trochę.

Starszy sierżant Apone szedł w stronę głównego przejścia, zamieniając słowo z każdym świeżo wskrzeszonym żołnierzem. Wyglądał tak, jakby gołymi rękami mógł rozebrać na części średniej wielkości ciężarówkę. Kiedy przechodził koło kaprała Hudsona - Hudson był technikiem, specjalistą od łączności - ten ostatni złożył zażalenie.

- Podłoga jest lo-do-wata.

- Dziesięć minut temu ty też byłeś lodowaty. Chryste, w życiu nie widziałem takiej bandy starych, rozlazłych bab. Może jeszcze chcesz, żebym ci przyniósł papučki, co?

Hudson zamrugał niewinnie oczyma.

- A byłby pan tak miły, panie sierżancie? Ten i ów zarechotał, twardo, po żołniersku, lecz Apone uśmiechnął się tylko i ruszył dalej, besztając i poganiając swoich zabijaków.

Gdy przechodzili obok, Ripley usuwała im się z drogi. Stanowili zgrany, zżyty zespół, byli jak jedna wielka maszyna do zabijania, wyposażona w jedenaście głów. Ona do nich nie należała. Stała więc z boku, osamotniona. Niektórzy pozdrawiali ją skinieniem głowy, kilku rzuciło obojętne „cześć”. Nie oczekiwała niczego innego, nie miała do tego prawa. Mimo to wciąż czuła się w ich towarzystwie nieswojo i obco.

Bo na przykład starszy szeregowy Vasquez - też operatorka logicznego pistoletu maszynowego - ledwie na Ripley spojrziała. Spojrzała zimno, bezdusznie. I tyle. Chyba już nawet roboty miały łagodniejszy wzrok. Żeby się choć uśmiechnęła, mrugnęła - nic z tych rzeczy. Ciemne włosy, jeszcze ciemniejsze oczy, zacięte usta. Byłaby bardzo atrakcyjną kobietą, gdyby tylko zechciała.

Obsługiwanie logicznego pistoletu maszynowego wymagało szczególnych uzdolnień, unikalnej kombinacji siły, zdolności psychicznych i refleksu. Ripley czekała, aż przechodząca Vasquez coś powie. Ale ta nawet nie otworzyła ust. Wszyscy z grupy Gormana wyglądali hardo. Drake i Vasquez wyglądali hardo i... złowrogo.

Gdy znalazła się koło szafki Drake'a, swojego partnera, Drake zawołał:

- Vasquez, czy wziął cię kto kiedy za faceta?

- Nie. A ciebie?

Drake wyciągnął do niej rękę. Klapnęła dłonią w jego otwartą dłoń, palce Drake'a zacisnęły się momentalnie wokół jej palców i oboje wzmogli uścisk.

Milczące, bolesne pozdrowienie starych kompanów. Cieszyli się, że oto minął czas snu i że znowu są razem.

W końcu trzepnęła go w policzek i rozłączyli dłonie. Roześmiali się jak dwa młode, rozbawione dobermany.

Drake jest silniejszy, ale Vasquez szybsza, zdecydowała obserwująca ich Ripley. Gdyby musieli lądować na Acheronie, spróbuje trzymać się między nimi. Nie widziała dla siebie bezpieczniejszego miejsca.

Między żołnierzami krzątał się cicho Bishop. Smarował ich specjalnym regenerującym płynem, pomagał rozmasowywać mięśnie - sprawiał wrażenie lokaja, a nie oficera. Był wśród nich chyba najstarszy, starszy nawet od porucznika Gormana. Gdy przechodził koło Ripley, zauważyła alfanumeryczny kod wytatuowany na zewnętrznej stronie jego lewej dłoni. Rozpoznała go natychmiast. Zesztywniała, ale nie powiedziała nic.

- Hej, ty! - zawołał szeregowy Frost do kogoś, kogo Ripley nie widziała. - Wzięłeś mój ręcznik?

Frost. W wieku Hudsona, ale przystojniejszy; tak przynajmniej twierdził, kiedy ktoś zechciał tracić czas na wysłuchiwanie tego, co miał do powiedzenia. Jeśli chodzi o przechwalanki, obaj wypadali mniej więcej tak samo. Hudson szedł na ilość i gadał dużo, Frost z kolei na jakość i jego bajeczki wypadały efektownie dzięki starannemu doborowi słów.

Spunkmeyer stał już niemal na czele kolejki i wciąż narzekał.

- No nie, do cholery, ja muszę mieć trochę wolnego. Jak można tak od razu człowieka wysłać na akcję? Bez odpoczynku? To nie fair. Kiedyś przecież musimy złapać oddech, nie?

- Przed chwilą skończyłeś trzytygodniowy urlop - mruknął cicho Hicks. - Całe życie chcesz odpoczywać?

- Mówię o prawdziwym urlopie, a nie o leżeniu w tej lodowni. Trzy tygodnie w puszcze to żadna laba.

- Właśnie, szefie - rzuciła Dietrich. - Co z naszymi urlopami?

- Dobrze wiecie, że to nie ode mnie zależy - odparł Apone, podnosząc nieco głos; w komorze panował niezły harmider. - No dobra, dość kłapania dziobami. Za piętnaście minut zbiórka. Chcę, żeby do tego czasu każdy z was wyglądał jak człowiek. Większość będzie musiała niestety udawać. No, ruszać tyłki!

Zdjęli ubrania, w których spali, i wrzucili je do zbiornika na odpady. Łatwiej było wszystko spalić i na drogę powrotną wziąć nowe niż odświeżać podkoszulki i szorty, które przez kilka tygodni przywierały do lepkiego ciała. Kolejka nagich, smukłych żołnierzy przesuwiała się do pryszniców. Silny strumień bijącej pod ciśnieniem wody zmywał pot i brud, stymulował zakończenia nerwów pod odtłuszczoną skórą.

Hudson, Vasquez i Ferro, skryci w kłębach pary, obserwowali wycierającą się Ripley.

- Co to za nabytek? - spytała Vasquez splukując z włosów mydło.

- Coś w rodzaju konsultanta. Nic o niej nie wiem. - Drobniutka Ferro myła sobie brzuch, płaski, umięśniony i twardy niczym stalowa płyta. Zrobiła minę i dodała z udawanym podziwem: - Raz widziała obcego! OBCEGO! Wyobrażacie to sobie? Tak przynajmniej twierdzi szef.

- Jeezu! - Hudson rozdziawił gębę. - Niesamowite! Jestem wstrząśnięty!

Apone wrzeszczał na nich z przebiegalni. Wycierał sobie ramiona; były równie umięśnione i pozbawione tłuszczu jak ramiona żołnierzy o dwadzieścia lat od niego młodszych.

- Szybciej tam, szybciej! Zużyjecie całą wodę, do cholery! Wychodzić mi już! Żeby się tak długo pindrzyć, trzeba się najpierw porządnie wybrudzić!

W mesie nie obowiązywała formalna segregacja. Każdy siadał, gdzie chciał, nie myśląc, gdzie siada. Nikt o nic nie pytał, nikt nie szeptał, obok szklanek nie ujrzałbyś maleńkich tabliczek z nazwiskami. Apone i jego podwładni zajęli stół większy. Ripley, Gorman, Burke i Bishop usiedli przy mniejszym. Czekać, aż autoszef kuchni wyda jajka na erzacowatym bekonie, grzanki z konserwą i porcję witamin, wszyscy popijali kawę, herbatę, lemoniadę czy wreszcie zwykłą wodę.

Każde z nich nosiło charakterystyczny dla siebie strój. Nie znalazłbyś dwóch identycznych. Było tak nie dlatego, że ubraniami chcieli zastąpić insygnia czy rodzaj specjalizacji wojskowej, ale dlatego, że każdy z nich miał inny gust. Sulaco to nie koszary, Acheron nie plac defilad. Tylko czasami Apone objeżdżał ludzi za jakieś szczególnie ekstrawaganckie ozdoby, jak choćby wtedy, gdy Crowe wystąpił z komputerowym portretem swojej ostatniej dziewczyny, wyrysowanym na plecach kuloodpornej kamizelki. Jednak sierżant robił to w sumie rzadko i z reguły pozwalał żołnierzom nosić takie ozdoby, jakie tylko chcieli.

- To niby jaki mamy gryplan, szefie? - rzucił Hudson.

- Właśnie - zbulgotał Frost; akurat robił bąbelki w herbacie. - Wiem tylko tyle, że dostałem rozkaz natychmiastowego wyjazdu. Nawet nie zdążyłem pożegnać się z Myrną.

- Z Myrną? - Szeregowy Wierzbowski uniósł krzaczaste brwi. - To już nie z Leiną? Frost stropił się na chwilę.

- Leina była chyba trzy miesiące temu. Albo sześć.

- Prowadzimy akcję ratowniczą - wyjaśnił Apone znad filiżanki z kawą. - Musimy wyratować kilka pulchniutkich dziewczyn, córeczek biednych kolonistów.

Ferro udała rozczarowanie.

- Cholera, to nic z tego nie będę miała. Hudson wyszczerzył do niej zęby.

- Czyżby? I kto to mówi?

Cisnęła w niego kostką cukru.

Apone milczał i obserwował. Interweniować? Po cholere? Tak, mógł ich uspokoić, mógł przywołać do porządku. Zamiast tego dał im spokój i pozwolił się wyszumieć. Dlaczego? Bo wiedział, że jego żołnierze są najlepsi z najlepszych. Z każdym z nich ruszyłyby bez wahania do walki, każdemu bez wahania powierzyłby ubezpieczenie, doskonale wiedząc, że człowiek ten będzie dla niego drugą parą oczu, że skutecznie i pewnie zlikwiduje wszystkich i wszystko, co spróbuje zaskoczyć go od tyłu. Niech się bawią, niech przeklinają ZKE, własny korpus, Towarzystwo i jego samego. Kiedy nadejdzie czas, zabawa się skończy i każdy solidnie odwali swoją robotę.

- Znów ci głupi koloniści... - Spunkmeyer spojrział na swój talerz; autoszef zaczął serwować jedzenie. Po trzech tygodniach snu był straszliwie wygłodzony, ale nie do tego stopnia, by darować sobie typowo żołnierski komentarz kulinarny. - Co to, kurwa, ma być?

- Jajko, durniu - wyjaśniła Ferro.

- Wiem, jak wygląda jajko, kretynko. Idzie mi o te żółte gluty obok.

- To chyba chleb z mąki kukurydzianej. - Wierzbowski pogmerał palcem w talerzu i dodał z nostalgią: - Zjadłbym trochę tych pyszności z Arktura. Pamiętacie?

Z prawej strony Wierzbowskiego siedział Hicks. Zerknął na sąsiedni stół i znów wbił wzrok w talerz.

- Coś mi się wydaje, że nasz nowy porucznik olewa pospolitych żołdaków, przynajmniej przy stole. Liże dupę temu z Towarzystwa.

Wierzbowski spojrział w tamtą stronę ponad ramieniem kaprała, nie dbając, czy ktoś to widzi, czy nie.

- Ano liże - mruknął.

- Niech liże, byleby tylko znał się na robocie - wtrącił Crowe.

Frost zaatakował widelcem jajko.

- Magia słów. Oby. Wkrótce się przekonamy - rzucił.

Może to wiek Gormana tak ich denerwował, jego młodość? Ale porucznik był przecież od połowy z nich starszy. Nie, denerwował ich najpewniej wygląd oficera: włosy czyste, gładko ułożone - po trzech tygodniach katorgi w hibernatorze! - kanty spodni zaprasowane, ostre jak brzytwa, wysokie buty lśniące niczym czarna stal. Gorman sprawiał po prostu za dobre wrażenie.

Podczas gdy inni jedli, gwarzyli czy też rozglądali się wokoło, Bishop usiadł na wolnym krześle obok Ripley. Natychmiast demonstracyjnie wstała i przeniosła się na drugi koniec stołu. Oficer pokładowy był wyraźnie dotknięty.

- Bardzo mi przykro, że masz taki stosunek do syntetyków, Ripley.

Zignorowała uwagę Bishopa i posłała Burke'owi wściekle spojrzenie.

- Nic nie mówiłeś, że na pokładzie będzie android! - rzuciła oskarżycielsko. - Dlaczego? Tylko nie kłam, Carter! Koło pryszników widziałam jego tatuaż.

Wprawiała go w zakłopotanie.

- Jakoś nie przyszło mi to do głowy - odrzekł. - Doprawdy nie wiem, dlaczego jesteś taka zdenerwowana, Ripley. Syntetyki latają przecież z każdym transportem, i to od lat. Taka jest polityka Towarzystwa. Roboty nie muszą hibernować, a poza tym są tańsze niż wynajęcie człowieka do nadzorowania skoków w nadprzestrzeń. I nie wariują, kiedy w czasie długich rejsów muszą pracować w samotności. Syntetyki to dzisiaj zwyczajna rzecz.

- Osobiście wolę termin „sztuczny człowiek” - wtrącił miękko Bishop. - Ale w czym tkwi problem? Może mógłbym jakoś pomóc?

- Nie sądzę. - Burke zlizął z wargi drobinę żółtka. - Podczas jej ostatniej wyprawy nawalił syntetyk. Były ofiary. Śmiertelne.

- Jestem zaszokowany. Kiedy to było? Dawno?

- Tak, dość dawno. - Burke nie wdawał się w szczegóły, za co Ripley była mu wdzięczna.

- W takim razie to musiał być jakiś starszy model.

- Hyperdine Systems 120-A/2.

Bishop odchylił się w krzesle, spojrzął na Ripley i rzekł pojednawczo:

- To wszystko tłumaczy. Te stare a-dwójki zawsze były trochę narowiste. Dzisiaj nic takiego nie mogłoby się zdarzyć. Nam wszczepiono inhibitory behawioralne, Ripley. Nie jestem w stanie skrzywdzić człowieka ani bezpośrednio, ani też, poprzez zaniechanie działania, w sposób pośredni. Inhibitory instaluje się fabrycznie, łącznie z resztą funkcji cerebralnych, dlatego nikt nie może nimi manipulować. Jak więc widzisz, jestem całkowicie bezpieczny. - Podsunął jej talerz pełen żółtawych trójkątów. - Chcesz jeszcze chleba?

Ripley wytrąciła mu talerz z ręki. Naczynie trzasnęło w przeciwległą ścianę, ale się nie stłukło. Z kukurydzianego chleba pozostały okruszki.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, Bishop! Rozumiesz?!

Masz się trzymać ode mnie z daleka!

Wierzbowski obserwował zajście w całkowitym milczeniu. Później wzruszył ramionami i zabrał się do jedzenia.

- Najwidoczniej ona też nie lubi chleba z kukurydzy... - mruknął.

Nerwowy wybuch Ripley nie sprowokował ponadto żadnych innych komentarzy.

Żołnierze skończyli śniadanie i przeszli do sali odpraw. Ze wszystkich ścian spoglądały tu na nich rzędy wymyślnej broni. Kilku zsunęło krzesła, żeby rozegrać szybką partyjkę crapsa. Po trzech tygodniach letargu trudno jest zwinnie rzucać kośćmi, mimo to nie dawali za wygraną. Kiedy do pomieszczenia weszli Gorman i



Burke, leniwie wstali, ale krótkie warknięcie Apone'a podziałało na nich jak ukłucie szpilką.

- Aaaszność!

Zareagowali jak jeden. Ręce wzdłuż boków, oczy przed siebie, w skupieniu czekali na kolejny rozkaz sierżanta.

Gorman powiódł wzrokiem po zwartym szeregu. Żołnierze zastygli w absolutnym bezruchu, zamarli - o ile to możliwe - niczym w hibernatorach. Przetrzywał ich tak krótką chwilę i rzucił:

- Spocznij.

Zwiotczały mięśnie, zwiotczał szereg.

- Przepraszam, że przed odlotem nie było czasu na odprawę, ale...

- Panie poruczniku? - To Hudson.

Nieco rozdrażniony, Gorman zerknął w stronę pytającego. Cholera, nie mógł zaczekać, aż przełożony skończy wygłaszać swoją kwestię? Nie to, żeby oczekiwał czegoś innego, nie. Ostrzegano go, że będzie miał do czynienia z bandą zabijaków.

- Tak? O co chodzi, Hicks?

Tamten pokazał głową żołnierza stojącego obok.

- Hudson, panie poruczniku. Hicks to on.

- No dobrze. Słucham.

- Czy będziemy walczyć, czy znów polować na pluskwy?

- Hudson, gdybyś zechciał chwilę zaczekać, już byś znał odpowiedź. Rozumiem waszą niecierpliwość i ciekawość. Nie ma tu wiele do wyjaśniania. Wiemy jedynie, że wciąż nie udało się nam nawiązać kontaktu z Acheronem. Oficer pokładowy Bishop wywołał bazę Hadley w chwili, gdy Sulaco znalazł się w zasięgu łączności radiowej. Nie otrzymał odpowiedzi. Stwierdziliśmy już, że satelita przekaźnikowy działa bez zarzutu, więc nie to jest przyczyną ciszy w eterze. I jak dotąd nie wiemy, co nią jest.

- A są jakieś domysły? - spytał Crowe.

- Istnieje możliwość, na razie tylko możliwość, że mogą nią być organizmy ksenomorficzne.

- Organizmy... Jakie?! - wykrzyknął zdumiony Wierzbowski.

Hicks pochylił się ku niemu i szepnął:

- Pluskwy, stary, pluskwy. - Uniósł głowę i spytał, tym razem głośno: - Panie poruczniku, a te organizmy to jakie są, jeśli w ogóle tam są?

Gorman dał znak i Ripley postąpiła krok do przodu. Jedenaście par oczu skupiło się na niej niczym muszka celownika. Wszystkie czujne, ciekawe, myślące. Obcinały ją od głowy po stopy, wciąż niepewne, czy zaliczyć „nową” do grupy Burke'a i Gormana, czy nie. Nie lubić jej powodu nie mieli, obchodzić ich, nie obchodziła - jeszcze jej nie znali.

I dobrze. Nie ma sprawy. Położyła na stole garść maleńkich dyskietek.

- Tu jest wszystko, co o nich wiem - zaczęła. - W kilku egzemplarzach każda. Możecie sobie poczytać w kajutach albo nawet posłuchać w skafandrach.

Twarz Apone'a rozjaśniła się na tyle, że wykwitł na niej leciutki uśmiech.

- Ja tam wolno czytam. Rzuć coś na rybkę.

- Taa jest, właśnie, coś na rybkę. - Potrącając rakiety i detonatory, Spunkmayer oparł się o stertę materiałów wybuchowych, którą można by zburzyć niewielki hotel.

- Dobrze. Ważne jest, żebyście dobrze zrozumieli cykl rozwojowy takiego organizmu. Od tego zaczniemy. Właściwie są to dwa różne stworzenia. Forma pierwotna wykluwa się ze spory, ze swego rodzaju jaja, i przywiera do ofiary. Wprowadza do jej ciała embrion, oddziela się i zdycha. Zasadniczo jest to więc przemieszczający się organ reprodukcyjny. Później...

- To jakby ty, Hicks. - Hudson wyszczerzył do kaprała zęby. Hicks zareagował jak to Hicks: tolerancyjnym uśmiechem.

Ripley zachowała powagę. Nic, co miało związek z achemońskimi bestiami, nie mogło jej rozbawić. Ale ona je widziała, na własne oczy, natomiast żołnierze wciąż nie byli do końca przekonani, czy Ripley nie opisuje przypadkiem czegoś, co istniało tylko w jej wyobraźni. Musi być bardzo cierpliwa. A przy nich to rzecz niełatwa.

- Embrion, ta druga forma, przebywa w ciele ofiary przez kilka godzin - mówiła dalej. - Dojrzeje. Później... - Musiała przełknąć ślinę, walcząc z nagłą suchością w gardle. - Później wydobywa się na zewnątrz. Zrzuca skórę. Błyskawicznie rośnie. Osobnik już rozwinięty przechodzi szybko przez kilka stadiów pośrednich, aż w końcu staje się...

Tym razem przerwała jej Vasquez.

- Wszystko to cacy, ale mnie interesuje tylko jedno.

- Tak?

- Gdzie one są. - Skierowała palec w pustą przestrzeń między Ripley i drzwiami, odwiodła kciuk i zastrzeliła wyimaginowanego intruza. Ot, taka skromna demonstracja okrutnej krwiożerczości.

Jej kumple zareagowali pełnymi aprobaty okrzykami i gwizdami.

- Taa jest, Vasquez! Brawo! - Drake jak zwykle wpadł w nie ukrywany zachwyty. Vasquez nadano przydomek „Morderczyni”. Pasował do niej jak ulał.

Skinęła głową.

- Zawsze do usług - rzuciła szorstko. - Zawsze do usług.

Hudson odchylił się w krześle, pieszcząc jakąś strzelbę o niezwykle długiej i wąskiej lufie.

- Czy ktoś tu mówił o „obcych”? - spytał. - Ona na pewno nie wiedziała, o co chodzi, i myślała, że chodzi o „nielegalnych obcych”, imigrantów. Dlatego się czym prędzej zaciągnęła.

Vasquez zrobiła wymowny gest palcem.

- Wiesz co, Hudson? Ja cię pierdolę.

- Taa? Jakoś nie zauważyłem. Ale zawsze do usług, zawsze do usług - odrzekł, przedrzeźniając koleżankę.

- Czy aby nie przeszkadzam w rozmowie, panie Hudson? - Głos Ripley był lodowaty jak pancierz Sulaco. - Wiem, że większość z was traktuje tę ekspedycję jak kolejną akcję policyjną. Zapewniam państwa, że tak nie jest. Widziałam to stworzenie. Widziałam skutki jego działalności. Jeśli się na nie natkniecie, gwarantuję, że nie będzie wam do śmiechu.

Hudson zamilkł, szczerząc głupawo zęby.

Ripley przeniosła wzrok na Vasquez.

- Mam nadzieję, że wszystko pójdzie tak łatwo, jak to sobie wyobrażacie, szeregowcy. Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie będzie, naprawdę.

Ich oczy spotkały się. Ani jedna, ani druga nie odwróciła wzroku.

Milczenie przerwał Burke. Stanąwszy między Ripley i Vasquez, zwrócił się do żołnierzy:

- To na razie wystarczy. Proponuję, żeby wszyscy spokojnie przestudiowali zawartość dyskietek, które Ripley zechciała nam przygotować. Zawierają szereg dodatkowych wiadomości podstawowych oraz spekulatywną, lecz bardzo szczegółową wizję graficzną, skompilowaną przez komputery ostatniej generacji. Sądzę, że to was zaciekawia. I jestem pewien, że na jakiś czas przykuje waszą uwagę.

- Skończył i oddał głos Gormanowi.

Porucznik był pełen werwy i animuszu, mówił jak prawdziwy dowódca, choć na takiego nie wyglądał.

- Pani Ripley, panie Burke, dziękuję państwu. - Potoczył wzrokiem po murze obojętnych twarzy. - Są jakieś pytania? - Ktoś z tyłu podniósł niedbale rękę. - Słucham, Hudson?

Hudson przyglądał się z uwagą swoim paznokciom.

- Czy można się jeszcze z tej imprezy wypisać?

Gorman spiorunował go spojrzeniem, ale zacisnął usta i powstrzymał się od wypowiedzenia pierwszej myśli, jaka przyszła mu do głowy. Jeszcze raz podziękował Ripley, która usiadła z ulgą na krześle.

- No dobrze - kontynuował. - Chcę, żeby cała akcja przebiegła sprawnie i regulaminowo. Do ósmej trzydzieści musicie zapoznać się ze wszystkimi szczegółami analizy taktycznej, jasne?

Ten i ów jęknął, ale na tym się skończyło. Nikt nie zaprotestował ostrzej. Przecież nie spodziewali się niczego innego.

- Załadunek sprzętu bojowego, sprawdzanie i mocowanie broni, przygotowanie promu, to nam zajmie siedem godzin. Chcę, żeby wszystko i wszyscy byli gotowi na czas. Odpoczywaliście przez trzy tygodnie. Teraz do roboty.

## 5.

Sulaco wyglądał jak gigantyczna stalowa muszla unosząca się w bezmiarze czarnego oceanu. Gdy statek wszedł na zaplanowaną orbitę, wzdłuż pokieraszowanego kadłuba bezgłośnie zapłonęły niebieskawe światelka. Na mostku czuwał Bishop. Nie spuszczał wzroku z instrumentów i wskaźników, nie pozwolił sobie nawet na mrugnięcie okiem. Od czasu do czasu muskał palcami gałkę jakiegoś potencjometru czy też serią błyskawicznych uderzeń w klawiaturę wprowadzał do systemu nowe polecenia. Jednak głównie tylko obserwował, a komputery Sulaco same radziły sobie z parkowaniem statku na właściwej orbicie. Automatyka, dzięki której podróże międzygwiazdne stały się możliwe, znacznie zredukowała rolę Homo sapiens, nadając człowiekowi status ostatecznego systemu zabezpieczenia. Ludzi zastępowały teraz syntetyki w rodzaju Bishopa. Badanie kosmosu stało się więc profesją dla biernych pasażerów.

Kiedy strzałki wskaźników i mierników ustawiły się w odpowiedniej pozycji, Bishop obrócił głowę w stronę najbliższego mikrofonu.

- Uwaga na mostku. Mówi Bishop. Operacja wewnątrzorbitalnego manewru parkowania zakończona. Procedura wejścia geosynchronicznego zakończona. Sztuczna grawitacja dostosowana do grawitacji Acherona. Dziękuję za współpracę. Można kontynuować roboty pokładowe.

Bezruch i cisza panująca w większości pomieszczeń statku kontrastowały z hałasem wzmożonej aktywności w głównej hali załadunkowej. Spunkmeyer siedział w cylindrycznej kabinie wielkiej ładowarki, która przypominała szkielet mechanicznego słonia, z tym, że była od słonia znacznie potężniejsza. Rękawicowate uchwyty, w których tkwiły ręce i stopy, odczytywały ruchy człowieka, przekazywały je stalowym ramionom i nogom maszyny, a te z wielokrotną siłą operatora kilkanaście tysięcy razy.

Spunkmeyer wsunął długie, wzmocnione pancerzem łapy pod rząd kontenerów ustawionych na wyładowanym po brzegi rusztowaniu ze sprzętem bojowym i wyjął pojemnik zawierający małokalibrowe pociski taktyczne. Płynnymi, lekkimi ruchami zewnętrznych protez złożył swe brzemie w ładowni promu. W trzewiach małego stateczku rozległy się natychmiast odgłosy metalicznych szczęknięć i pobrzękiwań: ładownia przyjęła skrzynię i automatycznie umocowała ją w odpowiednim miejscu. Spunkmeyer ruszył w poszukiwaniu nowego ciężaru. Ładowarka była mocno poobijana i uwalana smarem. Na jej grzbiecie widniał ledwo widoczny napis: Gąsienica.

Inni żołnierze obsługiwali niewielkie ciągniki lub wysięgniki o mniejszym udźwigu. Czasami wykrzykiwali coś do siebie, ale na tym koniec - załadunek i wszystkie operacje przedstartowe przebiegały bez rozmów. I bez wypadków, bo

członkowie zespołu Gormana współdziałali ze sobą niczym tryby na wpół metalowej, na wpół organicznej maszynierii. Harowali w stosunkowo ciasnym pomieszczeniu, w pomieszczeniu, gdzie nieustannie pracowały niebezpieczne maszyny, a mimo to nikt nikogo nawet nie zadrasnął. Całością robót kierował Hicks. Na elektronicznym manifeście skreślał pozycję za pozycją, a od czasu do czasu, gdy kolejna faza przygotowań do zrzutu dobiegała końca, z zadowoleniem kiwał do siebie głową.

W zbrojowni Wierzbowski, Drake i Vasquez czyścili broń lekką. Ich palce poruszały się z precyzją automatów, które mocowały sprzęt w ładowni promu. Rozkładali strzelby, pistolety i karabiny, wyjmowali z nich maleńkie płytki obwodów scalonych, sprawdzali je, zdmuchiwali kurz i zabłąkane drobinki pakuł, następnie wsuwali z powrotem w trzewia lśniących, metalowo-plastikowych narzędzi śmierci.

Vasquez zdjęła z półki swój elpeem, umieściła go z czułością w uchwytach elektronicznego warsztatu i z pomocą komputera rozpoczęła ostatni sprawdzian broni. Logiczny pistolet maszynowy zaprojektowano tak, by operator mógł go na siebie włożyć niczym ubranie. Wyposażono go w integralny system samonaprowadzania, w niezależny system poszukiwawczo-detekcyjny i w precyzyjne zawieszenie przegubowo-pierścieniowe, które reagowało na każdy, najmniejszy nawet ruch strzelca. Elpeem mógł praktycznie wszystko. Nie potrafił tylko zwolnić własnego spustu.

Vasquez pracowała i uśmiechała się jak do ukochanego dziecka. Było to dziecko trudne, skomplikowane, ale Vasquez wiedziała, że pupilek nie zawiedzie, że obroni przed złem i ją, i jej kolegów. Darzyła go większą dbałością i wyrozumiałością niż któregokolwiek z kompanów.

Drake doskonale ją rozumiał. On też rozmawiał ze swoją bronią, aczkolwiek były to rozmowy nieme. Żaden z kumpli nie widział w tym niczego nienormalnego. Bo wszyscy wiedzieli, że zabijacy z piechoty kolonialnej są trochę niezrównoważeni, a operatorzy elpeemów w szczególności. Elpeemowcy traktowali broń jak część własnego ciała. W przeciwieństwie do kolegów, ich jedyną funkcją było obsługiwanie śmiertcionośnych pistoletów. Drake i Vasquez nie musieli zawracać sobie głowy zdobywaniem biegłości w pracy na sprzęcie telekomunikacyjnym, pilotowaniem promu, nie musieli kierować transporterem opancerzonym czy nawet pomagać przy załadunku. Musieli robić tylko jedno: strzelać. Bo ich specjalizacją była śmierć.

Oboje kochali swoją pracę.

Ale nie wszyscy byli równie zajęci jak żołnierze. Burke skończył już to, co miał do zrobienia, a Gorman powierzył nadzór nad przygotowaniem Apone'owi. Stali więc z boku i obserwowali krzątanie.

- Koloniści wciąż milczą? - spytał obojętnie Burke. Gorman pokręcił głową i zanotował coś w elektronicznym notatniku; najpewniej coś związanego z procedurą załadunkową.

- Nie przechwyciliśmy nawet jednej zbłąkanej fali nośnej. Nic. Cisza. Na wszystkich kanałach.

- I jesteśmy absolutnie pewni, że to nie satelita przekaźnikowy?

- Bishop twierdzi, że sprawdził go bardzo starannie i że aparatura doskonale reaguje na każde polecenie. Mówi, że kiedy wchodziliśmy na orbitę, za pomocą satelity przesłał na Ziemię standardowy sygnał kontrolny. Za kilka dni powinniśmy dostać odpowiedź i jeśli ją dostaniemy, będzie to ostateczne potwierdzenie jego diagnozy. Ale Bishop jest pewien, że seria testów, które sam przeprowadził, gwarantuje niezawodność wszystkich systemów.

- A więc rozwiązania zagadki trzeba szukać gdzieś na powierzchni Acherona.

Gorman kiwnął głową.

- Czego spodziewaliśmy się od samego początku. Burke myślał chwilę i spytał:

- A co z łącznością lokalną? Przecież są tam wideonadajniki, baza musi nawiązywać kontakt z operatorami ciągników, musi utrzymywać łączność z procesorami atmosferycznymi, żeby przekazywać i odbierać od nich dane, prawda?

Porucznik pokręcił smutno głową.

- Jeśli ktoś tam w ogóle z kimś gada, robi to za pomocą sygnałów dymnych albo luster. Jeżeli nie liczyć szumów generowanych przez lokalne słońce, spektrum elektromagnetyczne nie istnieje. Nie ma go, po prostu go nie ma.

Burke wzruszył ramionami.

- No cóż, nie oczekiwaliśmy niczego innego. Ale zawsze była nadzieja.

- Wciąż jest - odrzekł Gorman. - Może koloniści złożyli na przykład masowe śluby milczenia? Może to jakaś zbiorowa psychoza, napad przygnębienia?

- Śluby? Dlaczego mieliby składać śluby?

- A skąd ja mogę wiedzieć? Ot, choćby masowe nawrócenie się na religię wymagającą ciszy radiowej.

- Taa. Może...

Burke chciał wierzyć Gormanowi, Gorman Burke'owi. Żaden z nich ani przez chwilę nie wierzył drugiemu. Bo milczenie kolonistów nie było milczeniem z wyboru. Ludzie lubią rozmawiać, a koloniści w szczególności. Mieliby dobrowolnie wyłączyć wszystkie urządzenia łączności? Nigdy.

Ripley obserwowała chwilę Gormana i Burke'a, po czym skupiła uwagę na nie zakończonym jeszcze procesie załadunku oraz na czynnościach przedstartowych. Widziała już wojskowy prom zrzutowy, na filmie, ale pierwszy raz oglądała go z bliska. I poczuła się jakby trochę bezpieczniej. Potężnie opancerzony, dysponujący przeogromną siłą ognia, wyglądał jak gigantyczna czarna osa. Akurat kiedy

patrzyła, do ładowni wprowadzono sześciokołowy transporter opancerzony. Miał konstytucję źle wyprofilowanej sztaby żelaza. Był niski, przysadzisty i czysto funkcjonalny.

Wyczuła jakiś ruch i potknąwszy się odskoczyła w bok.

Zmierzał w jej stronę Frost, pchając przed sobą wózek wyładowany jakimś skomplikowanym sprzętem niewiadomego przeznaczenia.

- Z drogi proszę - rzucił grzecznie.

Przeprosiła go, cofnęła się i znów musiała uciekać, tym razem w innym kierunku, żeby nie wpaść na Hudsona.

- Przepraszam. - Nawet na nią nie spojrzął, koncentrując się na prowadzeniu widlaka.

Klnąc w duchu, ruszyła przez zorganizowany chaos w poszukiwaniu Apone'a. Starszy sierżant gawędził z Hicksem na temat wykazu kontrolnego, który uważnie przeglądali. Ripley stanęła z boku i milcząc czekała, aż sierżant zauważy jej obecność.

- Ma pani coś do mnie? - spytał ciekawie.

- Owszem. Czuję się tu jak piąte koło u wozu i mam dość siedzenia z założonymi rękami.

Na twarzy Apone'a wykwitł szeroki uśmiech.

- Wszyscy mamy tego dość. I co w związku z tym?

- Nie macie tu dla mnie czegoś do roboty?

Podrapał się po głowie, zerkając niepewnie na Ripley.

- No nie wiem... A tak w ogóle to co pani umie?

Wyciągnęła rękę.

- Umieję to obsługiwać. Jestem operatorem portowym drugiej klasy. Robię karierę w nowym zawodzie.

Apone poszedł wzrokiem za jej ręką. Największa ładownia Sulaco odpoczywała w niszy remontowej. Ludzi Apone'a cechowała wszechstronność, ale przede wszystkim byli żołnierzami. Należeli do korpusu piechoty kolonialnej, nie do brygady robotniczej. Dodatkowa para rąk bardzo by się przydała, zwłaszcza że ręce te odlano ze stopów tytanu.

Hicks przybrał sceptyczny wyraz twarzy, Apone zaś, z równym sceptycyzmem, rzucił:

- Wie pani, to nie zabawka...

- Nie szkodzi, do Bożego Narodzenia daleko - odparła lapidarnie.

Sierżant ściągnął usta.

- Druga klasa portowa, he?

W odpowiedzi zrobiła w tył zwrot, pomaszerowała w stronę maszyny, wspięła się po szczeblach drabinki i usiadła w kabinie zabezpieczonej pancerną klatką.



Szybki rzut oka na deskę rozdzielczą i zgodnie z wcześniejszymi przypuszczeniami stwierdziła, że ładowarka różni się nieco od tych, na jakich pracowała w porcie. Chyba jakiś nowszy model, pomyślała. Trzasnęła kilkoma przełącznikami i włączyła silnik. W brzuchu maszyny rozległ się basowy jęk, który szybko przeszedł w monotony, cichy szum.

Ręce i stopy wsunęła w otwory rękawicowatych uchwytów. Niczym skamieniały dinozaur nagle przywrócony życiu maszyna wyprostowała tytanowe łapy, dźwignęła się w górę i dudniąc po stalowej podłodze, ruszyła ku ścianie kontenerów. Wysunęła olbrzymie szpony, opuściła je i wbiła w uchwyty nośne pojemnika stojącego najwyżej. Ripley zdjęła kontener ze sterty i zawróciła w stronę Hicksa i Apone'a.

- Gdzie to postawić? - spytała przekrzykując szum silników.

Hicks zerknął na sierżanta i uniósł z aprobatą brew. Przygotowania osobiste szły w takim samym tempie jak załadunek promu, ale ze znacznie większą starannością. Mogło nawalić wszystko: transporter opancerzony, sprzęt, jakim go wypchano, łączność, wspomaganie, ale żaden żołnierz nigdy nie dopuściłby do tego, żeby zawiodła go własna broń. Bo każde z nich, czy to mężczyzna, czy kobieta, było w stanie prowadzić i wygrać małą wojnę. Bez niczyjej pomocy.

Najpierw sprawdzili, czy pancerne kamizelki nie są przypadkiem odkształcone lub pęknięte. Później włożyli specjalne buty, odporne na wpływ praktycznie każdego warunków atmosferycznych, nie poddające się kwasom, zębom czy kłom. Potem przyszła kolej na samowystarczalne zasobniki plecowe, dzięki którym delikatna istota ludzka mogła przetrwać ponad miesiąc we wrogim dla siebie środowisku. Następnie wszyscy założyli mocne uprząże, które przytrzymywały ich zapobiegając urazom, jakich mogli się nabawić czy to podczas szaleńczego lotu promem zrzutowym, czy podczas jazdy transporterem po ciężkim terenie. Później hełmy chroniące czaszkę i osłony na oczy. I jeszcze zestawy telezapewniające łączność z promem, z transporterem i z kumplami ubezpieczającymi tyły.

Palce śmigały po zatraskach i zapięciach. Pewnie, płynnie. Kiedy wszystko zostało już sprawdzone i przygotowane do działań bojowych, cała procedura rozpoczęła się od początku. A kiedy i ona dobiegła końca, minutę czasu, jaka im pozostała - jeśli w ogóle pozostała - spędzali na oględzinach sprzętu sąsiada.

Apone przechadzał się między swoimi ludźmi, dyskretnie ich kontrolując, chociaż wiedział, że lustracja jest całkowicie zbędna. Sierżant był jednak zwolennikiem starej, pedantycznej szkoły przetrwania. Nie dopięty zatrask? Przeoczona sprzączka? Należało to poprawić teraz, już, bo później, gdy sprawy przybierały zły obrót, wszelkie zaniedbania okazywały się zwykle fatalne w skutkach.

- Ruszać się, dziewczyny! Na linię wymarszu! Szybciej, szybciej! Nie spać mi tam!

Bezładnie, po dwóch, po trzech, rozgadani i podekscytowani, ruszyli w stronę promu. Gdyby tylko zechciał, Apone mógł ich ustawić, kazać sformować piękny szereg, wyrównać krok, ale jego ludzie do pięknych nie należeli i nie zamierzał im mówić, jak mają chodzić. Z zadowoleniem powitał fakt, że nowy porucznik nauczył się już trzymać język za zębami. Rozmawiając półgłosem, wchodzili do promu. Nie powiewały im flagi i sztandary, nie przygrywała orkiestra, choćby z magnetofonu. Ich hymnem były wiązanki znanych, niezłe już zużytych przekleństw, jakie do siebie puszczali: wyzywająco-prowokujące słowa, wypowiedane przez ludzi mających wkrótce stawić czoła śmierci. Apone kłął razem z nimi. Bo piechota zawsze kłęła, od tysięcy lat. Bo żołnierze wiedzieli, że w śmierci, że w umieraniu, nie ma nic szlachetnego. Tylko irytujące poczucie ostateczności.

Gdy znaleźli się w promie, od razu wsiedli do transportera; transporter miał opuścić ładownię w chwili, gdy prom osiadzie na powierzchni planety. Lot będzie przez to koszmarnie niewygodny, ale żołnierzy Korpusu Piechoty Kolonialnej nikt nigdy nie rozpieszczał.

Jak tylko usiedli, zabezpieczono drzwi i rozległ się klakson sygnalizujący rozhermetyzowanie ładowni Sulaco. Roboty serwisowe w popłochu szukały schronienia. Zamrugały światła ostrzegawcze.

Żołnierze siedzieli naprzeciwko siebie, w dwóch rzędach. Między rzędami biegło wąskie przejście. W otoczeniu osiłków ubranych w wielkie, niezdarne pancerze Ripley czuła się mała i bezbronna. Oprócz ubrania służbowego miała na sobie tylko kurtkę lotniczą i słuchawki na uszach. Nikt nie zaoferował jej choćby pistoletu.

Hudson był zbyt podekscytowany, żeby usiedzieć na miejscu. Wezbrany strumień adrenaliny zrobił swoje i kapral źrenice miał jak spodki od herbaty. Ruchy drapieżne, nerwowe - grasował w przejściu niczym kot gotujący się do skoku. Chodził i wyrzucał z siebie nieustanny potok psychastenicznej paplaniny; w małej, zamkniętej przestrzeni wszyscy musieli go znosić.

- Jestem gotowy, słyszycie, jestem gotowy do akcji. Nie wierzycie? Jestem najlepszy, jestem najlepszy z najlepszych, nie ma na mnie haka, nie włączyć mi w drogę, nie zaczynać, nie ze mną... Hej, Ripley! ,

Posłała mu spojrzenie bez wyrazu.

- Nie martw się, panienko. Obronimy cię. Ja i mój oddział. Wiesz, kim oni są? To maszyny do zabijania, maszyny doskonałe! Spójrz no tylko. - Uważając na bezpiecznik, trzasnął przełącznikami bezodrzutowego serwodziałka zamocowanego w stojaku na górnej półce. - To jest działko zaporowe wyposażone w niezależny, laserowo-cząsteczkowy system samonaprowadzania. Cacuszko, nie? Szuuuuuu! I

pół miasta szlak trafił. Mamy tu inteligentne pociski taktyczne, strzelby impulsowe z fazownikami plazmy, granatniki, mamy działka sonicznie-elektroniczne, mamy atomówki-bezpuďłówki, mamy noże, dzidy...

Hicks wyciągnął rękę, chwycił Hudsona za uprząż, szarpnął i posadził kaprała na wolnym miejscu obok siebie. Mówił cicho, ale Ripley go usłyszała.

- Daj se spokój.

Hudson nagle spotulniał.

- Jasne, Hicks.

Ripley podziękowała Hicksowi skinieniem głowy. Młoda twarz, stare oczy, myślała, przyglądając się starszemu kapralowi. Widział zbyt wiele niż w swoim czasie powinien. Prawdopodobnie więcej, niż chciał. Z ulgą przyjęła ciszę, jaka zapadła po monologu Hudsona. W ciszy i tak czaiło się dość hysterii. Nie miała ochoty na więcej.

Kapral pochylił się ku niej.

- Niech pani nie zwraca na niego uwagi - szepnął. Niech pani na nikogo nie zwraca uwagi. Oni wszyscy są tacy sami, ale kiedy przyjdzie co do czego, nie znajdzie pani lepszych.

- Jeśli zobaczę, że umie strzelać tak samo jak gadać, to ciśnienie mi trochę spadnie.

Hicks wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tym niech się pani nie martwi. Hudson jest łącznościowcem, ale to specjalista od walk w terenie zabudowanym, jak każdy z nas.

- Pan też?

Usiadł wygodniej. Był zadowolony, zwarty i gotowy. - Nie przyleciałem tutaj, żeby prowadzić pizzerię - odrzekł.

Jęknęły silniki. Prom drgnął, gdy chwytaki wysunęły go z ładowni Sulaco.

- Ludzie - wymamrotał Frost - czy ktoś sprawdzał drzwi? Jak ich dobrze nie zamknęliśmy, zaraz wylecimy z tej trumny i wylądujemy na dnie promu.

- Spoko, dzieci - rzekła Dietrich. - Sama je sprawdzałam. Jesteśmy bezpieczni jak u mamusi. Nasz sześciokołowiec ruszy dopiero wtedy, kiedy usiądziemy gdzie trzeba, nie wcześniej.

Frostowi wyraźnie ulżyło.

Silniki grały coraz głośniej. Wyszli z zasięgu sztucznego pola grawitacyjnego Sulaco i żołądki podjechały im do gardeł. Byli teraz wolni i spokojnym dryfem odpływali od wielkiego transportowca. Wkrótce, w bezpiecznej odległości od statku, silniki zagrzmia pełną mocą. G-zero: nieważkie ręce i nogi popłynęły, ale ciała - dzięki uprężom mocującym - ani drgnęły. Ryk silników. Transporter rozdygotał się gwałtownie. Grawitacja powróciła, biorąc na ludziach odwet.

Burke sprawiał wrażenie człowieka, który wsiadł na luksusowy jacht i rozkoszując się słońcem Jamajki, płynie sobie na ryby. Uśmiechnięty od ucha do ucha, nie mógł się już doczekać prawdziwej przygody.

- Nareszcie ruszamy, proszę państwa! - wykrzyknął.

Ripley zamknęła oczy i prawie natychmiast je otworzyła. Wszystko, byle nie to. Czerń wewnętrznej strony obu powiek, niczym maleńkie wideoekraniki, tryskała snopami obłąkanych iskier i wianuszkami szybujących zielonkawych plam. W plamach majaczyły koszarne cienie. Spięte, pewne siebie twarze Frosta, Crowe'a, Apone'a i Hicksa były widokiem znacznie mniej stresującym.

W kabinie promu Spunkmeyer i Ferro trzymali stery i uważnie obserwowali wskaźniki kontrolne. W miarę wzrostu prędkości w transporterze rosło przeciążenie. Ten i ów z trudem opanowywał drżenie ust. Nikt nic nie mówił. Prom runął ku atmosferze planety.

Pod nimi ziała szara otchłań. Ciemna warstwa chmur spowijająca powierzchnię Acherona stała się nagle czymś więcej niż perłowo lśniąca ławica, którą podziwiali z góry. Atmosfera była gęsta i niespokojna. Wrzała nad pustyniami i martwymi skałami, czyniąc świat niewidzialnym. Postrzegały go tylko i wyłącznie skomplikowane detektory i emitory sygnałów lustrzanych.

Prom przebił górną warstwę prądów atmosferycznych, wstrząsnął się i zachybotał. Kierowany wprawną ręką Ferro, otoczony rozszalałymi strumieniami pyłu, stateczek walczył z huraganową nawałnicą.

W interkomie zabrzmiał lodowato spokojny głos Ferro.

- Przechodzę na skaner... Nic. Widzialność zerowa. Idealne miejsce na piknik. Co za kupa gówna...

- Dwa cztery zero. - Spunkmeyer był zbyt zajęty, żeby odpowiedzieć w tym samym stylu. - Zejście nominalne do powierzchni. Kadłub nam zaczyna trochę jonizować.

Ferro rzuciła okiem na wskaźnik.

- Mocno?

Nie. Filtry z tym sobie poradzą. Wiatr dwieście plus. - Między ich stanowiskami ożył martwy dotychczas ekran, pokazując topograficzny model obszaru, nad którym lecieli. - Jest skaner powierzchniowy - zameldował i dodał: - A czego się spodziewałaś, Ferro? Tropikalnych plaży? Trzasnął dźwigienkami trzech przełączników. - Zaczynają się prądy cieplne. Nośność pionowa nieprzewidywalna. Będzie karuzela.

- Jasne. - Wcisnęła przycisk. - Wszystko zgodnie z programem. Przynajmniej pogoda się tu nie zmieniła. Zerknęła na wskaźnik. - Przed nami turbulencje. I to ostre.

W interkomie jej głos zabrzmiał żywo i energicznie.

- Tu Ferro. Sami widzicie, co się tam na dole dzieje. Letni wietrzyk to nie jest. Uwaga na tyłki, bo wam poodpadają.

Ripley ogarnęła wzrokiem żołnierzy stłoczonych w ciasnym wnętrzu transportera. Hicks osunął się w uprząży i, pochylony, w najlepsze spał. Wyglądało na to, że gwałtowne wstrząsy zupełnie mu nie przeszkadzają. Inni siedzieli spokojnie, patrząc w pustkę, rozmyślając o swoich sprawach. Hudson gadał do siebie bezdźwięcznie i niesłyszalnie. Jego wargi poruszały się nieprzerwanie, wyrzucając potok niemych słów. Nie usiłowała ich odczytać.

Burke z profesjonalnym zainteresowaniem przyglądał się ścianom transportera. Naprzeciwko niego siedział Gorman. Zbladł, zacisnął powieki, czoło i szyję miał zroszone kropelkami potu. Jego ręce nieustannie się poruszały, rozmasowując kolana. Zesztywniały mu nogi czy ze strachu zwilgotniały dłonie...? myślała Ripley. Może do niego zagadać? Czasami to ludziom pomaga.

- Ile ma pan za sobą zrzutów, poruczniku? - spytała.

Otworzył oczy, nieprzytomnie zamrugął.

- Trzydzieści osiem. Symulowanych.

- A bojowych? - spytała uszczypliwie Vasquez.

Gorman próbował odpowiedzieć tak, jak gdyby ilość zrzutów bojowych nie miała żadnego znaczenia. W czym sprawa? To przecież nieważne.

- Dwa. Trzy, łącznie z tym. A bo co?

Vasquez i Drake wymienili szybkie, wymowne spojrzenia. Nie musieli nic mówić. Ripley wbiła oskarżycielski wzrok w Burke'a, który zareagował z obojętną bezradnością. Jego mina mówiła: Czego się czepiasz? Jestem przecież cywilem i nie mam wpływu na decyzje personalne wojskowych.

Co było oczywiście wierutną bzdurą, ale kłótnie niczego by teraz nie zmieniły - Acheron leżał daleko poza zasięgiem ziemskiej biurokracji. Zagryzła więc dolną wargę, żeby nie pokazać po sobie, jak ją to zdenerwowało. Gorman sprawiał wrażenie oficera w miarę kompetentnego. Poza tym, w razie konfrontacji czy walki dowodzenie przejmie Apone. Apone i Hicks.

W interkomie wibrowały teraz głosy pilotów. Dogryzali sobie i wymieniali żarciki. Ferro była lepsza; wygrywała trzy do jednego. W wolnych chwilach, kiedy nie dowcipkowali i nie narzekali, sterowali promem.

- Zwrot przed końcowym podejściem - mówiła Ferro. - Od siedem - zero - dziewięć. Schodzę.

- Jak zejdiesz na dobre, przyniosę ci kwiatki - mruknął Spunkmeyer. Stary lotniczy dowcip. Ferro puściła go mimo uszu.

- Uważaj na swój ekran. Nie mogę tego bydlaka prowadzić i gapić się jednocześnie na wskaźnik ukształtowania terenu. Zaraz wpakujesz nas w jakąś górę.

- Chwila ciszy. - Gdzie jest ta cholerna latarnia kierunkowa?

- U mnie cisza - odrzekł spokojnie Spunkmeyer. Pewnie siadła razem z całą siecią.

- Co ty pieprzysz? Latarnie i markery mają niezależne zasilanie.

- Jasne. To sama jej sobie poszukaj.

- Szlag by to... Zaraz zobaczę kogoś wymachującego czerwoną chorągiewką.

Cisza. Nikt z grupy Gorman nie wydawał się zaniepokojony czy zdenerwowany. Ferro i Spunkmeyer lądowali już w gorszych warunkach i zawsze siadali mięciutko niczym piórko przy bezwietrznej pogodzie.

Znów usłyszeli głos Ferro.

- Wiatr zelżał. Latawce można puszczać. Postaramy się go utrzymać przez chwilę w maksymalnie stabilnej pozycji, żebyście mogli rozpakować swoje zabawki.

Nagle poruszenie wśród żołnierzy. Ostatnie przygotowania przed lądowaniem. Gorman rozpiął uprząż i ruszył przejściem do centrum dowodzenia taktycznego w przedniej części transportera. Nie chcąc przeszkadzać żołnierzom, Burke i Ripley poszli za nim.

Wcisnęli się do niewielkiego pomieszczenia. Gorman usiadł za konsolą. Burke stanął za fotelem i mógł teraz zaglądać porucznikowi przez ramię. Ripley odnotowała z zadowoleniem, że jeśli chodzi o sprawność techniczną, Gormanowi niczego na szczęście nie brakowało. Wyraźnie mu ulżyło i cieszył się, że wreszcie ma coś do roboty. Niczym organista wydobywający dźwięki z klawiszy i pedałów, ożywiał palcami kolejne wskaźniki i ekrany.

Z kabiny promu doszedł ich głos Ferro. Pobrzmiwała w nim delikatna nutka triumfu.

- Namierzyłam w końcu tę latarnię. Sygnał jest słaby, ale wyraźny. I rozchmurzyło się trochę. Można przejść na optyczną. Widzimy Hadley.

- I jak wygląda? - rzucił do mikrofonu Gorman.

- Jak reklamówkach - odrzekła z ironią. - Najpiękniejszy zakątek w Galaktyce. Nic tylko przyjeżdżać tu na wakacje. Masywne budowle, zapuszczone. Jest kilka świateł, więc tu i ówdzie mają jednak jakieś zasilanie. Z tej odległości trudno powiedzieć, czy to zwyczajne lampy, czy światła ostrzegawczo-awaryjne. Zresztą niewiele ich tam. Może trafiliśmy na porę snu. Tak czy siak, wolę już dwa tygodnie na Antarktydzie.

- Spunkmeyer? A twoje wrażenia?

- Będziecie musieli uważać na wiatr, to na pewno. Z tego, co widzę, nikt ich chyba nie zbombardował. Budowle wydają się nietknięte. Ale patrzymy z góry, światło jest kiepskie, mogę się mylić. Jesteśmy tu zbyt zajęci, żeby uruchomić skaner i dokładnie przeczesać teren. Bardzo nam przykro.

- Nic nie szkodzi. Zajmiemy się tym osobiście.

Gorman przeniósł wzrok na rzędy monitorów. Im bliżej lądowania, tym wydawał się pewniejszy siebie. Może ma tylko lęk wysokości...? - zastanawiała się Ripley. Jeśli tak, będzie mogła wreszcie odetchnąć.

Oprócz monitorów taktycznych w konsolę wbudowano kilkadziesiąt małych ekraników, po dwa na każdego żołnierza. Pod wszystkimi widniały tabliczki z nazwiskami. Rząd górny przekazywał obraz z kamer zamocowanych na hełmach bojowych. Dolny wyświetlał informacje o stanie organizmu: EEG, EKG, częstotliwość oddechu, puls, ostrość widzenia i tak dalej. Nadzorujący monitory dysponował taką ilością danych, że w każdej chwili mógł bezbłędnie ustalić, a w jakim stanie psychofizycznym znajduje się dany żołnierz.

Nad podwójnym rzędem małych ekraników, nieco z boku, usytuowano monitory większe, dzięki którym pasażerowie transportera mogli oglądać wszystko to, co działo się wokół pojazdu.

Gorman wcisnął kilka przycisków. Ukryte czujniki pisnęły i posłusznie zareagowały na komendę.

- Wygląda nieźle... - mruknął ni to do siebie, ni do obserwujących go cywilów. - Przygotować się.

Ripley z miejsca wypatrzyła, że strzałki wskaźników ciśnienie krwi ani drgnęły, co było zdumiewające. A puls żadnego z żołnierzy nie przekraczał siedemdziesięciu pięciu uderzeń na minutę!

Na jednym z monitorów zamiast wnętrza transportera widać było niewyraźne pasy zakłóceń.

- Drake, sprawdź swoją kamerę - rozkazał Gorman. - Nie mam obrazu. Frost, pokaż mi Drake'a. Może to jakieś uszkodzenie zewnętrzne.

Obraz na monitorze Frosta zmienił się, pokazując osłoniętą hełmem twarz operatora elpeemu. Drake grzmotnął się w głowę zasilaczem. Jego ekran natychmiast ożył.

- Teraz w porządku. Daj mi panoramę. Obróć się trochę.

Drake obrócił się.

- Wpadliśmy na to jeszcze w szkółce - tłumaczył obserwującemu go dowódcy. - Trzeba tylko pamiętać, żeby uderzyć w lewą stronę hełmu, bo inaczej nie działa.

- A jeśli uderzysz w prawą? - spytała ciekawie Ripley.

- Przeładujesz czujnik regulujący ciśnienie wewnętrzne - odrzekł. - Takie małeństwo, które utrzymuje ci hełm na głowie, - Drake uśmiechnął się do kamery krwiozerczym uśmiechem. - Przeładujesz go i gałki oczne implodują, a mózg eksploduje.

- Mózg? Jaki mózg? - prychnęła Vasquez.

Drake zamierzył się akumulatorkiem, próbując trzasnąć ją w prawą stronę hełmu.

Apone uciszył ich. Doskonale wiedział, że bez względu na to, czy kamera Drake będzie funkcjonować prawidłowo czy nie, operator elpeemu przy pierwszej sposobności zdejmie hełm i założy tę koszmarną, sflaczałą czapeczkę, a Vasquez kolorową chustkę. To oczywiście ubiór nie regulaminowy. Ale oboje twierdzili, że hełmy utrudniają ruch celowników i skoro tak uważali, Apone nie zamierzał z nimi dyskutować. Mogli nawet ostrzyc się na zero i walczyć z nagimi czaszkami, byle tylko celnie strzelali.

- No dobra. Drużyna A, zbierać się. Jeszcze raz sprawdzić systemy awaryjne i zasilacze. Coś nie będzie grało i padniecie mi trupem zaraz po wyjściu, podczas rozwijania szyku bojowego. Wtedy się, cholera, do was dobiore. Jak to straszycie was nie zaciuka, zaciukam was ja, osobiście. No, ruszać się, ruszać. Macie tylko dwie minuty. - Zerknął w prawo. - I niech ktoś wreszcie obudzi Hicksa.

Ten i ów parsknął głośnym śmiechem.

Ripley spojrzała na biomonitor, pod którym widniała tabliczka z nazwiskiem kaprała, i też nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wykresy i liczby na ekranie charakteryzowały osobnika straszliwie znudzonego. Zastępca Apone'a spał snem głębokim i zdrowym; akurat przechodził fazę REM. Pewnie śni o słońcu i o łagodnym, balsamicznym klimacie, myślała Ripley. Szkoda, że nie umiała tak odpoczywać. Kiedyś... Kiedyś, owszem, tak. Może znów się nauczy? Gdy ekspedycja dobiegnie końca...?

W transporterze rozgorzała gorączkowa krzątanina. Rozdawano zasobniki plecowe i broń. Vasquez i Drake pomagali sobie przy nakładaniu skomplikowanych uprząży elpeemów.

Główny ekran w centrum operacyjnym pokazywał to, co widzieli Spunkmeyer i Ferro. Dokładnie przed nimi strzelał w niebo idealny stożek metalowego wulkanu, plujący w chmury gorącymi gazami. Zewnętrzne mikrofony tłumiły nieco ryk procesora.

- Ile takich tu jest? - spytała Ripley Burke'a.

- Trzydzieści albo coś koło tego. Nie wiem, gdzie dokładnie są, nie znam namiarów. Są rozrzucone po całej planecie. Właściwie nie, nie rozrzucone. Są tak rozlokowane, żeby zapewnić optymalną emisję gazów do atmosfery. Każdy jest w pełni zautomatyzowany, a ich wydajność jest kontrolowana z Centrum Operacyjnego w Hadley. Intensywność emisji jest dostosowana do aktualnego składu powietrza. Kiedyś, kiedy atmosfera stanie się prawdziwie ziemską, wyłączą się samoczynnie. Ale do tego czasu będą pracowały na okrągło, całą dobę, przez następne dwadzieścia, trzydzieści lat. Są drogie i niezawodne. Tak przy okazji, to nasz produkt.

Przy gigantycznej, masywnej wieży prom wyglądał jak maleńki dryfujący pyłek. Robiła wrażenie. Jak wszyscy ci, których praca zawiodła w kosmos, Ripley słyszała



o urządzeniach terraformacyjnych, ale nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek ujrzy je na własne oczy.

Gorman poruszył dźwignią, obrócił zewnętrzne kamery i skierował je lekko w dół. Ujrzeni przed sobą milczące dachy niskich zabudowań.

- Trzymaj na czterdziestu - rozkazał Ferro przez mikrofon konsoly. - Zatocz wolny krąg nad kompleksem. Nie sądzę, byśmy coś zauważyli, ale takie są przepisy, więc zrobimy krąg.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała. - Ale trzymajcie się tam. Kiedy będziemy schodzili po spirali, może trochę rzucać. Pamiętajcie, że to nie samolot, tylko parszywy prom zrzutowy. Wyrafinowane manewry suborbitalne nie należą do jego najmocniejszych stron.

- Róbcie, co mówię, kapralu, i przestańcie już gadać.

- Taa jest, panie poruczniku. - Ferro dodała coś jeszcze, tym razem cicho, i mikrofon tego nie wychwycił. Ripley wątpiła, czy było to coś pochlebnego.

Robili krąg nad miastem. Między budynkami nie zauważyli żadnego ruchu.. Kilka światełek, które dostrzegli już wcześniej, świeciło nadal. W tle słyszeli nieustanny ryk procesora.

- Wszystko całe i nienaruszone - skonstatował Burke. - Może rozłożyła ich jakaś zaraza?

- Może - mruknął Gorman. Te budowle, myślał, te budowle wyglądają jak wraki starożytnych statków na dnie morza... - Sierżancie - rzucił ostro - zaczynamy.

Kabina osobowa transportera. Apone wstał i przytrzymał się uchwyty; dmący nieustannie wicher mocno kołysał promem. Sierżant spojrział na swoich żołnierzy.

- No dobra. Słyszeliście, co powiedział porucznik. Chcę, żeby tym razem wyjście i rozwinięcie szyku było na medal, jasne? uważajcie na tych przed wami. Ktoś komuś nastąpi na odcisk, dam mu kopa w dupę i wróci na statek, zrozumiano?

- Czy dajesz na to słowo, Apone? - spytał niewinnie Crowe.

Wierzbowski rozciągnął usta w uśmiechu.

- Hej, Crowe, chcesz do mamusi?

- Szkoda, że jej tu nie ma - odrzekł szeregowy. - Podłogę by wami zamiatała.

Ruszyli w stronę przedniej śluzy, przeciskając się koło centrum dowodzenia. Vasquez trąciła łokciem Ripley.

- Zostajesz? - spytała.

- Nie ruszę się stąd na krok.

- Tak myślałam. - I Vasquez poszła dalej, wbijając wzrok w tył głowy Drake'a.

- Siadamy sześćdziesiąt metrów od masztu telemetrycznego, z tej strony - rozkazał Gorman przesuwając obiektyw kamery. W dole wciąż nie dostrzegali ani śladu życia. Na "jazda" natychmiast startujecie. Potem wejdźcie w jakąś spokojną chmurkę i pełne pogotowie bojowe, zrozumiano?

- Zrozumiano - odparła służbiście Ferro.

Apone nie odrywał wzroku od chronometru wmontowanego w rękaw skafandra.

- Dziesięć sekund... Uwaga!

Na wysokości stu pięćdziesięciu metrów nad lądowiskiem kolonii automatycznie włączyły się zewnętrzne światła promu. Potężne reflektory rozpraszały mrok na zadziwiająco odległość. Asfalt był mokry i upstrzony naniesionym przez wiatr śmieciami, co nie przeszkodziło, że Ferro wykonała precyzyjny i dokładnie wyliczony manewr lądowania. Hydrauliczne łapy zneutralizowały wstrząs, gdy tony metalu spoczęły na powierzchni Acherona. Sekundy później z ładowni promu wytoczył się z rykiem transporter i pełnym gazie zaczął uciekać od macierzystego statku. Ledwie dotknąwszy asfaltu lądowiska, prom wystartował i grząc silnikami, zniknął w mrocznych przestworzach.

Transporter pędził w stronę najbliższego z milczących budynków kolonii. Nic nie stało mu na przeszkodzie, nic nie zmateriałizowało się z ciemności, by stawić mu czoła, by go zaatakować. Spod masywnych, opancerzonych kół tryskały strugi wody i błotnistej mazi. Maszyna zarzuciła gwałtownie w lewo, tak, że drzwi desantowe znalazły się dokładnie naprzeciwko bramy, za którą leżała kolonia. Nie zdążyły się jeszcze dobrze otworzyć, kiedy wyskoczył z nich Hudson. Wyskoczył i zaczął biec w stronę kompleksu. Za nim jego koledzy. Rozwijali tyralierę, sprawnie, szybko, żeby - nie tracąc siebie z oczu - objąć jak największą przestrzeń.

Apone nie spuszczał wzroku z ekranu wzmacniacza optycznego, zamontowanego w osłonie hełmu. Lustrował otaczające ich budynki. Komputer, który stanowił integralną część skanera, wzmacniał dostępną wiązkę światła i maksymalnie ją oczyszczał. W rezultacie otrzymywało się obraz posępny i przekonastowany, ale do przyjęcia.

Architektura kolonii była zdecydowanie prosta, funkcjonalna. Na upiększenie otoczenia czas miał przyjść później, gdy wichry ucichną i przestaną niweczyć wszelkie, nawet najskromniejsze wysiłki ludzi. Między budynkami wały się smagane wiatrem kamienie i okruchy skał; były za ciężkie, żeby wichura je zabrała. Kawał metalu kołyszący się na nierównym podłożu tłukł beznamiętnie w pobliską ścianę. Burza tłumiała echo uderzeń. Nieco dalej migotało nierówno kilka neonów.

W słuchawkach żołnierzy zabrzmiał szorstki rozkaz Gormana:

- Pierwsza drużyna na linię. Hicks, ustaw swoich ludzi w kordon między bramą a transporterem. Uważajcie na tyły. Vasquez, na stanowisko. Wykonać.

Podeszli do bramy. Nikt nie oczekiwał, że będzie na nich czekać komitet powitalny. Nie zakładali też, że - ot tak, po prostu - otworzą zamek i bez przeszkód wejdą na teren kolonii. A jednak przeżyli coś w rodzaju lekkiego szoku, gdy przed bramą natknęli się na dwa ciężkie spychacze, ustawione przodem do siebie.

Blokowały wejście. Mogło to oznaczać tylko jedno: ci w środku nie chcieli kogoś do siebie wpuścić. Świadomie i celowo.

Vasquez dotarła do traktorów pierwsza. Stała i ostrożnie zajrzała do kabiny najbliższego. Po całym wnętrzu poniewierały się szczątki roztrzaskanych i rozprutych urządzeń sterowniczych. Vasquez precyzyjnie się beznamiętnie między maszynami i flegmatycznie zameldowała:

- Wszystko rozwalone w drobny mak. Jakby łomem wymłócił. Dotarła do wrót i szybkim ruchem głowy dała znak Drake'owi, który ubezpieczał ją z prawej. Nadbiegł Apone. Rzucił okiem na spychacze, podszedł do bramy i dotknął pokręteł zamka. Obracał nimi na wszystkie strony, próbował każdej kombinacji. Lampki kontrolne były martwe. Nie zaświeciła się żadna.

- Uszkodzony? - spytał Drake.

- Zaczopowany. To różnica. Chodź no tu, Hudson. Trzeba założyć bocznik.

Czas dowcipkowania minął. Skupiony Hudson odłożył broń i pochylił się nad zamkiem.

- Typowy model - oznajmił po krótkiej chwili. Za pomocą narzędzia, które wydobył z przegródki na pasie, zerwał osłonę i obejrzał mechanizm. - Zaraz się zrobi, panie sierżancie.

Mimo zimna i wiatru rozważnymi, zwinnymi ruchami palców zaczął sztukować zerwane obwody. Apone i reszta czekali. I obserwowali.

- Pierwsza drużyna - warknął sierżant - zbiórka przy bramie głównej.

Tablica, która zerwała się z zamocowań na wysokich betonowych słupach, pojękiwała i skrzypiała na wietrze. A wiatr wył wokół nich, szarpiąc nie tyle ciała, co nerwy.

Hudson zwarł przewody. Lampki kontrolne zamigotały kapryśnie. Walcząc z warstwą pyłu zgromadzonego na przewodnicach, zgrzytając i piszcząc olbrzymie wrota drgnęły i zgodnie z rytmem, w jakim pulsowały światełka, zaczęły się rozwierać. Gdy rozwarły się do połowy, utknęły. Wystarczyło. Aż zanadto.

Apone dał znak Vasquez. Z wysuniętą do przodu lufą elpeemu weszła do środka. Za nią reszta.

W głośnikach hełmów zaskrzeczał rozkaz Gormana:

- Druga drużyna naprzód. Osłaniać skrzydła, trzymać się blisko siebie. Jak to wygląda, sierżancie?

Apone zlustrował wnętrze milczącej budowli.

- Na razie czysto, panie poruczniku. Chyba nikogo nie ma w domu.

- Dobra. Druga drużyna, przystąpić do rozpoznania. Uważać na tyły. - Porucznik wygospodarował moment, żeby rzucić okiem na stojącą za nim Ripley. - Dobrze się pani czuje? - spytał.

Nagle zdała sobie sprawę, że oddycha za szybko, jak gdyby przed chwilą dobiegła do mety maratonu. Zła na siebie, zła na Gormana za jego troskliwość, skinęła krótko głową. Porucznik wrócił do swojej konsoly.

Vasquez i Apone szli szerokim opustoszałym korytarzem. W górze żarzyło się kilka niebieskawych lampek. Oświetlenie awaryjne, akumulatory na wyczerpaniu. Nie wiadomo od jak dawna pracują. Ludziom towarzyszył wiatr. Gwizdał w metalowej alei. Na podłodze - kałuże wody. Nieco dalej przestrzelinami w suficie do środka wpadał deszcz. Apone zadarł głowę. Kamera na hełmie zarejestrowała dowody wymiany ognia i przekazała obraz do centrum dowodzenia w transporterze.

- Strzelby impulsowe - mruknął tłumacząc pochodzenie wyszczerbionych dziur.  
- Ktoś tu kiepsko strzela... W centrum dowodzenia Ripley spojrzała ostro na Burke'a.

- Ludzie złożeni chorobą nie biegają z karabinami i nie strzelają na oślep w swoim domu. Ludzie, którym siadł sprzęt tele, też tak nie postępują. Coś innego każe im to robić.

Burke wzruszył tylko ramionami i wbił wzrok w ekrany monitorów.

Apone wciąż patrzył na przestrzeliny. Zrobił minę.

- Fatalnie to wygląda... - skonstatował; była to opinia natury profesjonalnej, nie estetycznej.

Bo starszy sierżant Apone nie tolerował fuszerki. Oczywiście, tak, to przecież tylko koloniści, tłumaczył sobie w duchu. Inżynierowie, technicy budowlani, ludzie z obsługi. Nie ma tu żołnierzy. Może jeden czy dwóch gliniarzy. Wojska tu nie potrzebowali. Do teraz. A teraz? Dlaczego akurat teraz? Spojrzał w głąb korytarza, poszukując odpowiedzi. Ale widział tylko ciemność. Wiatr naigrywał się z niego.

- Idziemy - rzucił.

Vasquez szła przodem. Ruszała się bardziej precyzyjnie niż jakikolwiek robot. Lufa elpeemu przesuwiała się nieustannie to w lewo, to w prawo, ogarniając co kilka sekund każdy cal korytarza. Patrzyła w dół, ale nie na podłogę, skupiając się na detektorze ruchu. Z boku i z tyłu pobrzmiwało echo kroków. Tylko przed nią panowała cisza.

Gorman stukał palcem obok dużego czerwonego przycisku.

- Podzielić się i prowadzić rozpoznanie dwójkami. Druga drużyna do środka. Hicks, wejdiesz na górny poziom. Włącz detektor. Zauważycie coś, cokolwiek, natychmiast meldować.

Ktoś zaryzykował kilka taktów a capella z arii Thora, ze Złota Renu, pieśni przyzywającej burzę. Chyba Hudson, Ripley jednak nie była pewna, a nikt się jakoś nie przyznał. Próbowwała obserwować wszystkie ekraniki jednocześnie. Każdy mroczny zaułek korytarza był dla niej bramą do piekieł, każdy cień śmiertelnym zagrożeniem. Z trudem utrzymywała w miarę spokojny oddech.

Hicks wprowadził swoich ludzi na zapuszczone schody wiodące na drugi poziom. Korytarz, na który wyszli, może nieco węższy, lecz równie opustoszały, był lustrzanym odbiciem korytarza pod nimi. Miał jeden plus: nie docierał tu wiatr.

Stojąc w środku zwartej grupy żołnierzy, Hicks wy dostał niewielkie metalowe pudełko z przezroczystą szybą. Jak większość sprzętu na wyposażeniu piechoty kolonialnej, zawierało mechanizm bardzo delikatny, ale z zewnątrz było niezwykle mocno opancerzone. Skierował je w głąb korytarza i manipulował chwilę pokrętłami. Na obudowie rozjarzyło się kilka diod. Wskaźnik ani drgnął. Hicks przesunął detektorem od prawej strony do lewej.

- Nic - zameldował. - Ani śladu ruchu, ani śladu życia.

- Naprzód. - Sądząc po głosie, Gorman przeżył chyba lekkie rozczarowanie.

Hicks szedł, trzymając przed sobą detektor. Żołnierze obstawiali go z przodu, z tyłu i z boków. Mijali pokoje i biura. Niektóre drzwi stały otworem, inne zostały na głucho zamknięte. Wszystkie wnętrza były do siebie podobne i nie zawierały żadnych niespodzianek.

Im dalej szli, tym wyraźniejsze widzieli ślady walki. Poprzewracane meble, porozrzucane papiery. Dyski magnetyczne do przechowywania danych stratowane na podłodze, nieodwracalnie zniszczone. Rzeczy osobiste, tak kosztowne w transporcie, rzucone bezmyślnie w ką, roztrzaskane, zdewastowane. Bezценne książki z prawdziwego papieru rozmokłe w kałużach wody, która ciekła z oszronionych rur i z otworów w suficie.

- Wygląda jak mój pokój w akademiku. - Burke chciał być dowcipny. Nie wyszło.

Kilka pomieszczeń, które minęła drużyna Hicksa, nie tylko wywrócono do góry nogami, ale i spalono. Na ścianach z metalu i kompozytów widniały czarne, smoliste bruzdy. W kilku pomieszczeniach biurowych wybito potrójne szyby z pancernego szkła. Przez otwór wdzierał się do środka wiatr i deszcz. Hicks wszedł do jednego z takich biur i podniósł ze stołu nie dojezdzone pączek. Filiżankę stojącą obok wypełniała woda. Na podłodze wały się odłamki ciemnego matowego szkła. Wyglądały jak owady grasujące w kałużach.

Tymczasem ludzie Apone'a systematycznie przeczesywali poziom niższy. Działali parami, które funkcjonowały jak jeden organizm. Przeszukiwali maleńkie, skromne pomieszczenia mieszkalne kolonistów, jedno po drugim. Niewiele tam było do oglądania. Hudson szedł tuż obok Vasquez, bacznie obserwując wskaźnik detektora ruchu. W pewnym momencie podniósł wzrok, by spojrzeć na charakterystyczną plamę na ścianie. Wiedział, co to jest, nie potrzebował do tego skomplikowanych analizatorów elektronicznych: skrzepła krew. Ripley, Burke i Gorman też ją widzieli. Nikt nie powiedział ani słowa.

Nagle detektor Hudsona cichutko pisnął. W pustym korytarzu ledwo słyszalny dźwięk zabrzmiał wprost ogłuszająco. Vasquez z bronią gotową do strzału obróciła się błyskawicznie na pięcie. Wymienili z Hudsonem szybkie spojrzenia. Hudson skinął głową i ruszył wolno do uchylonych, na wpół wyrwanych z futryny drzwi. Podobnie jak ściana wokół nich, były upstrzone otworami po pociskach ze strzelby impulsowej.

Kiedy kapral usunął się z drogi, Vasquez podeszła cichutko do zniszczonych drzwi i silnie je kopnęła. Jeszcze ułamek sekundy, jeszcze krótko, króciutka chwila, a zwolniłaby spust, siejąc w pokoju śmiertelne spustoszenie.

Na elastycznym kablu zwisała ciężka skrzynka przyłączowa. Poruszana wiatrem wpadającym do środka przez wybite okno, kiwała się jak wahadło i uderzała o poręcz dziecięcej koi.

- Detektory ruchu, cholera - rzuciła gardłowo Vasquez. - Jak ja ich nienawidzę.  
Zawrócili w stronę korytarza.

Ripley patrzyła na monitor przekazujący obraz z kamery Hicksa. Nagle pochyliła się gwałtownie do przodu.

- Zaczekaj! - niech mu pan powie, żeby... - Uzmysłowiwszy sobie że słyszą ją tylko Gorman i Burke, spieszenie podłączyła się do wewnętrznej sieci radiowej. - Hicks, tu Ripley. Widziałam coś na twoim ekranie. Daj trochę do tyłu. - Obraz się zmienił. - Tak, dobra. Teraz w lewo... Tutaj!

Towarzyszący jej porucznik i Burke patrzyli na monitor. Chwiejna panorama ustabilizowała się i kamera Hicksa pokazywała teraz fragment ściany pełen dziur, wyżłobień i zagłębień. Ripley poczuła na karku lodowate zimno. Wiedziała, co było przyczyną deformacji układających się w charakterystyczne, nieregularne wzory.

Hicks przeciągnął rękawicą po chropowatym metalu. - Dobrze widać? - spytał. - Chyba stopiony...

- Nie stopiony - poprawiła go Ripley. - Zżarty kwasem.

Burke spojrział na nią i uniósł brew.

- Hmm... kwas zamiast krwi, co?

- Wygląda na to, że ktoś tu rozwalił jednego z tych twoich potworków, Ripley. - Hicks był chyba pod mniejszym wrażeniem niż przedstawiciel Towarzystwa.

Hudson przeprowadzał inspekcję na niższym poziomie. Teraz skinął na kolegów, by do niego podeszli.

- Hej, jeśli tamto się wam podobało, przy moim znalezisku oszalejecie ze szczęścia!

Porucznik, Burke i Ripley przenieśli wzrok na monitor rozgadanego szeregowca.

Hudson patrzył w dół. Stopy ustawił po obu brzegach ziejącej w podłodze dziury. Gdy się pochylił, w głębi, dokładnie pod nią ujrzeli następną dziurę, a jeszcze niżej w słabym świetle reflektora majaczył fragment poziomu serwisowego.

Rury, przewody, okablowanie - wszystko było przeżarte jakimś niezwykle silnym kwasem.

Apone zbadał otwór i rzucił do mikrofonu:

- Druga drużyna, odezwijcie się. Co u was?

Odpowiedział mu głos Hicksa:

- Właśnie skończyliśmy swoją działkę. Nikogo tu nie ma. Czysto.

Starszy sierżant skinął głową i zameldował do centrum dowodzenia:

- To wymarły kompleks, panie poruczniku. Wymarły i opustoszały. Na Acheronie bez zmian, że tak powiem. Nic tu po nas. Już po zabawie.

Drake kopnął butem kawał przeżartego metalu.

- I znów się spóźniliśmy, cholera... - mruknął.

Gorman usiadł wygodniej. Przybrał zamyślony wyraz twarzy.

- No tak... A więc teren jest bezpieczny. Sprawdźmy, co nam powie ich komputer. Pierwsza drużyna, do bloku sterowniczego. Wiesz, gdzie to jest, Apone?

Apone trącił palcem przełącznik na rękawie. Ekran wbudowany w osłonę jego hełmu pokazał mapę kolonii.

- To ten wysoki budynek, który widzieliśmy, schodząc do lądowania. To niedaleko, panie poruczniku. Ruszamy.

- Dobrze. Hudson, kiedy tam dotrzecie, spróbuj podłączyć ich CPU. Ale nie szalej. Nie chcemy go używać, chcemy tylko trochę pogadać, jasne? Hicks, idę do was. Czekaj na mnie przy południowym wejściu, koło wspornika. Koniec.

- I dobrze. - Hudson chętnie by splunął, ale nie nawinął mu się odpowiedni cel. - Gorman tu idzie. Od razu poczułem się bezpieczniej.

Vasquez również dorzuciła swój komentarz. Przedtem jednak wyłączyła mikrofon.

Transporter sunął główną aleją kolonii. W świetle potężnych łukowych reflektorów widać było brudne, wypolerowane przez wiatr ściany budynków. Minęli kilka mniejszych pojazdów, które parkowały w osłoniętych zaułkach. Wpadali niekiedy w wielkie dziury wypełnione wodą, a wówczas spod sześciu lśniących kół tryskały strumienie błota. Amortyzatory neutralizowały wstrząs i jechali dalej. Krople niesionego wiatrem deszczu uderzały wściekle o szyby reflektorów.

W kabinie kierowców siedzieli Bishop i Wierzbowski. Człowiek i syntetyk współpracowali w idealnej zgodzie. Szanowali się wzajemnie za swoje umiejętności. Obaj na przykład wiedzieli, że Wierzbowski mógł zignorować każdą radę Bishopa. Jednak obaj wiedzieli też, że człowiek tego najpewniej nie zrobi.

Wierzbowski zerknął w peryskop i kiwnął głową.

- To chyba tam.

Bishop rzucił okiem na mapę pulsującą jaskrawymi kolorami.

- Tak, na pewno. W pobliżu nie ma innego wejścia. Pochylił się nad kierownicą i ciężki transporter skręcił w stronę przepastnego otworu widniejącego w ścianie opodal.

- Jest Hicks.

Maszyna zahamowała. Z otwartego luku wyszedł starszy kapral. Stał i czekał, spoglądając na drzwi dla załogi. Drzwi rozsunęły się i jako pierwszy na ziemię zeskoczył Gorman. Tuż za nim Burke, Bishop i Wierzbowski. Burke obejrzał się i poszukał wzrokiem ostatniej pasażerki transportera. Tkwiła w drzwiach. Wahala się. Nie patrzyła na niego. Całą uwagę skupiła na mrocznym wejściu prowadzącym w głąb kolonii.

- Ripley...?

Spojrzała na Burke'a. W odpowiedzi pokręciła gwałtownie głową.

- Teren jest absolutnie bezpieczny, Ripley. Słyszałaś, co powiedział, Apone. - Burke był dla niej wyrozumiały, a przynajmniej się starał.

Znów przeczący ruch głową.

W słuchawkach usłyszeli głos Hudsona:

- Panie poruczniku, podłączyliśmy już CPU.

Dobra robota, Hudson - rzekł Gorman. - Czekajcie na nas w bloku. Już idziemy.

- Dał znak żołnierzom. - Ruszamy.



## 6.

Kiedy przyglądało się zniszczeniom osobiście, wyglądały znacznie gorzej niż na ekranach w centrum dowodzenia.

- Tę kolonię twoja firma może chyba spisać na straty - mruknął Gorman do Burke'a.

Przedstawiciel Towarzystwa nie sprawiał wrażenia człowieka zatroskanego.

- Budynki są w większości nienaruszone - odparł. - Reszta jest ubezpieczona.

- Taa - wtrąciła Ripley. - A koloniści?

- Jeszcze nie wiemy, co się z nimi stało - odrzekł nieco poirytowany.

Wewnątrz kompleksu było chłodno. Na skutek awarii zasilania ogrzewanie nie działało, a nawet gdyby działało, zimno wpadające do środka przez wybite szyby i przez wyrwy w ścianach szybko zablokowałoby urządzenia klimatyzacyjne. Ripley stwierdziła, że się poci, chociaż reagujący na temperaturę ciała skafander robił, co mógł, by zapewnić jej dobre samopoczucie. Jak pozostali żołnierze, nieustannie rozglądała się wokoło, jak oni sprawdzała każdą dziurę w ścianie, każdy mroczny zaułek.

Tak, tutaj wszystko się zaczęło. Stąd przyszedł obcy. Nie miała najmniejszych wątpliwości: w bazie Hadley grasował potwór identyczny jak ten, który doprowadził do unicestwienia Nostromo i do śmierci jego załogi.

Oglądała zdewastowany korytarz, wypalone biura i magazyny. Hicks wyczuł jej zdenerwowanie i dał milczący znak Wierzbowskiemu. Ten skinął niezauważalnie głową, dostosował krok i szedł teraz po prawej stronie Ripley. Hicks zwolnił i dobił do nich z lewej. Ubezpieczali ją. Zauważyła ich manewry i zerknęła na kaprała. Mrugnął do niej, a może jej się tak tylko zdawało, bo zrobił to bardzo szybko. Równie dobrze mógł sobie zaproszyć oczy, myślała. Nawet w korytarzu wiał wiatr. Nawet tutaj ciskał ziarenkami piasku i płatami sadzy.

Z bocznego korytarza przed nimi wyszedł Frost i skinął na idących. Meldował Gormanowi, choć patrzył na Hicksa:

- Panie poruczniku, musi pan rzucić na to okiem.

- O co chodzi, Frost? - Gorman chciał jak najszybciej dotrzeć do bloku sterowniczego, na spotkanie z Apone'em.

- Ale szeregowy nalegał.

- Prościej będzie, jak pan sam zobaczy.

- No dobrze. Tędy? - Gorman machnął ręką w głąb korytarza.

Frost kiwnął głową i ruszył w ciemność. Poszli za nim. Zaprowadził ich do skrzydła pozbawionego prądu. Światła reflektorów na hełmach wyławiały z mroku obraz zniszczeń, jakich jeszcze tu nie widzieli. Ripley czuła, że cała się trzęsie. Jej myśli zdominował nagle transporter, bezpieczny, silnie opancerzony i masywny

transporter, który czekał tak niedaleko stąd. Gdyby biegła ile sił w nogach, dotarłaby tam w kilka minut. I znów byłaby sama. Tak, wiedziała, że bez względu na to, jak pewne miałyby tam schronienie, bezpieczniejsza będzie tutaj, w otoczeniu żołnierzy. Wciąż to sobie powtarzała i szła dalej.

Frost pokazał ręką.

- Tutaj, panie poruczniku.

Korytarz był zamknięty. Ktoś wznosił w nim zaporę z pospawanych rur, stalowych płyt, zapasowych drzwi, z wykładzin sufitowych i z ceramicznych płytek podłogowych. Naprędce skleconą barykadę pokrywały szramy i blizny po kwasie. Jakaś straszliwa, wręcz odrażająca siła rozerwała i powyginała metal. Tuż koło miejsca, gdzie stał Frost, zapora była rozpruta niczym stara puszką po zupie. Po kolei przecisnęli się wąskim przejściem do środka.

Reflektory omiotły zrujnowane wnętrze.

- Czy ktoś wie, gdzie jesteśmy? - spytał Gorman.

Burke spojrział na podświetloną mapę kolonii.

- W skrzydle medycznym, w prawym sektorze. Sterylnie to tu raczej nie jest...

Rozeszli się. Poprzewracane stoły i szafki, połamane krzesła, drogie narzędzia chirurgiczne na posadzce. Drobnny sprzęt medyczny walał się dosłownie wszędzie, niczym stalowe konfetti. Kilka stołów i mebli ułożono w wielki stos, wzmocniony śrubami i przyspawany od wewnątrz do barykady, która miała odciąć skrzydło medyczne od reszty kompleksu. Czarne, okopcone smugi wskazywały miejsca, gdzie wybuchł pożar, którego nikt już nie ugasił. Wszędzie widniały bruzdy po kwasie i przestrzeliny.

Chociaż nie świeciły się tu lampy, skrzydło nie było jednak kompletnie odcięte od źródła prądu. Kilka nielicznych urządzeń i konsol tonęło w nikłej poświacie zasilania awaryjnego.

W ścianie koło Wierzbowskiego ziała dziura wielkości piłki futbolowej. Szeregowy przesunął rękawicą po jej krawędzi.

- Ostatnia placówka. Uciekli tutaj i zabarykadowali się - skonstatował.

- Logiczne posunięcie. - Gorman kopnął plastikową butelkę; była pusta. - W skrzydle medycznym są największe akumulatory, tym samym najdłużej mieli prąd. No i oczywiście własne zapasy. Też bym tu szukał schronienia. Znaleźliście jakieś zwłoki, szeregowy?

Frost omiatał światłem drugi koniec sali.

- Nie. Jak wchodziłem, nie było tu żadnych zwłok. Teraz też ich nie widać. Taaa - mruknął. - Nieźle musieli tu walczyć.

- Twoje potworki dały chyba nogę, Ripley. - Wierzbowski rozejrzył się dookoła.

- Ripley? - Zacisnął palec na spuście strzelby impulsowej. - Hej, gdzie jest Ripley?!

- Tutaj.

Idąc za jej głosem, trafili do pomieszczenia obok. Burke rzucił tylko okiem i stwierdził:

- Laboratorium. Nawet tu porządek. Tutaj walka już chyba nie dotarła. Musieli ją przegrać w tamtym sektorze. Wierzbowski lustrował skapo oświetlone laboratorium, aż znalazł to, co przykuło uwagę Ripley. Mruknął coś pod nosem i ruszył w tamtą stronę. Pozostali za nim.

W drugim końcu laboratorium stało siedem cylindrycznych pojemników. Świeciły fioletowym światłem, które miało chronić okazy umieszczone w wypełniającym je konserwancie. Wszystkie działały.

- Bimbrownia. Ktoś tu pędzi krzakówkę - rzucił Gorman. Nikt się nie roześmiał.

- Pojemniki zastojowe - wyjaśnił Burke. - Standardowe wyposażenie laboratorium medycznego w kolonii tej wielkości. - Podeszedł bliżej.

Siedem pojemników na siedem okazów. Każdy cylinder zawierał coś, co wyglądało jak odcięta dłoń z nadmiarem palców. Ciała, do których palce przylegały, były spłaszczone i pokryte materiałem przypominającym beżową skórę, cienkim i przezroczystym. Wszystkie unosiły się leniwie w cieczy. Nie miały żadnych widocznych organów wzrokowych czy słuchowych. Z tyłu każdego potworka zwisał bezwładnie długi ogon. Ogony dwóch okazów były ciasno zwinięte i podkurczone pod brzuchem.

Nie odrywając oczu od cylindrów. Burke spytał:

- Czy to są stworzenia, które opisałeś w raporcie. Ripley? Te... twarzołapy?

Skinęła w milczeniu głową.

Zafascynowany, Burke nachylił się nad jednym z pojemników. Jego twarz stykała się niemal z pancernym szkłem. - Uważaj - ostrzegła go Ripley.

Nie zdążyła jeszcze zamknąć ust, gdy stworzenie uwięzione w cylindrze szarpnęło się, rzuciło w jego stronę i grzotnęło w wewnętrzne obramowanie zbiornika. Przerażony Burke odskoczył do tyłu. Z brzusznej części spłaszczonego, dłoniastego ciała wysunęła się cienka, mięsista rurka. Gdy niczym ohydny jęzor przywarła do szkła, wyglądała jak stożkowaty fragment ludzkiego jelita. Po chwili cofnęła się i zwinęła za ochronną pochewką, wrosniętą w coś, co przypominało skrzela. Palce i ogon wróciły do pozycji wyjściowej.

Hicks zerknął obojętnie na Burke'a. - Lubi pana - rzucił.

Burke nie odpowiedział. Szedł wzdłuż rzędu pojemników, uważnie im się przypatrując. Szedł i do każdego przyciskał rękę. Tylko jeden z pozostałych sześciu okazów zareagował jak ten pierwszy. Inne wisiały w cieczy z bezwładnie zwisającymi ogonami i palczastymi kończynami.

- Te są martwe - skonstatował, gdy zakończył badanie ostatniego cylindra. - Tamte dwa żywe. Chyba że trwają w jakimś specyficznym stanie. Ale wątpię. Spójrzcie, te martwe mają zupełnie inny kolor. Są jakby wyblakłe...

Na każdym zbiorniku leżał skoroszyt. Zebrawszy się w sobie, zachowując maksymalne opanowanie, Ripley zdołała zdjąć skoroszyt z cylindra zawierającego żywe stworzenie. Cofnęła się szybko, otworzyła teczkę i przyświecając sobie reflektorem na helmie, zaczęła czytać. Oprócz wydruków pełno tam było zestawień i wykresów sonograficznych. Były również dwie klisze ukazujące nuklearne widmo rezonansowe budowy wewnętrznej stworzenia, lecz obie bardzo niewyraźne. Na marginesach wydruków komputerowych widniały liczne notatki. Lekarski charakter pisma, zdecydowała. Notatki były w większości nieczytelne.

- Coś interesującego? - Burke pochylał się nad zbiornikiem, z którego wzięła skoroszyt, i ze wszystkich możliwych stron oglądał uwięzione w nim zwierzę.

- Na pewno, ale jak dla mnie zbyt techniczne i naukowe. - Postukała palcem w teczkę. - To sprawozdanie lekarza. Niejakiego doktora Linga.

- Chester O. Ling... - Burke zastukał paznokciem w szklany cylinder. Tym razem stworzenie nie zareagowało. - W bazie pracowało trzech lekarzy. O ile pamiętam, Ling był chirurgiem. No i jakie miał uwagi na temat naszego milusińskiego?

- Ten okaz usunięto chirurgicznie przed zakończeniem procesu wszczepiania się embrionu w ciało nosiciela. Typowa procedura chirurgiczna okazała się nieskuteczna.

- Ciekawe dlaczego? - Gorman interesował się okazami jak inni, lecz nie do tego stopnia, by oderwać wzrok od reszty pomieszczenia.

- Tradycyjne instrumenty zostały zniszczone przez płyny organiczne zwierzęcia. Musieli użyć lasera chirurgicznego, żeby usunąć i skauteryzować okaz. Przywarł do kogoś nazwiskiem John L. Marachuk. - Spojrzała na Burke'a, ale ten pokręcił tylko głową.

- To nazwisko nic mi nie mówi. Na pewno nikt z zarządu ani z wyższego kierownictwa. Może kierowca ciągnika albo robotnik.

Ripley zerknęła do skoroszytu.

- Umarł podczas zabiegu. Zabili go, kiedy mu to zdejmowali.

Hicks podszedł bliżej i chcąc rzucić okiem na sprawozdanie, zajrzał Ripley przez ramię. Nie zdążył przeczytać ani słowa. Jego detektor wyemitował nieoczekiwany i przeraźliwie głośny pisk.

Żołnierze obrócili się, sprawdzając najpierw wejście do laboratorium, później każdy ciemniejszy kąt pomieszczenia. Hicks skierował urządzenie na barykadę.

- Gdzieś z tyłu, za nami. - Ruchem głowy wskazał korytarz, z którego niedawno wyszli.

- Ktoś z naszych? - Ripley przysunęła się odruchowo do kaprała.

- Nie wiadomo. To cacko to nie szwajcarski zegarek. Zaprojektowali je tak, że każdy głupi prostak jak ja może nim walić po ścianach, a ono nic, działa dalej. Ale myśleć niestety nie umie.

Gorman przysunął mikrofon do ust.

- Apone, jesteście w skrzydle medycznym i coś tu mamy. Gdzie są twoi ludzie?

- Rzucił okiem na mapę. - Czy ktoś od was jest w bloku "D"?

- Nie. - Wszyscy słyszeli stłumioną odpowiedź starszego sierżanta. - Jesteśmy w bloku sterowniczym, zgodnie z rozkazem. Przysłać panu kogoś?

- Na razie nie. Będziemy was informować na bieżąco. - Odepchnął mikrofon. - Idziemy, Vasquez.

Kiwnęła sztywno głową i szybkim, płynnym ruchem oparła elpeem na wysięgniku. Rozległ się stanowczy, metaliczny trzask i broń była gotowa do strzału. Vasquez i Hicks ruszyli w kierunku źródła sygnałów. Frost i Wierzbowski ubezpieczali ich od tyłu.

Kapral zaprowadził ich do głównego korytarza i skręcił w prawo, w labirynt z nierdzewnej stali.

- Coraz silniejszy. Na pewno nie pochodzenia mechanicznego. - W jednej ręce trzymał detektor, w zgięciu łokcia drugiej karabin. - Ruch bardzo nieregularny. Tak przy okazji, gdzie my u diabła jesteśmy?

Burke powiódł wzrokiem po okolicy.

- W kuchni. Jeśli będziemy iść dalej w tym samym kierunku, zaraz znajdziemy się w sektorze ze sprzętem do przetwarzania żywności.

Ripley zwolniła i szła teraz za Wierzbowskim i Frostem. Uświadomiwszy sobie, że z tyłu, za nią, nie ma już nikogo, że jest tam tylko ciemność, natychmiast przyspieszyła i dogoniła kolegów.

Wkrótce okazało się, że Burke ma dobre rozeznanie w topografii kompleksu. Światło reflektorów zatańczyło na lśniących gładziach masywnego sprzętu: weszli między chłodnie, rozmrażacze, piece i sterylizatory. Hicks nie zważał na nic. Widział tylko wskaźnik detektora.

- Znów się rusza...

Vasquez lustrowała teren. Oczy miała zimne i skupione. Jej palce pieściły spust elpeemu. Od cholery miejsc na kryjówkę, myślała. Na ich drodze wyrósł długi stół do obróbki żywności.

- Gdzie teraz - rzuciła.

Hicks zawahał się na krótką chwilę, potem ruchem głowy wskazał skomplikowaną maszynę do przerabiania suszonego mięsa i warzyw. Celowo równym, uroczystym krokiem żołnierze ruszyli w tamtą stronę. Wierzbowski potknął się o metalowy kanister i wściekłym kopnięciem usunął go z drogi. Kanister grzmotnął w coś z hukiem, Wierzbowski nie stracił ani równowagi, ani zimnej krwi, za to Ripley omal nie wskoczyła na pobliską ścianę.

Detektor kaprała popiskiwał coraz bardziej miarowo, z coraz większą częstotliwością, niemal brzęczał. Brzęczenie przeszło w ostre zawodzenie i nagle po

ich prawej stronie runął wysoki stos garnków. W mroku za stołami ujrzeli na chwilę jakiś mglisty, niewyraźny cień. Cień drgnął.

Vasquez obróciła się błyskawicznie i zacisnęła palec na spuście. W tym samym momencie strzelba Hicksa grzmotnęła w lufę jej elpeemu. Smuga ognia uderzyła w sufit, wokoło posypał się deszcz stopionego metalu. Vasquez wykonała pół piruet i wrzasnęła na kaprała.

Zignorował ją stanął na linii strzału, skierował reflektor pod rząd stalowych szafek i zastygł w bezruchu. Na całą wieczność. Potem kiwnął palcem na Ripley. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, stopy przyrosły do ziemi. Hicks znów przywołał ją gestem ręki, tym razem gwałtowniejszym i natarczywszym. Oszołomiona, ruszyła ku niemu jak we śnie.

Kaprał schylił się, usiłując skierować reflektor pod wysoką szafę do przechowywania żywności. Ripley kucnęła przy nim.

Pod szafą, niczym znieruchomiały motyl na świetlistej szpilce, tkwiła mała przerażona dziewczynka. Powalana brudem, z wytrzeszczonymi oczyma, kulila się ze strachu przed obcymi. W jednej ręczce trzymała plastikową torebkę z Jedzeniem, na której widniały ślady jej ząbków, drugą ścisnęła kurczowo głowę i włosy dużej lalki. Lalka nie miała tułowia i nigdzie w pobliżu go nie zauważyli. Dziecko było równie brudne, jak wychudzone. Skórę na twarzy miało napiętą i przeźroczytą. Jasne, zmatowiałe i zmierzwione włosy otaczały główkę niczym stalowy wieniec. Dziewczynka wyglądała o wiele delikatniej i mizerniej niż jej zdekompletowana zabawka.

Ripley wyczuła słuch. Dziecko zdawało się nie oddychać.

Oślepią jaskrawym światłem, nagle zamrugęło. Jeden szybki ruch powiek wystarczył, by mózg Ripley zaczął normalnie pracować. Uśmiechnęła się i wolno wyciągnęła rękę do porzuconej dziewczynki.

- Chodź, wyjdź stamtąd - szepnęła uspokajająco. Nie ma się czego bać. Nikt ci nie zrobi krzywdy. - Usiłowała sięgnąć głębiej pod szafę.

Drżąc na całym ciele dziewczynka cofała się, uciekała przed jej palcami. Wyglądała jak królik sparaliżowany światłem nadciągających reflektorów. Niewiele brakowało i Ripley byłaby jej dotknęła. Otworzyła dłoń, chcąc pogłaskać dziecko po wystrzępionej bluzce, ale...

Dziewczynka czmychnęła błyskawicznie w prawo, umykając pod szafkami z niesamowitą zwinnością. Ripley rzuciła się na kolana, podparła łokciami, nie chcąc stracić dziecka z oczu. Hicks też runął na ziemię. Niczym oszalały krab biegł na czworakach wzdłuż rzędu szafek, aż znalazł między nimi małą lukę. Wyciągnął rękę i zacisnął palce wokół delikatnej kostki u nogi. Nagle syknął z bólu i musiał rękę cofnąć.

- Uważajcie! Ona gryzie!

Ripley próbowała schwycić uciekinierkę za drugą kostkę, ale nie trafiła. Chwilę później dziewczynka dopadła przewodu wentylacyjnego z odrzuconą na bok kratą. Nim tam dobiegli, kilkoma zwinnymi ruchami wślizgnęła się do środka. Tu Hicks musiał zrezygnować. W tak wąski otwór nie wszedłby nawet nago, cóż dopiero w ciężkim, obszernym pancerzu.

Ale Ripley nie namyślała się ani sekundy. Z wyciągniętymi ramionami zanurkowała w przewód; biodra ledwo przeszły przez otwór. Odpychając się łokciami i udami, sunęła naprzód. Dziewczynka była tuż-tuż, wciąż uciekała. W wąskiej zamkniętej, przestrzeni oddech Ripley brzmiał nienaturalnie głośno, ale nie na tyle głośno, by zagłuszyć ostry, metaliczny szczęk, jaki dobiegł ją nagle z przodu: dziecko zatrzasnęło przed nią metalową klapę. Ripley rzuciła się na przeszkodę i odepchnęła klapę, nim dziewczynka zdołała zablokować ją od wewnątrz. Grzmotnęła w coś czołem i cicho zakłęła.

Gdy skierowała przed siebie światło reflektora, natychmiast zapomniała o bólu. Dziewczynka wciskała się w niszę małej, kulistej komory, stanowiącej element sieci zaworów bezpieczeństwa systemu wentylacyjnego kolonii. I nie była tu sama.

Otaczały ją poduszki, koce ułożone w sterty, a wszystko przemieszane z kolekcją na chybił trafił zebranych zabawek, wypchanych zwierzątek, lalek, tanich świecidełek, książek z obrazkami i pustych pakietów żywnościowych. Ripley zauważyła tu nawet laserofon na baterię z głośnikiem zasłoniętym dopasowanymi poduszkami. Niecodzienny zbiór musiał być wynikiem szabru. Dziewczynka splądrowała kolonię, zniosła tu wszystko sama i urządziła kryjówkę podług własnego, dziecięcego gustu.

Wygląda raczej jak gniazdo niż pokój... skonstatowała Ripley.

Jakimś cudem dziecko przeżyło. Jakimś cudem dało sobie radę, przystosowało się do zdewastowanego środowiska, gdy dorośli ulegli. Ripley rozważała właśnie znaczenie tego, co widzi, gdy nagle zauważyła, że dziewczynka sunie wolniutko w stronę tylnej ściany, gdzie widniało ujście następnego przewodu. Gdyby się miało okazać, że otwór jest takiej samej średnicy jak klapa, która go zasłaniała, tym razem Ripley nie miałaby żadnych szans.

Dziecko odwróciło się, błyskawicznym skokiem rzuciło przed siebie, lecz w tym samym momencie skoczyła Ripley. Zdołała chwycić dziewczynkę, otoczyć ją ramionami i mocno objąć. Znalazłszy się w pułapce, mała wpadała w szal. Kopała, drapała, biła, próbowała gryźć. Wrażenie było straszne, co więcej, przerażające, gdyż podczas zmagania dziecko milczało jak nieme. Jedynym odgłosem, jaki rozlegał się w ciasnej zamkniętej przestrzeni, był wściekły oddech, choć i oddech miało nienaturalnie stłumiony. Tylko raz w życiu Ripley musiała walczyć z kimś równie małym, z kimś, kto stawiał równie zaciekły opór: z Jonesem, kiedy chciała zaprowadzić go do weterynarza.

Unikając ciosów łokciami i nogami, unikając drobniotkich ostrych ząbków, nieustannie do niej przemawiała :

- Już dobrze, już dobrze, dziecinko, już po strachu. Teraz wszystko będzie dobrze, zobaczysz, teraz jesteś bezpieczna...

Ruchy dziewczynki stawały się coraz wolniejsze. Opadała z sił jak szwankujący silnik. W końcu zwiotczała w ramionach Ripley, wpadła w rodzaj katatoni i pozwoliła się jej utulić. Trudno było patrzeć na tę małą twarzyczkę, trudno było wytrzymać to puste, obojętne spojrzenie. Dygocząc jak w febrze, ze zbielełymi wargami, z rozstrzelonymi, nic nie widzącymi oczami, usiłowała skryć się na piersi dorosłego i uciec od mrocznego, koszmarnego świata, który tylko ona widziała.

Ripley kołysała ją jak do snu, przemawiała spokojnym, monotonnym głosem. Szeptala i jednocześnie uważnie rozglądała się po kryjówce. W pewnej chwili zauważyła coś, co leżało na wierzchu sterty zgromadzonych łupów: oprawiony w ramkę hologram dziewczynki. Nie ulegało wątpliwości, że to wizerunek dziecka, które trzymała w ramionach, ale jakże wielka była między nimi różnica. Bo tamto nosiło piękną, nieskazitelnie czystą sukienkę, uśmiechało się, miało różowitką skórę i świeżo umyte, ładnie zaczesane włosy ozdobione kolorową wstążeczką wplecioną w jasne warkoczyki. Złote litery poniżej układały się w ozdobny napis:

NAGRODA PIERWSZEGO STOPNIA

REBEKA JORDEN

- Ripley? Ripley?! - W przewodzie wentylacyjnym zadudnił głos Hicksa. - Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

- Nie. - Uświadomiwszy sobie, że mogą jej nie słyszeć, powtórzyła nieco głośniejszym głosem: - Wszystko w porządku, nic mi nie jest. Nic... nam nie jest. Wychodzimy. Obie.

Wsunęła do przewodu nogi, później chwyciła dziewczynkę za kostki u nóg i pociągnęła za sobą. Dziecko nie stawiało oporu.



## 7.

Dziewczynka podciągnęła kolana do piersi i skuliła się na krześle. Nie patrzyła w prawo, ani w lewo, ani na żadnego z dorosłych, którzy wbijali w nią zaintrygowane oczy. Całą uwagę skupiła na jakimś odległym punkcie w przestrzeni. Na lewe ramię założyli jej opaskę biomonitora; Dietrich musiała ją dostosować, żeby się nie zsuwała z wychudłej rączki dziecka.

- To jak ona ma na imię? - zagadnął Gorman.

Dietrich studiowała dane z biokomputera. Zanotowała coś w elektronicznym notesie.

- Słucham?

- Jak ona ma na imię? - powtórzył. - Przecież znamy jej imię, prawda?

Zaabsorbowana wskaźnikami, Dietrich skinęła głową.

- Chyba Rebeka.

- O właśnie, Rebeka. - Porucznik uśmiechnął się swoim najmiłszym uśmiechem i położył dłonie na kolanach.

- A Teraz pomyśl, Rebeko, skoncentruj się. Musisz spróbować pomóc nam, żebyśmy mogli pomóc tobie. Bo po to tutaj jesteśmy, żeby ci pomóc. Chciałbym, żebyś opowiedziała nam, co pamiętasz. Wszystko jedno co, cokolwiek. I nie spiesz się, mamy czas. Najlepiej zacznij od samego początku.

Dziewczynka ani się poruszyła, ani też nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie reagowała, ale nie była w stanie śpiączki, milczała, choć nie była niemową. Rozczarowany Gorman wyprostował się na krześle, oparł wygodnie i spojrzał na Ripley, która wracała z dzbankiem gorącej czekolady.

- Gdzie twoi rodzice, dziecko? Musisz spróbować...

- Gorman! Daj jej spokój, dobrze?

Wojskowy chciał zareagować ostro i gwałtownie, ale jego odpowiedź przybrała w końcu formę zrezygnowanego kiwnięcia głową.

- Całkowita blokada umysłowa. Próbowałem wszystkiego, co mi tylko przyszło do głowy, z wyjątkiem krzyku, a tego próbować nie zamierzam. Mogłaby dostać pomieszania zmysłów. Jeśli jeszcze nie dostała.

- Nie, nie dostała. - Dietrich włączyła przenośne urządzenie diagnostyczne i delikatnie zdjęła opaskę z ramienia dziewczynki. - Pod względem fizycznym jest w porządku. Na granicy niedożywienia, ale nie zauważyłam trwałych zmian chorobowych. Cudem jest to, że w ogóle przeżyła na nie przetworzonej, sproszkowanej i zamrożonej żywności. - Spojrzała na Ripley. - Widziałas tam opakowania po jakiś witaminach ?

- Nie miałam czasu na zwiedzanie, a ona jakoś nie chciała służyć mi za przewodnika.

- Tak... Cóż, musiała chyba coś niecoś na ten temat wiedzieć, bo badanie nie wykazuje krytycznych braków witamin w organizmie. Sprytna mała...

- A jej stan umysłowy? - Ripley sączyła czekoladę, spoglądając na nieszczęsne dziecko. Skóra na rękach dziewczynki prześwitywała niczym pergamin.

- Nie można tego stwierdzić na sto procent, ale reakcje motoryczne ma prawidłowe. Nie sędzę, że byśmy mieli do czynienia z blokadą umysłową. Myślę raczej o tymczasowym zahamowaniu.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. - Gorman wstał i ruszył w stronę wyjścia. - Tak czy siak, tracimy z nią tylko czas.

Wyszedł z pokoju i wrócił do sąsiedniego pomieszczenia, by dołączyć do Burke'a i Bishopa, którzy gapili się w monitory głównego komputera bloku sterowniczego koloni. Dietrich odeszła w przeciwną stronę.

Przez chwilę Ripley obserwowała trzech mężczyzn pochylających się w skupieniu nad terminalem, któremu Hudson przywrócił życie. Później uklękła koło dziewczynki. Łagodnym, delikatnym ruchem odgarnęła z jej oczu kosmyk zmierzwionych włosów. Sądząc po reakcji dziecka, równie dobrze mogłaby czesać marmurową rzeźbę. Nie przestając się uśmiechać, podsunęła Rebecę filiżankę z gorącym napojem.

- Masz, spróbuj. Nawet jeśli nie jesteś głodna, na pewno chce ci się pić. Założę się, że bez ogrzewania, bez prądu w tej twojej kryjówce było koszmarnie zimno, prawda? - Przejechała filiżanką pod nosem dziewczynki, żeby poczuła ciepły aromatyczny zapach. - Masz, wypij. To tylko gorąca czekolada. Nie lubisz czekolady?

Ponieważ Rebeka nadal nie zareagowała, Ripley wcisnęła jej filiżankę w dłoń, zagięła palce, następnie podniosła rękę dziewczynki do ust.

Dietrich miała rację co do reakcji motorycznych dziecka. Rebeka piła mechanicznie, nie zwracając uwagi na to, co robi. Trochę czekolady spłynęło jej po brodzie, ale większość zniknęła w wąskim gardziółku na dobre. Ripley odczuła coś w rodzaju satysfakcji.

Nie chcąc nadwierać jej skurczonego żołądka, odsunęła filiżankę od ust dziewczynki, chociaż naczynie było jeszcze na wpół pełne.

- Na razie wystarczy. Sama powiedz, czyż to nie pyszne? Jeśli zechcesz, za chwilę dostaniesz więcej. Nie wiem, co tutaj jadłaś i piłaś, i gdybym dała ci zbyt dużo wysokokalorycznego płynu na raz, mogłabyś się rozchorować. - Znów odsunęła jasny kosmyk włosów z czoła Rebeki. - Biedactwo... Nie lubisz mówić, prawda? W porządku. Chcesz milczeć, będziemy milczeć. W sumie też chyba taka jestem. Odkryłam, że większość ludzi gada i gada, ale tak naprawdę to gadają o niczym. Zwłaszcza dorośli, kiedy rozmawiają z dziećmi. Jak gdyby mówili nie do ciebie, a pod twoim adresem, co? Chcą, żebyś ich cały czas słuchała, ale ciebie

śluchać nie chcą. Myślę, że to bardzo głupie. Że jesteś mała, wcale nie znaczy, że nie masz do powiedzenia czegoś ważnego.

Odstawiła filizankę i przetarła małą chusteczką podbródek. Pod napiętą skórą z łatwością wyczuła ostrą, nie uformowaną jeszcze kość.

- Oho! - Uśmiechnęła się szeroko. - Zrobiłam w tym miejscu czyściutką plamkę! No to teraz nie ma już chyba wyjścia. Trzeba obmyć twarz, bo inaczej będzie się rzucało w oczy.

Z otwartego przybornika wyjęła tubkę ze sterylizowaną wodą i nasączyła chusteczkę. Później przyłożyła tę improwizowaną gąbkę do twarzy dziewczynki i kilkoma silnymi, zdecydowanymi ruchami zmyła nawarstwiony brud i resztki czekolady. Podczas całego zabiegu Rebeka siedziała cicho i spokojnie. Ale jasnoniebieskie oczy drgnęły i po raz pierwszy skupiły się na Ripley.

Ripley z trudem opanowała nagle podniecenie.

- Aż trudno uwierzyć, że pod tym wszystkim kryje się mała dziewczynka. - Z udawanym zdziwieniem przyjrzała się brudnej chusteczce. - Można w tym brudzie kopalnię założyć i rościć sobie prawa do eksploatacji złóż! - Odchyliwszy się do tyłu, spojrzała z uznaniem na swoje dzieło. - Tak, to naprawdę mała dziewczynka, bez dwóch zdań. W dodatku śliczna.

Zerknęła w bok, żeby się upewnić, czy nikt z bloku operacyjnego nie ma zamiaru im przeszkodzić. Gdyby w tym krytycznym momencie ktoś tu wszedł, mógłby zepsuć wszystko, co z takim trudem osiągnęła za pomocą gorącej czekolady i czystej wody.

Ale niepotrzebnie się martwiła. Tamci wciąż tkwili wokół terminalu. Hudson siedział przy konsolecie, a dwaj pozostali patrzyli.

Na głównym ekranie przesuwiał się trójwymiarowy abstrakt kolonii. Zgodnie z poleceniami, jakie Hudson wprowadzał do systemu, z lewej strony na prawą i z góry na dół przetaczały się leniwe, geometryczne bryły. Ale nie, Hudson ani się nie zabawiał, ani też popisywał przed kolegami. Hudson szukał. Zasznurował usta, nie rzucał żadnych grubiańskich komentarzy, nie kłął. Teraz pracował. I jeśli nawet kłął, to tylko w myślach. Komputer znał wszystkie odpowiedzi. Ale zadawanie odpowiednich pytań było procesem boleśnie powolnym.

Obejrzawszy inne urządzenia bloku sterowniczego, Burke stanął przy Gormanie, pochylił się, żeby lepiej widzieć i szepnął:

- Czego on szuka?

- TO-tów. Teledatorów osobistych. Zaraz po przylocie wszczepiono je chirurgicznie wszystkim kolonistom.

- Wiem, czym są TO-ty - odrzekł Burke. - Moja firma je produkuje. Po prostu sądzę, że to, co Hudson teraz robi, nie ma żadnego sensu. Gdyby ktoś z kolonistów przeżył, dawno byśmy już ich znaleźli. Albo oni nas.

- Niekoniecznie. - Odpowiedź Gormana była grzeczna, ale nieobojętna.

Praktycznie rzecz biorąc Burke przyleciał tu z nimi jako obserwator i przedstawiciel Towarzystwa. Miał nadzorować sprawy finansowe firmy. Tę małą wycieczkę opłacał mu pracodawca łącznie z zarządem kolonialnym, lecz jakie Burke miał w związku z tym uprawnienia, nie wiedział dokładnie nikt. Mógł doradzać, ale nie rozkazywać. Ekspedycja miała charakter czysto wojskowy i dowodził nią Gorman. Burke był mu teoretycznie równy, przynajmniej na papierze. Jednak papier i rzeczywistość to dwie różne rzeczy.

- Niekoniecznie - powtórzył Gorman. - Ktoś na przykład przeżył, ale nie może się ruszać. Tkwi w jakiejś pułapce, jest ranny. Fakt, poszukiwanie teledatorów osobistych to zajęcie żmudne, ale zgodne z procedurą postępowania w takich przypadkach. Musimy to zrobić. - Spojrzał na Hudsona. - Wszystko w porządku, kapralu?

- Jeśli w promieniu dwóch kilometrów od bazy ostał się ktoś żywy, komputer to wykryje. - Postukał palcem w ekran monitora. Jak dotąd mam tylko jeden sygnał. Tej małej.

- Ale przecież po śmierci człowieka teledatory nie przestają chyba nadawać - rzucił Wierzbowski z drugiego końca pomieszczenia.

- Te przestają. - Dietrich układała swoje narzędzia. - Są częściowo zasilane bioprądami nosiciela i kiedy nosiciel umiera, sygnał zanika. Potencjał elektryczny ciała nieboszczyka równa się zero. Wszystko ma swoje wady, nawet taki ludzki akumulator.

Hudson zerknął na urodziwą koleżankę.

- Naprawdę? - spytał. - A jak poznajesz, że ktoś wytwarza prąd stały czy zmienny?

- Z tobą to żaden problem, Hudson. - Zamknęła przybornik z narzędziami. - Jesteś typowym przypadkiem organizmu z wysokim niedoborem prądu.

Łatwiej było wziąć nową chusteczkę niż usiłować odczyścić zużytą. Ripley myślała teraz dziewczynce rączki, wygrzebując brud spomiędzy palców i spod paznokci. Spod ciemnej skorupy wychynęła różowa skóra. Z ust Ripley płynął bez przerwy uspakajający potok słów.

- Nie wiem, jak udało ci się przetrwać bez dorosłych, ale dzielna z ciebie dziewczynka, Rebeko...

- Nnn... Nowt. - Nowy, obcy dźwięk. Ledwo słyszalny.

Ripley zeszywniała i podekscytowana czym prędzej odwróciła wzrok, żeby niczego po sobie nie pokazać. Nachyliła się i nie przerywając mycia spytała:

- Co mówiłaś? Przepraszam cię, kochanie, ale nie dosłyszałam. Uszy mi czasami zatyka.

- Newt. Mmmam na imię... Newt. Tak mnie tu wszyscy nazywają. Oprócz brata.

Ripley skończyła myć drugą rączkę dziecka. Wiedziała, że jeśli zaraz nie odpowie, Newt może znów popaść w otepienie. Musiała równocześnie bardzo uważać, żeby nie chlapać niczego, co mogłoby małą zdenerwować. Należało zareagować zdawkowo i nie zadawać żadnych pytań.

- Dobra, niech będzie Newt. Ja mam na imię Ripley i wszyscy mówią do mnie Ripley. Zresztą możesz mnie nazywać, jak chcesz. - Gdy nie usłyszała odpowiedzi, ujęła małą dłoń, którą właśnie umyła, i oficjalnie nią potrząsnęła. - Miło cię poznać, Newt. - Wskazała na zdekompletowaną lalkę, którą dziewczynka wciąż kurczowo ścisnęła. - A to kto? Dałaś jej jakieś imię? Każda lalka ma imię. Kiedy byłam w twoim wieku, miałam mnóstwo lalek i wszystkie miały imiona. Bo jak inaczej je rozróżnić, prawda?

Szkliste oczy dziecka spoczęły na plastikowej głowie zabawki.

- Casey. To moja jedyna przyjaciółka.

- A ja? Przecież ja też jestem twoją przyjaciółką.

Dziewczynka spojrzała na nią tak ostro, że Ripley aż się zdumiała. W jej wzroku była pewność siebie i nieugiętość, której małe dzieci jeszcze nie znają. Odpowiedziała głosem stanowczym i beznamiętnym:

- Nie chcę, żebyś była moją przyjaciółką.

Ripley ukryła zaskoczenie.

-Dlaczego?

-Bo niedługo cię tu nie będzie, bo niedługo mnie zostawisz. Jak inni. Jak wszyscy. - Popatrzyła na głowę lalki. - Casey jest w porządku. Ona mnie nie opuści. A ty tak. Ty odejdziesz. Umrzesz i zostawisz mnie samą.

W tej dziecięcej wypowiedzi nie było złości, nie było oskarżenia ani zdrady. Newt mówiła głosem lodowato spokojnym i pewnym, mówiła tak, jak gdyby Ripley już nie żyła. Dziewczynka niczego nie przepowiadała, relacjonowała raczej wydarzenie, które wkrótce nastąpi. Jej wypowiedź zmroziła Ripley krew w żyłach, przeraziła ją bardziej niż cokolwiek od czasu, gdy opuścili bezpieczny azyl na Sulaco.

- Och, Newt... Tak odeszła twoja mama i tatuś, prawda? Tylko nie chcesz o tym rozmawiać, wiem.

Newt skinęła głową i spuściła wzrok. Zaciśnęła pięści tak mocno, że zbieleły jej palce.

- Kochanie, oni na pewno by tu byli, gdyby tylko mogli - zapewniła ją poważnie Ripley. - Na pewno.

- Mamusia i tatuś nie żyją. Dlatego nie mogą do mnie przyjść. Oni nie żyją, jak inni. - stwierdziła to chłodno i pewnie, co w wypadku tak małego dziecka było przerażające.

- Może jednak żyją. Nigdy nie wiadomo...

Newt podniosła wzrok i spojrzała jej prosto w oczy. Małe dzieci tak nie patrzą, ale Newt była dzieckiem tylko fizycznie.

- Wiadomo. Oni nie żyją. Mamusia i tatuś nie żyją i niedługo ty też umrzesz. Wtedy Casey i ja znów będziemy same.

Tym razem Ripley nie odwróciła wzroku i nie uśmiechnęła się. Wiedziała już, że dziewczynka potrafi wykryć każdy, nawet najbardziej zakamuflowany fałsz.

- Newt, spójrz na mnie, Newt. Ja nie odejdę. Nie zostawię cię i nie umrę. Przrzekam. Będę przy tobie. Będę przy tobie tak długo, dopóki zechcesz.

Newt nie podniosła oczu. Ripley widziała, jak dziecko z sobą walczy, jak chce uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszało, jak próbuje, jak się zmagać. Po długim milczeniu Newt uniosła głowę.

- Przysięgasz? - wyszeptwała.

Ripley wykonała dziecienny gest. - Z ręką na sercu - odrzekła.

- Na śmierć i życie?

Ripley uśmiechnęła się, choć był to ponury uśmiech.

- Na śmierć i życie.

Patrzyły na siebie, dziewczynka i kobieta. Oczy Newt zaszyły łzami, dolna warga zaczęła jej drżeć. Z małego ciała stopniowo uchodziło napięcie, a obojętna maska, w którą oblekła twarz, przeistoczyła się w coś bardziej naturalnego: w oblicze przerażonego dziecka. Zarzuciła Ripley ręce na szyję i rozszlochała się. Świeżo umyte policzki spłynęły łzami. Ripley czuła ich wilgoć na swoim ciele. Nie zwracając na nic uwagi, tuliła dziewczynkę i kołysała, szepcząc jej do ucha łagodne słowa pocieszenia.

Zacisnęła powieki, by nie zapłakać, by odegnać od siebie strach i widmo śmierci wiszące nad kolonią. I miała tylko jedną, jedyną nadzieję: że obietnicy danej dziecku zdoła dotrzymać.

Przełomowi psychicznemu towarzyszył przełom techniczny. W sąsiednim pomieszczeniu bloku sterowniczego Hudson wydał z siebie triumfalny okrzyk:

- Ha! Tuś mi bratku! Dajcie staremu Hudsonowi porządną maszynę, a powie wam, gdzie zakopaliście forszę, jakie macie sekrety i co porabia wasz zaginiony wujaszek Jed! - Poklepał z czułością konsole. - To maleństwo trochę oberwało, ale daje czadu że hej!

Gorman zajrzał mu przez ramię.

- W jakim są stanie?

- Nie wiadomo. Tego typu teledatory mają daleki zasięg, ale przekazują skąpe informacje. Ale wygląda na to, że są tam wszyscy.

- Gdzie?

- W stacji procesora atmosferycznego w południowej części kolonii. - Hudson rzucił okiem na schemat. - Na poziomie "C". - Dźgnął palcem ekran. - Jeśli chodzi o lokalizowanie zaginionych, to cacuszko jest nie do pobicia.

Wszyscy zgromadzili się wokół terminalu, żeby spojrzeć na monitor. Hudson zatrzymał obraz i powiększył jeden z jego fragmentów. Pośrodku schematu procesora atmosferycznego, niczym ławica głębokomorskich skorupiaków, pulsowała gromadka niebieskawych kropeczek.

- Mają tam wiec przedwyborczy czy co? - mruknął Hicks.

- Ciekawe, dlaczego wszyscy uciekli akurat tam? myślała głośno Dietrich. - Doszliśmy przecież do wniosku, że ostatnie walki toczyły się tutaj, prawda?

- Może zdołali zwiać i okopali się w bezpieczniejszym miejscu. - Gorman znów był rześki i pełen zawodowej werwy. - Nie zapominajcie, że procesory wciąż mają zasilanie. Warto było ryzykować. Zbierajcie graty. Idziemy to sprawdzić.

W bloku sterowniczym zapanowało wielkie poruszenie.

- No, ruszać się, dziewczyny. - Apone nakładał zasobnik plecowy. - Nie płacą nam od godziny. - Zerknął na Hudsona. - Jak się tam dostać?

Hudson zmniejszył obraz. Na ekranie ukazał się pełny schemat kolonii.

Można tam dojść wąskim korytarzem serwisowym. Ale to niezły kawałek drogi, panie sierżancie.

Apone spojrział na Gormana, oczekując rozkazów.

- Nie wiem jak pan, sierżancie - zaczął porucznik ale ja nie przepadam za długimi wąskimi korytarzami. Poza tym nie chciałbym, żebyście potem padali ze zmęczenia. No i jeszcze transporter. Chcę go tam mieć dla wsparcia.

- Czyta pan w moich myślach, panie poruczniku odparł Apone.

Sierżantowi wyraźnie ulżyło. Gotów był argumentować, klócić się i sugerować, i teraz aż promieniał, że do utarczki nie doszło. Kilku żołnierzy skinęło głowami. Oni też sprawiali wrażenie zadowolonych. Gorman mógł mieć mało doświadczenia polowego, ale nie był przynajmniej głupcem.

Hicks krzyknął w stronę sąsiedniego pomieszczenia:

- Hej, Ripley! Jedziemy na przejażdżkę za miasto. Zabierzesz się z nami?

- Obie się zabierzemy.

Wprowadziła Rebekę do sali. Powitały ją zdziwione spojrzenia.

- To jest Newt. Newt, to są moi przyjaciele. I twoi też.

- Dziewczynka skinęła głową. Milczała. Przywilejem rozmowy obdarzała jak na razie wyłącznie Ripley.

Żołnierze zbierali sprzęt. Kilku odwzajemniło powitalny gest Newt. Burke uśmiechnął się do niej dla dodania otuchy. Gorman był chyba zaskoczony.

Wciąż ściskając w rączce głowę lalki, Newt spojrzała na swoją żywą przyjaciółkę.

- Dokąd jedziemy? - spytała.

- W bezpieczne miejsce. Już niedługo. Dziewczynka prawie się uśmiechnęła.

Atmosfera panująca w transporterze podczas jazdy do procesora atmosferycznego była bardziej wyciszona niż podczas szalonego lotu promem. Ogólna dewastacja, puste, okaleczone budynki i jednoznaczne ślady ciężkich walk przytłumiły początkowy entuzjazm żołnierzy.

Było oczywiste, że nagłe zerwanie kontaktu z Ziemią nie miało nic wspólnego z awarią satelity przekątnikowego czy usterkami oprzyrządowania w bazie. Przyczyną był potworek Ripley. Koloniści przerwali łączność dlatego, że coś ich do tego zmusiło. Gdyby wierzyć Ripley, to coś wciąż gdzieś tu czatowało. Newt była niewątpliwie istną kopalnią informacji, lecz nikt nie próbował jej wypytywać. Na wyraźne polecenie Dietrich. Dziecko znajdowało się jeszcze w zbyt niepewnym stanie, by ryzykować stresujące przesłuchanie. Więc jechali i każde z nich na własną rękę wypełniało luki w dyskietkowej biblioteczce Ripley. Wypełniali je wyobraźnią. Żołnierze mają niezwykle żywą wyobraźnię.

Prowadzony ręką Wierzbowskiego transporter przeciął szosę łączącą resztę kompleksu kolonii ze stacją procesora, położoną kilometr dalej. Wichura ryczała wściekle wokół masywnego cielska pojazdu, ale nie zdołała nim nawet zakolysać. Transporter był przystosowany do w miarę wygodnych eskapad przy wietrze wiejącym z prędkością do trzystu kilometrów na godzinę. Typowa dla Acherona zawierucha nie sprawiała mu żadnych kłopotów. Za nimi, na skrawku asfaltu, wylądował prom, który miał czekać na powrót żołnierzy. Przed nimi gigantyczna stożkowata wieża procesora nie ustawała w pracy nad terraformowaniem niegościnniej atmosfery Acherona i jarzyła się widmową poświatą.

Ripley i Newt siedziały obok siebie tuż za kabiną kierowcy. Wierzbowski uważał na drogę, transporter był silnie opancerzony - poczuwszy się względnie bezpiecznie, dziewczynka mówiła coraz więcej i śmieiej. Chociaż Ripley chciała jej zadać przynajmniej z tuzin niezmiernie ważnych pytań, siedziała i cierpliwie czekała, pozwalając jej na odreagowanie. Jednak od czasu do czasu Newt dostarczała odpowiedzi na pytania nie zadane. Jak choćby teraz.

- Byłam w tym najlepsza. - Przytuliła głowę lalki i wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. - Znam cały labirynt.

- Labirynt? - Ripley pomyślała o miejscu, w którym ją znaleźli. - Mówisz o systemie przewodów wentylacyjnych?



- Tak, ale nie tylko o tym - odparła z dumą Newt. Umiałam wcisnąć się do tych wszystkich tuneli z przewodami i kablami. Tych w ścianach i pod podłogą. Mogłam wejść, gdzie tylko chciałam. Byłam prawdziwym asem. Potrafiłam schować się najlepiej ze wszystkich. Mówili, że oszukuję, bo jestem od nich mniejsza, ale ja wcale nie oszukiwałam. Po prostu byłam od nich sprytniejsza i tyle. I mam bardzo dobrą pamięć. Zawsze zapamiętywałam drogę do miejsc, gdzie już wcześniej dotarłam.

- No to rzeczywiście prawdziwy as z ciebie.

Dziewczynka sprawiała wrażenie zadowolonej..

Ripley przeniosła wzrok na przednią szybę. Dokładnie przed nimi majaczyła stacja procesora.

Była to konstrukcja niezbyt piękna, o wyłącznie użytkowym charakterze. Jej niezliczone rury, komory i przewody zostały wypolerowane i pocętkowane piaskiem i odłamkami skał, unoszonymi przez szalejące na Acheronie wiatry. Była równie wydajna jak brzydka. Pracując bez ustanku dwadzieścia cztery godziny na dobę, za kilkadziesiąt lat ta i inne bliźniaczo do niej podobne stacje, rozrzucone po całej planecie, rozłożą składniki tutejszej atmosfery, oczyszczą je, odświeżą, by stworzyć w rezultacie łagodną biosferę z balsamicznym, prawdziwie ziemskim klimatem. Zaprawdę, dzisiejsza brzydota miała zrodzić w przyszłości wiele piękna.

Wierzbowski zatrzymał transporter przed głównym wejściem. Górował nad nimi monolit gigantycznego stożka wieży. Prowadzeni przez Hicksa i Apone'a żołnierze ustawili się przed wielkimi drzwiami. Tu, w pobliżu stacji, ryk pracującej maszynierii zagłuszał jękliwe zawodzenie wiatru. Dobrze skonstruowany procesor działał nawet pod nieobecność swych mistrzów i panów.

Jako pierwszy stanął przy drzwiach Hudson. Musnął palcami zamek niczym kasiarz szykujący się do włamania.

- Niespodzianka, dziatki. Wszystko działa.

Wcisnął kciukiem guzik i ciężkie wrota rozsunęły tłoki, odsłaniając wewnętrzny korytarz. Po prawej stronie ujrzeli betonową rampę, która prowadziła gdzieś w dół.

- Którędy, panie poruczniku? - spytał Apone.

- Rampą - rzucił z transportera Gorman. - Dalej znajdziesz następną. Zejdziecie nią na poziom "C".

- Rozkaz. - Sierżant skinął ręką na podwładnych. - Drake, na czoło. Reszta dwójkami za nim. Idziemy.

Hudson zawahał się przy zamku.

- A co z drzwiami?

- Nikogo tu nie ma. Zostaw otwarte.

Szeroką rampą weszli do brzucha stacji. Z góry sączyło się światło. Jego promienie przeciskały się przez płataninę podłóg i pomostów roboczych z

metalowej siatki, omiatały rury ustawione rzędami niczym organowe piszczałki. Mimo to włączyli reflektory na hełmach. Szli w dół. Wokół nich monotonnie dudniły trzewia stacji.

Obraz na ekranikach w centrum dowodzenia chwiał się i podskakiwał w takt żołnierskich kroków. Ci, którzy zostali w transporterze, niewiele widzieli. W końcu grupa zwiadowcza zeszła z rampy, teren stał się równy, obraz na monitorach normalny. Kamery ukazywały podłogę zawaloną ciężkimi cylindrycznymi pojemnikami, rurami, stertami plastikowych skrzyń i wysokimi butlami.

- Poziom "B" - rzucił do mikrofonu Gorman. - Są pod wami, na następnym. Spróbujcie iść trochę wolniej. Kiedy schodzicie szybko w dół, trudno cokolwiek rozróżnić.

Dietrich spojrzała na Frosta.

- On pewnie chce, żebyśmy rozwinęli skrzydełka i polecieci. Obraz by wtedy nie skakał.

- A może wziąć cię na ręce? - zawołał z tyłu Hudson.

- A może wyrzucić cię za barierkę? - skontrowała. Obraz by wtedy też nie skakał. Dopóki nie grzmotnąłbyś o beton.

- Zamknijcie się tam - warknął Apone.

Hudson i reszta posłuchali.

Zakręt. Następna rampa. Znowu schodzili w dół.

W centrum dowodzenia w transporterze Ripley zerkała Gormanowi przez prawe ramię, Burke przez lewe, a Newt usiłowała docisnąć się do monitorów od tyłu. Chociaż porucznik rozporządzał istnymi cudami techniki wideo, ani jedna kamera na hełmach żołnierzy nie przekazywała wyraźnego obrazu.

- Niech pan da większe wzmocnienie - zasugerował przedstawiciel Towarzystwa.

- Już to dawno zrobiłem, panie Burke. Tam na dole jest jakaś koszmarna interferencja. Im głębiej schodzą, tym grubsza warstwa żelastwa ich od nas oddziela. Dlatego sygnały są coraz słabsze. No i jeszcze te akumulatory. Nie są najwydajniejsze. A tak przy okazji, to z czego jest zbudowane wnętrze stacji?

- Z kompozytowych włókien węglowych wypełnionych mieszanką krzemową. Ściany nośne są lekkie i mocne. W przepierzeniach dużo metalizowanego szkła. Fundamenty i poziomy niższe nie muszą być tak estetyczne. Podłogi ze zbrojonego betonu, wzmocnione stopami tytanu. Od groma tam tego.

Gorman manipulował pokrętłami, ale jego wysiłki nie przynosiły żadnych efektów. Był zawiedziony i sfrustrowany i nie potrafił tego ukryć.

- Gdyby wyłączyć zasilanie awaryjne i całą stację, obraz byłby lepszy, ale wtedy nie mieliby górnego światła, tylko reflektory na hełmach. Coś za coś. - Pokręcił

głową, wbił wzrok w monitor i nachylił się do mikrofonu. - Co takiego macie przed wami? Kiepsko widać.

Odpowiedział mu zniekształcony zakłóceniami głos Hudsona:

- To pan niech mi powie. Ja tylko tutaj pracuję.

Porucznik spojrział na Burke'a.

- Pańscy ludzie to zbudowali?

Burke pochylił się nad rzędem monitorów i mrużąc oczy, usiłował rozszyfrować niewyraźny obraz wnętrza stacji procesora.

- Wykluczone. Absolutnie.

- Więc nie wie pan, co to jest?

- Cholera, w życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Czy koloniści mogli to dobudować?

Burke patrzył jeszcze chwilę, wreszcie pokręcił głową. - Jeśli nawet, to chyba jakaś prowizorka. Czegoś takiego nie ma w żadnym obowiązującym podręczniku.

Bo do płataniny rur i przewodów, które krzyżowały się na poziomie "C", najwyraźniej coś dodano. Nie ulegało wątpliwości, że ów budowlany nowotwór powstał w wyniku celowego planu i że nie jest rezultatem jakiegoś tajemniczego wypadku.

Noszący wyraźne ślady wilgoci, miejscami błyszczący, ów szczególny materiał, którego użyto do wzniesienia dziwacznej konstrukcji, przypominał zastygły klej lub żywicę. Tu i tam światło przenikało na głębokość kilkunastu centymetrów, odsłaniając złożoną strukturę wewnętrzną. Gdzie indziej znów substancja była całkowicie nieprzezroczysta i ubogo zabarwiona. Dominowały przytłumione odcienie zieleni i szarości, zaakcentowane gdzieś seledynem.

Skomplikowanej budowy komory miały od półtora metra średnicy do kilkunastu metrów wzdłuż, a wszystkie zostały połączone kruchą z wyglądu siecią nitkowatych wypustek, które po bliższym zbadaniu okazały się kruche jak stalowa lina. W głąb labiryntu komór rozchodziły się tunele, dziwne zaś, stożkowate jamy w podłodze zaczopowano na głucho. Nieznany materiał zlewał się z materiałem wykorzystanym do konstrukcji podzespołów do tego stopnia, że trudno było stwierdzić, gdzie kończy się wytwór rąk człowieka, a zaczyna coś o zupełnie obcej naturze. Miejscami elementy dodane niemal imitowały urządzenia stacji, choć nikt z żołnierzy nie umiał powiedzieć, czy ma to określony cel, czy jest li tylko rezultatem ślepego naśladownictwa.

Wielki lśniący kompleks rozciągał się w głąb poziomu "C", poza zasięg kamer umieszczonych na hełmach. Chociaż żywicopodobna, zaskorupiała substancja wnikała w każdą dostępną szczelinę, zdawała się nie mieć żadnego wpływu na funkcjonowanie stacji. Wszystkie urządzenia pracowały dalej, dalej oczyszczały

powietrze Acherona, nie zważając na obecność heteromorficznych tworów, zalegających niemal cały poziom.

Tylko Ripley domyślała się, na co natrafili. Ogarnięta jakąś ohydłą fascynacją, momentalnie zdrętwiała z przerażenia, zbyt zszokowana, by cokolwiek wyjaśnić. Mogła tylko patrzeć i wspominać.

Gorman zerknął przypadkiem w stronę Ripley i zauważył wyraz jej twarzy.

- Co to jest? - spytał.

- Nie wiem.

- Ale wiesz przynajmniej coś, a to znaczy, że wiesz znacznie więcej niż którykolwiek z nas. No, Ripley. Nie daj się prosić. Płacę stówkę za każdą użyteczną informację.

- Naprawdę nie wiem. Chyba już coś takiego widziałam, ale nie jestem pewna. To jest jakby inne, bardziej złożone i...

- Daj mi znać, kiedy mózg zacznie ci znowu pracować. - Rozczarowany porucznik przysunął bliżej mikrofon. Ruszajcie dalej, sierżancie.

Żołnierze podjęli marsz. Światło bijące z reflektorów odbijało się od szklistych ścian. Im głębiej schodzili, tym wygląd labiryntu coraz bardziej świadczył o tym, że raczej go wyhodowano niż zbudowano. Bo wyglądał jak wnętrze jakiegoś gigantycznego organu czy kości. Ale nie kości ludzkiej, nie ludzkiego organu.

Bez względu na to, czy twór pełnił jakąkolwiek inną rolę, nie ulegało wątpliwości, że służy do koncentrowania ubytków ciepła z siłowni jądrowej. Wokół nich syczała para buchająca z kałuż uformowanych przez ściekającą ze ścian wodę. Skroplony oddech stacji.

- Robi się jakby szerzej... - Hicks powiódł kamerą dookoła.

Grupa zwiadowcza wchodziła do wielkiej kopulastej komory. Ściany zmieniły nagle wygląd i kompozycję.

To, że nikt z żołnierzy natychmiast się nie załamał, świadczyło o ich znakomitym wyszkoleniu.

- O Chryste... - szepnęła Ripley.

Burke wymamrotał pod nosem zduszone przekleństwo.

Reflektory oświetliły komorę. Zamiast gładkich falistych ścian, jakie mijali wcześniej, ujrzeli ściany chropowate i nierówne. Tworzyły wystrzępioną płaskorzeźbę z przedmiotów pochodzących z całej kolonii: z mebli, kabli, ze składników stałych i płynnych, ze szczątków urządzeń mechanicznych, rzeczy osobistych, z porwanego ubrania, z ludzkich kości i czaszek. Wszystko zostało scalone tą przezroczystą, żywicopodobną substancją, której obecność stwierdzali na każdym kroku.

Hudson przesunął rękawicą po ścianie, natykając się przypadkowo na kilka ludzkich żeber. Usiłował wydłubać w niej dziurę, ale zakrzepła wydzielina była tak twarda, że ledwo ją zadrapał.

- Widzieliście kiedy coś takiego?

- Ja nie. - Hicks byłby splunął, gdyby tylko miał miejsce. - Nie jestem chemikiem.

Czekali na opinię Dietrich. Pospieszyła ze swoją hipotezą.

- To jakby kleista wydzielina. Ripley, ten twój potworek tym pluje czy jak?

- Nie... Nie wiem, jak to wytwarzają, ale już to kiedyś widziałam, na mniejszą skalę...

Gorman otrząsnął się z początkowego wstrząsu, ściągnął usta i zaczął analizować sytuację:

- Wygląda na to, że rozwalili kolonię, bo potrzebowali budulca. - Wskazał na ekranik Hicksa. - W tamtej ścianie jest cała sterta zapasowych dysków magnetycznych.

- I przenośne zasilacze. - Burke postukał palcem w inny monitor. - Drogi budulec, cholera. Wszystko rozerwali na strzępy...

- Kolonistów też - zauważyła Ripley. - Kiedy już ich wykończyli... - Spojrzała na poważne oblicze dziewczynki stojącej u jej boku. - Newt, usiądź lepiej z przodu. Idź, idź.

Newt skinęła główką i posłusznie odeszła w stronę kabiny sterowniczej.

W miarę jak żołnierze posuwali się w głąb komory, stężenie pary w atmosferze poziomu "C" nieustannie rosło. Towarzyszył temu ciągły wzrost temperatury.

- Gorąco tu jak w piekle - mruknął Frost.

- Uhm - zgodził się ironicznie Hudson. - Zaraz zobaczysz diabła.

Ripley spojrzała w lewo. Gorman i Burke nadal wbijali wzrok w monitory. Po lewej stronie porucznika znajdował się niewielki ekranik, który pokazywał plan naziemnej części stacji.

- Są dokładnie pod głównymi wymiennikami ciepła - zauważyła.

- Taaa... - Burke nie mógł oderwać oczu od monitora przekazującego obraz z kamery Apone'a. - Może to stworzenia lubią gorąco. Dlatego zbudowały...

- Nie o to mi chodzi. Gorman, jeśli twoi ludzie użyją tam broni, mogą uszkodzić system chłodniczy.

Nagle Burke wszystko zrozumiał.

- Ona ma rację.

- No więc go uszkodzą. I co z tego? - spytał porucznik.

- A to, że uszkodzony system zacznie wydzielać freon i wodę skroploną z powietrza do celów chłodniczych.

- Świetnie. - Postukał palcem w monitor. - Wszystkich ich tam trochę ochłodzi.

- Więcej niż ochłodzi.
- To znaczy?
- Zostanie naruszona osłona bezpieczeństwa.

- No i? No i co?! - Dlaczego ta baba nie powie wyraźnie, o co chodzi, do cholery?! myślał. Czy ona nie rozumie, że staram się tu dowodzić typową ekspedycją, mającą na celu odszukanie i zneutralizowanie ewentualnego przeciwnika?!

- Mówimy o eksplozji termonuklearnej, Gorman... Gdy to do niego dotarło, usiadł wygodniej i zaczął myśleć. Rozważał możliwości działania w tej sytuacji. Podjęcie decyzji przyszło mu tym łatwiej, że ani jednej nie znalazł.

- Apone, zabierz ludziom magazynki - rozkazał. - Nie możecie tam strzelać.

Nie tylko Apone usłyszał Gormana. Żołnierze popatrzyli po sobie z niedowierzaniem i konsternacją.

- Czy on zwariował?! - Wierzbowski ścisnął strzelbę i opiekuńczym gestem przytulił ją mocniej do siebie, jak gdyby rzucając Gormanowi wyzwanie, by ten zszedł na dół i spróbował mu ją odebrać.

- Cholera, to niby czym mamy im dołożyć? - burknął Hudson. - Wiąchą przekleństw czy jak? Panie poruczniku - rzucił do mikrofonu - a może pan chce, żebyśmy spróbowali dzudo? A jak one nie mają ramion, to co?

- One mają ramiona - rzuciła przez zaciśnięte usta Ripley.
- Nie jesteś nago, Hudson - odrzekł Gorman. - Macie jeszcze inną broń.
- Może to i niezły pomysł... - wymamrotała Dietrich.
- Co? Ta inna broń? - spytał Wierzbowski.
- Nie. Nagi Hudson. Takiego widoku nie zdzierzyłoby żadne stworzenie.
- Wiesz co, Dietrich? - rzucił kapral. - Ja cię pierdolę.
- Wykluczone, skarbie. - Dietrich westchnęła i odłączyła magazynek od strzelby.
- Tylko miotacze ognia - rozkazał stanowczo Gorman. - Broń palna na ramieniu.
- Wszyscy słyszeli? - Apone podchodził do żołnierzy i odbierał magazynki. -

No, dawać mi je tu, szybciej.

Jedna po drugiej, strzelby zostały rozbrojone. Vasquez odłączyła od elpeemu zasilacz i bardzo niechętnie wręczyła go sierżantowi. Poza standardowym uzbrojeniem trzech żołnierzy miało przenośne miotacze ognia. Zostały teraz odbezpieczone, rozgrzane i sprawdzone. Vasquez, nie zauważona przez Apone'a ani przez kolegów, wyjęła z tylnej kieszeni zapasowy ładunek bojowy i wsunęła go do elpeemu. Kiedy sierżant odwrócił wzrok, a obiektywy kamer spoglądały w inną stronę, Drake zrobił dokładnie to samo. Zerknął na Vasquez i ponuro do siebie mrugnęli.

Hicks nie miał elpeemu, więc do nikogo nie mrugał. Miał za to cylindryczną kaburę, przymocowaną od wewnątrz do polowej uprząży. Rozpiął kuloodporną

kamizelkę, otworzył kaburę i wyjął z niej zabytkową, dwulufową strzelbę z obciętą kolbą. Następnie zapiął się, złożył dobrze zachowaną broń i wsunął do komory nabój.

Hudson przypatrywał się temu z profesjonalnym zainteresowaniem.

- Skąd to wytrzasnąłeś - spytał. - Kiedy zobaczyłem, że odstaje ci kamizelka, pomyślałem sobie, że szmuglujesz wóde, ale to mi do ciebie nie pasowało. Zwinąłeś tego trupa z muzeum?

- Rodzinna pamiątka. Od pokoleń. Ładna, nie?

- Niezłą masz rodzinę, kurczę. Co to może?

Hicks pokazał mu nabój.

- Nie jest to co prawda przeciwpancerny pocisk o dużej prędkości końcowej, taki jak nasze, ale nie chciałbym oberwać takim czymś w głowę. - Zniżył głos. - Zawsze mam ją pod ręką. Do walk bezpośrednich jest jak znalazł. Niczego tu chyba nie przebije i żadne grzybki nam nie wyrosną.

- Owszem, nie powiem, nawet ładna... - Hudson patrzył na dwunastostrzałówkę z nie ukrywanym podziwem. - Tradycjonalista z ciebie, Hicks.

Kapral uśmiechnął się lekko.

- Przezorny zawsze ubezpieczony. Od czoła dobiegł ich głos Apone'a:

- Idziemy. Hicks, skoro ci się tam z tyłu podoba, będziesz nas ubezpieczał.

- Z przyjemnością, panie sierżancie.

Kapral oparł strzelbę na prawym ramieniu, ułożył ją wygodniej jedną ręką, a wskazującym palcem musnął twardy spust. Hudson uśmiechnął się z aprobatą, pokazał mu uniesiony kciuk i potruchtął na czoło.

Powietrze było gęste, a światło rozproszone w obłokach pary. Hudson miał wrażenie, że przedzierają się przez stalowo-plastikową dżunglę.

- Namierzyliście jakiś ruch? - zaskrzeczało w słuchawkach.

Głos porucznika był cichy i niewyraźny. Dochodził jakby z daleka, chociaż Hudson wiedział, że dowódca czuwa ledwie kilka poziomów wyżej, tuż przed wejściem do budynku stacji. Kapral szedł i nie odrywał wzroku od namiernika.

- Zgłasza się Hudson, panie poruczniku. Jak dotąd nic. Kompletnie. Jedyna rzecz, jaka tu się rusza, to powietrze.

Za rogiem uniósł na chwilę oczy. To, co zobaczył, spowodowało, że zapomniał o namierniku, o broni, że zapomniał o wszystkim.

Dokładnie przed sobą ujrzeli kolejną ścianę z inkrustacjami. Była pofalowana, zeszpecona wybrzuszeniami, wyrzeźbiona jakąś nieznaną, nieludzką dłonią i przypominała spotworniałą wersję Wrót do piekieł Rodina. To tutaj byli koloniści. Pogrzebani żywcem, zamurowani tą samą żywicopodobną wydzieliną, której użyto do budowy tuneli, umocnień, komór i zaczopowanych szybów, która przekształciła najniższy poziom stacji w ksenoschizofreniczny koszmar.

Każdy z nich został wciśnięty w ścianę bez uwzględnienia choćby podstawowych cech budowy człowieka. Głowy były nienaturalnie powykrzywiane, ręce i nogi groteskowo powyginane, połamane, żeby nieszczęsną ofiarę odpowiednio dopasować do obcej kompozycji i wzoru. Wiele ciał zostało zredukowanych do bezkształtnych brył, powleczonych przegniłym, wysuszonym mięsem, inne oczyszczone do nagich kości. Ci ostatni mieli szczęście, tych obdarzono darem śmierci. Bez względu na to, gdzie i jak tkwiły, wszystkie zwłoki miały jedną wspólną cechę: klatki piersiowe były wygięte od środka, jak gdyby jakaś wewnętrzna eksplozja rozsadziła im mostek.

Żołnierze weszli wolno głębiej. Oblicza mieli posępne. Nikt nic nie mówił. Niejednokrotnie ze śmierci żartowali, ale to było gorsze niż śmierć. To było ohydne i plugawe.

Dietrich podeszła do nietkniętego z pozoru ciała kobiety. Było straszliwie blade, jakby wyszono z niego wszystką krew. Kobieta wyczuła ruch, czyjaś obecność, coś usłyszała i zatrzepotała powiekami. W jej oczach czaiło się szaleństwo. Szepnęła coś głuchym, grobowym głosem, głosem zrodzonym z rozpacz. Dietrich nachyliła się, żeby lepiej słyszeć.

- Błagam, zabij mnie...

Z oczyma rozszerzonymi przerażeniem Dietrich cofnęła się i omal nie upadła.

Bezpieczna pod pancierzem transportera, Ripley mogła tylko bezradnie patrzeć i wbijać zęby w zaciśniętą dłoń. Wiedziała, co zaraz nastąpi, wiedziała, co spowodowało kobietę do wypowiedzenia tak ostatecznej prośby. I wiedziała też, że ani ona, ani nikt inny nie może zrobić nic innego, jak tylko ją spełnić. Przez głośniki transportera usłyszała, że któryś z żołnierzy wymiotuje. Reszta milczała. Nikt nawet nie zażartował.

Kobieta uwieczona w ścianie dostała konwulsji. Jakimś cudem zebrała w sobie tyle siły, by krzyknąć, krzyknąć w agonialnym bólu, który odbierał jej rozum, by zawyc, nieludzko, przenikliwie. Chcąc ostrzec żołnierzy przed tym, co zaraz nastąpi, Ripley zrobiła krok w stronę najbliższego mikrofonu, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Nie musiała. Podwładni Apone'a odrobili lekcje i przestudiowali dyskietki, które dla nich przygotowała.

- Miotacz! - warknął Apone. - Szybko!

Frost podał mu miotacz płomieni i usunął się na bok. W chwili, gdy sierżant unosił broń do góry, pierś kobiety eksplodowała fontanną krwi. Z wystrzępionej jamy wychynęła mała, najeżona kłami czaszka. Wydała z siebie wściekły syk.

Apone zacisnął palec na spuście miotacza. Dwaj inni żołnierze, wyposażeni w identyczny sprzęt, poszli w jego ślady. W ścianę buchnęły trzy jęzory ognia, momentalnie pożerając wyjąca w niej potworność. Kokony i ofiary, które w nich



tkwiły, zaczęły się topić i ściekać na podłogę niczym przezroczysta cukrzana masa. Wciąż jeszcze słysząc ów straszliwy, rozdzierający krzyk, żołnierze nie szczędzili amunicji i miotacze rzygnęły ogniem po całej ścianie. To, co nie uległo zwęgleniu, najpierw spurchlało się pod wpływem gorąca, potem rozpuszczało jak masło i ściekało na ziemię, by pod żołnierskimi butami utworzyć kałuże z cieczy przypominającej płynny plastik.. Ale ta ciecz nie pachniała jak plastik. Wydzielała duszący, organiczny smród.

Wszyscy skupiali uwagę na ścianie, którą niszczyły miotacze. Nikt nie zauważył, że fragment ściany za nimi... drgnął.

## 8.

Obcy spoczywał dotychczas w odrętwieniu. Tkwił w niszy, która zlewała się idealnie z barwą i ukształtowaniem reszty pomieszczenia. Teraz wolno z niej wyszedł. Dym z palących się kokonów oraz innych materiałów organicznych buchał aż pod sufit, ograniczając widzialność praktycznie do zera.

Tknięty nagłym przeczuciem Hudson zerknął w dół, na tarczę namiernika. Z rozszerzonymi źrenicami odwrócił się na pięcie i wrzasnął:

- Mam coś! Ruch! Tam coś jest!
- Namiar! - warknął krótko Apone.
- Nie mogę ustalić, za ciasno tu. I są jeszcze inne ciała...

W głosie starszego sierżanta zabrzmiała ostrzejsza nutka.

- Nie pieprz. Hudson. Namiar, mówię! Gdzie to jest?

Kapral zmagał się z opornym sprzętem. W tym cały problem z namiernikami: były trwałe, ale nieprecyzyjne..

- Chyba... Chyba z przodu... I z tyłu też...

W centrum dowodzenia Gorman szalał wśród przełączników, przycisków i pokręteł, usiłując wyostrzyć obraz na poszczególnych monitorach.

- Nic tutaj nie widzimy, Apone! Co się dzieje?

Ripley wiedziała, co się dzieje, wiedziała, co się za chwilę stanie. Chociaż nic nie widziała, czuła to, jak czuje się obecność wielkiej fali nadciągającej w stronę plaży pokrytej czarnym piaskiem. W tym samym momencie odzyskała głos i chwyciła za mikrofon.

- Wycofaj ich stamtąd, Gorman. I to natychmiast!

Porucznik rzucił jej rozdrażnione spojrzenie.

- Proszę mi nie rozkazywać, proszę pani. Wiem, co robię.
- Możliwe, ale nie wie pan, co się tu dzieje!

Na poziomie "C" ściany i sufit legowiska zaczęły ożywać. Obce stworzenia budziły się z okresowego snu. Z długich, palczastych kończyn chwytnych poczęły wysuwać się szpony zdolne rozerwać metal. Nawilżone śluzem szczęki odzyskiwały z wolna elastyczność i raz po raz cicho pomlaskiwały. Poprzez obłoki pary i dymu zdenerwowani ludzie dostrzegli niewyraźny ruch.

Apone wziął się w garść.

- Na podcierwień! Przejdźcie na podcierwień wrzasnął. - Uważać! Dobrze uważać!

Zatrzasnęli osłony. Na gładkim przezroczystym tworzywie, z którego je wykonano, zmateriałizowały się koszarne sylwetki, sunące w ciszy przez tuman mgły.

- Wielokrotne sygnały! - krzyknął Hudson. - Dookoła. Zbliżają się ze wszystkich stron!

Dietrich nie wytrzymała nerwowo i chciała uciekać. Gdy się odwróciła, coś wysokiego, coś przepotężnego wyrosło nagle nad kłębam dymu i owinęło ją ramionami. Kończyny grube jak żelazne sztaby zamknęły się na jej piersi i zacisnęły. Dietrich krzyknęła, przedśmiertnym skurczem palców zwolniła spust miotacza płomieni i z lufy trysnął jezor ognia. Trafił we Frosta, zamieniając go momentalnie w rozwrzeszczaną dwunożną pochodnię, która ciskała się na oslep we wszystkie strony. Krzyk nieszczęśnika rozdzierał żołnierzom uszy.

Apone obrócił się. W zgęstniałej atmosferze i w kiepskim świetle nie widział prawie nic, za to słyszał aż za wiele. Gorąco bijące z wymienników ciepła na poziomie "B", tuż nad nimi, zniekształcało obraz przekazywany przez noktowizory zamontowane w osłonach.

W centrum dowodzenia zgasł monitor Frosta. Jednocześnie linie biowykresów szeregowca, owe charakterystyczne pagórki i doliny życia, spłaszczyły się i wyprostowały. Na innych ekranach obraz drgał i podskakiwał, ukazując jedynie zamazane sylwetki w chaotycznym ruchu. Strumienie napalmu tryskające z pozostałych miotaczy przewyższały jaskrawością czułość kamer na hełmach żołnierzy i obraz z nich płynący był jak prześwietlone zdjęcie.

Mimo zamieszania i chaosu Vasquez i Drake zdołali się jakoś odnaleźć. Kosmiczna harpia kiwnęła porozumiewawczo głową do kosmicznego neandertalczyka i wcisnęła w elpeem nie skonfiskowany magazynek.

- Dawaj na bliźniaka - rzuciła krótko.

Stanęli plecami do siebie i jednocześnie otworzyli ogień. Niczym spawacze latający pancierz statku, posłali w głąb komory dwa płomienne łuki. W ciasnej zamkniętej komorze jazgot ciężkiej broni był wprost przytłaczający. Dla obojga operatorów dudniący grzmot brzmiał jak Bachowska fuga i stanthisizer Grimoire'a zlane w jedno.

W uszach skrzeczał im daleki głos Gormana, ledwo słyszalny w bitewnym zgiełku.

- Kto otworzył ogień?! Zakazałem używać broni ciężkiej!

Ze wzrokiem utkwionym w ekran celownika Vasquez podniosła szybko rękę i zerwała z głowy słuchawki. Jej stopy, dłonie, oczy i ciało były teraz żywymi częściami elpeemu, częściami zgranymi i spójnie dopasowanymi. Komorę wypełniały błyskawice, nieustający grzmot, dym i rozdzierające krzyki. Tak, poziom "C" stał się naraz czymś w rodzaju małej Apokalipsy. Vasquez ogarnęła fala błógiego spokoju.

Nawet w Niebie nie byłoby jej lepiej niż tutaj.

Głośniki w centrum dowodzenia znów zaniósł się rozdzierającym wyciem. Ripley drgnęła. Monitor Wierzbowskiego zgasł, natychmiast potem wyprostowały się linie biowykresów. Ripley zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłoń. Lubiła Wierzbowskiego.

Co ja tu właściwie robię?! myślała gorączkowo. Dlaczego nie siedzę w domu? bez licencji, cała nieszczęśliwa, ale bezpieczna w małym mieszkaniu, gdzie jest Jones, gdzie mogą mnie odwiedzać zwyczajni ludzie, gdzie panuje zdrowy rozsądek? Dlaczego dobrowolnie wdepnęłam w ten koszmar? Przez altruizm? Przez to, że od samego początku podejrzewałam, co spowodowało przerwę w łączności z Acheronem? A może dlatego, że chciałam odzyskać tę parszywą licencję?

W trzewiach stacji procesora atmosferycznego niosły się bełkotliwe głosy ludzi ogarniętych paniką i szaleństwem. Czuły odbiornik dostrojony do częstotliwości lokalnej wychwytywał z nich zrozumiałe słowa. Ripley rozpoznała głos Hudsona niosący się ponad krzykami innych. Nieskomplikowany pragmatyzm kaprała zapowiadał przełom w taktyce obronnej.

- Zwiewajmy stąd!

Usłyszała też wrzask sfrustrowanego Hicksa.

- Nie tym tunelem, idioto! Tamtym! Tamtym!

- Na pewno? - To Crowe.

Robiąc unik przed jakimś niewidzialnym ciosem, Crowe błyskawicznie ukucnął. Obraz z jego kamery zakolysał się na wszystkie strony, ukazując obłąkaną płataninę gigantycznych lecz niewyraźnych sylwetek, pograżonych w kłębach dymu i pary.

- Uważaj! Z tyłu! Z tyłu! Rusz się, kurwa!

Ręce Gormana nie śmigały już między przełącznikami. Sytuacja wymagała teraz czegoś więcej niż przyciskania guzików, a po jego spopieliałej twarzy Ripley poznała, że wojskowy nie może się na nic zdecydować.

- Wycofaj ich, Gorman! - wrzasnęła. - Już! Natychmiast!

- Zamknij się. - Patrzył na wskaźniki i chwycił powietrze jak wielki karp. Wszystko się rozpadało. Cały misterny plan akcji zwiadowczej szlag trafił. W dodatku tak szybko, że nie zdążył niczego przemyśleć. - Zamknij się, dobrze? - powtórzył.

W głośniczku umieszczonym nad monitorem Crowe'a rozległ się metaliczny jęk dartego metalu i ekran zagasł. Gorman wyjąkał coś niezrozumiałego. Usiłował zapanować nad sobą, tymczasem tracił panowanie nad sytuacją.

- Aaa... Apone, otwórzcie ogień zaporowy z miotaczy i wycofujcie się drużynami do transportera. Over.

Trzaski zakłóceń, ryk wyrzucanego pod ciśnieniem napalmu i jazgot elpeemów zagłuszyły odpowiedź sierżanta.

- Nie zrozumiałem. Wycofać się za miotaczami?

- Powiedziałem, że musicie... - Gorman powtórzył rozkaz.

Nikt go nie słuchał, co było zresztą bez znaczenia, bowiem żołnierze uwięzieni w komorze nie mieli czasu na słuchanie, nie mieli czasu na nic.

Tylko Apone manipulował przy swoim odbiorniku, usiłując wyłować sens z bełkotliwych rozkazów. Głos porucznika był tak zniekształcony, że aż nie do rozpoznania. Odbiorniki przystosowano do działania i przechwytywania sygnałów w każdych warunkach, nawet pod wodą, ale tu działało się coś, czego konstruktorzy sprzętu nie przewidzieli, coś, czego nie mógł przewidzieć nikt, bowiem nikt się z czymś takim dotychczas nie spotkał.

Sierżant usłyszał z tyłu krzyk. Pieprzyć Gormana. Przełączył się na częstotliwość lokalną.

- Dietrich? Crowe? Odezwijcie się! Wierzbowski, gdzie jesteś?!

Nagle jakiś ruch. Z lewej strony. Obrócił się błyskawicznie i jeszcze ułamek sekundy, a roztrzaskałby głowę Hudsonowi. W oczach kaprała ujrzał szaleństwo. Nie było w nich teraz fałszywej brawury, żołnierz już się nie przechwalał. Był przerażony, zatrwożony i nawet nie próbował tego ukryć.

- Wykańczają nas! - wrzasnął. - Zdechniemy tu! Zdechniemy tu jak psy!

Apone podał mu magazynek. Kaprał wbił go dłonią pod rygiel zamka, usiłując patrzeć na wszystkie strony na raz.

- Teraz lepiej? - spytał Apone.

- Ta, lepiej, jasne! - Hudson wprowadził pocisk do lufy. Wyraźnie mu ulżyło. - W dupie mam te cholerne wymienniki.

- Wyczuł jakiś ruch, odwrócił się i wypalił. Lekki odrzut broni wrócił mu częściowo pewność siebie.

Na prawo do niego walczyła Vasquez. Nieprzerwaną strugą ognia niszczyła wszystko, co znalazło się w promieniu metra od niej bez względu na to, czy było to coś żywego, martwego czy stanowiło część maszyneryi procesora. Sprawiała wrażenie człowieka, który nad sobą nie panuje, który oszalał. Lecz Apone wiedział swoje. Gdyby Vasquez zwariowała, już dawno by nie żyli.

Biegał ku niej Hicks. Vasquez obróciła się lekko i puściła długą serię z elpeemu. Na widok wycelowanej w siebie lufy kaprał ukucnął, ocierając się o śmierć. Ścigający go potwór, trafiony gradem pocisków, runął do tyłu. Jeszcze trochę, a zakrzywione szpony rozdarłyby Hicksowi szyję.

Na stanowisku dowodzenia obraz przekazywany przez kamerę Apone'a nagle zawirował opętany piruetem i zgasł. Gorman gapił się w monitor, jak gdyby wzrokiem chciał ożywić ekran, a wraz z nim człowieka, którego przed chwilą stracił.

- Kazałem im przecież wracać... - szepnął nie dowierzając własnym oczom. - Pewnie nie słyszeli rozkazu...

Ripley przysunęła twarz do jego twarzy i wyczytała w niej histeryczne oszołomienie.

- Zrób coś! Oni są odcięci!

Wolno skierował na nią wzrok. Wargi mu drgnęły, ale słowa, które wymamrotał, były całkowicie niezrozumiałe. Potrząsnął lekko głową.

Z jego strony nie mogła oczekiwać żadnej pomocy. Porucznik wypadł z gry. Burke wciskał się w przeciwległą ścianę kabiny, jak gdyby poprzez maksymalne oddalenie od koszmarnych obrazów przekazywanych przez działające monitory chciał uciec od walki, jaka wrzała w trzewiach stacji procesora.

Jedyną rzeczą, jaka mogła jeszcze pomóc niedobitkom, była natychmiastowa akcja ewakuacyjna. Gorman nie mógł jej poprowadzić, Burke również. Któż więc został w odwodzie? Ulubienica rudego Jonesa.

Ripley wiedziała, że gdyby kot tu z nimi był i gdyby mógł podejmować decyzje w jej imieniu, natychmiast zrobiliby tak: zawróciłby transporter, ruszyłby na pełnym gazie w stronę lądowiska, gdzie czekał prom, wystartowałby, zacumował w ładowni Sulaco, zamknąłby się w hibernatorze i czym prędzej wrócił do domu. Mało prawdopodobne, żeby ktoś z zarządu kolonialnego chciał podważyć raport, jaki by im złożyli. Nie tym razem. Bo tym razem miałyby dowody: zszokowanego Gormana i na wpół otumanionego Burke'a. I jeszcze obrazy zarejestrowane automatycznie przez pokładowy komputer transportera, obrazy ukazujące piekło koszarnej walki, obrazy, którymi cisnęłaby w twarze tym kołtuńskim i wiecznie z siebie zadowolonym przedstawicielom Towarzystwa.

Uciekaj stąd! Uciekaj do domu! wrzeszczał głos rozsądku. Masz już te swoje dowody, po które tu przyjechałaś! Kolonia przepadła. Wszyscy zginęli albo nawet gorzej, niż zginęli. Przeżyło tylko jedno dziecko. Wracaj na Ziemię, a następnym razem niech tu przyleci nie jeden pluton, a cała armia, z samolotami do wsparcia powietrznego, z ciężką artylerią. Jeśli zajdzie taka potrzeba, niech zmiotą to miejsce z powierzchni planety, ale niech to zrobią bez ciebie!

Tak podnoszące na duchu rozumowanie miało tylko jeden minus. Gdyby teraz odjechała, zostawiłaby własnemu losowi Vasquez, Hudsona i Hicksa, i wszystkich innych, którzy pozostali jeszcze przy życiu na łasce czułych i delikatnych stworków. Jeśli będą mieli szczęście, umrą. Jeśli nie, skończą w ścianie, w kokonie, jako zastępcy tych, których litościwie spalili napalmem.

Nie mogła tego zrobić, nie mogłaby z tym żyć. Za każdym razem, kiedy przykładaby głowę do poduszki, słyszałaby ich rozpaczliwe krzyki. Gdyby uciekła, zamieniłaby jeden koszmar na setki jeszcze gorszych. Kiepska transakcja. Po raz kolejny liczby były Jej nieprzychylne.

To, co musiała zrobić, napełniało Ripley przerażeniem, ale złość, jaka w niej narastała, złość na bezradność Gormana, na Towarzystwo, które wysłało ją tutaj z

niedoświadczonym oficerem i z maleńką grupką żołnierzy (bez wątpienia przez oszczędność), pomogła jej precyzyjnie się obok sparaliżowanego porucznika i ruszyć w stronę kabiny sterowniczej.

Czekał tam na nią jedyny ocalały świadek zagłady kolonii Hadley. Dziewczynka patrzyła na Ripley poważnymi oczyma.

- Newt, przejdź do tyłu i załóż pasy.

- Jedziesz tam, tak? Po nich .

Sadowiła się właśnie na fotelu kierowcy. Usłyszawszy słowa małej, zastygła w bezruchu.

- Muszę. Tam na dole są żywi ludzie i potrzebują pomocy. Rozumiesz to, prawda?

Newt skinęła głową. Rozumiała aż za dobrze. Gdy Ripley zapinała klamry pasów bezpieczeństwa, dziewczynka wybiegła z kabiny.

Ripley spojrzała na deskę rozdzielczą. Przywitał ją ciepły blask monitorów i wskaźników gotowych do przyjęcia rozkazów. Gorman i Burke byli niezdolni do jakiegokolwiek reakcji, ale transporter opancerzony nie ulegał wpływom psychicznych stresów. Zaczęła przerzucać dźwignie, wciskać przyciski, wdzięczna Bogu za to, że kazał jej spędzić ubiegły rok w Portside, gdzie musiała obsługiwać wszelkiego rodzaju ładowarki i ciężki sprzęt transportowy. Wielkie silniki wspomagane turbodoładowaniem zagrały na pełnych obrotach. Maszyną wstrząsnął dreszcz - sposobila się do jazdy.

Wibracje kadłuba wystarczyły, by Gorman wrócił do rzeczywistości. Wychylił się z fotela i krzyknął:

- Ripley! Co ty robisz?

Zignorowała go, bo musiała uważać na wskaźniki, to było teraz najważniejsze. Wrzuciła bieg, koła zabuksowały na mokrej ziemi i transporter ruszył w stronę otwartych wrót.

Z kompleksu stacji buchały kłęby dymu. Zaraz na bramą Ripley gwałtownie skręciła. Na chodniku maszyna wpadła w lekki poślizg, wyrównała i runęła w dół szerokiej rampy. Transporter mieścił się na niej bez problemów, z obu stron było jeszcze sporo miejsca; przedtem jeździły tędy wielkie spychacze i maszyny serwisowe. Wszystkie konstrukcje na Acheronie wznoszono na wyrost, mimo to rampa ugięła się pod ciężarem opancerzonego potwora. Na szczęście jej nawierzchnia była wytrzymała i nie pękała pod rozpędzonym cielskim transportera. Palce Ripley śmigały po desce rozdzielczej, wciskając guziki sterujące niezależnie napędzanymi kołami. Katując cierpliwy plastik, dawała upust złości.

Mgła i para przesłaniały obraz z kamer zewnętrznych. Ripley przeszła na nawigację automatyczną. Czujniki laserowe włączające się dwadzieścia razy na sekundę odczytywały odległość między kołami a przeszkodą i przekazywały dane

do komputera, który sterował ruchami kół i zapobiegał zderzeniu ze ścianami. Utrzymywała tę samą prędkość, wiedząc że maszyna jej nie zawiedzie.

Gorman oderwał wzrok od niewyraźnego obrazu ściany, który śmignął na ekranach w centrum dowodzenia, rozpiął uprząż i objając się o burty - transporter wszedł właśnie w ostry zakręt - ruszył do kabiny sterowniczej.

- Co ty wyprawiasz?

- A jak myślisz - Zajęta wskaźnikami, nawet na niego nie spojrzała.

Położył jej rękę na ramieniu.

- Zawracaj ! To rozkaz!

- Nie masz prawa wydawać mi rozkazów, Gorman. Jestem cywilem, zapomniałeś?

- To jest ekspedycja wojskowa i jako taka podlega rozkazom wojskowych. Jestem tu oficerem głównodowodzącym i rozkazuję ci natychmiast zawrócić!

Zacisnęła zęby i skoncentrowała uwagę na przednim monitorze.

- Spadaj, Gorman, jestem zajęta. Wsadź se lepiej granat w dupę.

Chwyił ją za barki i usiłował wyciągnąć z fotela. Burke objął go od tyłu i wywłókł z kabiny. Chciała mu nawet podziękować, ale nie miała czasu.

Dotarli do poziomu "C". Ripley wyłączyła automatycznego pilota i laserowe skanery i w tym samym momencie wykonała szaleńczy skręt. Olbrzymie koła zapiszczały na betonie, silnik zawył na maksymalnych obrotach, burta grzmotnęła w ścianę. Rozrywając rury i kable, rozgniatając kawały żywicopodobnej wydzieliny maszyna ruszyła do przodu. Ripley spojrzała na deskę rozdzielczą i odnalazła wzrokiem to, czego szukała: przełączniki lampy stroboskopowej, świateł zewnętrznych i sygnału dźwiękowego. Jednym uderzeniem otwartej dłoni włączyła wszystkie trzy.

Przy akompaniamencie rozdzierającego wycia syreny bojowej na kadłubie transportera ożyły sodowo-lukowe reflektory, wirujące lampy rozbłyiskowe i kierunkowe emitory podczerwieni. Monitory przekazujące obraz z kamer na hełmach żołnierzy znajdowały się w centrum dowodzenia, ale Ripley nie musiała ich wcale oglądać: wzięła kurs na to, co widziała przed sobą. Ryk ognistych eksplozji napalmu i błyski strzałów dochodziły zza grubej ściany zbudowanej z twardej przezroczystej wydzieliny. Żywicopodobna substancja rozpraszała ostre światło, przez co cała komora pulsowała od środka upiorną, trupią poświatą.

Ripley wcisnęła gaz. Maszyna wbiła się w zwichrowaną ścianę niczym pocisk wystrzelony z działa. Na pancierz runął deszcz odłamków scalonej wydzieliny. Jej większe bryły pękały pod olbrzymimi kołami transportera. Ripley szarpnęła kierownicą. Tył kolosa zarzucił, uderzył w ścianę i rozbił ją w pył.

Z kłębow dymu wychynał Hicks. Jedną ręką podtrzymywał kulejącego Hudsona, w drugiej ścisnął strzelbę i raz po raz puszczał za siebie krótkie serie. Obaj żyli



tylko dzięki adrenalinie, wyćwiczonym mięśniom i determinacji. Ripley oderwała wzrok od przedniej szyby i spojrzała do tyłu, w głąb kabiny.

- Burke, idą!

Z przejścia między rzędami foteli dobiegła ją stłumiona odpowiedź:

- Dobra! Już otwieram!

Burke dotarł do drzwi, chwilę manipulował niewprawnie przy zamku, aż opancerzona kłapa otworzyła się na oścież. Tuż za Hicksem i Hudsonem z gęstych oparów wyszli Vasquez i Drake. Cofali się ramię w ramię, z precyzją automatów. Sunęli w stronę transportera, ubezpieczając odwrót nieustannym ogniem z elpeemów. Nagle broń Drake'a zamilkła - ogniwa były całkowicie wyczerpane. Wprawnym, wyćwiczonym ruchem rozpiął klamry i zrzucił z siebie uprząż pistoletu, która zesza z niego niczym stara, sflaczała skóra. Nim zdążyła upaść na ziemię, Drake trzymał już w rękach miotacz płomieni. W jazgot wciąż działającej broni Vasquez wmieszało się głucho szszuuuu tryskającego napalnu.

Hicks dotarł do transportera, przestał strzelać i niemal wrzucił do kabiny rannego Hudsona. Później cisnął za nim karabin, dwoma susami wskoczył do środka, odwrócił się, chwycił pod pachy Vasquez i zaczął wciągać ją tyłem do maszyny. W tym samym momencie Vasquez spostrzegła, że z kłębow dymu wynurza się gigantyczna sylwetka potwora, że upiorne ramiona sięgają po Drake'a i w chwili, kiedy padała na pokład transportera, skierowała lufę do góry.

Błysk wystrzałów oświetlił jej twarz zastygłą w nieludzkim, koszmarnym uśmiechu. Pociski rozerwały potworowi mostek i na wszystkie strony trysnęła gęsta żółtawa ciecz. Chlusnęła też na głowę i piersi Drake'a. Kwas przeżarł natychmiast skórę, dotarł do kości. Drake zatoczył się nieprzytomnie, w przedśmiertnym skurczu zacisnął palce na spuście miotacza i runął na plecy.

W otwarte drzwi trafiła struga rozpalonego napalnu. Część kabiny stanęła momentalnie w ogniu, ale Vasquez i Hicks zdążyli się w ostatniej chwili przetoczyć za kłapę, którą kapral zaczął natychmiast zamykać. Przeszkodziła mu Vasquez. Na czworakach dopadła wyjścia i rzuciła się na drzwi. Hicks chwycił ją, ale zwolnił tym samym przycisk zamka - drzwi nadal stały otworem.

Vasquez nie była już opanowana i spokojna. Krzyczała, usiłowała wyskoczyć z kabiny.

- Drake! On tam został! Drake!

Tylko dzięki temu, że górował nad nią wzrostem i siłą, Hicks zdołał ją ku sobie obrócić.

- On nie żyje! - wrzasnął. - Daj spokój, Vasquez, on już nie żyje!

Patrzyła na niego błędnym wzrokiem. Twarz miała brudną, całą w sadzy.

- Nie. Nie, on żyje! On nie...

Hicks zerknął na Burke'a i Hudsona.

- Zabierzcie ją stąd. Muszę zamknąć klapę.

Hudson kiwnął głową. Razem z Burke'em odciągnęli Vasquez od drzwi.

Kapral zebrał wszystkie siły i krzyknął w głąb kabiny:

- Jazda! Mamy komplet!

Ripley grzmotnęła dłonią kilka przełączników i wcisnęła gaz.

- Ruszamy! - odwrzasnęła za siebie.

Transporter drgnął, ryknął na pełnych obrotach i pomknął w górę rampy.

W kabinie zerwała się półka, grzebiąc Hudsona pod stosem metalowych puszek i pojemników. Klnąc i młóćąc wokół siebie rękami, zaczął odrzucać je na bok. I nie zwracał przy tym uwagi, na ich oznakowanie czy są to konserwy, czy materiały wybuchowe.

Tymczasem Hicks zajął się na powrót drzwiami. Już je prawie zamknął, gdy wtem ukazały się w nich dwie szponiaste łapy, które z siłą młota pneumatycznego uderzyły w obrzeże klapy. Newt wydała z siebie rozdzierający krzyk pierwotnego dziecka. Oto znów gigantyczny niedźwiedź szablatozęby, przeraźliwe straszdyło czyhały u wylotu jaskini, i tym razem nie miała dokąd uciec.

Vasquez zdołała wstać i razem z Hicksem i Burke'em napała na klapę. Mimo iż wyteżali wszystkie siły, obcy wolno ją rozwierał. Zamki i kryzy protestowały z metalicznym jękiem.

Hicks nabrał powietrza w płuca i ryknął:

- Gorman! Pomóż!

Otumaniony porucznik usłyszał i zareagował: wytrzeszczył oczy, pokręcił głową i cofnął się do tyłu.

Hicks zdusił pod nosem przekleństwo, zablokował dźwignię ramieniem i wyszarpnął zza pazuchy antyczną dwunastostrzałówkę z obciętą kolbą. Dokładnie w tej samej chwili w otworze pojawił się koszmarny łeb. Zewnętrzna szczęka rozwarła się, ukazując rzędy ostrych zębów i pulsujące rytmicznie gardło. Gdy ociekające śluzem kły runęły w stronę Hicksa, kapral wbił lufę broni w paszczę monstrum i nacisnął spust. Wnętrzem transportera targnęła ogłuszająca eksplozja. Pocisk rozerwał obcemu czaszkę, a na drzwi i na pokład maszyny trysnęła fontanna żrącej krwi.

Hicks i Vasquez uskoczyli w bok, ale kilka kropel spadło Hudsonowi na ramię, wżerając się z sykiem w ciało. Kapral zawył i opadł na pusty fotel. Ze skwierczącej rany unosiła się strużka dymu.

Hicks i Burke zatrzasnęli wreszcie i zablokowali nieszczęsną klapę.

Transporter rwał przed siebie niczym uciekająca kometa. W pewnej chwili całym impetem rozpedzonego cielska uderzył w ścianę pionowo biegnących rur. Ripley wrzuciła wsteczny i dodała gazu. Wielkie koła zapiszczały, na pancierz posypał się deszcz iskier.

Za nią, w kabinie, wszyscy krzyczeli naraz. Wyszarpnęli z uchwytów gaśnice i uruchomili je, próbując opanować pożar. Newt trzymała się z daleka, nie wchodziła nikomu w drogę. Siedziała cichutko w fotelu, podczas gdy ogarnięci paniką dorośli biegali tam i z powrotem. Oddychała ciężko, ale regularnie. Oczy miała czujne, spojrzenie skupione. To, co rozgrywało się w kabinie, nie było dla niej niczym nowym. Przeszła przez to wszystko tam, w kolonii.

Dobiegł ich odgłos miękkiego metalicznego uderzenia. Coś wylądowało na dachu.

Gorman wcisnął się w róg na lewo od przejścia i gapił nieprzytomnie na rozbieganych towarzyszy. Dlatego nie mógł widzieć, że osłona luku strzelniczego, o którą się opierał, zaczęła nagle drżeć. Nie widział tego, ale poczuł, poczuł w momencie, gdy jakaś straszliwa siła wyrwała klapę z burty. Chciał się obrócić, ale w tej samej chwili coś chwyciło go za nogę.

Ogon był zakończony czymś ostrym i srebrzystym, czymś, co poruszało się z niesamowitą wprost szybkością. Śmignął Gormanowi wokół uda, a ów srebrzysty grot utkwił mu w ramieniu. Porucznik krzyknął.

Hicks rzucił się w stronę obrotowego fotela, który stał w niszy mieszczącej pulpit kierowania ogniem pokładowym. Wcisnął kilka guzików, włączył silnik i zakręcił korbą sterującą ruchami wieżyczki. Kiedy fotel zaczął się obracać, na desce rozdzielczej rozbłysły kolorowe światełka. Nie upiększyły co prawda zdemolowanej kabiny, ale przywiodły uśmiech na wykrzywione usta kaprała.

Zaszumiały silniczki wspomagające. Wieżyczka wbudowana w dach transportera ożyła i wykonała półobrót. Obcy, który schwytał Gormana - zdążył go już prawie wyciągnąć z transportera - wykręcił łeb w stronę źródła nowego dźwięku i w tej samej chwili dwie sprzężone lufy działka plunęły ogniem. Ciężkie pociski zmioły monstrum z dachu, zanim kwas zdążył trysnąć na pancerz:

Burke wciągnął Gormana do środka, podczas gdy Vasquez rozglądała się za czymś do zatkania luku.

Wlokąc za sobą warkocz ognia i dymu, transporter pędził w górę rampy. Naraz wpadł w poślizg i całą długością burty uderzył w ścianę przybudówki, gdzie mieściła się sterownia procesora atmosferycznego. Ściana roztrzaskała się, meble poszły w drzazgi, a umykająca maszyna zostawiała za sobą długi ślad z odłamków szkła, ceramitów i rozerwanego na strzępy plastiku.

Już niedługo, już zaraz, zaraz będziemy bezpieczni, myślała Ripley. Jeszcze minuta, jeszcze dwie i jeśli tylko maszyna nie nawali, wydostaniemy się na powierzchnię. Będziemy wolni i...

Tuż przed jej oczyma śmignęło potężne ramię. Uderzyło w przednią szybę i roztrzaskało ją w drobny mak. Do sterówki zajrzała błyszcząca, ociekająca śluzem paszcza. Ripley zasłoniła się rękoma i odchyliła do tyłu. Po raz drugi była tak bliska

śmierci. W Narcissusie, w promie ratunkowym Nostromo, zapięta pasami w fotelu pilota, wabiła ku sobie identyczne monstrum, by móc je wystrzelić ze śluzy w kosmos. Ale tym razem nie było tu śluzy, nie miała na sobie bezpiecznego kombinezonu, nie zastawiła żadnej pułapki i nie miała czasu, żeby cokolwiek wymyślić.

Kopnęła nogą pedał hamulca. Przeróżliwy, rozdzierający uszy pisk - wielkie koła zablokowały się na dużej szybkości. Ciśnięta nagłym impetem, Ripley runęła do przodu, głową w stronę rozwartych szczęk. Ale pasy trzymały, mocno, pewnie, i ściągnęły ją na powrót w głąb fotela.

Obcy pasów nie miał. Zwisając łbem w dół, przytrzymał się niezdarnie krawędzi dachu i nawet swoją nieludzką siłą nie zdołał pokonać siły bezwładności. Rzuciło nim do przodu, upadł na beton, a w tej samej chwili Ripley wcisnęła pedał gazu. Transporter zawył na pełnych obrotach, zabuksował kołami i rozgniółł szkieletaste cielsko tak szybko i tak dokładnie, że siedzący w kabinie nie odczuli najmniejszego wstrząsu. Struga krwi nie dosięgła pancernych deklei. Obracały się tak szybko, że na ich powierzchni kwas wyżarł tylko kilka niewielkich otworów. Maszyna nadal mknęła przed siebie:

Nagle ciemność. Czysta, przyjazna ciemność. Nie czarny, przytłaczający mrok, ale ciemność mgliście oświetlona, z konturami murów stacji procesora. Chwilę później minęli bramę i ruszyli w stronę lądowiska.

Z tyłu transportera dochodził jakiś hałas; przypominał zgrzyt, jaki wydają tryby, w które wpadnie zbląkana śruba. Od czasu do czasu Ripley słyszała głośniejsze metaliczne kłągkłąg i odgłos silnego tarcia, tarcia jakiego nie zlikwidują wysokogatunkowe smary. Manipulowała pokrętłami na desce rozdzielczej, chcąc go wymazać z rzeczywistości, ale niczym dręczące ją nocne zmy, nie chciał zniknąć i uparcie powracał.

Nadszedł Hicks. Łagodnie, ale stanowczo oderwał jej palce od dźwigni gazu; ich kostki były białe jak kreda, jak twarz Ripley. Zamrugła nieprzytomnie i uniosła głowę.

- Wszystko w porządku - zapewniał cicho. - Wyszliśmy z tego. Są za nami. Za walką na otwartym terenie chyba nie przepadają. Spokojnie. Zresztą tym wrakiem dalej już i tak nie pojedziemy.

Zwolnili. Zgrzytliwy hałas był teraz nie do zniesienia. Wsłuchiwała się weń uważnie, tymczasem wielka maszyna zastygła w bezruchu.

- Tylko mnie nie pytaj, co to jest - wykrztusiła. - Jestem operatorką ładowarek, a nie mechanikiem.

Hicks nachylił głowę w kierunku źródła metalicznego rżenia.

- Brzmi jak pęknięta półośka... - oznajmił. - Może nawet dwie półośki. Tak czy inaczej, wlecemy brzuchem po ziemi. Właściwie to się dziwię, dlaczego nie

zostawiliśmy podwozia gdzieś na poziomie "B". Cud, że wytrzymało. Mocne jest, cholera...

- Ale nie dosyć. - Przytłumiony głos Burke'a dobiegł z głębi kabiny.

- Nikt nie przewidział, że jakakolwiek maszyna będzie musiała stawić czoła takim stworzeniom. Nigdy.

Hicks nachylił się nad deską rozdzielczą, uruchomił zewnętrzną kamerę i obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni. Transporter wyglądał strasznie. Została z niego okopconca, przeżarta kwasem skorupa. Miał być niepokonany. Teraz nadawał się tylko na złom.

Ripley okręciła się w fotelu, spojrzała na puste siedzenie obok, później zerknęła w głąb kabiny.

- Newt. Gdzie jest Newt?

Szarpnięcie za nogawkę. Lekkie, więc nie podskoczyła z przerażenia. Dziewczynka wcisnęła się w maleńką przestrzeń między fotelem kierowcy a pancierzem transportera. Drżała, była przestraszona, ale przytomna i czujna. Tym razem nie wpadła w stan katatonii, nie uciekła od rzeczywistości. Bo tym razem nie było ku temu powodów. Kiedy obcy opanowali kolonię, Newt musiała oglądać rzeczy dużo straszniejsze.

Czy patrzyła na ekrany monitorów, gdy żołnierze wchodzili do komory? Czy widziała twarz kobiety, która szeptała w agonii do Dietrich? A jeśli ta kobieta...?

Nie, niemożliwe. Gdyby była jej matką, Newt doznałaby takiego szoku, że nic by jej nie pomogło. Popadłaby w coś gorszego niż katatonia, uciekłaby od świata i nie umieliby już do niej dotrzeć. Prawdopodobnie nigdy.

- W porządku, Newt? - Czasami trzeba zadawać idiotyczne pytania. Poza tym Ripley chciała, musiała zobaczyć, jak dziewczynka zareaguje.

Newt zareagowała uniesieniem kciuka. Milczenie wciąż było dla niej podświadomym sposobem obrony. Milczała, gdy obcy zabijali jej bliskich i dzięki temu przeżyła. Ripley nie nalegała.

- Muszę sprawdzić, co z innymi - powiedziała spoglądając w uniesioną twarzyczkę dziewczynki. - Zaczekasz tu na mnie?

Tym razem skinienie głową i nieśmiały uśmiech, który ścisnął Ripley za gardło. Próbowwała ukryć, co się z nią dzieje, bo nie czas był ani miejsce, żeby się załamywać. Na Sulaco da upust dławiącym ją uczuciom.

- Zaraz wracam, Newt. Jak się zmęczysz siedzeniem w tej norce, przyjdź do nas, dobrze?

Szerszy uśmiech, energiczniejsze skinienie głową, ale dziewczynka nie drgnęła z miejsca. Wciąż bardziej ufała instynktowi niż dorosłemu.

Ripley nie była urażona. Rozpięła klamry i wyszła do kabiny.

Z boku stał Hudson. Oglądał swoje ramię. Fakt, że w ogóle je miał, świadczył o tym, że spadła na nie ledwie maleńka kropelka krwi obcego. Kapral wciąż jeszcze przeżywał ostatnie dwadzieścia minut swego życia, odtwarzając po raz enty każdą chwilę, każdą sekundę piekła, nie wierząc temu, czego doświadczył. Ripley słyszała, jak mamrocze pod nosem:

- Nie, to niemożliwe, to przecież niemożliwe. To się po prostu nie mogło wydarzyć...

Kierowany bardziej ciekawością niż współczuciem, Burke usiłował zerknąć na ranę, ale Hudson szarpnął się i odsunął.

- Daj spokój. Nic mi nie jest - burknął.

Burke ściagnął wargi. Rana bardzo go interesowała, ale nie śmiał nalegać.

- Ktoś powinien to obejrzeć. Nie wiadomo, jakie są efekty uboczne. Może jest zatruta.

- Taa? A jak jest zatruta, to co? Poszperasz w zapasach i raz dwa wypichcisz antidotum, nie? Od tego jest Dietrich. - Przełknął ślinę. Złość mu przeszła. - Była od tego. Kurewskie nasienie...

Hicks pochylał się nad znieruchomiałym Gormanem. Sprawdzał mu puls. Ripley podeszła bliżej.

- No i...? - spytała w napięciu.

- Serce bije wolno, ale regularnie. Oddech też wolniejszy, ale równy. Żyje. Gdybym nie wiedział, co zaszło, powiedziałbym, że śpi. Ale on nie śpi. To chyba coś w rodzaju paraliżu.

Vasquez rozepchnęła ich na boki i chwyciła nieprzytomnego porucznika za kołnierz. Była zbyt wściekła, żeby płakać.

- To trup! To już trup! - Szarpnęła Gormanem, posadziła go, jedną ręką przytrzymała, dłoń drugiej zacisnęła w pięść i odwiodła do tyłu. - Obudź się, pendejo! Wstawaj! Zabiję cię, ty gnoju pierdolony! Zabiję!

Hicks wsunął się między zastygłego w bezruchu porucznika a Vasquez i spojrzał jej w twarz. Oczy miał surowe, spojrzenie twarde, takie jak zawsze. Mówił tym samym głosem, ale teraz zabrzmiała w nim nieco ostrzejsza nutka.

- Spokojnie, Vasquez, odejdz. Zostaw go. Natychmiast.

Mierzyli się wzrokiem. Vasquez nie zwalniała uchwytu, ale choć zaślepiona furją, zrozumiała coś, co zrozumiałby każdy żołnierz. Bo była żołnierzem, w dodatku żołnierzem piechoty kolonialnej, a wszyscy żołnierze zawsze mają przed oczyma regulamin, a w tym wypadku regulamin mówił, że skoro nie ma już Apone'a, dowództwo objął Hicks.

- Takim gnojem nie warto sobie brudzić rąk - mruknęła w końcu.

Puściła kołnierz. Głowa porucznika uderzyła o pokład i odbiła się od niego jak piłka. Vasquez wstała i klnąc pod nosem, odeszła. Nie ulegało wątpliwości, że gdyby nie interwencja kaprała, operatorka elpeemu stłukłaby Gormana na miazgę.

Ripley pochyliła się nad nieprzytomnym i rozpięła mu koszulę. Bezkrwawa, szkarłatna ranka na ramieniu zdążyła się już zasklepić.

- Jakby go użądlił albo coś takiego... Ciekawe. Nie wiedziałam, że to umieją.

Naraz usłyszeli podekscytowany okrzyk Hudsona.

- Hej! Spójrzcie tylko! - Po rozmowie z Burke'em Hudson przeszedł do centrum dowodzenia. Stał tam i posepnym wzrokiem wpatrywał się w ekrany biomonitorów. Nagle coś przykuło jego uwagę. Teraz wzywał do siebie kolegów. - Spójrzcie! Crowe i Dietrich żyją! - Wskazał palcem dwa ekrany i przełknął głośno ślinę. - Muszą chyba być w takim stanie jak Gorman. Sygnały są słabe, ale oni żyją... - mówił coraz ciszej, jakby całe podniecenie stopniowo z niego wyparowywało.

Bo skoro nie umarli, skoro byli w takim stanie jak Gorman, znaczyło to, że... Targany uczuciami złości i smutku kaprał pokręcił głową. Stał na kruchym lodzie, pod którym czaiła się otchłań hysterii. Wszyscy na tym lodzie stali. Histeria przywarła do nich jak żądna krwi pijawka, czyhając tylko na okazję, na chwilę słabości, kiedy któryś z niedobitków nie wytrzyma i opuści psychiczną gardę.

Ripley wiedziała, co oznaczają te charakterystyczne odczyty, wskazujące na pozorny sen. Spróbowała to Hudsonowi wyjaśnić, ale nie potrafiła spojrzeć mu w twarz.

- Nie możemy im pomóc.

- Chwila, przecież skoro oni żyją...

- Daj sobie spokój, Hudson. Crowe i Dietrich tkwią teraz w ścianie, w kokonach jak tamci. Jak koloniści, których znaleźliście w tej komorze. I nic nie możemy na to poradzić. Nikt nie może. Tak to jest. Ciesz się, że to nie ty, że jesteś tutaj, a nie tam, z nimi. Gdyby na twoim miejscu była tu Dietrich, wiedziałyby, że nie jesteśmy w stanie im pomóc.

Hudson oklapł jak balon, z którego uszło powietrze.

- To sen, to tylko sen... - szepnął.

Ripley odwróciła się. Odwróciła się i spotkała wzrokiem z Vasquez. Tak, mogłaby jej teraz powiedzieć: No i co? A nie mówiłam? Mogłaby i miałyby rację. Ale słowa były zbyteczne. W spojrzeniu, jakie z sobą wymieniły, zawierało się wszystko.

Tym razem to Vasquez odwróciła głowę.

## 9.

W laboratorium medycznym kolonii nad mikroskopem pochylał się Bishop. Pod soczewką leżał fragment martwego pasożyta, wycięty z okazji pływającego w najbliższym zbiorniku z płynem konserwującym. Nawet po śmierci stworzenie, którego sekcję Bishop przeprowadzał, wyglądało przerażająco. Spoczywało na stole, palczastymi kończynami do góry. Kończyny były podkurczone, gotowe wpić się w twarz każdego, kto podszedłby bliżej. Silny ogon groził zwinięciem się i rozprężeniem, w jednym skoku wyrzucającym zwierzę w stronę celu, nawet na drugi koniec pomieszczenia.

Jego budowa wewnętrzna była równie fascynująca jak funkcjonalne cechy zewnętrzne i Bishop ani na chwilę nie odrywał wzroku od obiektu. Dzięki silnemu mikroskopowi oraz wszechstronnym możliwościom swoich sztucznych oczu mógł dostrzec znacznie więcej niż naukowcy z kolonii.

Intrygował go szczególnie jeden problem i chciał go jak najszybciej rozwiązać. Co by się stało, gdyby obcy pasożyt usiłował przywrzeć do syntetyka, choćby do Bishopa? Jego organy wewnętrzne w niczym nie przypominały organów czysto biologicznych, ludzkich, i bardzo się od nich różniły. Czy pasożyt będzie w stanie wykryć ową różnicę jeszcze przed skokiem? Jeśli nie i jeśli będzie usiłował wykorzystać syntetyka jako potencjalnego nosiciela, jakie będą tego konsekwencje? Czy zwolni uścisk, odpadnie i ruszy w poszukiwaniu innego, czy też kierowany bezrozumnym instynktem, złoży embrion w sztuczny twórce? A jeśli tak, to czy embrion będzie się rozwijał i rósł, czy też walcząc o przetrwanie w organizmie pozbawionym ciała i krwi, przeżyje przykrą niespodziankę? Ha! Pewnie przykrzejszą od tej, która spotka samego syntetyka!

Krótko mówiąc: czy na robotach może cokolwiek pasożytować?

Od drzwi dobiegł go jakiś dźwięk. Bishop zerknął znad obiektu i ujrzał w progu dowódcę promu zrzutowego. Spunkmeyer pchał przed sobą wyładowany po brzegi wózek.

- Gdzie to wszystko ułożyć?

- Tam. - Bishop wskazał ręką pobliską ławę. - Tuż obok. Dziękuję.

Spunkmeyer zaczął opróżniać głęboki wózek.

- Coś ci jeszcze przywieźć?

Nie odrywając oczu od obiektu, Bishop wykonał nieokreślony gest dłonią.

- Dobra. Wracam na prom. Jak będziesz mnie potrzebował, daj znać.

Znów machnięcie ręką. Spunkmeyer wzruszył ramionami i wyszedł.

Ciągnąc za sobą wózek, maszerował pustym korytarzem i rozmyślał. Śmieszny facet z tego Bishopa. Facet? Ciekawe, jak tam u niego ze sprawami męskodamskimi? Czy syntetyki też...



Pogwizdując wesoło, otworzył drzwi, postawił kołnierz i wyszedł na asfalt lądowiska. Nawet tak silnie nie wiało, ale Spunkmeyer nie miał skafandra, a bez skafandra było mu chłodno. Gwizdał skoczną melodyjkę i usiłował nie myśleć o nieszczęściu, jakie spadło na ekspedycję Gormana.

Crowe, Dietrich, stary Apone - nie żyją. Trudno w to uwierzyć, naprawdę trudno uwierzyć, jak powtarza w kółko Hudson. No i wstyd. Spunkmeyer ich znał, i to dobrze; nie pierwszy raz razem lecieli. Jednak z drugiej strony nie mógł powiedzieć, że łączyły go z nimi serdeczne stosunki.

Wzruszył ramionami, chociaż wokoło nie było żywego ducha i nikt nie mógł tego widzieć. Do śmierci przywykli. Śmierć była dobrym znajomym, którego wszyscy spodziewali się spotkać jeszcze przed emeryturą. Crowe i Dietrich spotkali się z nim nieco wcześniej i tyle. Nic nie można na to poradzić. Ale Hicks i reszta wybrnęli z tego jak trzeba. Dojdą do siebie, skończą te swoje badania i jutro już ich tu nie będzie. Taki mieli plan. Kilka doświadczeń w laboratorium, ostatnie zdjęcia i zapiski i chodu stąd. Spunkmeyer wiedział, że nie tylko on oczekuje z niecierpliwością chwili, kiedy prom dźwignie się z lądowiska i wróci na pokład starego dobrego Sulaco.

Znów zaczął myśleć o Bishopie i doszedł do wniosku, że w sumie go lubi. Może nowe modele syntetyków zostały nieco ulepszone, a może po prostu Bishop już taki jest...? Ludzie powiadali, że ci od sztucznej inteligencji całymi latami harowali, by ulepszyć oprogramowanie sterujące osobowością, że do każdego nowego modelu wszczepiali nawet jakiś element, dzięki któremu syntetyki mogły być w swych działaniach odrobinę nieokreślone. Tak, to na pewno to - Bishop ma silną, indywidualną osobowość. Wystarczy zamienić z nim kilka słów i można go bez trudu odróżnić od innych syntetyków tej klasy. No i w grupie zwariowanych chwali się dobrze mieć kogoś spokojnego i uprzejmego.

Dotarł z wózkiem na szczyt rampy załadunkowej promu i... poślizgnął się. Złapawszy równowagę, ukucnął, żeby zbadać wilgotną plamę. Ponieważ na rampie nie było żadnych zagłębień, w których mogłaby się zebrać deszczówka, doszedł do wniosku, że musiał rozbić jeden z pojemników zawierających konserwant, tak cenny dla Bishopa. Ale nie czuł przecież charakterystycznego, drażniącego i trwałego odoru formaliny... Błyszcząca śliska substancja, która przywarła do rampy, wyglądała raczej jak gęsty śluz...

Po raz kolejny wzruszył ramionami i wstał. Nie pamiętał, żeby cokolwiek stłukł i będzie się tym martwił dopiero wtedy, kiedy ktoś go o to zapyta, nie wcześniej. Zresztą na zmartwienia nie było czasu. Przed odlotem miał jeszcze kupę roboty.

Silny podmuch wiatru. Parszywy klimat, a mimo to o ileż łagodniejszy od tego, jaki zastali tu pierwsi koloniści. "Atmosfera niezdatna do oddychania" - tak mówili na odprawie przed startem.

Wepchnął do ładowni wózek i trzasnął przełącznikiem. Silniki wciągnęły rampe i zamknęły drzwi.

Vasquez chodziła przejściem między rzędami foteli. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Bezczynność podczas akcji bojowej - bo na dobrą sprawę akcja jeszcze trwała - była dla niej czymś nienormalnym. Chciała poczuć w ręku ciężar broni, chciała mieć do czego strzelać. Wiedziała, że sytuacja wymaga rozważnej analizy i to ją frustrowało jeszcze bardziej, bo analitykiem nie była. Ona działała, bezpośrednio i skutecznie, ona nie lubiła gadać. Lecz była jednocześnie na tyle bystra, by stwierdzić, że ich misja przestała już być misją rutynową. Tak, bo działania rutynowe doprowadziły do katastrofy. Nieprzyjacieli ich przeżuł i wypluł. Tyle. Choć wszystko wiedziała, wcale nie była spokojniejsza. Bardzo, ale to bardzo chciała coś zabić.

Od czasu do czasu zaciskała palce, jak gdyby wciąż trzymała w rękach broń. I gdyby Ripley nie była spięta jak sprężyna w zwałonym mechanizmie antycznego zegara, gdyby zdołała bardziej opanować nerwy, na pewno by się Vasquez przestraszyła.

Tymczasem Vasquez czuła, że osiągnęła taki stan, kiedy musi albo coś powiedzieć, albo zacząć wyrywać sobie włosy z głowy.

- No dobra, jest tak: nie możemy ich stąd rozwalić, bo i czym. Nie możemy tam wrócić piechotą, bo pluton nie istnieje. Nie możemy tam nawet pojechać transporterem, bo rozerwą go na strzępy jak puszkę z fasolą. No to może wtoczyć tam do nich kilka pojemników z CN-20? Zagazować ich w cholere i już. Na promie jest tego tyle, że starczyłoby na całą kolonię.

Hudson spoglądał błagalnie to na nią, to na Ripley.

- Słuchajcie, spadajmy stąd i będzie kwita. - Zerknął na Ripley. - Jestem tego samego zdania co ona - oznajmił. - Niech się sobie w diabły rozmnażają, niech rodzą te ścierwa, gdzie chcą, ale bez nas. My dajemy chodu i wrócimy tu na statku wojennym.

Vasquez zmrużyła skośne oczy i posłała mu wyzywające spojrzenie.

- Mięknieś, Hudson? Stałeś się nagle wrażliwy?

- Ja mięknię?! - Kapral aż się wyprostował. - Cholera jasna! Wdepnęliśmy w gówno. Nikt nas nie uprzedził, że będzie, jak jest. Pierwszy tu wróć, na ochotnika, ale żeby się z tymi bydlakami rozprawić, muszę mieć odpowiedni sprzęt. To nie akcja porządkowa, Vasquez, to nie uliczne rozruchy. Chcesz im dać kuksańca, a oni odgryzą ci nogę.

Ripley spojrzała na operatorkę elpeemu.

- Gazy bojowe to żadne rozwiązanie, Vasquez. Bo skąd wiadomo, czy w ogóle podziałają na ich system nerwowy? Może te bydlaki po prostu tylko prychną i na tym koniec. One są tak zbudowane, że nie zdziwiłabym się, gdyby po naszej akcji

były na przyjemnym haju. Jednego takiego wystrzeliłam ze śluzu. Przedtem wpakowałam mu w brzuch zakrzywiony chwytak i osiągnęłam jedynie to, że ta ohyda ruszała się trochę wolniej. Zdechł dopiero wtedy, kiedy go spaliłam płomieniem odrzutu. - Oparła się o ścianę. - Proponuję wystartować i zniszczyć ich pociskami nuklearnymi typu orbita-ziemia. Jeden pocisk na kolonię, drugi na wyżynę, gdzie znaleźliśmy wtedy statek, którym się tu dostali. To jedyny pewny sposób.

- Hola, chwileczkę! - Burke nie zabierał dotychczas głosu w dyskusji. Teraz nagle ożył. - Nie zatwierdzę tego rodzaju akcji. Chcecie sięgnąć po środki ekstremalne.

- Bo i sytuacja jest chyba ekstremalna, nie? - burknął Hudson; bawiąc się bandażem na skaleczonym ramieniu, posłał Burke'owi ostre spojrzenie.

- Oczywiście, że jest.

- No to dlaczego nie apróbujesz użycia broni nuklearnej? - nalegała Ripley. - Stracisz kolonię i jeden procesor atmosferyczny, ale zachowasz dziewięćdziesiąt pięć procent potencjału terraformującego całej planety. Skąd te wahania?

Wyczuwając w jej głosie prowokującą nutkę, Burke w oka mgnieniu zajął stanowisko pojednawcze.

- Doskonale rozumiem, że to moment niezwykle emocjonujący. Jestem tak samo zdenerwowany jak wy. Ale to nie znaczy, że musimy podejmować pochopne decyzje. Musimy być w tej kwestii bardzo ostrożni. Pomyślmy, zanim wylejemy dziecko z kąpielą.

Ripley nie dała się zbić z tropu.

- Zdajesz się zapominać, że to dziecko nie żyje, Burke.

- Chcę tylko powiedzieć - tłumaczył - że to nie czas na ocenę sytuacji. Chyba rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

Ripley skrzyżowała ramiona.

- Nie, nie rozumiem - odrzekła.

- Burke myślał, i to szybko.

- Chodzi przede wszystkim o koszty. Ta instalacja warta jest znaczną sumę pieniędzy. Mam na myśli całą kolonię. I bynajmniej nie chodzi tu o koszt części zamiennych. Sam transport pochłonie olbrzymie kwoty, a proces terraformowania przyniósł dopiero pierwsze efekty. To prawda, że pozostałe procesory atmosferyczne funkcjonują automatycznie, ale wymagają przecież nadzoru i konserwacji. Brak możliwości zamieszkania na miejscu, brak odpowiedniej obsługi oznacza, że będziemy musieli utrzymywać na orbicie kilkanaście transportowców pełniących funkcję hoteli dla personelu technicznego. Pociągnie to za sobą lawinę kosztów, których nie umiesz sobie nawet wyobrazić.

- Mogą mnie nimi obciążyć - rzuciła bez uśmiechu. - Mam otwarty rachunek. Co jeszcze?

- Poza tym spotkaliśmy tutaj bardzo interesujące i niewątpliwie unikalne zwierzę. Nie możemy dokonać arbitralnej eksterminacji stworzeń, które na tę planetę trafiły. Nauka poniosłaby nieobliczalne straty. Przecież możemy ich już nigdy nie spotkać.

- Tak jest, a to by było wprost straszne. - Opuściła ramiona. - Czy ty przypadkiem o czymś nie zapominasz, Burke? Powiedziałeś mi, że jeśli spotkamy tu formy życia wrogie człowiekowi, rozprawimy się z nimi nie dbając o straty, jakie poniesie nauka. To właśnie dlatego nigdy nie cierpiałam tych z administracji. Wy macie cholernie wybiórczą pamięć.

- Ale tak się rzeczy po prostu nie załatwia, Ripley.

- Nie? Zapomnij o tym, panie kolego.

- Otóż to, zapomnij o tym - powtórzyła jak echo Vasquez, dzieląc z Ripley te same pragnienia. - A my zrobimy swoje.

- Może nie jesteś pan na bieżąco - wtrącił Hudson - ale właśnie dostaliśmy tęgie lanie, koleś.

- Posłuchaj, Burke. - Ripley nie była najwyraźniej zadowolona. - zawarliśmy umowę. Myślę, że dowiodłam swego, że się obroniłam. Nazywaj to sobie, jak chcesz. Tak czy inaczej, przylecieliśmy na Acherona, żeby zweryfikować mój raport i żeby zbadać przyczynę utraty łączności między kolonią a Ziemią. Raport jest zweryfikowany, przyczyna awarii ustalona, ja oczyszczona z zarzutów. Nadszedł czas, żebyśmy się stąd zabrali.

- Wiem, Ripley, wiem. - Objął ją delikatnie ramieniem i obrócił tyłem do Hudsona i Vasquez; zrobił to bardzo ostrożnie, nie chcąc, by Ripley myślała, że się z nią spoufala. - Ale chyba zauważyłaś, że dotychczasowy scenariusz uległ zmianie - powiedział cicho. - I należy to maksymalnie wykorzystać. Nie możesz kierować się emocjami, nie możesz postępować spontanicznie, choć w tym wypadku to rzecz całkiem naturalna. Przeżyliśmy na Acheronie, teraz musimy przeżyć na Ziemi.

- Do czego ty zmierzasz, Burke?

Albo nie zauważył jej chłodnego spojrzenia, albo postanowił nie reagować.

- Usiłuję ci wytłumaczyć, że natrafiliśmy tutaj na coś naprawdę ważnego, Ripley. Na coś bardzo ważnego. Nigdy dotąd nie spotkaliśmy się z tego rodzaju stworzeniami. I najprawdopodobniej nigdy się już z nimi nie spotkamy. To ostatnia szansa. Ich siła, wszechstronność i zdolności przystosowawcze są wprost niewiarygodne. Takich stworzeń nie wolno nam ot tak po prostu zniszczyć. One dysponują zbyt cennym potencjałem, Ripley. Tak, jasne, uważam, że należy się wycofać, odczekać i nauczyć się je poskramiać. Ale nie możemy ich zgładzić.

- Nie? Chcesz się założyć, Burke?

- Nie myślisz racjonalnie. Doskonale rozumiem, co teraz czujesz. Zapewniam cię, że i mnie nie jest lekko. Ale emocje trzeba odłożyć na bok i spojrzeć z szerszej perspektywy. Co się stało, to się nie odstanie. Nie jesteśmy w stanie pomóc kolonistom, nie możemy pomóc Crowe'owi, Apone'owi i innym, ale możemy zrobić coś dla siebie. Możemy spróbować poznać te stworzenia bliżej, wykorzysta je do naszych celów, możemy je poskromić.

- Takich koszmarów się nie poskramia, Burke. Takim bydlakom schodzi się z drogi, a przy najbliższej okazji rozwała się je na pojedyncze atomy. I nie mów mi tu o "przeżyciu" na Ziemi.

- Daj spokój, Ripley. Te stworzenia są tak wyjątkowe, że nie umiemy tego nawet ogarnąć. A dobrze wiesz, że czego jak czego, ale takich wyjątków kosmos ludziom skąpi. Musimy je zbadać dokładnie, w odpowiednich warunkach. Musimy je zbadać, żeby się czegoś od nich nauczyć. Tutaj sprawa wzięła w łeb, bo koloniści zabrali się do pracy bez odpowiedniego sprzętu. Nie wiedzieli, czego oczekiwać. My wiemy.

- Naprawdę? Apone i jego ludzie też tak myśleli. I zobacz, co się z nimi stało.

- Oni nie wiedzieli, czemu mają stawić czoła i byli zbyt pewni siebie. Popełnili błąd i wpadli w pułapkę. My tego błędu nie popełnimy.

- O tak! W tym miejscu masz absolutną rację.

- To, co się tutaj stało, to rzecz tragiczna, oczywiście. Ale już się nie powtórzy. Bo kiedy tu wrócimy, będziemy odpowiednio wyposażeni. Ten ich kwas wszystkiego nie zeżre. Znajdziemy sposób, żeby wziąć próbkę, zabierzemy ją na Ziemię i przeanalizujemy w laboratoriach Towarzystwa. Naukowcy sprostują jakiś materiał ochronny, swego rodzaju tarczę. I pomyślimy też, jak można unieruchomić dorosłego osobnika, żeby go zbadać i wykorzystać. Jasne, one są bardzo silne, ale nie wszechpotężne. Są wytrzymałe, ale można je pokonać. Można je zabić nawet z broni ręcznej, nawet czymś tak niepozornym jak strzelba impulsowa czy miotacz płomieni. I właśnie tego nasza ekspedycja dowiodła. Sama tego dowiodłaś - dodał z podziwem, któremu Ripley ani przez chwilę nie dała się zwieść. - Mówię ci, to okazja jakich niewiele. Nie możemy jej zaprzepaścić pochopną decyzją. Nie sądziłem, że kierując się czymś tak nieistotnym jak chęć drobnej zemsty, będziesz chciała odrzucić życiową szansę.

To nie ma nic wspólnego z zemstą, Burke - odrzekła spokojnie. - Chodzi o przetrwanie. O nasze przetrwanie.

- Wciąż mnie nie rozumiesz. - Zniżył głos do szeptu. - Ponieważ pracujesz w firmie, która odkryła nie znane dotychczas stworzenie, twój udział w zyskach pochodzących z wykorzystania rezultatów badań, jakim to zwierzę zostanie poddane, oznacza sporne pieniądze. Fakt, że Towarzystwo postawiło cię przed komisją, że cię oskarżyło, że wina została wymazana, nie ma na to żadnego wpływu.

Wszyscy wiedzą, że z załogi, która pierwsza natrafiła na to stworzenie, ocalałaś tylko ty. Zgodnie z prawem przysługują ci odpowiednie tantiemy. Będziesz bogatsza, niż ci się kiedykolwiek śniło, Ripley.

Przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu, jak gdyby odkryła nowy gatunek wszy - wszy szczególnie ohydnej - i właśnie ją obserwowała.

- Ty skurwysynu...

Cofnął się, przybrał hardy wyraz twarzy. Życzliwa maska obłudnej serdeczności, za jaką się ukrywał, natychmiast opadła.

- Przykro mi, że tak to odbierasz, Ripley. Nie zmuszaj mnie, bym wykorzystał swój status.

- Jaki status? Już to przerabialiśmy, Burke. - Skinęła głową w stronę Hicksa. - Według mnie to kapral teraz dowodzi.

Burke zaczął się śmiać, ale zaraz spostrzegł, że Ripley mówiła całkiem serio.

- Chyba żartujesz. To taki żart, tak? Hicks? Kapral Hicks?! A od kiedy to kapral ma coś do powiedzenia? Kapral może co najwyżej rozkazywać swoim butom.

- Nasza misja jest misją wojskową - przypomniała mu spokojnie. - Tak mówią rozkazy operacyjne dla Sulaco. Może nie chciało ci się ich przeczytać, ale ja przeczytałam. To decyzja Zarządu Kolonialnego i Zarząd tak to sformułował. Misja wojskowa. Ty i ja jesteśmy tylko i wyłącznie obserwatorami. Wojsko zabrało nas na małą przejażdżkę. Apone nie żyje. Gormana można tymczasowo uznać za trupa. Hicks jest teraz najwyższy stopniem. On dowodzi. Ponad ramieniem oszołomionego Burke'a spojrzęła w stronę kaprala. - Mam rację?

- Na to wygląda - odparł trzeźwo Hicks.

Opanowany dotychczas Burke zaczął się wyraźnie denerwować.

- Posłuchaj, to przedsięwzięcie kosztowało miliardy. On nie może podejmować tego rodzaju decyzji. Kapral nie ma prawa wydawać rozkazu użycia broni nuklearnej. Zwłaszcza taki buc jak Hicks. - Szybki namysł, jeden rzut oka w stronę żołnierza i Burke dodał grzecznie: - Bez urazy, panie kapralu.

- Nie uraziłeś mnie pan - odrzekł chłodno i poprawnie. Przysunął mikrofon do ust i spytał: - Ferro, słyszeliście wszystko?

W słuchawkach zabrzmiała odpowiedź pilota promu:

- Tak jest.

- Przygotujcie się do startu. Ewakuujemy się stąd, i to natychmiast.

- Tak myślałam. Ciężko było.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Z kamienną twarzą spojrzęła na spiętego Burke'a.

- Masz pan rację co do jednego. Takich decyzji nie można podejmować pod wpływem chwili.

Burke odprężył się nieco.

- Otóż to. Więc co zrobimy? - spytał.

- Przemyślimy to zgodnie z pańskimi zaleceniami. Kapral zamknął oczy i nie otwierał ich przez jakieś pięć sekund. - No dobra. Już to sobie przemyślałem. Otóż wystartujemy, wejdziemy na orbitę i spuścimy na nich dwie małe atomówki. To jedyny pewny sposób.

Burke zamrugał gwałtownie oczami i zbladł. Rozwścieczony, nie zdając sobie sprawy, że to, co robi, nijak nie przystaje do rzeczywistości, ruszył w stronę Hicksa. Od razu, się jednak opanował, zatrzymał w pół kroku i wyładował, swą złość werbalnie.

- To absurd! - krzyknął. - Chcesz zniszczyć kolonię pociskami nuklearnymi?! Chyba nie mówisz tego poważnie!

- Chcę ją zniszczyć jednym pociskiem - zapewnił go spokojnie Hicks. - Niewielkim, ale skutecznym. - Uśmiechnął się i szybkim ruchem rozłożył szeroko ramiona. - Buuum! I po krzyku.

- Powtarzam po raz ostatni, że nie masz prawa wydawać...

Klik. Tyradę przerwał mu głośny metaliczny trzask przeładowywanej broni. To Vasquez. Na zgięciu łokcia opierała, strzelbę impulsową. Nie celowała w Burke'a, ale też nie skierowała lufy w sufit. Twarz miała bez wyrazu, nijaką. Ale Burke wiedział, że z takim samym wyrazem twarzy wpakowałaby mu w pierś połowę magazynka. Koniec dyskusji. Opadł ciężko na fotel przy burcie.

- Zwariowaliście - wymamrotał. - Wszyscy. I dobrze o tym wiecie.

- Człowieku - wtrąciła miękko Vasquez - gdybyśmy nie zwariowali, w życiu nie wstąpilibyśmy do piechoty kolonialnej. - Spojrzała na Hicksa. - Hicks, powiedz mi coś. Jestem niepoczytalna, tak? Czy to znaczy, że gdybym zastrzeliła to gównno, uznaliby mnie za niewinną? Skoro tak, za jednym zamachem mogłabym też ukatrupić tę namiastkę porucznika. Choroba umysłowa to znakomita linia obrony. Trzeba ją wykorzystać.

- Nikt nie będzie do nikogo strzelał - oznajmił twardo kapral. - Spadamy stąd.

Ripley skinęła głową, odwróciła się, usiadła i przytuliła jedyne go świadka dyskusji, który choć w pełni świadomy powagi sytuacji, ani razu nie zabrał głosu. Newt oparła się o jej ramię.

- Wracamy do domu, kochanie - szepnęła Ripley.

- Teraz, kiedy ustalili już co dalej, Hicks dokonał inspekcji kabiny transportera. Nadpalone burty, dziury po żrącym kwasie - maszyna nadawała się praktycznie na złom.

- Trzeba ułożyć na kupe, co się da i zabrać to na prom. Hudson, pomóż mi z tym tu.

Kapral spojrzał na sparaliżowanego porucznika. Nie krył obrzydzenia.

- A może lepiej posadzić go w centrum dowodzenia i przypiąć pasami do fotela? Czułby się jak w domu.

- Nie przejdzie. On żyje i musimy go zabrać.
- Wiem, wiem. Tylko mi już o tym nie przypominaj, dobra?
- Ripley, miej oko na dzieciaka. Chyba cię polubiła.
- Z wzajemnością. - Przytuliła dziewczynkę jeszcze mocniej.
- Vasquez, możesz nas ubezpieczać, aż prom nie wyląduje?

Odłoniła w uśmiechu idealne zęby i poklepała kolbę strzelby.

- Czy bywają cuda na tym świecie?

Kapral przeniósł wzrok na ostatniego członka grupy ekspedycyjnej.

- Idziesz pan? - rzucił.

- Wolne żarty - mruknął Burke.

- Ja nie żartuję. Nie tutaj. To nie miejsce na żarty. Przysunął do ust końcówkę mikrofonu. - Bishop? Co u ciebie? Jak tam badania?

W kabinie zabrzmiał głos syntetyka.

- Kiepsko. Mają tu tylko podstawowy sprzęt. Zrobiłem, co mogłem. Tymi przyrządami niczego więcej nie zdziałam.

- Nie szkodzi. Ewakuujemy się. Rzuć to i spotkamy się przy transporterze. Dasz sobie radę? My wyjdziemy stąd dopiero wtedy, kiedy prom będzie schodził do lądowania.

- Nie ma sprawy. Cicho tu i spokojnie.

- Dobra. Nie zabieraj z sobą niczego ciężkiego. No, to do roboty.

Walcząc z wichurą prom uniósł się z betonowego lądowiska. Sterowany wprawną ręką Ferro, zawisł w powietrzu, obrócił się i lecąc nad dachami zabudowań, skierował w stronę unieruchomionej maszyny.

- Widzę was - poinformowała ich Ferro. - Wiatr trochę zelżał. Usiądę najbliżej, jak tylko się da.

- Zrozumiałem. - Hicks spojrział na kolegów. - Gotowi?

Wszyscy oprócz Burke'a skinęli głowami. Przedstawiciel Towarzystwa miał zgorzkniałą minę, ale milczał.

- No, to ruszamy. - Otworzył drzwi.

Uderzył w nich silny podmuch wiatru. Wysunęła się rampa. Szybko wyszli na zewnątrz. Widzieli już prom całkiem wyraźnie; leciał w ich stronę. Omiatał teren reflektorami zamocowanymi na burtach i brzuchu. Jeden z nich oświetlał sylwetkę człowieka zmierzającego ku nim w tumanach mgły.

- Bishop! - Vasquez pomachała mu ręką. - Kopeć lat!

- Chyba nie poszło za dobrze, hę? - zawołał.

- Śmierdząca sprawa. - Splunęła z wiatrem. Wszystko ci opowiem.

- Później. Jak się obudzimy. Kiedy będziemy daleko stąd.



Kiwnęła głową. Jako jedyna spośród czekających rozglądała się na wszystkie strony. Pozostali nie odrywali wzroku od promu, tymczasem ciemne oczy Vasquez nieustannie lustrowały teren wokół transportera.

Niedaleko niej stała Ripley. Ścisnęła rączkę Newt. Hudson i Hicks podtrzymywali wciąż nieprzytomnego Gormana.

Usłyszeli głos Ferro.

- Stójcie, gdzie stoicie. Nie chciałabym któregoś przygnieść. - Wcisnęła guzik interkomu. - Byłoby miło, gdybyś zechciał mu trochę pomóc, do cholery. Spunkmeyer, wyłaź już stamtąd!

Z tyłu rozsunęły się drzwi. Nie ukrywając złości zerknęła przez ramię.

- Nareszcie gdzieś ty...

Ale to nie był Spunkmeyer.

Obcy ledwo mieścił się w drzwiach. Rozwarł zewnętrzne szczęki odsłaniając rzędy kłów. Jeden błyskawiczny ruch, miękki odgłos organicznej eksplozji rozrywanego ciała. Ciśnięta o konsolę Ferro nie zdążyła nawet krzyknąć.

Niedoszli uciekinierzy stojący na lądowisku ujrzeni ze zdumieniem, jak prom wykonuje nagle jakiś oszalały manewr, jak obraca się w prawo. Chociaż gwałtownie tracił wysokość, włączył główne silniki i spadał teraz jeszcze szybciej.

Ripley chwyciła Newt za rączkę i ruszyła pędem w stronę najbliższego budynku.

- Uciekajcie !

Prom musnął brzuchem skałę na skraju drogi prowadzącej do stacji, przechylił się na lewo i uderzył w bazaltowy grzbiet. Wykonał w powietrzu obrót i niczym umierający konik polny runął plecami na asfalt i eksplodował. Poczęły się od niego odrywać blachy poszycia, nawet całe fragmenty kadłuba; niektóre stały już w płomieniach. Cielsko statku wygięło się w łuk i po raz ostatni odbiło od twardej nawierzchni. Z silników i z korpusu buchały słupy ognia.

Część modułu silnikowego grzmotnęła w transporter i eksplozja paliwa oraz pocisków rozniosła maszynę na strzępy. Jej szczątki, mniejsze i większe, śmignęły obok. Detonacja wyrzuciła je aż na teren stacji procesora. Ciemne niebo Acherona rozświetliła olbrzymia kula ognia i szybko zgasła.

Oszołomieni świadkowie tragedii wyszli z ukrycia i wciąż jeszcze nie dowierzając własnym oczom, patrzyli na dymiące zgliszcza. Ich prom, ich główna siła ogniowa, zamienił się w kupę nadpalonego złomu. Nadzieja na ucieczkę z wrogiej planety prysła jak mydlana bańka.

Hudson był na skraju hysterii.

- Wspaniale! Wspaniale, cholera! - wykrzyknął. Po prostu bomba! No i co teraz? W lepszej sytuacji nie mogliśmy się znaleźć.

Hicks posłał mu twarde spojrzenie.

- Skończyłeś? - spytał ostro.

Kapral się spieszył.

Hicks zerknął na Ripley. - Wszystko w porządku?

Ripley skinęła głową i popatrzyła na Newt. Chciała ukryć to, co się w niej działo, ale mogła sobie oszczędzić trudu. Przed dziewczynką niczego ukryć się nie dało. Była spokojna. Fakt, oddech miała przyspieszony, ale nie ze strachu, tylko z wysiłku, do jakiego zmusiła ją szybka ucieczka. Wzruszyła ramionami.

- Chyba jednak nie polecimy, prawda? - skonstatowała jak najdoroślejsza z dorosłych.

Ripley zagryzła wargi.

- Przykro mi, Newt.

- Dlaczego? To przecież nie twoja wina. - Zamilkła i patrzyła na dopalające się szczątki wraka promu.

Hudson kopał wściekle kamienie, kawałki blachy i metalu, wszystko, co nawinęło mu się pod nogi i było mniejsze od buta.

- No, to powiedźcie, co teraz zrobimy. Co zrobimy?!

Burke się zdenerwował.

- Może rozpalimy ognisko i trochę sobie pośpiewamy?

Hudson zeszywniał i postąpił krok w jego stronę. Hicks musiał interweniować

- Powinniśmy wracać...

Wszyscy spojrzeli na Newt, która nie odrywała wzroku od dogasających szczątków.

- Trzeba wracać, bo niedługo będzie ciemno - mówiła. - Oni przychodzą nocą. Najczęściej nocą.

- Dobra. - Hicks wskazał gestem wrak transportera; maszynę zbudowano z kompozytów i z metalu, dlatego ogień strawił już to co miał do strawienia. - Dogasa. Może coś tam jeszcze znajdziemy.

- Tak, osmolone kawały blachy - mruknął Burke.

Niewykluczone, że coś więcej. Idziesz pan?

Burke wstał.

- Tutaj na pewno nie zostanę.

- Jak pan chcesz. - Kapral przeniósł wzrok na syntetyka. - Bishop, idź do centrum operacyjnego i zobacz, czy nadaje się na kwaterę. Musisz sprawdzić, czy... teren jest czysty.

Bishop odpowiedział łagodnym uśmiechem.

- Mały zwiad? Rozumiem. Ja się nie liczę, jasna sprawa.

- Wszyscy się liczą, Bishop. - Hicks ruszył w stronę dymiącej skorupy transportera. - Chodźmy.

Dzień na Acheronie był jak mglisty brzask. Noc była czarniejsza niż najgłębsza otchłań kosmosu, bo przez gęstą powłokę chmur nie docierało tu nawet światło

mrugających gwiazd. Wokół zniszczonych budowli hulał wiatr, wiatr gwizdał w pustych korytarzach, skrzypiąc nadwątlonymi drzwiami. Na parapetach piasek układał się w misterne wzorki. I nieustannie szumiał, uderzając o szyby. To niezbyt przyjemny dźwięk. Szczególnie dla tych, którzy czekali, aż rozpocznie się nowy koszmar.

Lampki awaryjne oświetlały tylko centrum operacyjne i najbliższą okolicę, nic więcej. Zmęczeni, zdruzgotani klęską ludzie rozważali sytuację. Vasquez i Hudson wrócili właśnie z ostatniej wyprawy do zniszczonego transportera. Teraz ustawiali na podłodze swój łup: wielką nadpaloną skrzynię z powyginanej blachy. Kilka takich samych skrzyń stało przy ścianie.

Hicks zerknął na nią i starając się nie okazywać rozczarowania zadał pytanie, na które znał już odpowiedź. Jednak wciąż miał nadzieję, że się myli.

- Znaleźliście... amunicję?

Vasquez pokręciła głową i opadła na krzesło.

- Wszystko było zmagazynowane w komorach między ścianami transportera. Kiedy wybuchł pożar, natychmiast eksplodowało. - Ściągnęła zapoconą opaskę i wytarła czoło. - Jezu, czego bym nie dała za kawałek mydła i solidny prysznic...

Hicks spojrzał na stół, gdzie leżała broń.

- W takim razie to wszystko, co zdołaliśmy uratować. - Omiótł wzrokiem miniarsenał, żałując, że samym patrzeniem go nie potroi. - Mamy cztery strzelby impulsowe i około pięćdziesiąt sztuk amunicji do każdej. Kiepsko. Około piętnastu granatów typu M-40 i dwa miotacze płomieni z na wpół opróżnionymi zbiornikami. Jeden miotacz uszkodzony. I mamy jeszcze cztery roboty zaporowe z nie uszkodzonymi skanerami i monitorami.

Stanął przy stercie skrzyń i zerwał pieczęć najbliższej. Razem z Ripley zajrzeli do środka.

Unieruchomiony warstwami styropianu i pianki, tkwił w niej przysadzisty korpus robota. W pudłach obok - detektory ruchu, kamery i monitor.

- Groźnie wygląda... - skonstatowała Ripley.

- Bo jest groźny. - Hicks zamknął wieko skrzyni. - Bez nich moglibyśmy od razu podciąć sobie żyły. A tak mamy przynajmniej jakieś szanse. Lepsze to niż nic. Kłopot w tym, że potrzebujemy około stu takich robotów i dziesięć razy więcej amunicji. Mimo to wdzięczny jestem i za symboliczne dary niebios. - Kostkami palców postukał w skrzynię. - Gdyby ich w ten sposób nie zapakowano, wyleciałyby w powietrze jak cała reszta.

- Skąd ta wasza pewność, że w ogóle mamy jakiegokolwiek szanse? - wtrącił Hudson.

Ripley zignorowała pytanie kaprała.

- Kiedy możemy oczekiwać pomocy? Po jakim opóźnieniu?

Hicks zamyślił się. Był zbyt pochłonięty sprawami bieżącymi, by brać pod uwagę możliwość akcji ratowniczej z zewnątrz.

- Zgodnie z planem ekspedycja miała zakończyć się wczoraj... To znaczy, że za jakieś siedemnaście dni od dzisiaj - oświadczył.

Hudson obrócił się, wymachując z rozpaczy ramionami.

- Ludzie - My nie przetrwamy siedemnastu godzin! Godzin, nie dni! - wykrzyknął. - Te szkaradztwa zaraz tu przyjdą! To dla nich nie pierwszyna! Przyjdą i dopadną nas na długa przed tym, jak ci z Ziemi zaczną nas szukać! Tak, tak! Grupa ratownicza nas znajdzie, a jakże! Tylko że wtedy będziemy tkwić już w ścianach, wysuszeni na wiór, z rozerwanymi klatkami piersiowymi. Jak ci nieszczęśni koloniści, których spaliliśmy na poziomie "C". Jak Dietrich i Crowe, jak oni... - Zaczął łkać.

Ripley wskazała gestem milczącą dziewczynkę.

- Ona przetrwała dłużej. Nie była szkolona, nie miała żadnej broni. Koloniści nie wiedzieli, co się dzieje. My wiemy, czego oczekiwać i mamy jako taką broń, nie tylko młotki i klucze francuskie. Nie musimy ich wszystkich zabić i na pewno nie zabijemy. Musimy tylko przetrwać. Musimy ich powstrzymać i przeżyć.

Hudson roześmiał się gorzko.

- Jasne! Co za sprawa! Musimy tylko przeżyć. Jak Dietrich i Crowe. Oni też jeszcze żyją.

- Jesteśmy tutaj, mamy broń i wiemy, co nas czeka. Więc lepiej pogódź się z tym i zacznij coś robić. Rób coś, Hudson, bo potrzebujemy twojej pomocy, bo dość mam tych głupich komentarzy.

Łypnął na nią złym okiem, ale Ripley jeszcze nie skończyła.

- Siadaj do komputera i wydobądź z niego plan centrum operacyjnego. Plany konstrukcyjne, schematy obsługi, cokolwiek, co pokazuje rozkład pomieszczeń. Poza tym chcę mieć schemat systemu wentylacyjnego, schemat sieci kanałów do obsługi instalacji elektrycznej, sieci wodnej, plany podpiwniczenia i tak dalej. Chcę znać każdą drogę, którą można się dostać do tego budynku. Jeśli nie zdołają tu dotrzeć, nic nam się nie stanie. Przez te mury jeszcze się nie przebili, więc może są dla nich za grube. To jest centrum operacyjne kolonii, Hudson. Siedzimy w najsolidniejszym budynku na całej planecie. No, może z wyjątkiem tych wielkich procesorów. Jesteśmy wysoko nad ziemią, a jak dotąd nie zauważyłam, żeby któreś z tych szkaradztw umiało chodzić po nagich ścianach.

Hudson zawahał się, później lekko wyprostował. Miał co robić i wyraźnie mu ulżyło. Hicks skinął aprobująco głową.

- Tak jest - rzucił kapral z nutką dawnej zadziorności w głosie. - Biorę się do roboty. Chcecie wiedzieć, gdzie co jest? Dobra. Wykopię te plany choćby spod ziemi. - Ruszył w stronę głównego komputera.

Hicks spojrział na Bishopa.

- Chcesz coś do roboty, czy masz własne plany? - spytał.

Bishop sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Była to część jego oprogramowania społecznego. Android nigdy nie może naprawdę się wahać.

- Jeśli potrzebujesz mnie do jakichś specjalnych zadań...

Hicks pokręcił głową.

- W takim razie będę w laboratorium. Chciałbym kontynuować badania. Może odkryję coś, co nam się przyda.

- Świetnie, idź - powiedziała Ripley.

Nie spuszczała z niego oczu. Jeśli Bishop był tego świadom, niczego po sobie nie okazał i wyszedł do laboratorium.

## 10.

Kiedy Hudson zaczął już coś robić, robił to szybko. Minęło niewiele czasu i Ripley, Hicks oraz Burke skupili się wokół kaprała, który siedział przed dużym płaskim ekranem monitora. Newt przeskakiwała z nogi na nogę, usiłując wpatrzeć coś za plecami dorosłych.

Ripley postukała palcem w ekran.

- To musi być to. Tunel serwisowy. Tędy przechodzą. Tam i z powrotem.

Hudson studiował chwilę plan.

- Tak jest. Prowadzi ze stacji procesora do podziomu serwisowego na terenie kolonii. Spójrzcie. - Przejechał palcem całą trasę. - Wślizgnęły się nim i zaskoczyły kolonistów. Na ich miejscu sam bym tędy poszedł.

- Dobra. Z tej strony są drzwi przeciwpożarowe. Pierwsza rzecz, jaką należy zrobić, to ustawić w tym miejscu robota i zaspawać drzwi.

- To ich nie powstrzyma. - Hicks omiół wzrokiem cały schemat. - Jeśli zatrzymamy ich w tunelu, znajdą inne wejście. Musimy założyć, że w końcu tu jakoś wleżą i obmyślić sposób obrony na terenie kompleksu.

- Racja. Więc tu, na skrzyżowaniach tuneli, ustawimy barykady. - Ripley wskazała palcem odpowiednie miejsca. - Te dwa korytarze, te tutaj, zaspawamy na głucho. Wtedy zostaną im tylko dwa tunele, gdzie ustawimy pozostałe roboty. O, tu. - Postukała paznokciem w rozświetlony ekran. - Mogą oczywiście zerwać dach, tak, ale zajmie im to trochę czasu. Do tej pory nadejdzie pomoc i już nas tu nie będzie.

- Oby... - mruknął Hicks. Przyglądał się z uwagą schematowi. - Znakomicie. Zaspawać drzwi w tunelu serwisowym, zaspawać na głucho te dwa korytarze i potrzeba nam tylko talii kart dla zabicia czasu. - Podniósł wzrok i spojrzał na swoich towarzyszy. - No dobra. To do roboty. Wiecie, co robić.

Hudson stanął niezdarnie na baczność.

- Taa jest!

- Taa jest! - zapiszczała obok Newt, naśladowując gest oraz intonację kaprała.

Hudson spojrzał na nią i nim zdążył zapanować nad mimiką twarzy, posłał jej krótki uśmiech. Miał tylko nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Taki uśmiech mógł zniszczyć jego reputację, reputację niewzruszonego twardziela.

Hudson stęknął z wysiłku i osadził drugie działko na trójnogu neutralizującym odrzut. Korpus robota był przysadzisty, brzydki i pozbawiony jakichkolwiek urządzeń celowniczych czy spustów. Vasquez wsunęła go na miejsce, następnie spięła przewodami mechanizm spustowy ze skanerami i detektorami ruchu. Upewniwszy się, że kapral nie stoi na linii ognia, przerzuciła palcem dźwignię oznaczoną napisem WŁĄCZNIK GŁÓWNY. Na grzbiecie robota ożyła maleńka zielona lampka. Z boku, na niewielkim ekranie diagnostycznym, zamrugało inne

światelko, żółte; po chwili zmieniło się na czerwone. Poniżej widniał napis GOTOWOŚĆ BOJOWA.

Hudson i Vasquez zrobili krok do tyłu. Vasquez podniosła z ziemi zniszczony kosz na śmieci, który walał się przy ścianie, i krzyknęła w stronę ukrytego pod pancernem mikrofonu:

- Próba! - I rzuciła kosz na środek korytarza.

Obie lufy wykonały błyskawiczny obrót i plunęły ogniem, zanim kosz zdążył spaść na podłogę. Z pustego pojemnika został jedynie wygięty kawałek metalu wielkości starej dziesięciocentówki.

- No, chodźcie tu, skurwiele! - wykrzyknął Hudson. Spojrzał na Vasquez, wyrócił oczyma i zanucił półgłosem: - Och, gdzież jest mój dom? Gdzie moc ognia i broni? Tam jeleń kłusuje, tam antylopa skacze. Ach, te wspaniałe polowania! Ach, te przepyszne hamburgery!

- Z ciebie zawsze był nadwrażliwiec, Hudson - skonstatowała.

- Wiem, wiem, mam to wypisane na gębie. - Podparł ramieniem przeciwpożarowe drzwi.

- Lepiej pomóż mi z tym tu.

Vasquez pomogła mu zatrzasnąć ciężkie wrota. Potem rozpakowała przenośną spawarkę i trzasnęła przełącznikiem. Z palnika buchnął silny, niebieskawy płomień. Manipulowała chwilę pokrętłem na uchwycie, regulując długość oraz intensywność acetylenowego palucha.

- Odsuń się, bo jeszcze przyspawam ci stopę do buta.

Hudson stanął z boku. Jakiś czas obserwował koleżankę przy pracy, później zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem. Lustrował pusty tunel i nasłuchiwał. W pewnym momencie znieruchomiał, przyciskając mocniej słuchawkę.

- Tu Hudson - rzucił do mikrofonu.

Hicks odpowiedział natychmiast.

- Jak wam idzie? My harujemy w tym dużym tunelu, który znalazłeś na planach.

- Automaty "A" i "B" są już uzbrojone i na pozycjach bojowych - zameldował. - Wychwyć wszystko, co się rusza. Nic tędy nie przejdzie. Słyszysz ten syk? Vasquez spawa właśnie drzwi.

- Zrozumiałem. Kiedy skończycie, wracajcie do centrum.

- A sprzątanko? Chcesz, żebyśmy dostał mandat?

Hicks uśmiechnął się do siebie. Hudson znów brzmiał jak stary Hudson. Odsunął od ust małej mikrofon i grubą płytę, którą tu przywłókł, zakrył otwór przewodu. Ripley skinęła głową i taką samą płytą zamknęła drugi otwór. Zdjęła z siebie duplikat spawarki Vasquez i wzięła się do roboty.

Za ich plecami pracowali Burke i Newt. Ustawili skrzynie z lekarstwami i żywnością. Krwiożercze monstra nie tknęły na szczęście kolonijnych zapasów. Co

ważniejsze, system destylacyjny wciąż działał i mieli wodę. Ponieważ ciśnienie w rurach regulowało się samo, nie potrzebowali elektryczności i wystarczyło tylko odkręcić ekran. Tak więc nie groził im ani głód, ani pragnienie.

Hicks wykonał już dwie trzecie spawu, gdy naraz odłożył palnik i z przegródki na pasie wyjął małą bransoletkę. Musnął palcem mikroskopijny przełącznik zatopiony w metalu i odczekał, aż rozbłyśnie dioda. Potem wręczył bransoletkę koleżance.

- Co to jest? - spytała Ripley.

- Lokalizator. Wojskowa wersja tych, które mieli koloniści. Tamte wszczepiano pod skórę, te nosisz na rękę, ale zamysł jest ten sam. Tylko zasięg mają trochę mniejszy. Ale kiedy to nałożysz, na terenie kompleksu wytropię cię wszędzie. Tym.

- Poklepał miniaturowy namiernik przytwierdzony do uprząży.

Ripley przyjrzała się ciekawie urządzeniu.

- Ale po co? Nie potrzebuję tego.

- Hej, to tylko na wszelki wypadek, dziewczyno. Wiesz, jak jest.

Popatrzyła na niego badawczo, wzruszyła ramionami i wsunęła lokalizator na rękę.

- Dzięki. Ty też taki nosisz?

- Uśmiechnął się i odwrócił wzrok.

- Mam tylko jeden namiernik. - Wskazał palcem na siebie. - Ja wiem, gdzie jestem. No dobra... Co dalej?

Natychmiast zapomniała o bransolecie i zajrzała do planów, które wydrukował dla niej Hudson.

Kiedy pracowali, zdarzyło się coś bardzo dziwnego. Zauważyła to Newt. Oni byli zbyt zajęci.

Wiatr ustał. Kompletnie. Całkowicie. W nietypowej dla Acherona ciszy kłębiła się niepewnie i przewalała gęsta mgła. Ripley odwiedzała planetę już po raz drugi i jej wizytom zawsze towarzyszyło zawrozczenie silnego wichru. Teraz go nie słyszała. Bardzo denerwujące uczucie.

Nieobecność wiatru zredukowała widzialność z kiepskiej do zerowej. Mgła stojąca za potrójnymi szybami spowijała świat tak dokładnie, że mieli wrażenie, iż blok sterowniczy kolonii Hadley znalazł się nagle pod wodą. Wszystko zastygło w bezruchu. Wszystko zamarło.

W tunelu serwisowym łączącym zabudowania kolonii ze stacją procesora atmosferycznego czuwały uzbrojone roboty. Ich skanery i detektory pomrukiwały z cicha. Na obudowie działka "C" lustrującego pusty korytarz błyskało małe światełko. Przez dziurę w suficie wciskała się mgła. Skraplała się na zimnych, metalowych ścianach i spadała kroplami na podłogę. Ale działko do kropli nie strzelało. Było na to za mądre. Umiało odróżnić nieszkodliwe zjawisko



atmosferyczne od ruchów wroga. Woda go nie atakowała, więc nie otwierało ognia. Cierpliwie czekało, aż nadejdzie coś, co będzie mogło zabić.

Newt nosiła skrzynki tak długo, dopóki starczyło jej sił. Wreszcie się zmęczyła. Ripley zaniosiła dziewczynkę do skrzydła medycznego; głowa Newt wspierała się ciężko na jej ramieniu. Od czasu do czasu dziecko coś mamrotało, a Ripley odpowiadała udając, że rozumie, o co jej chodzi. Szukała tymczasem miejsca, gdzie Newt mogłaby spokojnie odpocząć, miejsca względnie bezpiecznego.

Sala operacyjna mieściła się w odległej części skrzydła. Większość skomplikowanego sprzętu była wbudowana w nisze albo zwisała z końcówek specjalnych wysięgników. Na suficie dominowała olbrzymich rozmiarów kula, zawierająca lampy oraz dodatkowe instrumenty chirurgiczne. Szafki i urządzenia nie przytwierdzone do podłogi przesunięto w róg sali, żeby zrobić miejsce dla kilku polowych łóżek.

Tutaj będą spały. Tutaj uciekną, jeśli obcy sforsują wszystkie barykady. Wewnętrzna reduta. Azyl. Schronienie. Hudson twierdził, że sala operacyjna ma grubsze ściany niż reszta budynków w kolonii. Fakt, wyglądała jak wielki, skomputeryzowany bunkier. I jeśli będą musiały się zastrzelić, żeby nie wpaść żywcem w szpony tamtych, tutaj znajdą kiedyś ich zwłoki.

Ale tymczasem odkryły tu spokojną przystań, przytulną i wygodną. Ułożyła Newt na najbliższym łóżku i spojrzała z uśmiechem w jej uniesioną twarzyczkę.

- Teraz leż i śpij. Muszę wracać, żeby pomóc kolegom, ale jak tylko będę mogła, natychmiast wrócę i sprawdzę, czy wszystko w porządku. Musisz odpocząć. Jesteś wyczerpana.

- Nie chcę spać.

- Musisz, Newt. Wszyscy kiedyś śpią. Jak się prześpisz, od razu poczujesz się lepiej.

- Ale ja mam złe sny.

Poruszyła właściwą strunę, strunę, której dźwięk Ripley znała aż za dobrze.

- Wszyscy miewają złe sny - rzuciła z udaną wesołością.

Dziewczynka wcisnęła się głębiej w miękki materac.

- Tak, ale nie takie jak ja.

No nie wiem, dziecko, nie wiem... myślała Ripley. Głośno zaś powiedziała:

- Założę się, że Casey nie ma koszmarnych snów. Wyjęła głowę lalki z rączki dziecka i zajrzała do środka. - Tak, jak myślałam. Nie ma tam żadnych koszmarów. Może spróbujesz udąć Casey? Udać, że niczego tu nie ma. - Poklepała czoło dziewczynki.

Newt odwzajemniła uśmiech.

- Udać, że tam jest całkiem pusto? - spytała.

- Właśnie, całkiem pusto. Jak w głowie Casey. - Poglaskała pieśczołliwie jej twarz, odgarniając z czoła włosy. - Jeśli to zrobisz, założę się, że będziesz mogła spokojnie spać.

Obróciła głowę lalki ku sobie, zamknęła jej powieki, które już dawno przestały mrugać i oddała zabawkę właścicielce.

Newt wywróciła oczami, jak gdyby chciała powiedzieć: Nie wciskaj mi tu kitu dla pięciolatek, kochana. Ja mam lat sześć.

- Ripley, ona nie ma złych snów, bo to tylko kawałek plastiku.

- Och, Newt, przepraszam. W takim razie spróbuj udać, że właśnie taka jesteś. Że jesteś kawałkiem plastiku. Newt prawie się uśmiechnęła. Prawie.

- Spróbuję.

- Dobra dziewczynka. Ja może też spróbuję.

Newt przytuliła do szyi głowę lalki i zamyśliła się.

- Mamusia zawsze mówiła, że nie ma potworów. Takich prawdziwych. Ale one są.

Ripley nadal odgarniała niesforne włosy z bladego czoła sieroty.

- Tak, są, prawda?

- I one są tak samo prawdziwe jak ty czy ja. One nie są na niby, nie wyszły z książki. One są naprawdę prawdziwe, a nie takie udawane jak na wideo. Dlaczego ludzie opowiadają dzieciom takie rzeczy? Dlaczego oszukują? - W jej głosie zabrzmiała cicha nutka pretensji.

Ripley wiedziała, że nie może kłamać. Nie jej, nie Newt. Nie, żeby miała taki zamiar. Newt przeżyła zbyt wiele, by dać się zwieść nieskomplikowanym kłamstwem. Ripley instynktownie wyczuła, że straciłaby wtedy zaufanie dziecka. I to na zawsze.

- Wiesz, niektóre dzieci bardzo by się wystraszyły. Gdyby usłyszały prawdę. Rodzice uważają, że dzieci są bojaźliwe albo myślą, że łatwo je przestraszyć. Dorośli jakoś nigdy maluchów nie doceniają i sądzą, że prawda by dzieci przerosła. Dlatego próbują ułatwiać im życie i wymyślają takie rzeczy.

- Takie o potworach, tak? Czy jeden z nich wyrósł w brzuchu mamusi?

Ripley znalazła koce i zaczęła otulać ciało dziewczynki, wyczuwając pod palcami jej zębra.

- Nie wiem, Newt. Nikt nie wie. Taka jest prawda. I nie sądzę, żebyśmy się tego kiedykolwiek dowiedzieli.

Dziewczynka coś w sobie rozważała.

- Czy nie tak rodzą się dzieci? To znaczy ludzkie dzieci. One rosną w brzuchu?

Ripley zeszywniała z przerażenia.

- Nie, maleńka, nie, one rodzą się zupełnie inaczej. Z ludźmi jest inaczej, kochanie. Inaczej to się wszystko zaczyna i sposób, w jaki dziecko przychodzi na świat, też jest inny. U nas przy porodzie matka i dziecko współpracują. A u tych...

- Tak, rozumiem - przerwała jej Newt. - A ty? Czy miałaś kiedyś dziecko?

- Tak. - Podciągnęła jej koc pod brodę. - Tylko jedno. Małą dziewczynkę.

- Gdzie ona jest Na Ziemi?

- Nie. Odeszła.

- Znaczy... umarła. - To nie było pytanie.

Ripley skinęła wolno głową, usiłując przypomnieć sobie maleńką istotkę z ciemnymi loczkami, kręcącą się u jej stóp, istotkę tak przecież podobną do Newt. Próbowała skojarzyć ją z obrazem dojrzałej kobiety, której twarz widziała na fotografii. Dziecko i starsza pani: ten sam człowiek rozdzielony czasem, który we śnie zamiera. Ojciec dziewczynki był wspomnieniem jeszcze odleglejszym. Tylko tyle zostało jej z życia przegranego i zapomnianego. Młodzieńcza miłość nadwątlona brakiem zdrowego rozsądku, krótki wybuch szczęścia zdławiony rzeczywistością. Rozwód. Hibernacja. Czas.

Odwróciła się, żeby wziąć przenośny piecyk. W sali operacyjnej nie było zimno, ale z włączonym piecykiem będzie milej. Piecyk wyglądał jak kawał topornego plastiku, ale kiedy go włączyła, natychmiast ożył, cicho zamruczał i zaświecił łagodnym żarem. Kiedy ciepło rozpełzło się wokół, pomieszczenie straciło nieco ze swej sterylności i stało się trochę przytulniejsze. Newt zamrugła sennie.

- Wiesz, Ripley? Myślałam nad czymś. Może mogłabym coś dla ciebie zrobić i jakoś ją zastąpić. Twoją małą dziewczynkę. Nie na stałe. Tylko na trochę. Spróbowałabyś tylko, a jeśli by ci się nie podobało, nie ma sprawy. Zrozumiem. Co ty na to?

Ripley musiała zebrać całą determinację, jaka jej jeszcze została, żeby nie rozkleić się na oczach dziecka. Przytuliła ją tylko. Wiedziała też, że ani Newt, ani ona mogą nie doczekać ranka. Że zmuszona apokaliptyczną sytuacją, będzie musiała w ostatniej chwili odwrócić jej główkę i do tych złotych kosmyków przytknąć lufę karabinu.

- Sądzę, że to jeden z lepszych pomysłów, jakie dzisiaj słyszałam. Pogadamy o tym później, dobrze?

- Dobrze. - I nieśmiały uśmiech. Uśmiech pełen nadziei.

Ripley wyłączyła światło i chciała wstać. Mała rączka chwyciła ją za ramię i zacisnęła się na nim z rozpaczliwą desperacją.

- Nie odchodź! Proszę!

Z bólem serca uwolniła ramię.

- Wszystko będzie dobrze, Newt. Będę tuż obok, za tymi drzwiami. Nigdzie stamtąd nie wyjdę. I nie zapominaj, że jest tutaj to. - Wskazała miniaturową kamerę nad drzwiami. - Wiesz, co to jest, prawda?

Mała skinęła w ciemności głową.

- Uhm, To kontrolkamera.

- Właśnie. Widzisz? Pali się na niej zielone światełko. Pan Hicks i pan Hudson sprawdzili wszystkie kontrolkamery w tym skrzydle i wszystkie działają. Ona patrzy na ciebie, a ja będę patrzeć na monitor w sąsiednim pokoju. I będę cię widzieć tak wyraźnie, jakbym w ogóle stąd nie wychodziła.

Newt wciąż się wahała, więc Ripley rozpięła bransoletkę lokalizatora, którą dostała od Hicksa, i zacisnęła ją na delikatnym nadgarstku dziewczynki.

- Masz. Na szczęście. Pomoże mi cię upilnować. A teraz śpij już. I nie śnij, dobrze?

- Spróbuję. - Newt wsunęła się pod czyste prześcieradła.

W nikłym świetle sącącym się z konsoli stojącej przy łóżku Ripley widziała, jak Newt obraca się na bok i tuląc do siebie głowę lalki, spod na wpół przymkniętych powiek spogląda na diodę żarzącą się w bransolecie. Piecyk szumiał, w sali było ciepło i przytulnie. Ripley cichutko wyszła.

W sąsiednim pomieszczeniu gałki innych na wpół otwartych oczu poruszały się to w tę, to w tamtą stronę. Ich kapryśne drgania stanowiły jedyną widoczną oznaką tego, że Gorman wciąż żyje. Była to swego rodzaju poprawa. O krok od całkowitego paraliżu.

Ripley pochylała się nad stołem, gdzie leżał Gorman, i obserwując ruchy jego oczu zastanawiała się, czy wojskowy ją rozpozna.

- Co z nim? - spytała. - Otworzył oczy.

- I mogło go to kompletnie wyczerpać.

Bishop podniósł wzrok znad stanowiska, przy którym pracował. Otaczały go instrumenty medyczne i gęstwina lśniących urządzeń. Światło pojedynczej silnej lampy wyostrzało mu rysy twarzy, nadając jej makabryczny wygląd.

- Boli go?

- Biokomputer twierdzi, że nie. Oczywiście, to nic nie znaczy. Jestem pewien, że jak tylko odzyska władzę nad krtanią, da nam natychmiast znać. A propos. Udało mi się wyizolować tę truciznę. Ma bardzo interesujący skład. To rodzaj neurotoksyny działającej na system mięśniowy. Ale nie atakuje organów istotnych dla procesów życiowych. Na przykład system oddechowy i system krwionośny działają normalnie. Ciekawe, czy to stworzenie instynktownie dostosowuje dawkę do różnych typów potencjalnych nosicieli...

- Jak któregoś z nich spotkam, to go od razu zapytam. - Jedna powieka Gormana uniosła się do góry, ale zaraz opadła. - Albo to mimowolny skurcz, albo do mnie mrugnął... Polepsza się mu?

Bishop skinął głową.

- Wygląda na to, że toksyna ulega stopniowej dysymilacji. Trucizna jest bardzo silna, ale organizm ją rozkłada. Zaczęła występować w jego moczu. Ciało ludzkie... Zdumiewający mechanizm. O niezwykłych właściwościach przystosowawczych. Jeśli nadal będzie ją wydalal w takim tempie, wkrótce powinien się obudzić.

- Czekaj, chcę to wszystko dobrze zrozumieć. Koloniści, których nie zabiły, zostali sparaliżowani, przeniesieni do stacji procesora atmosferycznego i unieruchomieni w zakrzepłych kokonach. Mieli służyć jako nosiciele dla tych "twarzołapów". - Gestem głowy wskazała odległą ławę, gdzie stały przezroczyste zbiorniki z ogoniasto-palczystymi okazami. - Co znaczy, że tych pasożytów było bardzo dużo, prawda? Jeden dla każdego kolonisty. W sumie przynajmniej ponad sto, zakładając, że w czasie decydującej walki poległa jedna trzecia ludzi.

- Zgadza się - potwierdził w zamyśleniu Bishop.

- Ale te stworzenia, te z palcami i z ogonami, te twarzołapy, wykluwają się z jaj. Więc skąd biorą się te wszystkie jaja? Człowiek, który wszedł na pokład obcego wraku jako pierwszy, zameldował nam, że na dole, w ładowni, jest ich mnóstwo. Ale nie powiedział dokładnie ile, a później nikt już tego nie sprawdzał. Poza tym, część z tych jaj mogła być martwa. I w tym problem. Sądząc po szybkości, z jaką opanowali kolonię, pierwsze osobniki nie miały po prostu czasu na transport jaj z wraku. To z kolei oznacza, że jaja musiały pochodzić z innego źródła.

- Oto pytanie dnia. - Bishop obrócił się z fotelem i siedział teraz twarzą do Ripley. - Rozważam je nieustannie od chwili, kiedy po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie rozmiar tragedii, jaka dotknęła kolonistów.

- Masz jakąś teorię? Nie musi być błyskotliwa.

- Bez namacalnych dowodów to tylko domniemania.

- Śmiało. Niech będą domniemania.

- Możemy założyć, że istnieje zbieżność między zachowaniami tych stworzeń a zachowaniami niektórych znanych nam insektów, prowadzących zorganizowany i zhierarchizowany tryb życia. Na przykład kolonią mrówek albo termitów rządzi samica, królowa. Królowa składa jaja.

Ripley zmarszczyła brwi. Od nawigacji międzygwiazdnej do entomologii? Nie była przygotowana na tak wielki skok.

- Ale czy królowa nie wykluwa się z jaja?

Bishop przytaknął.

- Jak najbardziej.

- A jeśli na pokładzie wraku nie było takiego... takiego królewskiego jaja?

- W społeczności owadów "królewskie jajo" nie istnieje, dopóki robotnice nie zdecydują się go stworzyć. Mrówki, pszczoły i termyty posługują się przy tym zasadniczo tą samą metodą. Wybierają zwykle jajo, a poczwarkę, która się w nim rozwija, dokarmiają mieszanką bogatą w pewne składniki odżywcze. Pszczelarze na przykład nazywają tę mieszankę "pszczelim mleczkiem". Substancje w nim zawarte wpływają na budowę dojrzewającej poczwarki i kiedy w końcu poczwarka wychodzi z jaja, nie jest już robotnicą, a dorosłą królową. Tak więc teoretycznie rzecz biorąc, królowa może wykluć się z dowolnego jaja. Dlaczego pszczoły wybierają to, a nie inne, tego jeszcze nie wiemy.

- Chcesz powiedzieć, że te wszystkie jaja pochodzą z jednego źródła? Że składa je któryś z tych potworów?

- Niewykluczone, że odbywa się to inaczej, że nie umiemy sobie tego wyobrazić. Ale jeśli założymy, że nasza analogia się potwierdzi, możemy wyodrębnić kolejne podobieństwa. Królowa tych krwiożerczych osobników, tak jak królowa termitów czy mrówek, jest o wiele większa od swoich podwładnych, których już spotkaliśmy. Jej odwłok jest rozdęty taką ilością jaj, że samica nie może się praktycznie ruszyć z miejsca. Robotnice jej posługują, trutnie zapładniają, a żołnierze jej bronią. Bo ona jest prawie bezbronna. W przeciwieństwie do królowej pszczół, która jest znacznie bardziej niebezpieczna od robotnic, gdyż jest w stanie użądlić wiele razy. Wokół niej skupia się wszystko. Ona jest źródłem ich życia, matką całej społeczności. Mamy szczęście, że jedno się w naszej analogii nie zgadza. Mrówki i pszczoły rozwijają się w następującym cyklu: jajo - larwa - poczwarka - dorosły osobnik. Natomiast każdy embrion obcych potrzebuje nosiciela, w którym dojrzewa. Gdyby było inaczej, do tego czasu rozpełzliby się po całej planecie.

- Zabawne, ale to mi wcale nie dodaje otuchy. One są znacznie większe niż termyty czy pszczoły. Czy mogą być inteligentne? Na przykład ta hipotetyczna królowa? Tego właśnie nie mogliśmy na Nostromo ustalić. Byliśmy zbyt zajęci walką o życie. Nie mieliśmy czasu na spekulacje.

- Trudno powiedzieć - odparł w zamyśleniu Bishop. - Ale na jedną rzecz warto zwrócić uwagę...

Tak...?

- Może to tylko ślepy instynkt, może zwabiło ją źródło ciepła, ale nasza hipotetyczna królowa wybrała sobie na wylęgarnię jedyne miejsce w całej kolonii, którego nie jesteśmy w stanie zniszczyć bez zniszczenia siebie. Uwiła gniazdo pod wymiennikami ciepła w stacji procesora atmosferycznego. Jeśli zrobiła to instynktownie, jest rozgarnięta jak zwyczajny termit. Jeśli natomiast kierowała się w wyborze czymś bardziej wyrafinowanym... Hmm, oznaczałoby to poważne kłopoty. Ale przypominam, że to tylko teoria i może się okazać, że w ogóle nie przystaje do rzeczywistości. Bo spójrzmy na to inaczej. Jaja, z których wykluły się

stworzenia, zostały tu przetransportowane z wraka. Przyniosły je pierwsze dorosłe osobniki. Królowa ani wysoko zorganizowana społeczność mogą w ogóle nie istnieć. Ale bez względu na to, czy kierują się instynktem czy inteligencją, umieją współpracować. Tu nie musimy spekulować. Widzieliśmy je w działaniu.

Ripley rozważała wnioski płynące z teorii Bishopa. Żaden z nich nie podnosił na duchu, ale z drugiej strony wcale tego nie oczekiwała. Gestem głowy wskazała ławę z cylindrycznymi pojemnikami.

- Jak tylko skończysz badania, natychmiast się ich pozbądź. Zrozumiałeś?

Android zerknął na dwa żywe okazy, pulsujące wrogo w przezroczystym więzieniu. Sprawiał wrażenie unieszczęśliwionego.

- Pan Burke wydał polecenie, żeby trzymać je tam aż do powrotu na Ziemię. Mają je zbadać naukowcy z laboratoriów Towarzystwa. Pan Burke mocno to podkreślił.

To cud, że zamiast sięgnąć po pierwszą lepszą broń, sięgnęła po mikrofon.

- Burke!

Ciche trzaski nie zakłóciły jego odpowiedzi.

- Tak? To, ty Ripley, prawda?

- A myślałeś, że kto? Gdzie jesteś?

- Rozglądam się tu i tam, dopóki mamy jeszcze czas. Pomyślałem sobie, że skoro wszystkim przeszkadzam, sam tu coś wytropię.

- Czekaj na mnie w laboratorium.

- Teraz?! Ale ja...

- Teraz! - Trzasnęła przełącznikiem i posłała Bishopowi agresywne spojrzenie. - Pójdiesz ze mną.

Natychmiast zapomniał o pracy i wstał, by za nią ruszyć. O to jej tylko chodziło: chciała sprawdzić, czy posłucha rozkazu. Tak więc bez względu na to, czy należał duszą do Towarzystwa czy nie, nie podporządkował się całkowicie Burke'owi.

- A zresztą nie. Zostań.

- Jeśli tylko wyrazisz życzenie, będę szczęśliwy, mogąc ci towarzyszyć.

- Nie, nie, nie trzeba. Postanowiłam załatwić to sama. Lepiej kończ swoje badania. Są teraz najważniejsze.

- Zaskoczony, skinął głową i usiadł.

Burke czekał na nią przed wejściem do laboratorium. Miał dobrotliwy wyraz twarzy.

- Oby to było ważne, Ripley. Właśnie się na coś natknąłem, a czasu zostało chyba niewiele.

- Niewykluczone, że już w ogóle go nie masz. - Zaczął protestować, ale uciszyła go gestem ręki. - Nie, Właż tam. - Wskazała salę operacyjną.

Sala była dźwiękoszczelna i Ripley mogła na niego wrzeszczeć, ile dusza zapagnie, nie zwracając uwagi innych. Burke powinien być jej wdzięczny za tę przezorność. Gdyby Vasquez podsłuchała i dowiedziała się, jakie knuł plany, nie traciłaby czasu na rozmowy. Z miejsca wpakowałaby mu kulę w łeb.

- Bishop powiada, że chcesz przemycić na Ziemię te żywe pasożyty. To prawda? Nie usiłował zaprzeczać.

- W zbiornikach twarzołapy są zupełnie niegroźne.

- Są niegroźne dopiero wtedy, kiedy się je ukatrupi. Jeszcze tego nie zrozumiałeś? Jak tylko Bishop z nimi skończy, chcę, żeby je zlikwidowano. Jasne?

- Bądź rozsądna, Ripley, - Przez twarz Burke'a przemknął cień dawnego, bezczelnego uśmiechu, typowego dla przedstawiciela potężnego Towarzystwa. - Wydział Broni Biologicznych naszej firmy zarobi na tych okazach ciężkie miliony. Dobra, rozwalimy kolonię. W tym punkcie mnie przegłosowaliście. Ale dwa nędzne okazy? Nie, Ripley, nie ulegnę. Są zamknięte w pojemnikach i nie zrobią nikomu nic złego. A jeśli martwisz się, że sprawią kłopoty w laboratorium na Ziemi, to się nie martw. Mamy ludzi, którzy wiedzą, jak się z takim czymś obchodzić.

- Nikt nie wie, jak się "z takim czymś" obchodzić, Burke. Bo nikt nigdy się z takim czymś nie spotkał. Myślisz, że jak uciekną wam jakieś niebezpieczne bakterie, to nastąpi straszliwy kataklizm? No to wyobraź sobie, co by się stało, gdyby jeden z tych pasożytów zwiął w jakimś wielkim mieście, gdzie są tysiące kilometrów rur kanalizacyjnych i najróżniejszych przewodów.

- Żaden z nich nam nie zwieje. Tych pojemników nic nie ruszy.

- Wykluczone, Burke. Jeszcze za mało o nich wiemy. To zbyt ryzykowne.

- Daj spokój, Ripley. Wiem, że stać cię na więcej. - Próbował ją obłaskawić, a jednocześnie perswadował: - Jeśli odpowiednio pogramy, oboje wyjdziemy na bohaterów. Będziemy ustawieni na całe życie.

Popatrzyła na niego spođe łba.

Naprawdę tak to widzisz? Carter Burke, nieustraszony pogromca straszyleł z Acherona? Czy to, co zdarzyło się na poziomie "C", nie wywarło na tobie żadnego wrażenia?

- Oni byli nie przygotowani i zbyt pewni siebie - odrzekł głosem bezbarwnym i pozbawionym emocji. - Dali się zaskoczyć w ciasnej komorze, gdzie nie mogli zastosować odpowiedniej taktyki ani użyć skutecznej broni. Gdyby zachowali zimną krew i gdyby wykorzystali strzelby impulsowe, nie uszkodzając wymienników ciepła, byłiby teraz z nami. I zamiast tkwić tu jak stadko przerażonych królików, lecielibyśmy na Sulaco. Gorman ich tam wysłał, nie ja. Poza tym oni walczyli z dorosłymi osobnikami, nie z tymi palczastymi pasożytami.

- Nie słyszałam, żebyś się sprzeciwiał, kiedy tamci omawiali strategię działania - zauważyła.



- A kto by mnie posłuchał? Zapomniałaś już, co powiedział Hicks? Co sama mówiłaś? Gorman zareagowałby tak samo. To ekspedycja wojskowa - zakończył ironicznie.

- Nie, Burke, lepiej o tym zapomnij. Nie wykręciłbyś tego numeru, nawet gdybym ci pozwoliła. Spróbuj tylko przesmuglować jakieś niebezpieczne stworzenie przez kwarantannę. Kodeks Handlowy, paragraf 22350. Przypomnij sobie.

- Widzę, że odrobiłaś lekcje, jak należy. Tak, Kodeks. Ale zapominasz o jednym. Kodeks to tylko słowa wypisane na papierze. A kawałek papieru jeszcze nigdy nie powstrzymał człowieka naprawdę zdeterminowanego. Pięć minut sam na sam z dyżurującym celnikiem, a przemycimy je bez trudu. Zostaw to mnie. Nie mogą skonfiskować czegoś, o czym nie będą wiedzieli.

- Ale oni się o tym dowiedzą, Burke.

- Jakim cudem? Ci z grupy ratowniczej najpierw z nami pogadają. Potem każą nam przejść przez korytarz najeżony detektorami. Wielkie rzeczy. Zanim zaczną przeszukiwać bagaże, zdążę pogadać z kimś ze statku i namówić go, żeby ustawił te zbiorniki w pobliżu siłowni albo koło stacji przetwarzania odpadków. Tym samym sposobem wyniesiemy je później ze statku. Będą zasypywali nas pytaniami i na sprawdzenie ładunku nie starczy czasu. No i wszyscy będą wiedzieli, że znaleźliśmy zdewastowaną kolonię i że uciekaliśmy stamtąd tak szybko, jak tylko mogliśmy. Nikt nie śmie podejrzewać, że coś szmuglujemy. A Towarzystwo mnie poprze, Ripley, na sto procent. Zwłaszcza kiedy zobaczą, co im przywieźliśmy. Tobą się też zaopiekują, jeśli cię to martwi.

- Tak, a jakże, poprą cię - odrzekła. - W to nie wątpię. Firma, która po wysłuchaniu mojego raportu wysłała na Acherona niecały pluton żołnierzy pod dowództwem takiego niedoświadczonego gówniarza jak Gorman, może wszystko. To na pewno.

- Za bardzo się tym przejmujesz, Ripley.

- Przepraszam. Ale wiesz, ja lubię żyć. Nie chciałabym obudzić się pewnego ranka i poczuć, że w brzuchu rusza mi się to obce bydlę.

- Nic takiego się nie stanie.

- O tak, na pewno. Bo jeśli tylko spróbujesz przemycić na statek choćby jedno z tych ohydztw, natychmiast powiadomię grupę ratowniczą. Myślę, że tym razem mnie posłuchają. Zresztą nie muszę czekać na ratowników. Wystarczy, że szepnę słówko Vasquez albo Hudsonowi. Oni rozkazy mają gdzieś i zamiast na ciebie wrzeszczeć, zrobią coś znacznie gorszego. Dlatego lepiej daj sobie z tym spokój, Burke. - Ruchem głowy wskazała pojemniki. - Nie wyniesiesz ich z laboratorium, a już na pewno nie zabierzesz na statek.

- A jeśli przekonam innych?

- Nie przekonasz, ale nawet zakładając, że tak, to jak byś ich przekonał, że to nie ty odpowiadasz za śmierć stu pięćdziesięciu siedmiu tutejszych kolonistów?

Cała jego wojowniczość gdzieś nagle zniknęła. Burke zbladł.

- Chwileczkę. O czym ty mówisz?

- Słyszałeś. Mówię o kolonistach. O tych wszystkich biednych, niczego nie podejrzewających i wiernych firmie ludziach. Jak na przykład rodzina Newt. Wspomniałeś, że dobrze odrobiłam lekcje, pamiętasz? To ty ich tam wysłałeś, Burke. Ty wysłałeś ich na ten obcy wrak. Właśnie sprawdziłam to w komputerze centrum operacyjnego. Zapis jest tak wyraźny jak plany, które wygrzebał dla nas Hudson. Sąd by tego z ciekawością wysłuchał. "Rozporządzenie Numer 6129 z dnia 5.1379. Zorganizować ekspedycję w celu zbadania odchyłeń elektromagnetycznych w kwadracie o współrzędnych takich to a takich." Ale przecież to dla ciebie nic nowego, prawda? Podpisano: "Burke, Carter J." - Drżała z gniewu i wyrzuciła z siebie wszystko naraz: frustrację i wściekłość za brak kompetencji i zachłanność tych, którzy wysłali ją z powrotem w świat koszmaru. - To ty im kazałeś tam iść, Burke, i nawet ich nie ostrzegłeś. Byłeś na przesłuchaniu. Siedziałeś bez słowa, ale słyszałeś, co mówiłam. Nawet jeśli nie uwierzyłeś we wszystko, uwierzyłeś choć na tyle, żeby wydać to rozporządzenie. Sprawdzić odpowiedni kwadrat. Musiałeś sobie pomyśleć, że a nuż coś tam jest, bo inaczej w ogóle nie zwracałbyś sobie tym głowy. Może wierzyłeś nie do końca, ale podejrzewać, o tak, podejrzewałeś. Zaciekało cię to? Świetnie. I można było to sprawdzić. Ale sprawdzić ostrożnie, wysłać dobrze uzbrojoną grupę, a nie jakichś wolnych strzelców. I ostrzec ich, Burke. Dlaczego ich nie ostrzegłeś?

- Przed czym? - zaprotestował. Słyszał tylko słowa, nie wyczuł moralnego oburzenia bijącego z jej głosu. Już samo to wiele wyjaśniało. Zaczynała rozumieć Cartera J. Burke'a. - Słuchaj, nie wiedzieliśmy, czy te stworzenia naprawdę istnieją. Mieliśmy tylko twój raport, nic więcej. A to było za mało, żeby przedsięwziąć poważniejsze kroki.

- Za mało? Ktoś się dobrał do urządzeń rejestrujących na Narcissusie, Burke. Pamiętasz? Wspominałam o tym na przesłuchaniu. Nie wiesz przypadkiem, kto to mógł być?

Puścił pytanie mimo uszu.

- Jak myślisz, co by się stało, gdybym wystawił łeb i zażądał przeprowadzenia pełnej akcji bojowej?

- Nie wiem - odparła przez zaciśnięte zęby. - Oświeć mnie.

- W całą sprawę wkroczyłyby Zarząd Kolonialny. A to oznaczałoby, że wysocy urzędnicy państwowi nie spuszczałyby cię z oka, że musiałabyś pisać setki sprawozdań i wypełniać setki papierków, że nie mogłabyś zrobić nigdzie nawet kroku. Wszędzie łaziliby za tobą inspektorzy i szukaliby tylko sposobności, żeby cię

przymknąć w imię wszechmogącego interesu społecznego. Nie miałabyś z tego nic, żadnych honorariów, żadnych korzyści majątkowych. To, że twój raport się potwierdził, jest dla mnie takim samym zaskoczeniem jak dla innych. - Zblazowany, wzruszył ramionami. - To był po prostu pech i tyle.

Coś się wreszcie w Ripley przełamało. Ku jego zaskoczeniu - własnemu również - chwyciła Burke'a za kołnierz i grzmotnęła nim o ścianę.

- Pech?! Ci ludzie nie żyją! Stu pięćdziesięciu siedmiu kolonistów minus jedno dziecko! Wszyscy nie żyją, bo mieli pecha?! Nie liczę już Apone'a i tych, których te szkaradztwa rozerwały na strzepy albo sparaliżowały! - Szarpnęła głową w kierunku stacji procesora. - Zedrą z ciebie skórę, Burke. Zedrą i przybiją do drzwi. A ja będę stała z boku i podawała im gwoździe. Zakładając oczywiście, że ten twój "pech" nie usadzi nas w tym grobie na amen. Przemyśl to sobie. Dobrze to sobie przemyśl. - Odstąpiła od niego, trzęsąc się z gniewu.

Teraz już rozumiała, jakimi motywacjami mogą kierować się te obce stwory.

Burke poprawił koszulę.

- Nie umiesz spojrzeć na to z szerszej perspektywy, prawda? - spytał z żalną nutą w głosie. - Twój ogląd świata ogranicza się tylko i wyłącznie do tego, co widzisz tu i teraz. Nie interesuje cię, jak będzie wyglądało twoje życie za kilka dni.

- Nie, jeśli będę musiała cię nadal oglądać.

- Spodziewałem się po tobie czegoś więcej, Ripley. Myślałem, że jesteś bystrzejsza. Sądziłem, że w trudnych, przełomowych chwilach mogę na ciebie liczyć.

- Kolejny pech, Burke. Przykro mi, że cię zawiodłam.

- Obróciła się na pięcie i wyszła z sali. Drzwi zamknęły się same.

Burke śledził ją oczyma, a w jego głowie kotłowało się od gorączkowych myśli.

Dyszząc jak po ciężkim biegu, szła do centrum operacyjnego, gdy nagle zawyły alarmowe bucuki. Pomogły jej zapomnieć o rozmowie z Burke'em. Zaczęła biec.

## 11.

Koło komputera Hudson ustawił przenośną konsolę taktyczną. Z terminalem głównym łączyła ją platanina kabli i przewodów, istny węzeł gordyjski, dzięki któremu każdy, kto za nią siedział, mógł sterować wszystkimi działającymi jeszcze urządzeniami w kolonii. Gdy Ripley weszła do centrum, Hicks trzasnął przełącznikiem i alarm ucichł. Wkrótce dołączyli Vasquez i Hudson. Stanęli wokół konsoli.

- Nadchodzą - oznajmił spokojnie kapral. - Pomyślałem sobie, że chcielibyście o tym wiedzieć. Są już w tunelu.

Ripley zwilżyła językiem wargi i wbiła wzrok w monitory.

- Jesteśmy przygotowani? - spytała.

Hicks wzruszył ramionami i manipulował chwilę pokręteł, regulując wzmocnienie.

- W miarę możliwości. Zakładając, że wszystko zadziała. Jeśli coś wysiądzie i przestanie albo w ogóle nie zacznie strzelać, gwarancje fabryczne na niewiele się zdadzą. Te roboty to praktycznie wszystko co mamy.

- Spokojna głowa, zadziałają. - Hudson wyglądał lepiej niż kiedykolwiek od czasu nieszczęsnej potyczki w trzewiach stacji procesora atmosferycznego. - Ustawiałem setki takich. Jak już je uzbrosisz, możesz o nich spokojnie zapomnieć i zająć się swoimi sprawami. Nie wiem tylko, czy same roboty wystarczą.

- O to się nie martw. Rzucamy przeciwko nim wszystko, co nam zostało. Działka RSS albo je powstrzymają, albo nie. Zależy, ile na nas idzie.

Hicks wcisnął kilka guzików. Wskaźniki mówiły, że urządzenia działają i są w gotowości bojowej. Zerknął na lampki kontrolne detektorów zamontowanych na działkach "A" i "B". Mrugały coraz szybciej i szybciej, by w końcu zaświecić jednostajnym blaskiem. W tej samej chwili usłyszeli przytłumiony jazgot. Podłoga lekko zadrżała.

- Działka "A" i "B" - szepnął Hicks. - Skanery wychwyciły cel i otworzyły ogień. - Spojrzał na Hudsona. - Nielicho je podrasowałeś.

Ale kapral go nie słyszał. Nie spuszczał oczu ze wskaźników.

- Jeszcze kilkanaście sztuk broni... - mrucał. Gdybyśmy mieli choćby kilkanaście strzelb, nie byłoby sprawy.

Pod nimi nieustannie grzmiały działka robotów. Cały budynek rozbrzmiewał dudniącym echem. Cyferki migające na bliźniaczych licznikach amunicji nieubłaganie zmniejszały swą wartość.

- Pięćdziesiąt sztuk na działko. Jak ich tym powstrzymać...? - mruknął Hicks.

- Muszą iść zwartym murem, cholera, od ściany do ściany - zauważył Hudson. - Spójrz tylko, w jakim tempie ubywa amunicji. Chryste, wałą jak do kaczek...

- A kwas? - spytała Ripley. - Wiem, że roboty są mocno opancerzone, ale widzieliście, jak to działa. Przeżre wszystko.

- Dopóki nie przestaną strzelać, nie powinno być problemu - odrzekł Hicks. - Pociski tego typu mają olbrzymią siłę uderzenia. Odrzucają ich do tyłu i kwas nie zaatakuję pancerza. Będzie tryskał na ściany i podłogę, ale działek nie sięgnie.

I chyba tak właśnie było, gdyż jazgot robotów w tunelu serwisowym nie milkł ani na sekundę. Minęły dwie minuty, trzy. Licznik amunicji działka "B" wskazywał zero i natężenie ognia zmalało o połowę. Skanery wciąż działały i śledziły cel, ale robot nie miał już czym strzelać.

- Magazynek działka "B" pusty. W magazynku działka "A" dwadzieścia sztuk. - Hicksowi zaschło w gardle. Nie odrywał oczu od licznika. - Dziesięć... Pięć... Koniec.

W centrum operacyjnym zaległa posępna cisza. Przerwał ją wibrujący odgłos potężnego uderzenia. Powtarzał się w regularnych odstępach niczym grzmot wielkiego, masywnego gongu. Wiedzieli, co ów dźwięk oznacza.

- Są przy drzwiach... - wymamrotała Ripley. Grzmot przybrał na sile. Wściekle razy sypały się coraz szybciej, aż nagle w stłumione dudnienie wmieszał się odgłos inny: szarpiący nerwy zgrzyt pazurów o gładki metal.

- Myślisz, że zdołają się przebić? - spytała Ripley; zauważył, że Hicks jest niezwykle spokojny. To pewność siebie czy rezygnacja...? myślała. - Jeden z nich zerwał z transportera klapę, pamiętacie? Ten, który chciał wyciągnąć Gormana.

Vasquez wskazała gestem podłogę.

- Tam na dole nie ma żadnych klap. To są drzwi przeciwpożarowe klasy "AA". Trzy warstwy twardych, stalowych stopów przekładane włóknami z kompozytów. Nie, drzwi wytrzymają. To spawy mnie martwią. Wszystko przez ten pośpiech. Czułabym się znacznie lepiej, gdybym zamiast zwykłego palnika miała laser i chromitowy lut.

- I godzinę czasu więcej, co? - dodał Hudson. - Dlaczego nie wspomniałaś, że dobrze by też było mieć wyrzutnię raketowych pocisków przeciwpancernych typu "Katiusza 6"? Jedna raketka i tunel czysty. Szkoda.

Zaterkotał dzwonek interkomu. Omal nie podskoczyli. Hicks wcisnął guzik.

- Mówi Bishop. Słyszałem strzały. Jak wam idzie?

- Zgodnie z oczekiwaniami. Robotom "A" i "B" skończyła się amunicja, ale nieźle musiały dać im popalić.

- To dobrze, ponieważ obawiam się, że mam złe wiadomości.

Hudson zrobił minę i oparł się o szafkę.

- O, to coś zupełnie nowego... - mruknął.

- Jakie, Bishop? - spytał Hicks.

- Zaraz tam do was przyjdę. Pokażę wam i objaśnię. Tak będzie łatwiej.

- Na pewno nas tu zastaniesz. - Hicks wyłączył interkom. - No to pięknie...

- Spoko, panie i panowie - rzucił beztrzesko Hudson. - I tak już siedzimy w gównie, więc czym tu się martwić?

Bishop wkrótce przyszedł i natychmiast ruszył do wysokiego okna, z którego widzieli niemal całą kolonię. Znowu zerwał się wiatr i rozpedził mgłę. Widzialność wciąż pozostawiała wiele do życzenia, ale była wystarczająca, by mogli dostrzec odległą stację procesora atmosferycznego. Oczekali chwilę i nagle z podstawy gigantycznego stożka trysnął w górę ognisty pióropusz. Był jaskrawszy niż poświata otaczająca szczyt niebotycznej wieżycy.

- Co to jest? - Hudson przytknął nos do szyby.

- Skutek działania zaworów bezpieczeństwa - wyjaśnił Bishop.

Ripley stała obok Hicksa.

- Konstrukcja to wytrzyma?

- Wykluczone. Jeśli dane, których przepływ śledziłem, są dokładne, to absolutnie niemożliwe. A nie ma powodu, by sądzić, że komputer coś przekłamał.

- Co się właściwie stało? - spytał Hicks wracając do konsoly. - To robota tamtych? Coś tam w środku uszkodzili?

- Nie wiadomo. Może. Ale bardziej prawdopodobne, że w czasie walki na poziomie "C" pocisk z elpeemu albo ze strzelby impulsowej naruszył integralność jakiegoś ważnego podsystemu. Uszkodzenie mogło też powstać wówczas, gdy prom uderzył w podstawę stacji. Przyczyna nie jest ważna. Ważny jest skutek. A skutek jest... mało ciekawy.

Ripley zaczęła postukiwać palcem o szybę. Po chwili zreflektowała się i natychmiast przestała. Tam, na zewnątrz, mogli nasłuchiwać.

Kolejny wyrzut gorących gazów z procesora.

- Ile zostało nam czasu? Kiedy wybuchnie?

- Dokładnie wyliczyć się tego nie da. Ekstrapolacja na podstawie przybliżonych danych nie może być dokładna. Należałoby uwzględnić zbyt wiele czynników, przeprowadzić zbyt wiele skomplikowanych obliczeń...

- Kiedy, Bishop? - powtórzył cierpliwie Hicks.

- Opierając się na informacjach, które zdołałem zebrać, przewidyuję, że nieodwracalna awaria całego systemu nastąpi w przeciągu czterech godzin. Promień rażenia: trzydzieści kilometrów. Czysta sprawa. Opadu rzecz jasna nie będzie. Siła eksplozji: około dziesięciu megaton.

- No, to podniosłeś nas na duchu - stwierdził cierpko Hudson.

Hicks westchnął.

- Mamy kłopoty...

Kapral rozłożył ręce i stanął tyłem do kolegów.

- No nie, to nie do wiary - rzekł strapiony. - Możecie w to uwierzyć? Działka szatkują ich na kawałki, drzwi przeciwpożarowe trzymają i wszystko na marne, cholera.

- Za późno, żeby wyłączyć stację? - rzuciła Ripley. Zakładając, że niezbędne urządzenia jeszcze działają. Nie to, żeby uśmiechał mi się bieg na przełaj, ale jeśli to nasza jedyna szansa, mogłabym spróbować.

Bishop posłał jej smutny uśmiech.

- Próżny wysiłek, Ripley. Boję się, że jest już za późno. Prom, pociski z elpeemu czy coś innego, żadna różnica. Zniszczenia są zbyt wielkie. Przeładowanie systemu jest nieuniknione.

- Wspaniale. Więc co robimy?

Vasquez wyszczerzyła do niej zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Pochylamy się, wkładamy głowę między nogi i czułym pocałunkiem żegnamy się z własną dupą.

Hudson chodził tam i z powrotem jak dzika pantera w klatce.

- Kurczę no! A tak mi niewiele zostało, cholera. Jeszcze tylko cztery tygodnie, z czego trzy w hibernatorze, i przeszedłbym w stan spoczynku. Dziesięć lat w piechocie i jesteś ustawiony. Tak mówili ci od rekrutacji. Zamiast tego skończę na tej parszywej skale. To nie fair, cholera, nie fair...

Vasquez sprawiała wrażenie kobiety wybitnie znudzonej.

- Hudson, przestań pieprzyć, co?

Odwrócił się gwałtownie.

- Łatwo ci mówić, Vasquez. Ty to kochasz. Uwielbiasz łązić po wszystkich śmietnikach, żeby tylko ukatrupić jakąś obcą gnidę. A ja, kurczę, ja zaciągnąłem się dla emerytury. Dziesięć lat i wychodzisz, brachu. Bierzesz szmal, kupujesz małą knajpkę, zatrudniasz faceta, co by ci ją prowadził i odwalał za ciebie gadkę z klientami, a forsa sama wpada ci do kieszeni.

Vasquez spojrzała w okno. Twarz miała jak wykutą z granitu. Ze stacji procesora buchnął w niebo płomienny gejzer i oświetlił otulone mgłą skały.

- Łamiesz mi serce, Hudson. Idź się lepiej powieś albo co.

Ripley spojrzała na Hicksa.

- Przecież to proste. Nie możemy tu zostać, więc musimy jakoś uciec. Istnieje tylko jeden sposób. Drugi prom. Ten, który jest na Sulaco. Trzeba go tu tylko jakoś ściągnąć. Za pomocą zdalnego sterowania albo inaczej, nie wiem. Przecież musi być na to jakiś sposób, musi...

Hudson przestał chodzić.

- Był. Myślisz, że się nad tym nie zastanawiałem? Od kiedy Ferro rozwalila się o skały, myślę o tym cały czas. Trzeba użyć nadajnika wąskokierunkowego. Ustawić go na częstotliwość urządzeń sterowniczych promu i po herbacie. Ba!

- Tak, wiem - przerwała mu niecierpliwie. - Też na to wpadłam. Ale nic z tego.  
- Otóż to. Bo ten cholerny nadajnik był na transporterze. Teraz to kupa szmelcu.  
- Nie, Hudson, musi istnieć jakiś inny sposób na sprowadzenie promu. Musimy go sprowadzić, wszystko jedno jak, to mnie nie obchodzi. Wymyśl coś. Jesteś w końcu technikiem. No? Myśl.

- O czym? I tak niedługo wyparujemy.

- Hudson, stać cię na więcej. A na przykład lokalny nadajnik stacjonarny? To ta wysoka wieża na drugim końcu kolonii. Moglibyśmy go dostroić do częstotliwości urządzeń sterowniczych promu? Dlaczego by nie spróbować? Chyba jest nietknięty.

- Tak, przemknęło mi to przez myśl. - Wszyscy spojrzeli na Bishopa. - Już to sprawdziłem. Kable między centrum sterowniczym a wieżą nadajnika uległy zniszczeniu podczas walk kolonistów z obcymi. To jeszcze jedna przyczyna, dla której nie byli w stanie połączyć się z satelitą przekaźnikowym. Choćby dlatego, żeby ostrzec grupę ratowniczą.

Umysł Ripley pracował na pełnych obrotach niczym oszalałe dynamo. Analizował opcje, rozważał wszystkie rozwiązania, odrzucał niewykonalne, aż wreszcie pozostało tylko jedno.

- Z tego, co mówisz, wynika, że sam nadajnik nadal funkcjonuje, ale stąd, z centrum sterowniczego, nie można z niego korzystać, tak?

Android myślał chwilę, w końcu skinął wolno głową.

- Jeśli zasilanie awaryjne wciąż działa, to tak. Nie widzę powodu, dla którego nie mogłby wyemitować odpowiednich sygnałów. I nie potrzeba do tego dużej mocy, ponieważ wszystkie pozostałe kanały, jakie normalnie obsługuje, są martwe.

- W takim razie to jest to. - Ripley powiodła wzrokiem po twarzach towarzyszy.  
- ktoś tam będzie musiał pójść. Zabrać ze sobą przenośny terminal i podłączyć się ręcznie.

- Dla mnie bomba! Już lecę! - zakrzyknął Hudson z udawanym entuzjazmem. - Żeby dać się pożreć tym ohydkom? Beze mnie.

Bishop postąpił krok naprzód.

- Ja pójdę - oświadczył spokojnie i bez emocji. Jak gdyby inne wyjście po prostu nie istniało.

Ripley wytrzeszczyła oczy.

- Co?

Uśmiechnął się przeproszająco.

- Ze wszystkich tu obecnych jestem jedynym, którego przeszkolono w zdalnym sterowaniu promem. Jestem także odporniejszy na tutejsze warunki atmosferyczne. I wydaje mi się, że skuteczniej niż wy będę mógł odsunąć ad siebie wszelkie... uboczne myśli i skupić się na pracy.

- Jeśli nie spotkasz po drodze jakiegoś przechodnia - zauważyła Ripley.



- Owszem, pragnąłbym tego uniknąć - odparł z szerokim uśmiechem. - Proszę mi wierzyć, że wolałbym tam nie iść. Jestem syntetykiem, ale nie jestem głupi. Ale skoro jedyną alternatywą jest kataklizm nuklearny, z chęcią zaryzykuję.

- Zgoda. Czego będziesz potrzebował?

- Przenośnego terminalu, oczywiście. Poza tym trzeba sprawdzić, czy antena odbiera impulsy. Ponieważ zamierzamy nadawać na wąskim paśmie, w dodatku poza granice atmosfery, muszę ją ustawić jak najdokładniej. Oprócz tego zabiorę...

Przerwała mu Vasquez. Ostro. Gwałtownie.

- Słuchajcie!

- Czego? - Hudson znów zaczął chodzić. - Niczego nie słyszę...

- Właśnie! Przestali.

Vasquez miała rację. Dudniące grzmoty i upiorne zgrzytanie o przeciwpożarowe drzwi ustało. Ciszę przerwał piskliwy trzel detektora ruchu.

Hicks spojrzął na konsolę.

- Wdarły się na teren kompleksu.

Zebranie niezbędnego sprzętu dla Bishopa nie zajęło im dużo czasu. Ale znalezienie bezpiecznego wyjścia nie było takie łatwe. Omawiali każdą możliwą trasę, mieszając informacje uzyskane z komputera z sugestiami płynącymi z konsoly taktycznej i okraszając to wszystko własnymi gorącymi pomysłami. W końcu wypichcili coś, co było do przyjęcia.

Przedstawili plan Bishopowi. Android czy nie, do niego należało ostatnie słowo. Oprócz wielu prawdziwie ludzkich odczuć, jakimi go zaprogramowano, obdarzono go również sztucznym instynktem samozachowawczym. Jak sam stwierdził w ogniu dyskusji, tak w ogóle to wolałby teraz być w Filadelfii.

Nie było nad czym dyskutować. Wszyscy się zgodzili, że obrona trasa jest jedyną, która daje mu cień szansy na wymknięcie się z centrum sterowniczego bez zwracania na siebie niepotrzebnej uwagi obcych. Gdy ją ostatecznie zatwierdzili, w pomieszczeniu zaległa niezręczna cisza. Bishop szykował się do drogi.

W podłodze laboratorium medycznego ziała spora dziura po żrącym kwasie - symbol przegranej bitwy, jaką stoczyli tu koloniści. Dziura umożliwiała dostęp do labiryntu przewodów i ciągów serwisowych pod podłogą. Niektóre z nich zostały dobudowane po zakończeniu prac nad wznoszeniem konstrukcji oryginalnej i zgodnie z wymaganiami, jakie stawiali sobie pracownicy mieszkańcy kolonii Hadley, naniesione na plany. I właśnie do jednego z takich dobudowanych kanałów miał wejść Bishop.

Wsunął się w otwór, zaczął wciskać się i zsuwać głębiej, aż w końcu legł na plecach i spojrzął na obserwujących go towarzyszy.

- No i jak tam jest? - spytał Hicks.

Bishop zerknął między stopy, później wygiął szyję, żeby spojrzeć przed siebie. Oto jego droga...

- Ciemno. Pusto. Ciasno, ale chyba dam radę.

Obyś... pomyślała Ripley.

- Dobra. Uważaj. Konsoleta.

Uniósł obie ręce. Jakby ją o coś błagał.

- Daj.

Wsunęła w otwór mały ciężki terminal.

Bishop obrócił się z trudem i wepchnął go w wąski tunel przed sobą. Na szczęście urządzenie miało plastikową obudowę. Kiedy będzie je przed sobą popychał, nie uniknie wprawdzie hałasu, ale lepsze to niż zgrzyt metalu o metal. Opadł na plecy i znów wyciągnął ręce.

- Teraz reszta.

Ripley podała mu małą torbę. Zawierała narzędzia, kable do sztukowania, zapasowe obwody scalone, kondensatory bocznikowe, służbowy pistolet i przenośny palnik z niewielkim zapasem paliwa. Ciężki i niewygodny zestaw, ale nic nie mogli na to poradzić. Lepiej zabrać za dużo niż dotrzeć do wieży nadajnika i stwierdzić, że czegoś brakuje.

Jesteś pewny, że nie zabłądzisz? - spytała Ripley.

- O ile ich schemat jest aktualny, trafię. Ten kanał prowadzi niemal do samej wieży. Sto osiemdziesiąt metrów. Dotrę tam... Powiedzmy za czterdzieści minut. Łatwiej by mi było poruszać się na kółkach, ale cóż, moi twórcy to ludzie sentymentalni. Dali mi tylko nogi.

Nikt się nie roześmiał.

- Jak tam już dopełnę, będę musiał sprawdzić i ustawić antenę. To kolejna godzina. Jeśli Sulaco odpowie natychmiast, trzydzieści minut zajmie mi przygotowanie promu, a potem jeszcze sam lot. Dodatkowy kwadrans.

- Dlaczego tak długo? - spytał Hicks.

- Gdyby za sterami siedział pilot, lot trwałby siedem, siedem i pół minuty. Ale zdalne sterowanie promem to bardzo delikatna sprawa. Ostatnia rzecz, jakiej bym sobie życzył, to przyspieszyć zejście w dół i stracić kontakt z maszyną. Muszę mieć margines czasu, żeby sprowadzić ją wolno, ale bezpiecznie. Inaczej może skończyć tragicznie jak tamta.

Ripley spojrzała na zegarek.

- Zostanie nam bardzo mało czasu. Lepiej już idź.

- Tak jest. Do zobaczenia. Wkrótce.

Pożegnał się z nimi z wymuszoną wesołością. Ripley wiedziała, że robi to tylko ze względu na nich. Nie było powodu, by się wzruszać. Bishop to przecież syntetyk, niemal robot.

Wstała, a Vasquez zasunęła otwór metalową płytą i uruchomiła spawarkę. Wiedzieli, co Bishop ma zrobić i żadne "może" nie wchodziło teraz w rachubę. Jeśli mu się nie powiedzie, musieliby łamać sobie głowy, jak powstrzymać napór obcych. A potem... Potem iskra, która tliła się w trzewiach stacji procesora, rozgorzeje atomowym płomieniem i pochłonie ich wszystkich.

Bishop leżał na plecach i obserwował rozżarzony krąg, jaki spawarka Vasquez rysowała nad jego głową. Krąg był piękny, a Bishop na tyle wyrafinowany, by to piękno docenić. Lecz podziwiając, tracił czas. Przekreślił się więc na brzuch i zaczął pełznąć, popychając przed sobą terminal i worek z narzędziami. Pchnięcie, niezdarny skurcz ciała i znalazł się kilkadziesiąt centymetrów dalej. Pchnięcie, skurcz. Pchnięcie, skurcz - wolno to szło. Średnica kanału była tak mała, że barkami ocierał o ściany. Na szczęście nie miał klaustrofobii, tak samo jak nigdy nie miewał zawrotów głowy. Nie cierpiał też na żadne choroby umysłowe, jakim ulegali ludzie. Sztuczna inteligencja. Chapeau bas!

Kanał zwężał się przed nim i ginął w nieskończoności. Bishopowi przemknęło przez myśl, że tak właśnie musi się czuć kula tkwiąca w lufie karabinu. Ale kula niczego nie czuje, w przeciwieństwie do niego. Ale dzieje się tak tylko dlatego, że jego uczucia są częścią programu.

Ciemność i samotność dawały mnóstwo czasu na myślenie. Pełzanie nie wymagało zbyt dużego wysiłku umysłowego, więc korzystał z tego i zastanawiał się nad swoim stanem psychicznym.

Uczucia i oprogramowanie. Napady organicznej wściekłości a oszalałe bajty. Czy ostatnia analiza wskazywała aż na taką różnicę między na przykład Ripley a nim samym? Czy istniała zasadnicza różnica między nim a jakimkolwiek człowiekiem? Chyba nie. Może jedna. Bishop był pacyfistą, a większość z nich miała, co oczywiste, natury wojownicze. W jaki sposób istota ludzka przyswaja sobie tego typu uczucia...? Poprzez wolne programowanie. Ludzkie dziecko przychodzi na świat z zainstalowanym programem wstępnym, z instynktem, ale może je radykalnie przeprogramować za pomocą czynników środowiskowych, socjalnych, edukacyjnych i szeregu innych. Bishop wiedział, że jego oprogramowanie nie ulega wpływowi środowiska. Co więc się stało temu dalekiemu kuzynowi, androidowi, który oszalał i wywołał w Ripley tak trwałą nienawiść? Awaria systemu? Czy może ktoś, ktoś jak dotąd nie znany, przeprogramował go celowo i złośliwie? Ale dlaczego człowiek miałby coś takiego robić...?

Bishop wiedział, że bez względu na stopień skomplikowania programu, w jaki go wyposażono, oraz bez względu na to, jak wiele zdoła się w danym mu czasie nauczyć, gatunek istot, które go stworzyły, na zawsze pozostanie dla niego gatunkiem bardzo tajemniczym. Człowiek to enigma, choć czasami zabawna i pomysłowa.

W przeciwieństwie do człowieka, w obcych stworzeniach z Acherona można było czytać jak w otwartej księdze. Tak więc, jeśli o nie chodzi, Bishop nie musiał rozgryzać żadnych niezrozumiałych tajemnic czy doszukiwać się ukrytych znaczeń. Mógł łatwo przewidzieć, jak zareagują w określonej sytuacji. Co więcej, tuzin tych stworzeń zachowa się identycznie, podczas gdy każdy z tuzina ludzi postąpi najpewniej zupełnie inaczej. Wykonają szereg czynności kompletnie ze sobą nie skorelowanych, z których przynajmniej połowa będzie pozbawiona logiki. Ale z drugiej strony ludzie nie są przecież członkami społeczności owadziej. A przynajmniej za takich się nie uważają. Bishop wciąż nie był pewien, czy podziela ich zdanie.

Bo między androidami i ludźmi nie istniała aż tak wielka różnica. I android, i człowiek należeli do podobnych wspólnot. Różnica polegała na tym, że wspólnotą ludzką rządził chaos wywołany ową specyficzną cechą, jaką jest indywidualność. Jego program też w nią wyposażono. W rezultacie Bishop był po części człowiekiem. Istotą organiczną na słowo honoru. Pod niektórymi względami ludzi przewyższał, pod innymi ludzie przewyższali jego. Najlepiej czuł się wówczas, gdy postępowali tak, jak gdyby należał do ich gatunku.

Spojrzał na zegarek. Będzie musiał pełznąć szybciej, bo nigdy nie zdąży na czas.

Robot strzegący wejścia do bloku sterowniczego otworzył ogień i korytarzami niosło się rozjazgotane metaliczne echo. Ripley chwyciła miotacz płomieni i weszła do pomieszczenia, gdzie stały komputery. Vasquez skończyła ostatni spaw, jaki ostatecznie mocował do podłogi płytę zakrywającą otwór, którym wyszedł Bishop. Odłożyła palnik i ruszyła za Ripley.

Hicks wpatrywał się w główny monitor, przekazujący obrazy z kamer zamontowanych na pancerzu robota. Kapral był jak zahipnotyzowany. Kiedy weszły, ledwo na nie zerknął.

- Spójrzcie tylko - powiedział spokojnie.

Ripley spojrzała, choć przyszło jej to z wielkim trudem. Tylko fakt, że oglądała dwuwymiarowy obraz, nie zaś namacalną rzeczywistość, sprawił, że nie odwróciła oczu. Za każdym razem, kiedy działko pluło ogniem, jaskrawy płomień z lufy wybielał na chwilę ekran monitora. Lecz zaraz potem płomień gasł i wtedy widziała wszystko, aż za wyraźnie. Korytarz wypełniały hordy obcych. Stworzenia przepychały się, potykały, padały trafione pociskiem, eksplodowały tryskając fontannami żrącej krwi. W podłodze i w zniszczonych ścianach ziały olbrzymie dziury. Kwas nie atakował tylko jednego: ciał samych obcych.

Pociski smugowe wyławiały z mroku skłębioną mgłę, która wciskała się z zewnątrz poszarpanymi wyrwami w ścianach.

- Zbliżają się... - Hicks obserwował czytnik odległościomierza. - Dwadzieścia metrów... Piętnaście... Działka "C" i "D" wyczerpały w połowie amunicję.

Ripley sprawdziła, czy miotacz jest odbezpieczony. Vasquez nie musiała niczego sprawdzać. Strzelba impulsowa była częścią jej ciała.

Wskaźniki migotały jednostajnie. Między jazgotliwymi seriami z działek wyraźnie słyszeli nieludzkie, skrzekliwe ryki.

- Ilu ich jest? - spytała Ripley.

- Trudno powiedzieć. Mnóstwo. Nie można rozróżnić, które są martwe, a które żywe. Tracą kończyny górne i nogi, ale idą dalej, dopóki pociski nie rozerwą ich na strzępy. Hudson zerknął na sąsiedni wskaźnik. - Działko "D" ma tylko dwadzieścia ładunków. Dziesięć... - Przełknął głośno ślinę. - Amunicja wyczerpana.

Robot zamilkł i w centrum sterowniczym zapadła nagła cisza. Na ekranach monitorów widzieli kłęby dymu i pary. Tam, gdzie pociski smugowe trafiły na swej drodze na jakiś palny materiał, płonął ogień. Cały korytarz był usłany poskręcanyimi czarnymi trupami. Monstrualny cmentarz. Kwas musiał wyżreć w podłodze olbrzymią dziurę, bo ujrzeli, jak kilka zwęglonych ciał zapadło się nagle i zniknęło.

Ale z gęstych kłębow dymu nie wychynęło nic. Nic nie runęło w stronę robotów, by zerwać z nich działka. Detektory ruchu milczały.

- Co się dzieje...? - Hudson manipulował niepewnie pokrętłami. - Co jest? Gdzie one są?

- Niech mnie... - Ripley gwałtownie wypuściła powietrze. - Zrezygnowały. Wycofały się. Działka je powstrzymały. To znaczy, że one myślą, myślą przynajmniej na tyle, żeby skojarzyć przyczynę i skutek. Nie parły bezrozumnie naprzód...

- Taa, ale spójrz tylko na to. - Hicks stuknął palcem w plastikową szybkę między wskaźnikami. Licznik działka "D" wskazywał zero. Działko "C" miało ledwie dziesięć sztuk amunicji. Gdyby znów otworzyły ogień i musiały strzelać w takim samym tempie, zamilkłyby już po kilku sekundach. - Następnym razem wystarczy podejść do drzwi i zapukać. Cholera, gdybyśmy mieli transporter...

- Gdyby transporter nie wyleciał w powietrze, nie siedzielibyśmy tu i nie kłapali dziobami - warknęła Vasquez. - Wyjechalibyśmy im na spotkanie i poczęstowalibyśmy ich ciasteczkami z wieżyczki strzelniczej.

Tylko Ripley nie traciła ducha.

- Ale one nie wiedzą, że nie mamy amunicji - zauważyła. - Zadaliśmy im straty. Duże straty. Teraz odbywają gdzieś pewnie naradę, czy może w jakiś inny sposób podejmują grupową decyzję. Zaczną szukać innej drogi, żeby się tu dostać. Trochę to potrwa, a kiedy już coś zdecydują, będą znacznie ostrożniejsze. I na każdym kroku będą widzieć nasze roboty.

- Może ich podłamaliśmy? - Hudson odzyskał trochę pewności siebie. Jego twarz nie była już taka blada. - Miałaś rację, Ripley. Można je pokonać.

Hicks oderwał wzrok od konsoly i spojrzał na Vasquez i kaprala.

- Pójdziecie na patrol. Od centrum sterowniczego do skrzydła medycznego. Tylko taki odcinek możemy obstawić. Wiem, że jesteście spięci i wyczerpani, ale postarajcie się zachować czujność i zimną krew. Jeśli Ripley ma rację, oni spróbują dostać się tu przewodami wentylacyjnymi albo zaczną rozwalać ściany. Musimy udaremnić każdą próbę wtargnięcia do centrum. Likwidujcie ich sztuka po sztuce, jak będą wyłaziły z otworu.

Żołnierze skinęli głowami. Hudson wstał, wziął strzelbę i ruszył za Vasquez w stronę głównego korytarza. Ripley znalazła swój kubek i jednym haustem dopiła letnią kawę. Smakowała ohydnie, ale ugasiła pragnienie. Hicks obserwował ją i czekał, aż skończy.

- Jak długo jesteś na nogach? Od dwudziestu czterech godzin?

Ripley wzruszyła obojętnie ramionami. Nie była tym pytaniem zaskoczona. Ciągłe napięcie dobijało ją i jeśli wyglądała tak, jak się czuła, nic dziwnego, że Hicks je zadał. Zanim osaczą ich obcy, padnie z wyczerpania.

- Co za różnica - odparła beznamiętnie, lecz z nutką zaczepności w głosie. - I tak zostało nam niewiele czasu. Liczymy każdą sekundę.

- Mówiłaś coś innego.

Kiwnęła głową w stronę korytarza, gdzie zniknęli Hudson i Vasquez.

- To ze względu na nich. I na mnie chyba też. Będziemy sobie spać, ale one nie zasną. Nie przestaną, nie wycofają się, dopóki nie zdobędą tego, czego chcą. A chcą nas. I nas dopadną.

- Może tak, a może nie - odrzekł z lekkim uśmiechem Hicks.

Usiłowała odpowiedzieć tym samym, ale nie wiedziała, czy jej się udało. W tej chwili oddałaby roczną pensję za kubek świeżej, gorącej kawy. Tylko komu? Była zbyt zmęczona, żeby ją sobie zaparzyć. Zarzuciła miotacz na ramię.

- Hicks, nie chcę skończyć jak tamci. Jak koloniści czy Dietrich i Crowe. Zajmiesz się nami, jeśli... jeśli dojdzie do najgorszego?

- Jeśli do tego dojdzie - odrzekł łagodnie - zajmę się i tobą, i sobą. Choć z drugiej strony, jeżeli nie zwiejemy stąd przed wybuchem procesora, nie będzie takiej potrzeby. Procesor załatwi i nas, i tamtych. Dlatego trzeba zrobić wszystko, żeby stało się inaczej.

Tym razem była pewna, że zdołała wykrzesać z siebie uśmiech.

- Wiesz, Hicks, nie mogę cię rozgryźć. Przecież żołnierze to urodzeni pesymiści.

- Tak, wiem. Nie ty pierwsza zwróciłaś na to uwagę. Ja jestem chyba nienormalny. - Sięgnął za siebie ręką i wziął z konsoly strzelbę. - Ripley, chciałbym cię przedstawić mojej bliskiej, bardzo osobistej przyjaciółce. - Płynnym, wprawnym ruchem wyjął ze strzelby magazynek, odłożył go na bok i podaj jej broń.

- To jest strzelba impulsowa typu M-41A. Kaliber dziesięć milimetrów. Ma wbudowany granatnik. Kaliber trzydzieści milimetrów. Prawdziwe cacko, najlepsza

przyjaciółka żołnierza piechoty kolonialnej. Żony i dziewczyny nie wytrzymują z nią porównania. Prawie nigdy się nie zacina, smaruje się sama, działa pod wodą i w próżni, przebija najtwardszą stal. Trzeba ją tylko czasami przeczyścić, być wobec niej w miarę delikatnym, a nie raz uratuje ci życie.

Ripley zważyła w rękę broń. Strzelba była duża i nieporęczna, ale też o wiele bardziej imponująca niż miotacz płomieni. Na kolbie miała miękką wykładzinę, która neutralizowała odrzut powstający przy odpalaniu wzmocnionych ładunków. Ripley uniosła broń i wycelowała na próbę w odległą ścianę.

- No i co? - zapytał Hicks. - Poradzisz z nią sobie?

Przeniosła na niego wzrok.

- Od czego zaczynamy? - spytała spokojnie.

Hicks skinął aprobowująco głową i wręczył jej magazynek.

Bez względu na to, jak cicho starał się poruszać, nie mógł wyeliminować hałasu, który wywoływał, przesuając terminal i worek z narzędziami. Żaden człowiek nie zdołałby utrzymać tempa, jakie sobie narzucił po wyjściu z bloku operacyjnego, co nie znaczyło wcale, że mógł je utrzymywać w nieskończoność. Nawet syntetyki miały swoje ograniczenia.

Dzięki wzmocnionemu systemowi optycznemu przenikał wzrokiem ściany aksamitnoczarnego tunelu, który ginął w oddali; w tym cylindrycznym przewodzie człowiek nie widziałby kompletnie nic. I nie musiał się przynajmniej martwić o to, że zgubi drogę - kanał wiódł prosto do wieży nadajnika.

Po prawej stronie ujrzał nieregularną dziurę wyżartą przez kwas. Do środka wpadało przez nią słabe światło. Pośród licznych cech, jakimi go zaprogramowano, była też ciekawość. Bishop zatrzymał się, by zajrzeć do otworu. Miło będzie zapomnieć na chwilę o wydrukach komputerowych z naniesioną trasą i sprawdzić osobiście, jak daleko zaszedł.

W stronę jego twarzy śmignęły oślinione szczęki. Obcy grzmotnął paszczą w stal. Rozległ się wściekły, zgrzyt kłów o metal. Tunel rozbrzmiewał jęklwym echem.

Bishop rozpląszczył się na przeciwległej ścianie. W miejscu, gdzie uderzyły szczęki obcego, metal był lekko wklęsnięty. Android ruszył spiesznie naprzód. Ku jego wielkiemu zdumieniu atak nie powtórzył się. Nikt go też najwyraźniej nie ścigał.

Może obcy wyczuł po prostu ruch i uderzył na oślep? I ponieważ nikt z wnętrza tunelu na atak nie odpowiedział, nie miał powodu atakować ponownie...? W jaki sposób te stworzenia wyczuwają potencjalnych nosicieli? Bishop naśladował ruch oddychania, nie oddychając naprawdę. Nie emanował ciepłem, potem i nie można było wyczuć w nim krwi. Tak, grasujący stwór mógł go wziąć za jeszcze jedno

urządzenie mechaniczne... O ile tylko nie atakowałyby ani nie stawiał oporu, mógłby się między nimi swobodnie poruszać. Nie to, żeby taka perspektywa Bishopowi odpowiadała - reakcje tych zwierząt i motywy ich działania były wciąż nie do przewidzenia - ale, chcąc nie chcąc, zdobył przypadkowo cenną informację. I jeśli tylko hipoteza znajdzie potwierdzenie, może okazać się przyczynkiem do wynalezienia skutecznej metody badania przedstawicieli tego gatunku.

Ale niech zajmie się tym ktoś inny, myślał. Niech ktoś inny szuka potwierdzenia teorii. Najlepiej model wyposażony w znacznie większą odwagę. Bo on chciał jak najszybciej z Acherona odlecieć. I ze względu na siebie, i ze względu na ludzi, z którymi pracował.

Spojrzał na tarczę chronometru świecącą mdławo w ciemności. Wciąż miał opóźnienie. Błdy i spięty, spróbował pełznąć jeszcze szybciej.

Ripley przycisnęła kolbę do policzka. Robiła, co mogła, żeby nadażyć za instrukcjami Hicksa. Wiedziała, że zostało im niewiele czasu, wiedziała, że jeśli będzie musiała użyć broni, nie znajdzie okazji, żeby zapytać, jak działa to czy tamto. Hicks zachowywał maksymalną cierpliwość, zważywszy, że cały kurs posługiwania się strzelbą usiłował skrócić do ledwie kilku minut.

Stał tuż za Ripley i układając jej odpowiednio ramiona, objaśniał sposób użycia celownika. Oboje starali się nie zwracać uwagi na intymną pozycję, jakiej demonstracja wymagała. Zdewastowana kolonia była tak zimna, tak pozbawiona ludzkiego ciepła, a oni po raz pierwszy nawiązali kontakt bardziej fizyczny niż werbalny.

- Mocno, musisz ją mocno przycisnąć - objaśniał Hicks. - M-41A ma wbudowane amortyzatory odrzutu, ale i tak kopie aż miło. To cena, jaką musisz płacić za strzelanie pociskami, które przebijają niemal wszystko. - Pokazał jej wskaźnik z boku kolby. - Kiedy zobaczysz na liczniku zero, wciśnij to. Nacisnął kciukiem wystający guzik. Magazynek upadł z trzaskiem na podłogę. - Puste każą nam zwykle zabierać, bo są drogie. Ale teraz nie przejmowałbym się regulaminami.

- Ani ja - wtrąciła.

- Po prostu zostaw go, gdzie spadnie. I od razu włóż następny. Masz. - Podał jej magazyneczek.

Ripley trzymała strzelbę jedną ręką, a drugą usiłowała wsunąć magazyneczek w odpowiedni otwór. Omal nie straciła przy tym równowagi; broń była ciężka.

- Trzaśnij go dłonią. Mocno - mówił kapral. - Ona lubi, jak się jej czasem przyleje.

Poszła za jego radą. Magazynek wskoczył na miejsce z podnoszącym na duchu kliknięciem.

- Teraz odbezpiecz.



Musnęła palcem przełącznik. Z boku zapalił się czerwony wskaźnik

Hicks cofnął się o krok i ocenił wzrokiem postawę strzelecką, w jakiej stała.

- W porządku - stwierdził z aprobatą. - I to by było na tyle. Jesteś gotowa do akcji. Jeszcze raz od początku.

Ripley powtórzyła wszystkie czynności: wymienić magazynek, sprawdzić, przeładować, odbezpieczyć. Broń była niezręczna i ciężka, ale dodawała jej pewności siebie. Trzęsącymi się z wysiłku rękami opuściła strzelbę i wskazała metalową rurę biegnącą pod lufą.

- A to co?

- Granatnik. Z tym daj sobie spokój. I tak masz dużo do zapamiętania. Z każdej broni trzeba strzelać automatycznie, bez myślenia.

- Słuchaj, sam zacząłeś, tak? Pokaż mi wszystko. Dam sobie radę.

- A to na pewno - skonstatował.

I znów zaczęli od początku. Celowanie, ładowanie granatów, przeładowywanie, odpalanie. Kompletny kurs w niecały kwadrans. Hicks zademonstrował jej wszystko oprócz rozkładania i czyszczenia strzelby. Zadowolona, że nic nie uszło jej uwagi, zostawiła go przy konsolce i ruszyła do skrzydła medycznego, żeby sprawdzić, co z Newt. Na ramieniu miała broń. Nowa przyjaciółka dodawała jej otuchy.

Nagle usłyszała przed sobą jakiś trzask. Zwolniła, ale natychmiast uznała, że mimo swego ciężaru obcy narobiłby znacznie więcej hałasu. W drzwiach stanął porucznik Gorman. Wyglądał kiepsko, ale był już całkiem zdrowy. Za Gormanem ujrzała Burke'a. Ledwo na nią spojrział. Za każdym razem, kiedy przedstawiciel Towarzystwa otwierał usta, Ripley miała ochotę go udusić. Ale potrzebowali go, potrzebowali wszystkich, nawet tych, których ręce były splamione krwią. Burke wciąż należał do ich małej grupy, był ludzką istotą.

Choć niewiele się różni od tych potworów... dodała w myślach.

- Jak się pan czuje? - spytała Gormana.

Porucznik wsparł się o ścianę i przyłożył rękę do czoła.

- Chyba dobrze. Mam zawroty głowy i tyle. Jak na ciężkim kacu. Posłuchaj, Ripley...

- Daj sobie spokój, Gorman.

Nie czas był na bezsensowne przeprosiny. I nie tylko Gorman ponosił winę. Winą za fiasko, jakie ponieśli w stacji procesora, należało obciążyć tych niekompetentnych głupców, którzy wyznaczyli Gormana na dowódcę oddziału. Nie uwzględniając nawet faktu, że porucznik nie miał doświadczenia w walce, żadne szkolenie bojowe nie mogło przygotować żołnierzy do tego, co tu zastali. Bo jak zaplanować bitwę z nieprzyjacielem, który jest tak samo niebezpieczny, gdy wykrwawia się na śmierć, jak i wtedy, gdy żyje i atakuje? Nie pasowały tu żadne utarte schematy i reguły.

Minęła go i poszła dalej.

Gorman śledził ją wzrokiem, a potem ruszył w górę korytarza. I spotkał Vasquez, która nadchodziła z przeciwnego kierunku. Patrzyła na niego zwięzonymi, zimnymi oczyma. Kolorowa spocona chustka przywarła jej do czoła i ciemnych włosów.

- Nadal chcesz mnie zabić? - spytał cicho.

W jej odpowiedzi pogarda mieszała się ze świadomością nieuchronnego.

- To nie będzie konieczne.

Minęła go, patrolując wyznaczony rejon.

Kiedy Gorman i Burke zniknęli za zakrętem, skrzydło medyczne opustoszało. Ripley przeszła do sali operacyjnej, gdzie zostawiła Newt. Światło było tu słabe, ale mimo to natychmiast spostrzegła, że łóżko dziewczynki jest puste. Pobudzona strachem niczym dawką silnego narkotyku, obróciła się błyskawicznie dookoła. Rozgorączkowanymi oczyma obiegła pomieszczenie, aż tknięta nagłą myślą zajrzała pod łóżko.

Napięcie uleciało z niej jak powietrze z pękniętego balona. Newt leżała przy ścianie. Wpełzła głęboko, najgłębiej, jak tylko zdołała. Zwinięta w kłębuszek spała, ściskając w rączce głowę Casey.

Jej twarz, niewinna i anielsko spokojna mimo zmór, które nawiedzały dziewczynkę zarówno za dnia, gdy czuwała, jak i w nocy, gdy spała, utwierdziła Ripley w przekonaniu, że dzieci mogą spać zawsze i wszędzie, bez względu na okoliczności. Dzięki Ci za to, Pani.

Cicho odłożyła strzelbę, wpełzła pod łóżko i nie budząc Newt wsunęła pod nią rękę. Dziewczynka drgnęła i wyczuwając instynktownie ciepło bijące z ciała dorosłego, przytuliła się mocno do Ripley. Odwieczny, pierwotny gest. Ripley legła na boku i westchnęła.

Naraz twarzyczkę dziecka wykrzywił przerażający grymas. Newt śniła jeden ze swych koszmarów. Wykrzyknęła coś niezrozumiałego, jakąś zniekształconą snem prośbę czy błaganie. Ripley ukołysała ją łagodnie.

- Ciii... Już dobrze, już wszystko w porządku. Wszystko w porządku...

Kilka przewodów z chłodziwem biegnących wokół gigantycznej wieży procesora atmosferycznego rozgrzało się do czerwoności pod wpływem gorąca. Między stożkowatym zwieńczeniem a najwyższymi kratownicami strzelały błyskawice silnych wyładowań elektrycznych. W ich ostrych, jaskrawych rozbłyskach zamglony krajobraz Acherona i milczące budowle kolonii Hadley sprawiały upiorne wrażenie. Nawet dla postronnego obserwatora sprawa byłaby oczywista: z procesorem atmosferycznym działo się coś bardzo niedobrego. System chłodzący usiłował zdławić reakcję, która wymknęła się już spod kontroli. Mimo to

urządzenia pracowały nadal. Ich oprogramowanie nie uwzględniało faktu, że kiedyś może zaistnieć sytuacja beznadziejna.

Niedaleko lądowiska strzelała w niebo wysoka spiralna wieża ze stali. Na jej szczycie przysiadło kilka parabolicznych anten. Wyglądały jak stadko ptaków, które zimową porą przycupnęły na wierzchołku drzewa.

Nad odkrytą konsolą u podstawy wieży pochylała się samotna postać. Stała tyłem do wiatru.

Bishop otworzył luk kanału testowego, umocował go i zdołał podłączyć terminal do okablowania. Jak dotąd wszystko szło tak dobrze, że aż przerastało ich najśmielsze oczekiwania. A nic takiego obrotu rzeczy nie zapowiadało. Źle wyliczył czas, jaki zajmie mu pokonanie tunelu, i dotarł do wieży mocno spóźniony. W zamian za to próby wstępne nie nastreczyły mu żadnych trudności i dzięki temu nadrobił trochę straconego czasu. Ile go nadrobił, miało się dopiero okazać.

Terminal i monitor zakrył marynarką, żeby osłonić je od niesionego wiatrem piasku i pyłu. Urządzenia elektroniczne były o wiele bardziej wrażliwe na uciążliwości klimatyczne niż on. Kilkanaście ostatnich minut poświęcił na wprowadzanie danych. Pisał jak szalony, palce śmigały mu po klawiaturze tak szybko, że w minutę kończył to, co doświadczonemu operatorowi zajęłoby minut dziesięć.

A gdyby był człowiekiem, zmówiłby pewnie krótką modlitwę. Zresztą może i zmówił - syntetyki mają swoje tajemnice. Jeszcze raz spojrzął na klawiaturę i wymamrotał:

- Jeśli nie popełniłem błędu, jeśli nie ma żadnego uszkodzenia...

Wcisnął peryferyjny klawisz funkcyjny oznaczony słowem ROZRUCH.

W ciszy kosmicznej pustki wysoko nad jego głową dryfował cierpliwie Sulaco. Opustoszałymi korytarzami nie przemykali pochłonięci pracą ludzie. W olbrzymiej ładowni nie huczały wydajne maszyny. Na statku żyły tylko wskaźniki. Mrugały bezszelestnie i utrzymywały Sulaco na geostacjonarnej orbicie dokładnie nad kolonią Hadley.

I naraz zabrzmiał alarmowy buczonek, choć nikt go przecież nie słyszał. W wielkiej ładowni zawirowały nagle światła, chociaż kaskady czerwieni, błękitu i zieleni nie mogły nikogo przed niczym ostrzec. Jęknęły systemy hydrauliczne. Potężne dźwigi zadudniły na szynach i drugi prom zrzutowy Sulaco wychynął z niszy parkingowej. Koła wpadły z trzaskiem w głębokie prowadnice i do akcji wkroczyły gigantyczne przekładnie i wyciągi. Prom osiadł łagodnie w luku zrzutowym.

Jak tylko znalazł się na miejscu, ze ścian i z podłogi wypełzły węże automatycznych zwornic i za pomocą serwisowych wysięgników podłączyły się do oczekującego statku. Rozpoczęło się tankowanie i ostateczny sprawdzian

wszystkich systemów operacyjnych. Były to czynności rutynowe i przyziemne, nie wymagające nadzoru człowieka. Prawdę mówiąc bez ludzi statek mógł sobie nawet lepiej poradzić, bo ludzie zwykle płaczą się wokół i marudzą, spowolniając tym samym cały proces.

Włączyły się silniki. Zgasły i zadziały ponownie. Luki otworzyły się, zamknęły i zostały hermetycznie uszczelnione. Ożył też system wewnętrznej łączności. Terminale rozrzucone po całym statku wymieniły numeryczne pozdrowienia z głównym komputerem Sulaco i w olbrzymiej ładowni zadudnił odtworzony z taśmy komunikat:

- Uwaga. Uwaga. Rozpoczęło się tankowanie. Uprasza się o niepalenie.

Bishop tego wszystkiego nie widział. Nie widział wirujących szybko świateł, nie słyszał komunikatów ostrzegawczych. Mimo to tryskał zadowoleniem. Maleńkie wskaźniki, które mrugały na przenośnym pulpicie zdalnego sterowania, były równie wymowne jak najpiękniejszy sonet Szekspira. Wiedział, że prom został przygotowany do zrzutu i że rozpoczęło się tankowanie - doniosła mu o tym konsolęta. Udało mu się dokonać rzeczy wielkiej: nie tylko nawiązał kontakt z Sulaco, ale i nieprzerwanie go utrzymywał. Nie musiał tam być osobiście. Pulpit zdalnego sterowania zastępował mu oczy i uszy. Mówił mu wszystko, co Bishop musiał wiedzieć. I jak na razie mówił same dobre rzeczy.

## 12.

Nie zamierzała zasnąć. Chciała tylko z nią pobyc, choć przez chwilę dzielić z małą tę ciasną norkę pod łóżkiem, czuć ciepło jej ciała. Lecz organizm wiedział lepiej, czego naprawdę potrzebowała. Kiedy tylko wypuściła cugle z rąk, natychmiast przejął nad Ripley kontrolę - zasnęła jak kamień.

Poderwała się gwałtownie i o mały włos nie grzotnęła głową w spód łóżka. Sen czmychnął i Ripley momentalnie otrzeźwiała.

Do sali operacyjnej wpadała smuga mdławego światła z laboratorium. Ripley spojrzała na zegarek i uświadomiła sobie ze zgrozą, że spała ponad godzinę. W tym czasie śmierć mogła nadejść i odejść, ale nie, chyba nic się tu nie zmieniło... Nikt nie przyszedł jej obudzić, czemu się nie dziwiła. Koledzy byli zajęci ważniejszymi sprawami. To, że pozwolili jej spać, było dobrym znakiem. Gdyby doszło do decydującego starcia z obcymi, Hicks albo ktoś inny wyciągnąłby ją z przytulnej kryjówki.

Wyzwolila się łagodnie z objęć Newt, która wciąż spała, nieświadoma obsesji na punkcie czasu tak typowej dla dorosłych. Leżąc na boku, otuliła ją szczelnie kurteczką i chciała wypełznąć spod łóżka. Spojrzała przypadkiem w stronę laboratorium i zamarła.

Na progu drzwi stał rząd cylindrycznych pojemników z konserwantem. Dwa z nich były otwarte i ciemne - pole zastojowe zostało wyłączone. Oba pojemniki były... puste.

Ripley niemal przestała oddychać. Szukała wzrokiem wszędzie, pod każdą szafką, pod każdym wolno stojącym urządzeniem. Sparaliżowana strachem, rozgorączkowana, usiłowała ocenić sytuację. Lewą ręką trąciła śpiącą dziewczynkę.

- Newt - szepnęła.

Czy te stworzenia potrafią odbierać fale dźwiękowe? Nie miały uszu, nie miały widocznych otworów słuchowych, ale ktoś mógł wiedzieć, w jaki sposób prymitywne zmysły obcych interpretowały otaczające je środowisko?

- Newt, obudź się.

- Co...? Co? - Dziewczynka obróciła się na bok i przetarła piąstkami zaspane oczy. - Ripley? Gdzie...

- Ciii... - Przyłożyła palec do ust. - Nie ruszaj się. Mamy kłopoty.

Oczy Newt rozszerzyły się. Czujna i spięta jak jej dorosła obrończyni, odpowiedziała krótkim skinieniem głowy. Ripley nie musiała jej uciszać po raz drugi. W czasie koszmarnych wędrówek przez tunele i kanały serwisowe kolonii pierwszą rzeczą, jaką dziewczynka nauczyła się doceniać, była cisza, jej znaczenie dla przeżycia. Ripley wskazała otwarte pojemniki. Newt zobaczyła je i nawet nie pisnęła. Znow skinęła głową.

Leżały blisko siebie i wsłuchiwały się w mroczną ciszę. Usiływały wyłowić z ciemności odgłosy ruchu, wypatrywały koszmarnych, kościsto-palczastych sylwetek przemykających chyłkiem po wypolerowanej podłodze. Tuż obok szumiął przenośny piecyk.

Ripley nabrała w płuca powietrza, przełknęła ślinę i wykonała pierwszy, ostrożny ruch. Wyciągnęła ręce, chwyciła za sprężyny na spodzie materaca i zaczęła odsuwać łóżko od ściany. Ciszę rozdarł przeraźliwy zgrzyt metalowych nóg o gładką posadzkę.

Kiedy między ramą łóżka a ścianą utworzyła się wystarczająco duża szczelina, Ripley zaczęła wolniutko wstawać. Prawą ręką sięgnęła po strzelbę. Macała dłonią po prześcieradle i kocach.

Strzelba zniknęła.

Oczy Ripley znajdowały się teraz na wysokości krawędzi łóżka. Przecież zostawiła broń tu, na środku materaca! Ledwo uchwytny ruch po lewej stronie. Błyskawicznie odwróciła głowę. W tym samym momencie skoczyło na nią coś, co było jedną ohydą na krabowatych odnózkach. Wydała z siebie jękliwy okrzyk śmiertelnego przażenia i zsunęła się pod łóżko. Koszmarny stwór uderzył o ścianę w miejscu, gdzie przed chwilą widniała jej głowa. Rogowate szpony zaczepiły o włosy i zsuwając się po gładkiej powierzchni, szukały jednocześnie twarzy, która była tam jeszcze sekundę temu.

Ripley przetoczyła się jak szalona po podłodze, wbiła palce między sprężyny i pchnęła silnie łóżko, przygniatając monstrum do ściany. Jego odnóża wiły się wściekle o centymetry nad jej głową, a umięśniony ogon walił w materac i w ścianę niczym obłąkany pyton. Zwierzę wydawało z siebie ostry, skrzekliwy dźwięk, coś między piskiem a sykiem.

Ripley wypchnęła Newt, wytoczyła się za nią, oparła ręce na krawędzi łóżka i docisnęła je do ściany. Następnie błyskawicznym, lecz ostrożnym szarpnięciem przewróciła łóżko i uwięziła twarzołapa pod jedną z metalowych poręczy biegnących wokół ramy.

Tuliła do siebie Newt i wolno się cofała. Jej oczy były w nieustannym ruchu, wciąż wypatrywały, przeszukiwały każdy zakamarek, badały każdy cień. Sala operacyjna tchnęła niebezpieczeństwem. Tymczasem uwięzione monstrum, jak na stworzenie tak niewielkie było wprost przerażająco silne, zepchnęło z siebie łóżko i śmignęło pod rząd szafek.

Usiłując iść środkiem sali, Ripley cofnęła się, aż natraciła plecami na drzwi. Wyciągnęła rękę i namacała przełącznik wbudowany w ścianę. Drzwi powinny się były rozsunąć, lecz ani drgnęły. Wcisnęła guzik jeszcze raz i jeszcze raz, grzmotnęła go pięścią nie zważając na hałas. Nic. Ktoś wyłączył mechanizm? Zacięły się? Bez znaczenia. Chciała zapalić światło. To samo. Były uwięzione w ciemności.

Nie spuszczać wzroku z podłogi, uderzyła pięścią w drzwi. Gruba wykładzina tłumiała wszelkie odgłosy. Przedsionek sali operacyjnej był oczywiście dźwiękoszczelny; wrażliwi koloniści, którzy przechodziła pobliskim korytarzem, nie chcieli się denerwować niespodziewanymi krzykami.

Obejmując kurczowo dziewczynkę, krok po kroku obeszła ustęp w ścianie i dotarła do wielkiego okna obserwacyjnego, które wychodziło na główny korytarz. Zaryzykowała, obróciła głowę i krzyknęła:

- Hej! Tutaj! Na pomoc!

Uderzyła rozpaczliwie w szybę. Ale za potrójną warstwą wzmocnionego szkła nie ujrzała nikogo.

Szelest na podłodze. Zrobiła błyskawiczny obrót. Newt wyczuła jej strach i cichutko pochlipywała. Ripley stanęła przed obiektywem kamery na ścianie i zaczęła wymachiwać rękami.

- Hicks! Hicks!

Nie odpowiedział jej nikt. Głośniki milczały, w korytarzu za szybą nadal nikogo nie było, kamera nie zareagowała obiektyw ani drgnął, celował ślepo w pustkę. Zdesperowana, chwyciła ciężkie metalowe krzesło i cisnęła nim w szybę. Odbiło się, nie pozostawiając na szkle najmniejszej rysy. Rzuciła nim jeszcze raz i jeszcze raz.

Na nic. Traciła tylko siły. Wiedziała, że okno nie ustąpi, że nikt nie widzi jej oszalałych wysiłków. Odstawiła krzesło i ciężko dysząc rozejrzała się po sali.

Tuż obok stał pulpit, na którym zauważyła silną punktową latarkę używaną do badań lekarskich. Zapaliła ją i przesunęła światłem po ścianach. Jaskrawy krąg omiótł cylindryczne pojemniki z konserwantem, półki z instrumentami chirurgicznymi i anestetycznymi, szafki, skomplikowaną aparaturę medyczną. Czowała, że Newt ściska ją kurczowo za nogę i drży.

- Mamusiu... - łkała. - Mamusiu...

Miał doprowadzić ją do hysterii, prerażenie dziecka wpłynęło na Ripley uspokajająco. Newt była od niej całkowicie zależna, a namacalny strach, jaki emanował z dorosłej obrończyni, wpychał małą w kleszcze paniki.

Ripley skierowała latarkę do góry. Świetlisty promień przemknął po suficie, musnął coś, wrócił z powrotem. Co to jest...? W głowie Ripley załagał się pomysł.

Wyjęła z kieszeni zapalniczkę, a z pulpitu, gdzie znalazła latarkę, wzięła garść zgniecionego papieru. Zachowując maksymalną ciszę i ostrożność, chwyciła Newt i postawiła ją na stole operacyjnym na środku sali. Potem weszła tam sama.

- Mamusiu... to znaczy Ripley, boję się... - szepnęło dziecko.

- Wiem, kochanie - odrzekła myśląc o czymś innym. - Ja też.

Zgniotła papier jeszcze mocniej i przytknęła doń zapalniczkę. Prowizoryczna pochodnia zajęła się momentalnie ogniem. Ripley wyciągnęła rękę i przysunęła

plomień do czujnika przeciwpożarowego na suficie. Jak niemal wszystkie standardowe instalacje, w jakie wyposażono tego typu kolonie, czujniki miały niezależne zasilanie. Kiedy wybuchł pożar, uruchamiały system urządzeń zraszających i działały bez względu na stan techniczny drzwi lub instalacji świetlnej.

Plomień trawił papier bardzo szybko, grożąc poparzeniem nie uzbrojonej w rękawice dłoni. Ripley zacisnęła zęby i wytrzymała. Ogień oświetlał salę i odbijał się w lustrzanych kafelkach, jakimi wyłożono kulisty przybornik na instrumenty chirurgiczne zawieszony nad stołem operacyjnym.

- Szybciej, no szybciej... - mamrotała zdenerwowana do nieprzytomności.

Kiedy temperatura wzrosła na tyle, by uruchomić wewnętrzne detektory, z boku głowicy zraszającej zamrugało czerwone światelko i czujnik przekazał impuls innym głowicom rozmieszczonym na suficie. Natychmiast trysnęła z nich woda, zalewając szafki i posadzkę sztucznym deszczem. Jednocześnie w bloku sterowniczym obudziła się z rykiem potężna syrena.

Hicks aż podskoczył na krześle. Oderwał wzrok od konsoli taktycznej i spojrzął na ekran głównego komputera. Mały fragment schematu przedstawiającego rozkład pomieszczeń w bloku sterowniczym pulsował czerwonym światłem. Hicks rzucił się do wyjścia. Biegając, krzyczał do mikrofonu:

- Vasquez, Hudson, natychmiast do skrzydła medycznego! Pożar!

Hudson i Vasquez porzucili stanowiska wartownicze i ruszyli na spotkanie z kapralem.

Urządzenia zraszające wciąż tryskały strumieniami wody. Mokre ubranie lepiło się do ciała. Syrena wyła jak obłąkana, strugi wody bębniły o metal i posadzkę - hałas zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Ripley odgarniała co chwilę włosy i wycierała oczy usiłując dojrzeć coś w ulewie. Trąciła łokciem kulisty przybornik z instrumentami chirurgicznymi, który zakołysał się, wlokąc za sobą długie kable. Zerknęła na niego i szybko obróciła głowę, by dalej lustrować otoczenie. Ale coś spowodowało, że spojrzała na przybornik po raz drugi.

I właśnie wtedy to "coś" na nią skoczyło.

Ryk syreny i strugi wody zagłuszyły jej krzyk. Potknęła się, cofnęła o krok i spadła na podłogę. Młóciła rękami, kopała jak szalona nogami, wreszcie chwyciła krabowate monstrum i cisnęła jak najdalej od siebie. Newt przeraźliwie krzyknęła i uskoczyła w bok. Oślizgły twarzołap uderzył w ścianę, przywarł do niej na podobieństwo upiornej tarantuli i natychmiast skoczył znowu, jak gdyby wyrzucony stalową sprężyną.

Ripley usiłowała wstać. Kierowana rozpaczą i desperacją, przewracała na siebie szafki i sprzęt, byle tylko osłonić się czymś przed atakującą ohydą. Ale stwór omijał



zwinnie wszystko. Przebijając błyskawicznie odnóżami, przemykał pod, nad i obok każdej przeszkody. Wreszcie dopadł jej butów i zaczął pięć się po nogach ku głowie. Ripley spróbowała go odepchnąć. Dotknęła śliskiego, skórzastego ciała i poczuła mdłości. Ale nie śmiała zwymiotować.

Monstrum było nieprawdopodobnie silne. Kiedy skoczyło na nią z kulistego przybornika nad stołem operacyjnym, zdołała je odrzucić, ale tylko dlatego, że obcy nie zdążył dobrze jej chwycić. Lecz tym razem nie dawał się zepchnąć. Trzymał się kurczowo i nieustannie pełznął w górę. Szarpała nim, próbowała go oderwać, ale sprytnie unikał rąk i wciąż parł naprzód, kierowany jednym, jedynym celem: dotrzeć do głowy, do ust. Newt odchodziła od zmysłów. Krzyczała, cofała się krok za krokiem, aż wreszcie nie miała już dokąd uciekać - drogę zagrodziło jej biurko w rogu sali.

Ripley pozostało tylko jedno: rozpaczliwym gestem zasłoniła obiema rękami twarz. W tym samym momencie twarzołap dotarł do jej głowy. Ripley zebrała resztki sił i spróbowała go oderwać. Walczyła jak ślepiec. Potykała się co krok, przewracała sprzęt, miotała się na wszystkie strony. Posadzka była mokra, Ripley mogła się w każdej chwili poślizgnąć. Tryskająca z sufitu woda utrudniała obcemu ruchy, ale nie do tego stopnia, by dał się chwycić za odnóża czy korpus.

Newt wciąż krzyczała, nie mogąc oderwać oczu od walczącej opiekunki. Dlatego nie widziała pajęczych nóg, które wychynęły zza krawędzi biurka. Ale dzięki doświadczeniu zdobytemu w kanałach i tunelach kolonii wykształciła w sobie zdolność postrzegania ruchu, jakiej mogły jej pozazdrościć najczulsze detektory. Błyskawiczny obrót i jedno potężne pchnięcie. Strach dodał jej sił. Przygwożdżone do ściany monstrum wilo się i pulsowało, chcąc uwolnić ogon i nogi. Newt napierała na biurko i krzyczała.

- Ripley!

Biurko drżało i podskakiwało. Obcy walczył. Uwolnił jedną nogę, zaraz potem drugą. Uwolnił trzecią i zaczął wyślizgiwać się z pułapki.

- Ripleeeeyyy!

Ripley jeszcze się nie poddała. Potrząsała głową to w lewo, to w prawo, bo odnóża krabowatego szkaradztwa obejmowały ją coraz mocniej, bo usiłowały spleść się z tyłu i zacisnąć na dobre. Z otworu brzuszego obcy wysunął cewkową rurkę. Wilgotny organ napierał na dłoń Ripley, chcąc znaleźć sobie drogę między palcami.

W korytarzu, za mokrym, zaparowanym oknem, ukazała się jakaś postać. Ręka przetarła szkło. Hicks przycisnął twarz do szyby. Zobaczył, co dzieje się w środku, i wytrzeszczył z przerażenia oczy. Ani pomyślał o naprawie zepsutych drzwi. Cofnął się i uniósł strzelbę.

Wielkokalibrowe pociski roztrzaskały szybę w kilku miejscach. Kapral runął w pajęczą sieć pęknięć, rozbił barkiem nadwątloną przeszkodę i w eksplozji błyszczących odłamków, niczym ludzka kometa ze szklistym ogonem, wpadł do sali operacyjnej. Kuloodporna kamizelka zazgrzytała o posadzkę usłaną ostrym dywanem. Hicks przetoczył się, wstał i doskoczył do Ripley.

Ohydny krab zdołał wreszcie zacisnąć umięśniony ogon na jej szyi. Dusił ją teraz i coraz mocniej przywierał do twarzy. Hicks wsunął palce pod owadzie kończyny i zaczął ciągnąć, ciągnąć z nieludzką wprost siłą. Razem z Ripley oderwali obleśne monstrum.

Za Hicksem wpadł do sali Hudson. Omiótł wzrokiem walczących, po chwili zauważył Newt, która zmagala się z drugim szkaradztwem. Jeden sus i odepchnął ją tak silnie, że runęła na mokrą podłogę. Jednocześnie uniósł strzelbę i nacisnął spust. Pocisk rozerwał twarzołapa, nim zdołał wypełznąć z pułapki. Na blat biurka i na ściany trysnęły strumienie kwasu.

Hudson stanął tuż przy Ripley, obiema rękami ujął koniec mięsistego ogona i odwinął go niczym herpetolog zdejmujący boa dusiciela z jego ulubionej gałęzi. Ripley wciągnęła gwałtownie powietrze, krztusząc się wodą i spazmatycznie kaszląc. Lecz nie zwolniła uchwytu i wraz z kolegami nadal trzymała zwierzę.

Hicks zamrugął, ledwo widząc w gęstym mokrym pyle. Ruchem głowy wskazał kierunek.

- W prawy róg! Razem! Tylko uważajcie, żeby się was nie chwycił! - Zerknął przez ramię na obserwującego ich Hudsona. - Gotowy?

Kapral uniósł strzelbę.

- Rzucajcie!

Rzucili oślizgłe szkaradztwo w pusty róg sali. Błyskawicznie wstało i z obłąkaną energią natychmiast skoczyło w ich stronę. Pocisk ze strzelby Hudsona trafił je w powietrzu i rozerwał na strzępy. Rzęsisty deszcz z głowic zraszających ograniczył rozbryzg kwasu. Żółtawa ciecz wżarła się w posadzkę, wydzielając kłęby dymu. Dym mieszał się z parą.

Dławiąc się Ripley upadła na kolana. Na szyi miała czerwone pręgi przypominające szramy, jakie zostawia na niewyroblonych rękach żeglarska lina. Sztuczny deszcz wreszcie ustał. Szafki i aparatura medyczna spływała wodą. Woda uciekała dziurami, które kwas wyżarł w posadzce. Syrena umilkła.

Hicks patrzył na otwarte pojemniki z konserwantem.

- Jak się stamtąd wydostały? Przecież od środka nie można ich otworzyć. - Przeniósł wzrok na kamerę wbudowaną w przeciwległą ścianę. - Uważałem na monitory. Dlaczego nie widziałem, co się tu dzieje?

- Burke - wycharczała Ripley. - To Burke...

W bloku operacyjnym zapadła martwa cisza. Wszyscy gorączkowo myśleli, ale nikt nie zabierał głosu. Myśli mieli niezbyt przyjemne. Wreszcie zareagował Hudson. Wskazał gestem przedmiot ich ponurych rozważań i ze zwykłą sobie elokwencją zaproponował:

- Rozwalmy go. Od razu.

Przedstawiciel Towarzystwa usiłował nie patrzeć na groźną lufę strzelby impulsowej kaprala. Wystarczy jedno drgnięcie palca spoczywającego na spuście i głowa Burke'a rozbryźnie się jak przejrzały melon. Wiedział o tym. Zdołał zachować lodowaty spokój, a prawdziwy stan jego nerwów zdradzały jedynie pojedyncze kropelki potu na czole. W ciągu ostatnich pięciu minut ułożył i odrzucił z pół tuzina najprzeróżniejszych mów, by w końcu zdecydować, że najlepszym wyjściem będzie milczenie. Hicks może i by go wysłuchał, ale tamci... Jedno źle dobrane słowo, jeden źle zinterpretowany gest i dostaliby szału. W tym punkcie miał rację.

Kapral chodził tam i z powrotem przed krzesłem Burke'a. Od czasu do czasu spoglądał na siedzącego i kręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie rozumiem. To nie ma sensu.

Ripley skrzyżowała ramiona i nie spuszczała wzroku z przedstawiciela Towarzystwa. W jej oczach Burke przestał już być istotą ludzką.

- Owszem ma, i to wielki - oświadczyła. - Chciał zdobyć okaz, tylko nie wiedział, jak przemyścić go przez ziemską kwarantannę. Dałam mu słowo, że jeśli spróbuje to zrobić, natychmiast powiadomię odpowiednie władze. Mój błąd.

- Ale po cholere mu to bydlę? - Osłupienie na twarzy Hicksa było wprost namacalne.

- Chciał je zdobyć dla naukowców z wydziału broni biologicznych. Ludzie... Celowo używam tu słowa "ludzie". Więc ludzie tacy jak on robią takie rzeczy. Jeśli natrafiają na coś nowego i unikalnego, natychmiast dostrzegają w tym czymś źródło zysków. I chcą to zdobyć. Za każdą cenę. Wzruszyła ramionami. - Początkowo sądziłam, że Burke jest inny. Kiedy go przejrzałam, popełniłam błąd i nie wybiegłam myślą naprzód. Zresztą chyba wymagam od siebie zbyt wiele. Bo jak mogłam przewidzieć, co zrobi ktoś, kogo z normalnym człowiekiem porównać się nie da?

- Wciąż nie kapuję - wtrąciła Vasquez. - Co by z tego miał, gdyby te paskudztwa was zabiły? Co by mu to dało?

- On wcale nie chciał, żebyśmy umarli. Przynajmniej nie od razu. Musiał przecież te swoje pupilki dostarczyć jakoś na Ziemię. Wszystko sobie dokładnie wyliczył. Niedługo Bishop sprowadzi prom. Do tego czasu twarzołapy nie skończyłyby swego dzieła. Newt i ja byłybyśmy nieprzytomne i nikt nie wiedziałby dlaczego. Zabralibyście nas na statek, tak? Zrozumcie, gdybyśmy zostały tym

świństwem zapłodnione, czy jak to tam sobie nazwiecie, i gdybyście umieścili nas w hibernatorach, rozwój embriona byłby spowolniony tak jak funkcjonowanie naszych organizmów. W czasie lotu powrotnego embriony by nie dojrzały. Nikt nie wiedziałby, co w nas tkwi i dopóki nie stwierdzono by istotnych zakłóceń w funkcjonowaniu najważniejszych organów, nikt by nie uznał, że nasz stan jest krytyczny. Wyładowano by nas na orbicie, a władze natychmiast odesłałyby nas do szpitala, na Ziemię. I w tym momencie do akcji wkroczyłby Burke i jego szefowie. Wzięliby na siebie odpowiedzialność albo by kogoś przekupili i zabraliby nas do jednego z ich ośrodków, gdzie w ciszy i spokoju mogliby przeprowadzić badania. Nade mną i Newt.

Spojrzała na dziewczynkę. Delikatna niczym porcelanowa figurynka, siedziała w pobliżu i przyciskając kolana do piersi, trzeźwymi oczyma śledziła uczestników dyskusji. Ledwo ją było widać, gdyż tonęła w obszernej kurtce z wysokim kołnierzem, którą ktoś dla niej wytrzasnął. Do jej czoła i policzków kleiły się jeszcze wilgotne włosy.

Hicks przestał chodzić i spojrzał na Ripley.

- Moment. Jak to nikt by o tym nie wiedział? My byśmy wiedzieli. Może nie bylibyśmy pewni, ale zaraz po dotarciu na orbitę wszystko byśmy sprawdzili. Na sto procent. Nie pozwolilibyśmy, żeby ktokolwiek zabrał was na Ziemię bez dokładnych badań medycznych.

Ripley przemyślała to i skinęła głową.

- Dopiąłby swego tylko jednym sposobem. W drodze powrotnej musiałby uszkodzić komory hibernacyjne. Pod nieobecność Dietrich kładlibyśmy się do nich sami. Burke ustawiłby zegar swojej tak, żeby obudzić się już po kilku dniach. Wyszedłby z komory, wyłączyłby wszystkie pozostałe kapsuły, a ciała wystrzeliłby w przestrzeń. Wówczas mógłby wcisnąć władzom każdą historyjkę. Oddział został rozbity, a szczegóły walki na poziomie "C" zapisane w komputerach Sulaco dzięki kamerom telewizyjnym na hełmach żołnierzy. Waszą śmierć też mógłby przypisać obcym. Cóż w tym trudnego?

-To już trup. - Hudson przeniósł wzrok na Burke'a. - Słyszalesz? Należałoby cię rzucić psom na pożarcie, koleś.

-To wszystko jest paranoidalnym i bałamutnym kłamstwem - odezwał się w końcu Burke; doszedł do wniosku, że bardziej zaszkodzić już sobie nie może. - Sami widzieliście, jak silne są te zwierzęta. Nie miałem nic wspólnego z ich ucieczką.

- Gównem prawda - skonstratował łagodnie Hicks. Żeby nie wiem jak były silne, nie mogłyby otworzyć tych naczyń od środka.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy już uciekły, to zamknęły od zewnątrz drzwi do sali operacyjnej, odcięły elektryczność, schowały moją strzelbę i uszkodziły kamerę

telewizyjną, tak? - Ripley sprawiała wrażenie zmęczonej. - Wiesz, Burke, sama nie wiem, które z was należy do wredniejszego gatunku. Nie zauważyłam, żeby one mordowały się dla pieniędzy.

- Kończmy z nim. - Hicks patrzył na przedstawiciela Towarzystwa. Twarz miał jak z kamienia. - Bez urazy, Burke.

Ripley pokręciła głową. Początkowa furia ustąpiła miejsca mdlącej pustce.

- Nie. Znajdźcie tylko jakieś miejsce, gdzie można go przetrzymać do odlotu.

- Dlaczego?! - Hudson zaciskał palec na spuście i aż dygotał z tłumionej wściekłości.

Ripley zerknęła na kaprała.

- Bo chcę go zabrać z powrotem. Bo chcę, żeby ludzie dowiedzieli się, co zrobił. Ludzie muszą wiedzieć, jaki los spotkał kolonię. I dlaczego. Chcę, żeby...

Zgasło światło.

Hicks omiół wzrokiem konsolę taktyczną. Ekran monitora wciąż świecił, ale był pusty, gdyż centralny komputer kolonii został odcięty od źródła prądu. Pobieżna kontrola bloku sterowniczego ujawniła, że nie działa praktycznie nic: urządzenia zamykające drzwi, kamery, monitory, detektory wizyjne i cała reszta.

- Odcieśli prąd. - Ripley znieruchomiała w niemal kompletnej ciemności.

- Co znaczy odcieśli prąd?! - Hudson zrobił wolny półobrót i wbił oczy w ścianę.

- Jakim cudem, do cholery?! Przecież to tylko durne zwierzaki!

- Kto wie, jakie one naprawdę są? Wiemy o nich za mało, żeby wyciągać pochopne wnioski. - Ripley wzięła strzelbę, którą zabrał jej Burke, i musnęła skrzydełko bezpiecznika. - Durne? Może zachowują się tak, kiedy są osobno, w pojedynkę, ale niewykluczone, że natura wyposażyła je w rodzaj grupowej inteligencji. Jak mrówki albo termyty. Bishop mi o tym mówił. Termyty budują kopce wysokie na trzy metry. Niektóre gatunki mrówek tną liście i układają je w przyzmy kompostowe. Czy to tylko instynkt? Zresztą czym jest właściwie inteligencja? - Spojrzała na dziewczynkę. - Trzymaj się blisko mnie, Newt. A wy uruchomcie detektory. No dalej! Ruszać się! Gorman, miej oko na Burke'a.

Hudson i Vasquez włączyli przenośne skanery. Poświata bijąca z namierników podniosła wszystkich na duchu. Nowoczesna technika nie całkiem ich jednak zawiodła. Hudson i Vasquez ruszyli w stronę korytarza. Reszta za nimi. Ponieważ nie było prądu, Vasquez musiała otwierać drzwi ręcznie.

- Masz coś? - spytała Ripley; szła tuż za operatorką elpeemu.

Vasquez była nikłym cieniem na tle ściany.

- Nic... - odparła.

Ripley nie musiała pytać Hudsona, bo wszyscy usłyszeli, jak jego namiernik głośno zapiszczał. Wszyscy zwrócili się w tę stronę.

- Coś tam jest... Tak, mam coś. - Hudson omiół detektorem najbliższą okolicę. Urządzenie zapiszczało donośniej. - Porusza się. Jest... tu, w środku, w budynku.

- Nic nie widzę. - Detektor Vasquez wciąż milczał. Namierzyłeś mnie i tyle.

W głosie Hudsona zabrzmiała nutka paniki.

- Nie. Nie! To nie ty! To one! Są w środku! Gdzieś tutaj, niedaleko!

- Spokojnie, Hudson. - Ripley usiłowała wypatrzeć coś w drugim końcu korytarza. - Vasquez, u ciebie wciąż nic?

Vasquez chwyciła mocniej namiernik i strzelbę i zatoczyła nimi szeroki łuk, który urywał się za ich plecami. Urządzenie wydało ostry pisk.

- Hudson ma chyba rację...

Ripley i Hicks wymienili szybkie spojrzenia. Przynajmniej nie będą musieli stać i czekać, aż coś się wydarzy.

- Zaczęło się - rzucił kapral przez zaciśnięte zęby.

- Vasquez, Hudson, wracajcie! - krzyknęła Ripley. Do bloku sterowniczego!

Vasquez i Hudson cofali się, lustrując nerwowo mroczny korytarz, który opuszczali. Detektory zaprzeczały temu, co widzieli. Coś wyraźnie nie grało.

- Sygnał jest dziwny. Chyba interferencja albo coś. Może nierówny rozkład mocy. Namiernik wskazuje ruch, wyraźny ruch, wszędzie, a niczego nie widać...

- Wracajcie! Szybko! - powtórzyła Ripley.

Na czoło wystąpił jej pot. Pod pachami czuła lepką wilgoć, a w żołądku lodowaty chłód.

Hudson obrócił się, zaczął biec i dotarł do drzwi tuż przed Vasquez. Zamknęli je i docisnęli pierścienie uszczelniające.

Szybko rozdzielili żalosne resztki zapasów broni i amunicji: miotacze płomieni i granaty. Na końcu - pełne magazynki do strzelb impulsowych. Podzielili się nimi sprawiedliwie. Detektor Hudsona popiskiwał głośno i z coraz większą częstotliwością.

- Ruch! - Hudson potoczył wokół dzikim spojrzeniem, ale w mrocznej sali widział jedynie sylwetki kolegów. - Sygnał jest wyraźny. Błąd wykluczony. - Omiótł detektorem całe pomieszczenie. - Ruch! Dwadzieścia metrów stąd!

- Zaspawaj drzwi - szepnęła Ripley do Vasquez.

- Zaspawam drzwi i jak stąd zwiemy do promu?

- Kanałem, trasą Bishopa. Chyba że spróbujesz stąd po prostu wyjść.

- Siedemnaście metrów... - mamrotał Hudson.

Vasquez wzięła spawarkę i ruszyła do drzwi.

Hicks podał Ripley miotacz płomieni i zaczął przygotowywać swój.

- Trzeba je zapalić.

Chwilę później miotacz kaprała ożył i z lufy trysnął równy, krótki płomień. Płonął niebieskawo, syczał jak ognek wielkiej zapalniczki. Ripley nacisnęła guzik oznaczony napisem ZAPŁON i z jej miotacza również strzelił jaskrawy płomień.

Vasquez spawała w deszczu gorących iskiei, syjących się na podłogę, sufit i ściany. Namiernik Hudsona oszalał. Serce Ripley również.

- Nauczyły się - powiedziała, nie mogąc znieść ciszy. - Nazywajcie to instynktem, inteligencją czy analizą grupową, ale nauczyły się. Odcięty prąd i unikają działek. Musiały znaleźć jakieś przejście do budynku. Przegapiliśmy coś...

- Niczego nie przegapiliśmy - warknął Hicks.

- Piętnaście metrów. - Hudson cofnął się od drzwi.

- Nie wiem, jak to zrobiły. Wrzeszły przez jakąś dziurę, którą kwas wyżarł w przewodzie wentylacyjnym. Albo do stały się pod podłogą, kanałem, który miał być zaspawany, a nie był. Natraciły na jakąś modyfikację, na dobudówkę, na coś, czego koloniści nie nanieśli na plany. Bo przecież nie wiemy, czy te plany są aktualne, kiedy je ostatni raz korygowano z uwzględnieniem wszystkich poprawek. Nie mam zielonego pojęcia. Ale wiem jedno. Coś znalazły! - Wzięła namiernik Vasquez i skierowała go tam, gdzie kierował swój Hudson.

- Dwanaście metrów - informował ich kapral. - Rany, teraz to jeden wielki sygnały Dziesięć metrów...

- Są tuż przed nami. - Ripley zerknęła na drzwi. Vasquez, jak idzie?

Vasquez nie odpowiedziała. Krople roztopionej stali przypalały jej skórę i dymiąc, lądowały na ubraniu. Zaciśnęła zęby i ponaglała palnik cichymi przekleństwami, usiłowała prowadzić go jeszcze szybciej.

- Dziewięć metrów... Osiem! - wykrzyknął Hudson i powiódł wokoło obłąkanymi oczyma.

- To niemożliwe - rzekła z naciskiem Ripley, chociaż detektor, który trzymała w rękach, potwierdzał słowa kaprała. - Przecież to tu, w sali...

- Tak jest! Tak jest! - wrzeszczał Hudson. Podsunął jej namiernik, żeby mogła spojrzeć na małe ekraniki i wskaźniki. - Patrz!

Ripley zaczęła manipulować pokrętkami swego detektora. Hicks stanął przy Hudsonie.

- Źle odczytujesz.

- Źle odczytuję! - Hudson był o krok od hysterii. - Znam te cacka na wylot! One nie kłamią, człowieku! I są za mało skomplikowane, żeby nawalić! - Wytrzeszczonymi oczyma patrzył na migające cyferki. - Sześć metrów. Pięć. Co jest, kurwa?!

Spojrzał na Ripley, Ripley na niego i w tym samym momencie uderzyła ich jedna ta sama myśl. Zadarli głowy i wycelowali detektory w sufit. Pisk obu namierników przeszedł w odrętwiające crescendo.

Hicks wdrapał się na szafkę. Przewiesił strzelbę przez ramię, lufą miotacza płomieni uniósł jedną z dźwiękochłonnych płyt, którymi wyłożono sufit i zaświecił do środka latarką.

Ujrzeni widok, jakiego w najdzikszych koszmarach nie wymyśliłby sam Dante. Ani Poe w upiornym napadzie nie kontrolowanego delirium.



## 13.

W kanale serwisowym między podwieszonym sufitem akustycznym a dachem kłębili się obcy. Było ich zbyt wielu, żeby nadażyć liczyć. Jak nietoperze wisiały na rurach i belkach stropowych, i lśniąc metalicznie, pełzły ku światłu latarki. Widział je wszędzie, jak daleko sięgał wzrokiem.

Nie potrzebował namiernika, żeby wyczuć ruch z tyłu. Kiedy wykonał błyskawiczny obrót, w świetle latarki ujrzał monstrum czyhające ledwie o metr dalej. Hicks pochylił natychmiast głowę i szpony zdolne rozedrzeć metal przeorały mu grzbiet osłonięty pancerną kamizelką.

Kiedy stoczył się z szafki na podłogę, armia obcych oderwała się en masse od belek i rur i ciężarem setek ciał naparła na podwieszony sufit. Wątle płyciny pękły i obsypując wszystkich deszczem odłamków, ustąpiły - koszarne stworzenia spadły do bloku operacyjnego. Newt przeraźliwie krzyknęła, Hudson otworzył ogień, a Vasquez wspomagała go miotaczem płomieni. Ripley przycisnęła dziewczynkę do siebie i zaczęła się chwiejnie wycofywać. Tuż przy niej stanął Gorman, którego strzelba pluła nieprzerwaną strugą pocisków. Nikt nie miał czasu zauważyć, że Burke rzucił się w stronę jedyne go nie zablokowanego korytarza, łączącego blok sterowniczy ze skrzydłem medycznym.

Miotacze płomieni pożerały jednego obcego po drugim i oświetlały iście piekielny chaos. Płonące stwory wpadały na siebie i obłąkanie skrzeczały, wzmagając pożogę i zamieszanie. Szaleńcze odgłosy, jakie wówczas wydawały, przypominały raczej krzyk gniewu niż bólu. Z nadpalonych ciał lał się kwas. Wyżerał w podłodze olbrzymie dziury, przez co walka była jeszcze niebezpieczniejsza.

- Do skrzydła medycznego! - Ripley cofała się wolno, tuląc do siebie Newt. - Do skrzydła medycznego! - Skoczyły w stronę przejścia.

Ściany rozmazywały się jej przed oczyma, ale przynajmniej sufit nie spadł im na głowę. Całą uwagę skupiła na korytarzu, na tym, co widziała przed sobą. Mignął jej Burke, który właśnie zasuwał ciężkie drzwi prowadzące do laboratorium. Ripley dopadła ich i chwyciła za dźwignię dociskową w chwili, Burke zablokował ją od środka.

- Burke! Otwórz drzwi! Otwórz drzwi, Burke!

Newt schowała się za Ripley i pociągnęła ją za spodnie. Wskazała w głąb korytarza.

- Patrz!

W ich stronę kroczył obcy. Był wielki, olbrzymi. Ripley uniosła drżącymi rękami strzelbę, próbując w ułamku sekundy przypomnieć sobie wszystko, czego nauczył ją Hicks. Wycelowała prosto w lśniąca, chitynowatą pierś i nacisnęła spust.

Broń milczała.

Nadchodzące monstrum wyartykułowało wściekły syk i rozwarło zewnętrzne szczęki ociekające śliną. Spokojnie, tylko spokojnie, powtarzała sobie w duchu. Nie nawal, Ripley, nie teraz... Sprawdziła bezpiecznik. Strzelba była gotowa do strzału. Zerknęła na magazynek. Pełny. Newt przylgnęła rozpaczliwie do jej nogi i zaczęła kwilić. Ręce Ripley trzęsły się tak mocno, że omal nie wypuściła broni.

Obcy był tuż-tuż, gdy przypomniała sobie, że pierwszy nabój należy wprowadzić do lufy ręcznie. Błyskawicznie przeładowała i konwulsyjnym szarpnięciem zacisnęła palec na spuście. Strzelba wypaliła prosto w pysk obcego i pocisk odrzucił go do tyłu. Ripley odwróciła się i w instynktownym geście obronnym szybko zasłoniła twarz; ten odruch mieli już we krwi. Lecz gigantyczna energia pocisku odpalonego z niewielkiej odległości cisnęła monstrum tak daleko, że tryskający kwas ich nie dosięgnął.

Zamortyzowany odrzut broni był jeszcze na tyle silny, że Ripley straciła równowagę i upadła na drzwi. W uszach jej dzwoniło. Bliska eksplozja chwilowo ją oślepiła, więc mrugała nieprzytomnie oczyma, usiłując odzyskać zdolność normalnego widzenia.

W sali operacyjnej Hicks podniósł wzrok w chwili, gdy skoczył na niego jeden z atakujących stworów. Uderzenie pocisku odrzuciło bestię na płonącą szafkę. Jęzory ognia buchające z miotaczy płomieni uruchomiły system przeciwpożarowy i blok operacyjny tonął w sztucznym deszczu. Strugi wody omywały kaprała i przemacały walczących żołnierzy. Woda dostała się też do głównego komputera kolonii i całkowicie go zniszczyła. Ale przynajmniej nie zbierała się pod nogami; w posadzce ziało tyle dziur po kwasie, że niemal natychmiast nimi spływała. Syrena ryczała z bezrozumnym uporem, przez co żołnierze ledwo się słyszeli. O jakiegokolwiek wspólnej taktyce obronnej nie mogło być nawet mowy. Hudson wrzeszczał ile sił w płucach. Jego piskliwy głos niósł się ponad zawodzenie syreny.

- Uciekajmy! Uciekajmy! Szybciej!

- Hudson! Do skrzydła medycznego! - krzyknął Hicks. Rozpaczliwie machnął ręką w stronę korytarza. - Tędy! Biegiem!

Hudson obrócił się w jego stronę i w tym momencie pękła pod nim podłoga. Z otworu wychynęły szponiaste ramiona, trzy potężne palce chwyciły go za kostkę u nogi i ściągnęły w dół. Z tyłu spadło na niego drugie monstrum i w ułamku sekundy Hudson zniknął w otchłani ukrytego pod posadzkę tunelu. Hicks posłał w otwór krótką serię ze strzelby impulsowej i zaczął uciekać, mając nadzieję, że trafił nie tylko napastników, ale i przyjaciela. Vasquez i Gorman biegli tuż na nim. Vasquez osłaniała odwrót lawiną morderczego ognia. Ripley zmagająca się z zablokowaną dźwignią, gdy Newt pociągnęła ją za ramię. Dziewczynka wskazywała w milczeniu miejsce, gdzie leżał krwawiący, na wpół rozerwany pociskiem obcy. Monstrum

usiłowało wstać, by znów na nie ruszyć. Wzdrygając się przed błyskiem strzału i grzmotem eksplozji, Ripley nacisnęła spust po raz drugi. Lufa strzelby odbiła do góry. Newt zasłoniła sobie uszy. Potwór znieruchomiał na dobre.

Z tyłu dobiegł ją czyjś głos.

- Nie strzelaj! Nie strzelaj!

W kłębach dymu i pyłu zmaterializowali się Hicks, Gorman i Vasquez. Byli przemoczeni i uwalani brudem.

Ripley wskazała drzwi.

- Zamknięte. - Nie musiała wyjaśniać dlaczego.

Hicks skinął tylko głową.

- Odsuń się.

Wyjął zza pasa palnik, który był miniaturową wersją palnika, jakiego używała Vasquez przy drzwiach przeciwpożarowych i w bloku operacyjnym. Wziął się do roboty.

Na końcu korytarza ujrzeli makabryczne sylwetki obcych. Ripley zastanawiała się, w jaki sposób tak szybko i skutecznie tropiły swoje ofiary. Nie miały widocznych oczu, uszu ani nozdrzy. Jakiś specjalny, nieznaną rodzaj organów sensorycznych? Być może pewnego dnia naukowcy zrobią sekcję jednego z tych potworów i znajdą odpowiedź. Tak, pewnego dnia, ale już po jej śmierci, bo nie zamierzała być przy tym obecna.

Vasquez oddała miotacz Gormanowi, zdjęła z ramienia strzelbę, wyjęła z torby kilka jajowatych przedmiotów i wsunęła je w dolną lufę strzelby.

Gorman wybałuszył oczy i szybko się cofnął.

- Hej, nie możesz tu używać granatów!

- Tak jest! To pogwałcenie regulaminu walk bezpośrednich. Naruszam paragraf dziewięćdziesiąt pięć, sześć, siedem i osiem. Postaw mnie do raportu. - Wycelowała broń w nadchodzącą zgraję obcych. - Kici-kici! Macie ode mnie prezencik! - Przeładowała, wypaliła i odwróciła lekko głowę.

Granat wybuchł z tak potworną siłą, że Ripley się zachwiała, a Vasquez omal nie upadła. Płomień eksplozji oświetlił ubrudzoną twarz operatorki elpeemu i Ripley była pewna, że dostrzegła na jej ustach szydery uśmiech. Hicks drgnął. Nie kontrolowany płomień palnika zachybotał i skoczył do góry. Kapral doszedł szybko do siebie i podjął pracę.

Zamek ustąpił w chwilę później i wpadł z trzaskiem do laboratorium. Hicks przypiął palnik do uprząży bojowej, wstał i otworzył kopnięciem drzwi. Posypał się deszcz kropeł roztopionego metalu. Zignorował je. Jego koledzy również. Przywykli tylko do unikania rozbryzgów żrącego kwasu.

Hicks obrócił głowę i pozwalając sobie na sekundę zwłoki krzyknął:

- Dzięki, Vasquez! Teraz jestem już kompletnie głuchy!

Ze zdziwieniem tak prawdziwym i serdecznym jak jej łagodna natura Vasquez przytknęła dłoń do ucha i wrzasnęła:

- Że co?!

Wpadli do zrujnowanej przybudówki medlabu. Vasquez jak zwykle ostatnia. Zasunęła do połowy drzwi, wycelowała strzelbę w kierunku obcych i trzy razy szybko nacisnęła spust. Na chwilę przed wybuchem pierwszego granatu zatrzasnęła drzwi i zaczęła uciekać. Odgłos potrójnej eksplozji zabrzmiał jak dźwięk gigantycznego gongu. Ciężkie metalowe wrota wypaczyły się i wygięły.

Ripley była już na drugim końcu przybudówki. Chwyciła za dźwignię drzwi. Zamknięte. Zupełnie jej to nie zaskoczyło. Wyjęła palnik, tymczasem Hicks spawał drzwi, którymi weszli do sali.

Burke dotarł do centralnego laboratorium. Cofał się idąc po ciemnej podłodze. Nie, tym razem nie żadnych dyskusji o hipotetycznej niesprawiedliwości, nie będzie grzecznej wymiany zdań. Zastrzela go na miejscu. Może nie Hicks, nie Gorman, ale nic nie powstrzyma Hudsona i tej wariatki Vasquez.

Ciężko dysząc stanął przy drzwiach prowadzących do głównego kompleksu. Jeśli obcy są pochłonięci rozprawą z jego byłymi kolegami, miał jeszcze szansę, mogło mu się udać, mimo że wszystko się tak straszliwie pogmatwało. Mógł przemknąć chyłkiem go głównego kompleksu kolonii i trzymając się jak najdalej od miejsca walki, obejść budynki i dotrzeć do lądowiska. Bishop jest uległy i jak każdy dobry syntetyk skłonny do wysłuchania głosu rozsądku. Może Burke przekona go, że wszyscy zginęli...? Jeśli zdoła wykręcić mały semantyczny numer i uszkodzi jego radioodbiornik - żeby nikt nie mógł nawiązać z nim kontaktu i zaprzeczyć słowom Burke'a - nie będą mieli innego wyjścia, jak natychmiast wystartować. I jeżeli wypowie rozkaz kategorycznie i z mocą, jeżeli nie będzie nikogo, kto przedstawiłby logiczne kontrargumenty, Bishop na pewno go posłucha.

Sięgnął do dźwigni. Ręka zastygła w powietrzu. Bo dźwignia już się obracała! Obracała się sama! Niemal sparaliżowany strachem zatoczył się chwiejnie do tyłu. Ktoś otwierał drzwi z drugiej strony. Wolno, bardzo wolno...

Ripley, Vasquez, Hicks i Newt, którzy wciąż tkwili w przybudówce, nie słyszeli głośnego trzasku opadającego żądła.

„Prezencik” Vasquez oczyścił korytarz na tyle, że Hicks zdążył skończyć spawanie. Dało im to kilka krótkich minut, nic więcej, i znaczyło tyle co powstrzymujący gest ręki. Kapral cofnął się i szykował broń do ostatecznej konfrontacji. Nagle coś gruchnęło w drzwi, wyrzuszając je na środek. Drugi cios. Metal jęknął, zapiszczał i drzwi zaczęły oddzielać się od framugi.

Newt pociągnęła Ripley za rękę. Raz i drugi, z uporem, Ripley oderwała w końcu wzrok od ustępującej barykady i spojrzała na dziewczynkę.

- Chodźmy! Tędy! - Newt ciągnęła Ripley w stronę przeciwległej ściany.

- Nic z tego, Newt. Ledwo weszłam do twojej kryjówki. A oni mają kamizelki pancerne i są ode mnie więksi. Nie uda im się tam wcisnąć.

- Nie tędy - odrzekła niecierpliwie Newt. - Jest inne przejście.

Za biurkiem widniał ciemny prostokąt kanału wentylacyjnego. Newt otworzyła z wprawą skobel i rozwarła kratę na oścież. Pochyliła się i zniknęła w tunelu, gdyby Ripley nie wyciągnęła jej z powrotem.

Dziewczynka spojrzała z rozdrażnieniem.

- Przecież wiem, dokąd idę.

- Na pewno, nie wątpię, Newt. Po prostu nie pójdziesz pierwsza.

- Ale przedtem zawsze wchodziłam pierwsza.

- Przedtem nie było tu mnie i przedtem nie ściagały cię wszystkie potwory z Acherona, kochanie.

Podeszła do Gormana i nim zdążył zaprotestować, wcisnęła mu do rąk strzelbę i zabrała miotacz płomieni. Pieszczotliwie potargała włosy Newt, uklękła i z trudem weszła do szybu. Ciemność. Dotąd nie znana. Przez chwilę czuła się tam jak w towarzystwie starego, dobrego przyjaciela.

Zerknęła za siebie

- Zawołaj tamtych. I trzymaj się tuż za mną.

Newt kiwnęła energicznie główką i zniknęła. Wróciła po kilku sekundach i przywarła do nóg Ripley. Ripley zaczęła pełznąć. Za dziewczynką weszli do środka Hicks, Gorman i Vasquez. Mieli na sobie obszerne pancerze, taszczyli wielkie strzelby, więc było im trudno, ale wszyscy zdołali wcisnąć się do tunelu. Vasquez zatrzasnęła kratę.

Gdyby nieco dalej szyb rozdzielał się na węższe kanały, gdyby się nagle zwęził, byłiby w pułapce. Lecz Ripley wcale się tym nie martwiła - darzyła Newt wielkim zaufaniem. Jeśli natomiast miałyby dojść do najgorszego, zdążą wymienić grzeczne pożegnania, pociągnąć losy i wybrać tego, kto zada coup de grâce. Jeszcze jedno zerknięcie za siebie. Newt była tuż za nią.

Ba! Nawet bliżej. Wprawiona w częstych wędrówkach labiryntem tuneli i szybów, dziewczynka wciąż wpęzła Ripley na nogi.

- Szybciej - ponaglała nieustannie. - Nie możesz szybciej?

- Robię, co mogę. Jestem za duża, Newt. Oni też. I nie mamy twojego doświadczenia. Na pewno wiesz, gdzie jesteśmy?

- Oczywiście, że wiem. - W jej głosiku zabrzmiała nutka łagodnej pogardy, jak gdyby Ripley zapytała o coś najprostszego pod słońcem.

- I wiesz, jak się stąd dostać do lądowiska?

- No jasne. Cały czas prosto. Trochę dalej szyb przechodzi w duży tunel. Wtedy skręcimy w lewo.

- W duży tunel?! - wykrzyknął Hicks; metalowe ściany aż zawibrowały. - Dziewczyno, jak wrócimy do domu, kupię ci największą lalkę, jaką kiedykolwiek widziałas! Albo co tylko zechcesz!

- Wystarczy łóżeczko, panie Hicks.

I rzeczywiście, dziewczynka miała rację. Po kilku minutach szybkiego pełznięcia dotarli do głównego kanału wentylacyjnego kolonii. Był tam, gdzie zgodnie ze wskazówkami Newt miał być. W dodatku na tyle obszerny, że mogli wstać, skulić się i w takiej pozycji iść dalej. I szli teraz znacznie szybciej. Ręce i kolana wreszcie odetchnęły; niemal krzyczały z bolesnej radości. Od czasu do czasu Ripley uderzała głową w niski sufit, ale przecież szła, w miarę normalnie szła i czuła tak wielką ulgę, że nie zwracała na to uwagi.

Chociaż przyspieszyli kroku, Newt z łatwością za nimi nadążała. Gdy przechodzili pod dźwigarami, dorośli musieli się schylać, a ona biegła dalej. W zamkniętym tunelu kamizelki wydawały donośny łoskot, ale stwierdzili, że w tej sytuacji szybkość jest ważniejsza niż zachowanie ciszy. Wiedzieli już przynajmniej tyle, że obcy kiepsko słyszą i lokalizują ofiary za pomocą węchu.

Doszli do skrzyżowania dwóch kanałów o dużej średnicy. Ripley zwolniła, posłała w głąb nich profilaktyczną salwę z miotacza płomieni i metodycznie oczyściła ogień wnętrze. Później spytała:

- Którędy teraz?

Newt nie zastanawiała się ani sekundy. - Tędy.

Ripley ruszyła w prawo. Szyb był nieco węższy niż kanał główny, mimo to szerszy niż ten, którym uciekali ze skrzydła medycznego.

Parli naprzód, a Hicks idący za Ripley i Newt wołał do mikrofonu:

- Bishop, tu Hicks. Czy mnie słyszysz? Czy mnie słyszysz? Bishop, tu Hicks, Over.

Początkowo odpowiadała mu tylko cisza, ale jego wytrwałość została w końcu nagrodzona zniekształconym, lecz rozpoznawalnym głosem:

- Tak słyszę cię. Ale kiepsko.

- Dobrze i to - odrzekł Hicks. - Kiedy podejdziemy bliżej, odbiór się polepszy. Idziemy do lądowiska. Kanałami wentylacyjnymi. Stąd kiepska słyszalność. Co u ciebie?

- Dobrze i źle. Wiatr się wzmógł. I to bardzo. Ale prom jest już w drodze. Przed chwilą Sulaco potwierdził zrzut. Przybliżony czas lądowania: za około szesnaście minut. W tej wichurze strasznie trudno mi się nim steruje... Głośny elektroniczny ryk zagłuszył ostatni fragment wypowiedzi.

- Co to było? - Hicks manipulował pokrętłami komunikatora. Powtórz, Bishop. Wiatr?

- Nie. To stacja procesora atmosferycznego. Awaryjny system chłodzenia nie wytrzyma. Krótco stoicie z czasem, panie kapralu. Nie zatrzymujcie się przypadkiem na lunch.

Hicks wyszczerzył w ciemności zęby. Nie wszystkie syntetyki zaprogramowano tak, by miały poczucie humoru. I nie wszystkie wiedziały, jak z niego zrobić użytek. Bishop należał do wyjątków.

- Spokojna głowa. Nikt z nas nie ma teraz ochoty na jedzenie. Zdażymy. Zostań na odbiorze. Over.

Zajęty rozmową, omal nie wpadł na Newt. Dziewczynka znieruchomiała. Spojrzał ponad jej ramieniem. Ripley też się zatrzymała.

- Co jest? - spytał. - Coś nie tak?

- Nie jestem pewna... - Sklepiąca ciemność upiornie zniekształcała jej głos. - Przysięgłabym, że widziałam... Tam!

Daleko, tuż na granicy zasięgu światła latarki Hicks wypatrzył ohydny sylwetkę obcego: Niczym gibka łasica, monstrum zdołało rozplaszczyc swe cielsko tak, by wejść do ciasnego szybu. Za bestią dostrzegł jakiś ruch: pełzły za nią następne.

- Wycofać się! - wrzasnęła Ripley. - Do tyłu! Do tyłu!

Wszyscy usiłowali spełnić rozkaz, a ponieważ tunel był wąski, bezładnie na siebie wpadali. W szybie zabrzmiało przeciągłe, metaliczne echo: spanggg i rozerwana krata osłaniająca wejście ustąpiła. Przez otwór wpełzała zawzięta bestia. Ripley zsunęła z ramienia miotacz i skapała w ogniu tunel za nimi. Widzieli, że to tylko tymczasowe zwycięstwo. Byli w pułapce.

Vasquez pochyliła się na bok i zadarła głowę.

- Pionowy szyb - meldowała. - Bez klamer, bez uchwytów. - Mówiła krótkimi, treściwymi zdaniami. Jak wypolerowany. Za gładki, żeby go pokonać stylem kominowym.

Hicks odpiął palnik, trzasnął przełącznikiem i zaczął ciąć ścianę szybu. Na kamizelkę spływały mu krople roztopionego metalu. Deszcz iskier rozpraszał ciemność, wypełniając korytarz trupioblady światłem. Miotacz Vasquez ryknął ogniem po raz wtóry i zgasł.

- Kończy się paliwo - oznajmiła.

Horda obcych była coraz bliżej. Pełzli wolno; wąski szyb utrudniał im ruchy.

Hicks wyciął dwie trzecie otworu, gdy nagle płomień palnika zamigotał i zgasł. Klnąc cicho, kapral zaparł się plecami o przeciwległą ścianę i mocno kopnął. Metalowy płat wygiął się nieco. Hicks kopnął jeszcze raz i ściana ustąpiła. Nie sprawdzając, co jest po drugiej stronie, chwycił strzelbę i zniknął w otworze, by...

...wychynąć w ciasnym kanale serwisowym, pełnym grubych rur i nagich przewodów. Nie zważając na wciąż jeszcze gorące krawędzie wyciętego przejścia, wciągnął do środka Newt. Za Newt weszła Ripley i chciała pomóc Gormanowi.

Gorman zawahał się widząc, że miotacz Vasquez przestał działać. Vasquez odrzuciła go i sięgnęła po rewolwer.

Nad głową wyczuła jakiś ruch. W pionowym szybie ujrzała groteskowo spłaszczoną sylwetkę obcego. Spadał wprost na nią. Vasquez przetoczyła się na bok, otwierając jednocześnie ogień z broni ręcznej. Małokalibrowe pociski raz po raz przeszywały chitynowaty korpus, ale bestia wciąż się ku niej gramoliła, chcąc ją użądlić. Vasquez odchyliła błyskawicznie głowę i żądło utkwiliło w metalowej ścianie tuż obok jej policzka. Nie przestawała strzelać. Kopniakami odpychała od siebie drgający ogon i potężne łapy obcego.

W końcu dosięgła ją struga morderczej cieczy. Kwas przepalił pancerną kamizelkę i wżarł się w udo. Vasquez cicho jęknęła.

Gorman znieruchomiał. Zerknął na Ripley. - Są tuż za nami. Uciekajcie - rzucił.

Ich oczy spotkały się na króciutką chwilę, a potem Ripley ruszyła biegiem w głąb tunelu serwisowego, ciągnąc za sobą Newt. Hicks biegł za nimi. Zwlekał, spoglądał w stronę wyciętego przejścia. Z nadzieją. Ze smutnym przeświadczeniem.

Gorman podczołgał się do unieruchomionej Vasquez. Gdy do niej dotarł, ujrzał strużkę dymu wijącą się z dziury w pancerzu i poczuł mdlący odór strawionego kwasem ciała. Chwycił ją za uprząż i zaczął ciągnąć do przejścia.

Za późno. Pierwsza z bestii nadciągających z tamtej strony minęła już wycięty przez Hicksa otwór. Gorman zwolnił uchwyt i spojrzał na nogę Vasquez. W miejscu, gdzie kwas przeżarł uprząż, pancerz i ciało, bieląca naga kość.

Vasquez podniosła oczy i spojrzała na niego szklistym wzrokiem:

- Zawsze byłeś głupcem, Gorman - powiedziała chrapliwym szeptem.

Zacisnęła palce na jego dłoni. Pożegnalny uścisk. Uścisk specjalny. Uścisk tylko dla wybranych. Gorman odwzajemnił go najlepiej, jak umiał. Potem wręczył jej dwa granaty i odbezpieczył dwa dla siebie. Bestie z Acherona były coraz bliżej. Nadciągały z obu stron. Gorman wykrzywił usta w uśmiechu i podniósł jeden z syczących cicho granatów. Vasquez z trudem zrobiła to samo. Nie miała już sił.

- Twoje zdrowie - szepnął.

Nie umiał powiedzieć, czy uśmiechnęła się do niego, czy nie, bo zamknął oczy. Ale czuł, że tak, że posłała mu śmiertelny uśmiech. Coś ostrego i twardego uderzyło go w plecy. Nie odwrócił głowy, żeby sprawdzić co.

- Na zdrowie... - wyszeptał i w ostatnim toaście trącił granatem granat Vasquez.

Ripley, Newt i Hicks pędzili przed siebie. Za nimi rozbłysła nagle słoneczna kula i chociaż byli daleko od otworu, który kapral wyciął w ścianie, dosięgła ich monstrualna fala poczwórnej eksplozji. Zakołysał się cały szyb. Newt utrzymała równowagę i wyprzedziła dorosłych. Ripley i Hicks ledwo za nią nadążali.



- Tędy! Tędy! - krzyczała podniecona. - Szybciej! Jesteśmy już prawie na miejscu!

- Newt, zaczekaj!

Ripley spróbowała wydłużyć krok, żeby dogonić dziewczynkę. Serce waliło jej jak młotem, płuca protestowały boleśnie przy każdym oddechu, oczy zaszyły jej mgłą, lecz wciąż wyczuwała za sobą obecność kaprała. Buty Hicksa dudniły o metal jak tłoki maszyny parowej. Chociaż miał na sobie ciężką kamizelkę, najpewniej mógłby Ripley wyprzedzić. Nawet nie próbował. Trzymał się z tyłu, żeby osłaniać odwrót i odeprzeć ewentualny atak.

Korytarz rozwidłał się. Na początku lewej odnogi Ripley ujrzała wąską rynną wentylacyjną, która biegła do góry pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Stała przy niej Newt i wymachiwała gorączkowo rękami.

- Tutaj! Tędy wychodzimy!

Dziękując Bogu za króciutką chwilę wytchnienia Ripley zatrzymała się, żeby zbadać przejście. Było strome, ale niezbyt długie. Na końcu rynny dostrzegła blade światełko. Słyszała też wiatr dmący na zewnątrz. Brzmiało to tak, jakby ktoś wydmuchiwał powietrze nad szyjką gigantycznej butelki. W gładkie ścianki szybu wbudowano wąskie klamry, na których mogli oprzeć stopy.

Spojrzała w dół, gdzie rynna przebijała podłogę i znikła w czarnej, bezdennej otchłani. Nic się tam nie ruszało. Nic nie wychynęło z przepastnych głębin, by ich zaatakować. Powinni dać sobie radę.

Postawiła nogę na pierwszej klamrze i zaczęła się wspinać. Za nią Newt. Z głównego korytarza wybiegł Hicks. Dziewczynka odwróciła głowę i pomachała rączką.

- Tutaj, panie Hicks. To wcale nie tak wysoko. Tylko tak się zdaje. Chodziłam tędy wiele razy i...

Zardzewiała pod wpływem sączącej się wody, przeżarta korodantami zawartymi w nie obłaskawionej atmosferze planety, klamra nie wytrzymała i pękła. Newt spadła, ale jedną ręką zdołała chwycić się następnej klamry. Ripley zaparła się plecami o niebezpiecznie śliską gładź ściany i sięgnęła w dół. Upuściła przy tym latarkę. Obracając się i odbijając od ścianek, latarka poszybowała w głąb rynny. Jej podnoszące na duchu światełko zniknęło w otchłani.

Ripley wyteżyła wszystkie siły, by dotknąć Newt choć koniuszkami palców. Była pewna, że nie wytrzyma, że zaraz straci ramię. Ale bez względu na to, jak daleko sięgała, wciąż dzieliły je centymetry.

- Riiipleyyy...

Newt nie wytrzymała i zwolniła uścisk. Hicks runął na podłogę i nie zważając na ból towarzyszący upadkowi, wyciągnął rękę. Gdy dziewczynka ześlizgiwała się w

głęb rywny, chwycił ją za kołnierz obszernej kurtki. Zaciśnął palce i trzymał, trzymał ze wszystkich sił.

Wyślizgnęła się z kurtki i spadła.

Zniknęła w bezdennej rynnie. Jej przeraźliwy krzyk zabrzmiał, jęklwym echem.

Hicks cisnął kurtkę na bok i spojrzał na Ripley. Ich oczy spotkały się na sekundę, zanim Ripley zwolniła uścisk i podążyła śladem dziecka. Zjeżdżała w dół, próbując hamować stopami i kontrolować oszalały ślizg.

Na skrzyżowaniu z niższym poziomem rynna rozwidlała się tak samo jak korytarz, którym tak niedawno biegli. Po prawej stronie dostrzegła światło latarki. Balansując ciałem, wpadła w prawą odnogę.

- Newt! Newt!

Odległy, płaczliwy krzyk. Żałosny, zniekształcony warstwami metalu.

- Mamusiuuu! Gdzie jesteś?

Ripley ledwo ją słyszała. Czyżby dziewczynka zjechała lewą odnogą?

Rynna urywała się w tunelu serwisowym. Na podłodze leżała nie uszkodzona latarka. Ripley schyliła się po nią i wtedy znów dobiegł ją stłumiony krzyk dziecka.

- Mamusiuuu!

Ripley ruszyła przed siebie mając nadzieję, że idzie w dobrym kierunku. Obląkany zjazd rynną kompletnie ją dezorientował. Newt krzyknęła jeszcze raz. Jakby ciszej...? Ripley nie była pewna. Zrobiła krąg. Światło latarki wyławiało z ciemności tylko brudne i wilgotne ściany. Czuła, jak narasta w niej panika. Za każdym rogiem widziała wyszczerzone kły i oślinione szczęki, każdy otwór był koszmarną paszczą. Wtedy przypomniła sobie, że wciąż ma na głowie słuchawki, że ma przecież komunikator. I przypomniła sobie o czymś jeszcze. O czymś, co dostała od Hicksa, co niedługo potem komuś oddała.

- Hicks, schodź na dół. Muszę mieć namiernik. Od bransoletki, którą mi dałeś. - Przytknęła ręce do ust i krzyknęła w głąb korytarza: - Newt! Zostań na miejscu! Nie ruszaj się! Idziemy do ciebie!

Dziewczynka utkwiała w podobnej do grotty komorze, dokąd zaprowadziła ją lewa odnoga rywny. Stała po pas w wodzie. Komorę przecinały liczne rury i plastikowe przewody. Nikłe światło docierało tylko z góry, zza gęstej kraty. Newt pomyślała, że może usłyszy przez nią głos Ripley, i zaczęła się wspinać.

Rynną zjeżdżał wielki, pękaty wór. Takie porównanie na pewno by Hicksowi nie schlebiało, ale bez względu na to, jak naprawdę wyglądał, na jego widok Ripley doznała olbrzymiej ulgi. W tym styksowym, upiornym tunelu sama obecność drugiego człowieka sprawiła, że strach jakby nieco zelżał.

Wylądował ciężko, ale pewnie, chwycił strzelbę i zdjął z uprząży namiernik.

- Tę bransoletkę dałem tobie - rzucił oskarżycielsko, nie odrywając oczu od detektora.

- A ja dałam ją Newt. Pomyślałam sobie, że będzie jej potrzebowała bardziej niż ja. I miałam rację. Dobrze się stało. Inaczej nigdy byśmy jej nie znaleźli. Nawymyślasz mi później. Którędy?

Sprawdził wskaźniki i ruszył w głąb tunelu. Tunel zaprowadził ich do części kanału serwisowego, gdzie wciąż był prąd, gdzie na ścianach i suficie wciąż paliły się lampy zasilania awaryjnego. Ripley zgasiała latarkę. Gdzieś w pobliżu kapąła woda. Kapral nie spuszczał wzroku z namiernika. Skręcił w lewo.

- Tędy. Jesteśmy coraz bliżej.

Detektor zaprowadził ich do wielkiej kraty w podłodze. I do głosu, który dochodził z dołu.

- Ripley?

- To my, Newt.

- Tutaj! Jestem tutaj, pod wami!

Ripley uklękła, opłotła palcami środkową część kraty i mocno pociągnęła. Bariera nie ustąpiła. Wtedy Ripley spostrzegła, że krata nie ma zawiasów, że pręty są przyspawane wprost do podłogi. Nachyliła się i w głębi ujrzała zapłakaną twarzyczkę Newt. Dziewczynka wyciągnęła rękę. Jej maleńkie palce prześlizgnęły się między gęsto ułożonymi prętami. Ripley uścisnęła je, żeby dodać dziecku otuchy.

- Zjedź po rurze na dół, Newt. Będziemy musieli przeciąć kratę. Za chwilę cię wydostaniemy.

Newt zjechała posłusznie na dno komory. Hicks włączył palnik. Ripley zerknęła wymownie na zbiornik z paliwem. Ich oczy spotkały się.

- Wystarczy? - spytała szeptem. Pamiętała, z jakiej przyczyny miotacz Vasquez zawiódł w tak krytycznym momencie.

Hicks odwrócił wzrok.

- Wystarczy. - Pochylił się i zaczął ciąć pierwszy pręt z utwardzonego stopu.

Newt obserwowała z dołu deszcz oślepiających iskier. W tunelu było zimno, a ona znów stała w wodzie. Zagryzła wargi, żeby powstrzymać łzy.

Nie widziała połyskliwego cielska, które wychynęło bezszelestnie z wody tuż za nią. Nawet gdyby je zauważyła, niczego by to nie zmieniło. Nie miała dokąd uciec, nie było tam żadnego przewodu wentylacyjnego, gdzie mogłaby się skryć. Przez chwilę obcy stał nad nią w bezruchu niczym koszmarny wielkolud nad maleńkim krasnoludkiem. Dopiero gdy drgnął, Newt wyczuła jego obecność i błyskawicznie się odwróciła. Zdażyła wydać krótki, urwany okrzyk przerażenia i monstrum porwało ją w odmętę.

Ripley usłyszała ją. Usłyszała też plusk wody i dostała szału. Krata była już w połowie przecięta. Razem z Hicksem kopali ją i szarpali, aż kilka prętów zgięło się w dół. Jeszcze jedno kopnięcie i kawał nadpalonego metalu wpadł do wody. Nie

zważając na rozgrzane do czerwoności krawędzie, Ripley upadła na podłogę, zajrzała do komory i ściskając w rękę latarkę, omiotła światłem rury i przewody.

- Newt! Newt!

Światło odbijało się od czarnej tafli. Woda pochłonęła kilka prętów i jej powierzchnia była teraz spokojna i gładka. Dziewczynka zniknęła. Jedyнным znakiem, że tu przebywała, była Casey. Na oczach bezradnej Ripley głowa lalki tonęła w oleistej cieczy,

Hicks musiał użyć wszystkich sił, żeby wyciągnąć Ripley z otworu. Walczyła, wymachiwała na oślep rękami, próbując uwolnić się z jego objęć.

- Nie! Nieeee!

Dzięki swojej masie zdołał ją wreszcie oderwać od kraty.

- Jej już nie ma, Ripley - powiedział z mocą. - Teraz nic nie możemy zrobić. Ani ty, ani ja, ani nikt inny. Chodźmy.

Rzucił okiem w głąb korytarza. Coś się tam chyba ruszało. Nie był pewien, może to oczy płatały mu figle. Ale takie figle mogły mieć na Acheronie fatalne skutki.

Ripley dostała histerii. Kopała go wściekle nogami, tłukła pięściami, na przemian krzyczała i płakała. Musiał ją podnieść, żeby nie wskoczyła za Newt do komory. Skok w mroczną otchłań, w czarną, zdradliwą wodę to czyste samobójstwo.

- Nie! Nie! Ona żyje! Musimy...

- Dobrze! - ryknął Hicks. - Ona żyje. Wierzę, że tak jest. Ale musimy iść. Teraz! Już! W ten sposób nigdy jej nie uratujesz! - Kiwnął głową w stronę otworu. - Newt nie będzie tam na ciebie czekać. Za to one będą. Spójrz. - Wskazał ręką drugi koniec korytarza. Była tam winda. Ripley przestała walczyć. - Skoro jest tu światło, winda może być wciąż czynna. Wyjdźmy stąd. Jak znajdziemy się na górze, poza zasięgiem tych bydlaków, spróbujemy coś wymyślić.

Mimo to musiał dowlec ją do kabiny i wepchnąć do środka.

Niewyraźny ruch, jaki kapral wyczuł w głębi korytarza, przybrał kształt atakującej bestii. Hicks wymacał guzik oznaczony napisem DO GÓRY i wdusił go z taką siłą, że omal nie rozgniół plastiku. Skrzydła drzwi zaczęły się zamykać. Niestety, zbyt wolno. Acheronskie monstrum wbiła między nie jedno z olbrzymich ramion. Czujnik wbudowany we framugę zabzyczał i ku śmiertelnemu przerażeniu obojga pasażerów drzwi zaczęły się wolno otwierać. Maszyna nie dostrzegła różnicy między swoimi a obcym.

Ośliniony potwór miał już na nich runąć, gdy Hicks rozpruł go serią ze strzelby impulsowej. Wypalił z bliska. Od celu dzieliła go zbyt mała odległość. Przez szczelinę w drzwiach trysnęła żrąca struga, a ponieważ kapral zasłaniał sobą Ripley, kwas chlusnął na jego pancerną kamizelkę. Na szczęście kable i liny, na których

zwisła klatka dźwigu, ocalały. Winda ruszyła niespiesznie do góry, czerpiąc prąd z nadwątlnych akumulatorów.

Hicks rozrywał zatrzaski i spinki mocujące uprząż. Stężony kwas wgrzyzał się w twardą kamizelkę. Szaleńcze zmagania kaprała wyrwały Ripley z odrętwienia spowodowanego paniką. Szarpała zapięciami, zrywała taśmy, usiłowała pomagać, jak tylko mogła. Kwas dotarł do piersi i ramienia Hicksa. Kaprał krzyknął z bólu i zrzucił kamizelkę niczym owad pozbywający się chitynowego pancerza. Dymiąca uprząż grzmotnęła o podłogę, a bezlitosny kwas zaczął wżerać się w metal pod ich stopami. Kabinę wypełniły gryzące opary. Szczypały w oczy, atakowały płuca.

Jazda trwała całe wieki. Wreszcie winda zgrzytnęła i zastygła w bezruchu. Kwas przeżarł już podłogę. Ściekał na liny i koła nośne.

Wytoczyli się chwiejnie z kabiny. Tym razem to Ripley musiała podtrzymywać Hicksa. Zgięty wół, jęczał z bólu. Z jego piersi wciąż unosił się dym.

- Dasz radę, Hicks - szeptała. - Jeszcze trochę. Myślałam, że twarde z ciebie facet. - Wciągnęła głęboko powietrze, zakaszła, znów odetchnęła. Po stęchłym odorze przewodów wentylacyjnych i tuneli dalekie od idyllicznej świeżości powietrze Acherona pachniało jak perfumy. - Jesteśmy już prawie na miejscu.

Ujrzeni smukłą, aerodynamiczną sylwetkę promu zrzutowego, który schodził niepewnie do lądowania. Niczym czarny anioł spływający z niebios ślizgał się to w lewo, to w prawo, walcząc z silnymi podmuchami wiatru szalejącego na małej wysokości. Ujrzeni też Bishopa. Stał tyłem do nich. Osłonięty wieżą kolonijnego nadajnika, czuwał przy konsolce zdalnego sterowania i metr po metrze sprowadzał prom na ziemię. Wreszcie statek usiadł ciężko na asfalcie, zachwiał się, przesunął ku grodkowi lądowiska, gdzie zastygł w bezruchu. Niezbyt eleganckie lądowanie, fakt, ale jeśli nie liczyć wygiętej łapy podwozia, prom był nie uszkodzony.

Ripley krzyknęła.. Syntetyk odwrócił się i zobaczył, jak wychodzą z budynku. Położył ostrożnie konsolę, przybiegł na pomoc, objął Hicksa silnym ramieniem i ruszyli w stronę promu.

- Ile zostało czasu? - krzyknęła Ripley; jej głos ginął w szalejącej wichurze.

- Od groma - Bishop sprawiał wrażenie zadowolonego. Miał ku temu powody. - Dwadzieścia sześć minut!

- Nie wracamy! - oznajmiła, gdy wdrapywali się po

rampie do ciepłej, bezpiecznej ładowni promu. Bishop wybałuszył oczy.

- Co? Dlaczego?

Spojrzała mu w twarz, szukając choćby najmniejszych oznak zdrady czy podstępu. Ale na obliczu Bishopa malowało się jedynie szczere zdziwienie, co w tej sytuacji było rzeczą całkowicie zrozumiałą. Trochę jej ulżyło.

- Zaraz ci powiem. Najpierw trzeba zabrać Hicksa do oddziału medycznego i zamknąć w pudło. Wtedy wszystko wyjaśnię.



## 14.

Wokół górnej krawędzi stacji procesora atmosferycznego trzaskały błyskawice wyładowań elektrycznych. Otworami wentylacyjnymi buchały gejzery pary wodnej, a strumienie rozżarzonego gazu strzelały na setki metrów w niebo. Potężne kompensatory usiłowały wyrównać temperaturę i ciśnienie, których wyrównać już nie mogły.

Starając się nie zdryfować zbyt blisko stacji, Bishop podprowadził prom do platformy lądowniczej wbudowanej w jej górny poziom. Kiedy ku niej zmierzali, minęli zniszczony transporter. Roztrzaskany, nieruchomy wrak leżący przed wejściem do stacji przestał w końcu dymić. Zniknął pod brzuchem statku niczym pomnik zbytnej wiary w to, że współczesna technika jest w stanie pokonać wszelkie przeszkody. Tak jak stacja i cała kolonia wyparuje wkrótce w podmuchu termonuklearnej eksplozji.

Na wysokości jednej trzeciej gigantycznego stożka wieży sterczała wąska platforma lądownicza. Była przystosowana do obsługi lekkich ładowarek i małych statków napowietrznych, a nie kolosów w rodzaju promu zrzutowego. Mimo to Bishop zdołał się do niej zbliżyć i zręcznie wylądować. Platforma aż jęknęła pod gigantycznym ciężarem. Jedna z belek podtrzymujących wygięła się niebezpiecznie, ale nie pękła.

Ripley skończyła owijać taśmą masywny przyrząd, który od kilkunastu minut zajmował jej ręce i umysł. Odrzuciła na wół pustą szpulę i oceniła wzrokiem swoje dzieło. Broń nie była ani kształtna, ani gustowna i przy jej konstrukcji Ripley pogwałciła najprawdopodobniej wszelkie możliwe przepisy bezpieczeństwa. Ale miała to gdzieś. Nie szła na defiladę, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ją ostrzec, że to zabawka niebezpieczna czy mało skuteczna.

A zrobiła rzecz następującą. Kiedy Bishop manewrował promem, metalową taśmą przymocowała strzelbę Hicksa do miotacza płomieni. Powstała w ten sposób ciężka, niezręczna, lecz wielofunkcyjna broń, która zapewniała straszliwą siłę ognia. Możliwe, że dzięki niej zdoła tu wrócić żywa. Jeśli w ogóle będzie w stanie ją unieść.

Weszła do magazynu z amunicją i zaczęła napełniać torbę i kieszenie wszystkim tym, co mogło zabić obcych: granatami, magazynkami do strzelby impulsowej, szrapnelami, wszystkim, co tylko znalazła.

Zaprogramowawszy prom na automatyczny start w razie pierwszych oznak świadczących o tym, że platforma ustępuje, Bishop wyszedł z kabiny pilota, żeby pomóc Hicksowi w opatrywaniu ran. Kapral leżał wyciągnięty na fotelach, a wokół niego poniewierała się zawartość polowej apteczki. Razem z Ripley zdołali zatamować krwawienie. Nadzarte kwasem ciało zaczynało się już goić, a dzięki

lekarstwom proces ulegnie przyspieszeniu. Ale żeby zmniejszyć straszliwy ból, niemal siłą zrobili Hicksowi kilka zastrzyków. Narkotyk poskutkował, lecz spowolnił jego reakcje i zaburzył ostrość widzenia. Jediną pomocą, jaką mógł teraz Ripley oferować, było wsparcie moralne.

Bishop próbował ją odwieść od tego, co zamierzała.

- Ripley, to nie jest zbyt skuteczny pomysł. Rozumiem, co czujesz...

- Czyżby? - warknęła nie podnosząc wzroku.

- Zdziwisz się, ale tak, owszem. To część mojego oprogramowania. Rzeczą niezbyt rozsądną jest oddawać życie za kogoś, kto już nie...

- Ona żyje! - Ripley znalazła pustą kieszeń i wcisnęła do niej kilka granatów. - Przywlekli ją tu jak tamtych. I dobrze o tym wiesz.

- Tak, to zgodne z ich logiką, przyznaję. Przyznaję, że nie ma powodu, by nagle zaczęły postępować inaczej niż dotychczas. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nawet jeśli ona tam jest, nie zdołasz jej odnaleźć, uratować i przebić się z powrotem do statku. To zupełnie niemożliwe. Po prostu nie zdążysz. Za siedemnaście minut to miejsce zamieni się w obłok pary wielkości Nebraski.

Zignorowała jego perswazje i szybko zapięła wypełnioną torbę.

- Hicks, nie pozwól mu odlecieć!

Kapral wolno zamrugał. Twarz miał spiętą i wykrzywioną bólem. Na skutek działania lekarstwa łzawiły mu oczy.

- Nigdzie nie lecimy - szepnął. - Gestem głowy wskazał jej dziwaczny oręż. - Dasz sobie z tym radę?

- Dźwignęła z podłogi broń.

- Tak długo, jak tylko będę musiała.

Chwyciła torbę, zarzuciła ją sobie na ramię i ruszyła do wyjścia dla załogi. Wcisnęła guzik przy zamku i niecierpliwie czekała, aż drzwi się otworzą. Uderzył ją podmuch wiatru. Kabinę wypełnił ryk konającego procesora atmosferycznego. Stała na szczycie rampy i po raz ostatni spojrzała w głąb promu.

- Do zobaczenia, Hicks.

Chciał usiąść, ale zabrakło mu sił i przetoczył się tylko na bok. Jedną ręką przyciskał do twarzy tampon nasączony lekarstwem.

- Dwayne. Mam na imię Dwayne.

Podeszła do niego i uścisnęła mu dłoń.

- A ja Ellen.

- To wystarczyło. Hicks skinął głową i opadł na fotel. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Jego głos był cieniem głosu dawnego Hicksa.

- Nie bądź tam za długo, Ellen.

Przełknęła ślinę i nie oglądając się za siebie zeszła z rampy. Drzwi się zamknęły.



Gdyby nie była obładowana taką ilością ciężkiego sprzętu, wiatr mógłby ją zdmuchnąć z platformy lądowniczej. W ścianę procesora, tuż obok zacumowanego promu, wbudowano drzwi olbrzymiej windy towarowej. Przyciski natychmiast zareagowały na dotyk palców. Mnóstwo tu energii. Aż za dużo.

Kabina była pusta. Ripley weszła i wcisnęła guzik umieszczony obok litery "C". Sam dół, siódmy poziom. Winda ruszyła.

Był to powolny zjazd. Windę przystosowano do dźwigania masywnych, ale delikatnych ładunków, więc nie spieszyła się zanadto. Ripley stała, wsparta plecami o tylną ścianę i obserwowała prostokątne światełka wskaźnika poziomów. Gdy winda dotarła do trzewi procesora, temperatura gwałtownie wzrosła. Zewsząd dochodził ryk tryskających gejzerów pary. Trudno było oddychać.

Dzięki wolnej jeździe miała czas, żeby się przebrać. Zrzuciła kurtkę, a bojową uprząż, którą wzięła z magazynu na promie, nałożyła bezpośrednio na podkoszulkę. Odgarniając kosmyki włosów lepiących się jej do szyi i czoła, szybko sprawdziła broń, amunicję i zgrabny bandolier z wiązkami granatów na piersi. Odbezpieczyła miotacz płomieni i zerknęła na zbiornik z paliwem. Był pełny. Magazynek wetknięty w osłonę zamka strzelby impulsowej również. Tym razem pamiętała, że pierwszy nabój trzeba wprowadzić do lufy ręcznie.

Nerwowo pomacała wypchane kieszenie spodni, gdzie zmagazynowała zapas markerów i flar. Sięgnęła do jednej z nich i wygrzebała zabezpieczony granat. Granat wyslizgnął się jej z rąk, upadł na podłogę, odbił się jak piłka i zastygł w bezruchu. Rozdygotana podniosła go i wcisnęła do kieszeni. Mimo szczegółowych wskazówek Hicksa była przerażająco świadoma faktu, że o granatach, markerach, flarach i temu podobnych rzeczach wie tyle co nic.

Ale najbardziej ze wszystkiego dokuczało jej to, że po raz pierwszy od chwili, gdy wylądowali na Acheronie, nikt jej nie towarzyszył. Była sama. Kompletnie sama. Na szczęście nie mogła o tym zbyt długo myśleć, bo silniki windy zaczęły zmniejszać obroty.

Łagodny wstrząs i kabina osiadła na dnie szybu. Osłaniająca ją krata rozsunała się na boki. Gdy drzwi drgnęły, Ripley uniosła swój niezgrabny strzelbo-miotacz.

Ujrzała przed sobą pusty korytarz. Mrok rozpraszały lampki zasilania awaryjnego oraz bladuróżowa poświata bijąca od pokaźnych wybrzuszeń w grubym metalu. Z pękniętych rur uchodziła z sykiem para. Nadwątlone i częściowo już zniszczone kable elektryczne sypały kaskadami iskier. Przeciążona maszyna dygotała, zgrzytała i zawodziła. Nadwężone cięgła i śruby płacząco jęczały. Ka-rank, ka-rank. Z daleka dochodziło głuche dudnienie jakiegoś potężnego tłoka albo przekładni.

Spojrzała nerwowo w lewo, potem w prawo. Ścisnęła broń tak mocno, że aż zbieleły jej kostki u rąk. Nie miała hełmu wyposażonego w elastyczną osłonę na

oczy, ale w tak wysokiej temperaturze wbudowane w nią czujniki reagujące na podczerwień i tak na nic by się nie przydały. Wyszła na korytarz. Wkroczyła w świat Piranesiego udrapowany wizjami Dantego.

Jak tylko pokonała pierwszy zakręt, natychmiast zauważyła ślady wskazujące na obecność koszmarnych władców Acherona. Przewody i rury pokrywała żywicopodobna substancja, która oblekała ściany i pięła się po nich ku wyższym poziomom, spajając wszystko w jedną gładką całość, w pojedynczą komorę. Do miotacza Ripley przymocowała namiernik, który dostała od Hicksa, i spoglądała na niego tak często, jak tylko śmiała. Detektor wciąż działał, wciąż wskazywał jeden i ten sam cel.

W korytarzu zabrzmiał echem czyjś głos. Ripley drgnęła. Głos był spokojny, silny i sztuczny.

- Uwaga. Niebezpieczeństwo. Cały personel musi natychmiast opuścić zagrożony obszar i w ciągu czternastu minut dotrzeć do strefy bezpiecznej.

Detektor nieustannie odbierał elektroniczne impulsy, przetwarzał je i podawał dokładny kierunek marszu oraz odległość od celu.

Szła i co chwilę mrugała, usiłując spędzić z oczu ciężkie krople potu. Wokół kłębiła się para i widzialność drastycznie spadła. Migające światła alarmowe wyłowiły z niebytu tunel krzyżujący się z jej korytarzem.

Jakiś ruch. Błyskawiczny obrót ciała i miotacz rzygnął strugą ognia, unicestwiając wyimaginowanego demona. Nie, niczego tam nie było. A jeśli wyczują gorący podmuch...? Nie miała czasu zawracać sobie głowy gdybaniem i domysłami. Ruszyła dalej, próbując opanować drżenie rąk, gdy spoglądała na wskaźnik detektora.

Zeszła na niższy poziom.

W ścianach wokół niej tkwiły upiorne, kościste kształty: ciała nieszczęsnych kolonistów, którzy zostali tu przywleczeni, by służyć jako bezbronni nosiciele dla żarłocznych embrionów. Ich obleczone żywicą sylwetki lśniły jak owady zatopione w kropli bursztynu. Sygnał namiernika skierował Ripley w lewo. Musiała się schylić, żeby przejść pod jakimś nawisem.

Pamiętała, żeby przy każdym zakręcie i przy każdym skrzyżowaniu zostawiać na podłodze zapalony marker. Bez markerów w labiryncie podziemnych korytarzy łatwo mogła się zgubić i nigdy nie dotarłaby z powrotem na statek. Jeden z tuneli był taki wąski, że musiała przeciskać się bokiem. Toczyła spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej. Wszystkie miały rozdziawione usta, wszystkie wykrzywiały agonalny skurcz.

Coś ją chwyciło. Kolana się pod nią ugięły, powietrze uszło z jej piersi, nim zdołała krzyknąć. Ale chwycił ją człowiek, chwyciła ją ludzka ręka. Ręka wyrastała z uwięzionego w ścianie tułowia. Zobaczyła twarz. Twarz znajomą. Carter Burke.

- Ripley... - Niemal zwierzęcy jęk. - Pomóż mi. Czuję... Tu, w środku. Rusza się...

Patrzyła na niego; wszelkie odmiany strachu nie znaczyły już dla niej nic. Nikt na to nie zasługiwał.

- Masz.

Konwulsyjnie zacisnął palce na granacie, który wcisnęła mu w dłoń. Odbezpieczyła go i ruszyła spieszenie dalej. Wokoło dudnił głos stacji. Pobrzmiwała w nim teraz wyraźna nutka ostrzeżenia.

- Zostało jedenaście minut na dotarcie do strefy bezpiecznej.

Jeśli wierzyć namiernikowi, była teraz o krok od celu. Niedaleko z tyłu rozerwał się granat. Podmuchał omal nie zwałił jej z nóg. Eksplozji granatu zawtórował o wiele potężniejszy wybuch gdzieś w głębi stacji procesora. Budynek zadygotał w posadach, zaczęła wyć syrena. Detektor prowadził Ripley w stronę najbliższego rogu. Spięta do nieprzytomności, zastygła w bezruchu. Strzałka namiernika wskazująca odległość od celu osiadła na zerze.

Na podłodze leżała bransoletka Newt. Była rozdarta. Wbudowany w nią moduł nadawczy mrugał smutnym jasnozielonym okiem. Ripley oparła się bezwładnie o ścianę.

Koniec. Wszystko skończone.

Newt zatrzepotała powiekami, otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Tkwiła kokonie, w jakiejś wspartej słupami niszy. Nisza znajdowała się tuż obok skupiska jajowatych tworów. Rozpoznała je natychmiast. Były to jaja obcych. Zanim krwiożercze bestie zdołały wymordować lub uprowadzić wszystkich kolonistów, zdesperowanym niedobitkom naukowców z Acherona udało się zdobyć kilka okazów do celów badawczych.

Ale tamte jaja były puste, otwarte na czubku. Te zaś były pełne i zamknięte.

Jajo przytwierdzone najbliżej niszy wyczuło niespokojne ruchy dziecka. Drgnęło i jego czubek zaczął się otwierać jak ohydny kwiat. W środku pulsowało coś wilgotnego i skórzastego. Osłupiała z przerażenia Newt patrzyła, jak z jaja wysuwają się długie, pająkowate nogi z wyraźnymi zgrubieniami stawów. Wysuwały się niespiesznie, jedna po drugiej. Dziewczynka wiedziała, co zaraz nastąpi i zareagowała tak, jak w tej sytuacji mogła, jak umiała - przeraźliwie krzyknęła.

Usłyszała ją Ripley. Zlokalizowała źródło krzyku i popędziła w tamtą stronę.

Ogarnięta paraliżującą, ohydą fascynacją, Newt obserwowała pulsującego twarzołapa. Wylazł na brzeg jaja i znieruchomiał. Zdawał się ustalać swoją pozycję i zbierać siły przed skokiem. Naraz obrócił się w stronę dziewczynki i przykucnął, podwijając mięsisty ogon. W tym momencie do komory wpadła Ripley. Zacisnęła palec na spuście i jednym pociskiem rozniosła ohydztwo na strzępy.

Rozbłysk wystrzału oświetlił sylwetkę dorosłego osobnika stojącego w pobliżu. Wykonał błyskawiczny obrót i rzucił się na intruza. Dwie krótkie serie ze strzelby impulsowej odrzuciły go pod ścianę. Ripley podchodziła coraz bliżej i z morderczym wyrazem twarzy opróżniała magazynek. Obcy leżał na grzbiecie, wstrząsały nim agoniczne drgawki. Ripley dobiła go miotaczem płomieni.

Gdy zajął się ogniem podbiegła do Newt. Żywicowate nici, z jakich zrobiony był kokon, nie zdążyły jeszcze stwardnieć i Ripley zdołała poluzować je ma tyle, by dziewczynka mogła się wyczołgać.

- Szybko. - Stała tyłem do Newt i ugięła kolana. - Wskakuj.

Dziewczynka oplótła jej biodra nogami zarzuciła rączki na szyję.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - szepnęła cichutko.

- Zawsze do ciebie przyjdę, Newt. Dopóki żyję. Dobra. Zwiewamy stąd. Trzymaj się mocno, bardzo mocno. Nie będę mogła ci pomóc, bo muszę mieć wolne ręce.

Poczuła na karku lekki ucisk - dziewczynka skinęła głową.

- Rozumiem. Nie martw się. Nie spadnę.

Ruch po prawej stronie. Odruchowo spaliła wszystkie jaja koło niszy i dopiero wtedy stawiała czoła atakującym bestiom. Jedna z nich, żywi pochodnia, omal jej nie dopadła, ale dwie serie pocisków rozerwały ją na kawałki. Ripley schyliła głowę, przeszła pod błyszczącym cylindrycznym nawisem zaczęła uciekać. Komorę wypełnił przeraźliwy, nieludzki krzyk. Zagłuszył dudnienie maszyn, ryk syreny i skrzekliwe wrzaski atakującej hordy.

Gdyby przed wejście a do komory Ripley zadarła głowę, gdyby nie patrzyła przed siebie, zobaczyłaby ją wcześniej. Z drugiej strony dobrze się stało, bo mimo całej determinacji mogłaby stchórzyć. Nad komorą lęgową, w rudawej mgle stojące hen, wysoko pod sufitem, niczym lśniący, owadopodobny Budda górowała monstrualnej wielkości królowa. Jej uzbrojona w kły czaszka była wcieleniem najczystszej grozy. Sześć kończyn, dwie nogi i cztery szponiaste ramiona wspierały się groteskowo o rozdęty odwłok. Odwłok był wypełniony jajami i przypominał olbrzymi podłużny wór spoczywający w czymś w rodzaju membrownowatego hamaka, podtrzymywanego przez skomplikowaną płataninę rur i przewodów. Całość wyglądała tak, jakby na licznych podporach rozwieszono zwój nieskończenie długiego jelita.

Ripley zdała sobie sprawę, że przed sekundą przechodziła pod jego fragmentem.

W odwłoku mieściły się tysiące jaj. Wszystkie sunęły ku pulsującemu otworowi wielkiego pokładelka, które stanowiło zakończenie tej obrzydliwej linii produkcyjnej. Tam wychodziły na zewnątrz, lśniące i mokre, tam odbierały je małe, pracowite trutnie. Te miniaturowe odpowiedniki dorosłych żołnierzy pomykały tam i z powrotem, zajmując się jajami i dbając o królową. Zajęte przenoszeniem świeżo

złożonych jaj w bezpieczne miejsce, skoncentrowane tylko i wyłącznie na jednym, jedynym celu, nie zwracały najmniejszej uwagi na stojącego pośród nich człowieka.

Ripley przeładowała granatnik; pamiętała, jak robiła to Vasquez. Przeładowała go i wypaliła. Znow przeładowała i wystrzeliła kolejny granat. I jeszcze jeden, i następny. Cztery granaty przebiły miękki worek, wpadły z mlaskiem do środka i tam eksplodowały, rozrywając go na strzępy. Jaja i tony śmierdzącej, galaretowatej brei zalały podłogę komory. Królowa wpadła w szal, zaczęła wyć jak psychopatyczna lokomotywa. Ripley cofała się, paląc wszystko, co tylko weszło jej w drogę. Jaja skwierczały w ogniu, żołnierze i trutnie ginęły w okrutnej rzezi.

A nad tym wszystkim górowała królowa, szarpiąc się pośród płomieni.

Dwaj żołnierze przypuścili atak. Ripley nacisnęła spust, ale usłyszała tylko suchy trzask. Płynnym ruchem wyrzuciła pusty magazynek, wbiła nowy i nawałnicą ognia zmiotła oślinione monstra.

Nie miało znaczenia, czy coś się ruszało, czy nie. Biegła do windy i strzelając do wszystkiego, co nie wyglądało do końca mechanicznie, paliła sprzęt i niszczyła maszyny razem z atakującymi bestiami. Pot i kłęby dymu niemal ją oślepiły, ale nie na tyle, by nie widziała markerów, którymi znaczyła drogę. Bo markery lśniły jaskrawie niczym drogocenne klejnoty oprawione w zgliszcza. Wyły syreny. Stacją procesora atmosferycznego wstrząsały przedśmiertelne konwulsje.

Omam nie przeoczyła jednego z markerów. Gwałtownie wyhamowała, poślizgnęła się i zawróciła. Płuca ją paliły, nogi odmawiały posłuszeństwa i biegła wolno jak we śnie. Była kompletnie wyczerpana. Chwilami miała wrażenie, że przebija się przez zwarty stalowy mur.

Tymczasem królowa uwolniła się od zniszczonego przewodu jajowego, wyrwijąc go sobie z odwłoka. Ruszyła naprzód i nogami wielkimi jak kolumny świątyni tratowała wszystko, co stało na jej drodze: maszyny, kokony, trutnie.

Ripley skapała w ogniu korytarz główny, a żeby nie dać się zaskoczyć, krótkimi regularnymi salwami oczyszczała też tunele boczne i dopiero wtedy biegła dalej. Kiedy dotarli z Newt do windy, zbiornik paliwa był pusty.

Spadający gruz zniszczył dźwig, którym zjechała na dół. Nacisnęła guzik uruchamiający drugą windę i dobiegł ją elektryczny jęk nie uszkodzonego silnika. Metalowa klatka ruszyła i zaczęła wolno zjeżdżać z górnych poziomów. Ripley usłyszała wściekły, skrzekliwy ryk. Obróciła głowę. W plątaninie rur i przewodów miotał się gigantyczny połyskujący stwór. Niczym potężny mechaniczny żuraw, który nagle ożył, królowa usiłowała dopaść uciekinierów. Łbem zawadzała o sufit.

Ripley sprawdziła strzelbę. Magazynek był pusty. Nie miała już zapasowych, gdyż ratując Newt nie szczydziła amunicji i zużyła wszystkie. Granaty też się skończyły. Odrzuciła bezużyteczną broń zadowolona, że nie musi jej dźwigać.

Winda zjeżdżała zbyt wolno. W ścianę obok jej podwójnego szybu wbudowano drabinę i Ripley szybko pokonała pierwsze szczeble. Newt ważyła tyle co nic, była lekka jak piórko.

Kiedy schodziła z drabiny na schody, z drzwi wystrzeliło potężne czarne ramię. Grzmotnęło niczym stalowy tłok, a ostre jak brzytwa szpony ugrzęzły w metalu o centymetry od jej nóg.

Którędy teraz? Nie czuła już strachu, nie miała czasu, żeby wpaść w panikę. Musiała myśleć o zbyt wielu rzeczach naraz. Była zbyt zajęta, żeby się bać.

Tamtędy. Schodami wiodącymi na wyższe poziomy stacji. Na skutek wybuchów, które wstrząsały trzewiami procesora, chwiała się pod nią i kiwała. Coś niewypowiedzianie silnego runęło na ścianę za nią. Metal wybrzuszył się i wygiął. Pazury i najeżone kłami szczęki przebiły na wylot płytę z twardego stopu.

- Zostały tylko dwie minuty na dotarcie do strefy bezpiecznej - smutny głos stacji informował każdego, kto mógł słyszeć.

Ripley upadła i uderzyła się kolanem o stopień. Ból zmusił ją do krótkiego postoj. Z trudem łowiła oddech. Dobiegło ją zawrozcenie przeciążonego silnika windy i przez płataninę rusztowań spojrziała w dół. Kabina ruszyła. Trzeszczały napięte kable, jęczały przekładnie.

Natychmiast wbiegła na schody i jak oszalała popędziła przed siebie. Mogła istnieć tylko jedna przyczyna, dla której winda ją ściagała.

Wreszcie dotarła do drzwi wychodzących na platformę sądowniczą. Pchnęła je, otworzyła na oścież i z Newt, która jakimś cudem wciąż oplatała jej ramionami szyję, wypadła na zewnątrz. Uderzył w nią podmuch wiatru, otoczyły kłęby dymu.

Promu nie było.

- Bishop! - Wichura zdusiła krzyk. - Bishop! - Ripley zadarła głowę, omiotła wzrokiem niebo.

Newt zaczęła cichutko płakać.

Dobiegł ją zgrzytliwy jęk silnika i obróciła głowę. W szybie towarowym ukazała się olbrzymia winda. Ripley odbiegła od drzwi. Nie miała dokąd uciec. Stała przy metalowej barierze okalającej platformę ładowniczą. Od ziemi dzieliło ją dziesięć poziomów. Ściany dyszącego w agonii procesora były gładkie jak szkło. Ripley i Newt nie mogły iść do góry ani w dół. Nie mogły nawet zanurkować do kanału wentylacyjnego.

Trzewiami stacji wstrząsnęła koszmarna eksplozja. Platforma zachybotwała. Grube metalowe wsporniki wygięły się niebezpiecznie. Ripley omal nie upadła. Pobliska wieża chłodnicza runęła z przeraźliwym łoskotem rozrywanej stali, chyłąc się ku ziemi jak ścięta sekwoja. Tym razem po pierwszej eksplozji nastąpiła druga i trzecia, gdyż systemy zabezpieczające nie były już w stanie zdławić reakcji

łańcuchowej. Winda dotarła na miejsce, zgrzytnęła i zastygła w bezruchu. Metalowa kratka osłaniająca ładownię zaczęła się rozsuwać.

- Zamknij oczy, kochanie - szepnęła Ripley i przestąpiła barierkę.

Dziewczynka skinęła poważnie głową, odgadując zamiary opiekunki. Spadną na ziemię razem. Szybka i niemal bezbolesna śmierć.

Ripley miała właśnie zrobić krok w pustkę, gdy nagle z drugiej strony wieży wychynał prom. Ryk silników ginął w szalejącej wichurze, dlatego nie słyszała go. Zawisł tuż pod nimi, a z brzucha, niczym palec Boży, sterczał mu długi wysięgnik ładunkowy. O burty statku uderzały huraganowe podmuchy wiatru. Ripley nie wiedziała, jakim sposobem Bishop zdołał utrzymać prom w miejscu, ale mało ją to obchodziło. Słyszała tylko jedno: głos stacji. Czas procesora dobiegał kresu.

- ...tylko trzydzieści sekund na dotarcie do...

Wskoczyła na wysięgnik i objęła go ze wszystkich sił. Wysięgnik schował się w ładowni promu. Sekundę później stacją procesora atmosferycznego targnął ogłuszający wybuch. Podmuch eksplozji zakołysał statkiem. Wysunięte łapy podwozia grzmotnęły o platformę, ścianę i rury. Metal zazgrzytał o metal. Byli o krok od katastrofy.

Ripley rzuciła się na fotel, przytuliła mocno Newt i owinęła ją pasami bezpieczeństwa. Zerknęła w stronę kabiny pilota i ujrzała w niej Bishopa walczącego ze sterami. Statek drgnął, cofnął się, w kabinie zabrzmiało metaliczne echo - prom uwolnił łapy z rumowiska. Ripley zatrzasnęła klamry pasów i objęła dziewczynkę.

- Wal, Bishop! Pełna moc!

Dolna część procesora zniknęła w rozrastającej się kuli ognia. Wieża stęknęła. Metal, asfalt i ziemia wyparowały w horrendalnej eksplozji. Stateczek wystrzelił w niebo jak raca. Silniki ryknęły pełną mocą, przeciążenie wdusiło Ripley i Newt w fotel. Tym razem nie było czasu na stopniowe, łagodne i komfortowe wejście na orbitę. Bishop dał maksymalny ciąg i prom przedzierał się przez konającą atmosferę, walcząc o własne życie. Choć kręgosłup Ripley zawzięcie protestował, ponaglała w myśli Bishopa, by jeszcze bardziej zwiększył prędkość wznoszenia.

Kiedy zostawili za sobą błękit i kiedy przed dziobem statku rozwarła się czerń kosmosu, obłoki Acherona stanęły w ogniu. Podmuch termonuklearnej eksplozji wstrząsnął promem, ale go nie uszkodził. Lecieli wciąż wyżej i wyżej.

Ripley i Newt przywarły do iluminatora i patrzyły, jak oślepiająca kula powoli gaśnie i znika. Newt opadła bezwładnie na ramię opiekunki i zaczęła cichutko płakać. Ripley kołysała ją jak do snu i gładziła po włosach.

- Już dobrze, kochanie, już dobrze. Zdażyliśmy. Wszystko skończone.

Wielki niezgrabny kadłub Sulaco wisiał na geostacjonarnej orbicie, czekając na powrót drugiej latorośli. Na rozkaz Bishopa prom wznosił się aż do chwili, gdy

przechwyciły go wsporniki cumownicze, które wciągnęły stateczek do ładowni. Zamknęła się śluza zewnętrzna. Światła ostrzegawcze rozproszyły ciemność. Alarmowe buczki zamilkły. Gdy olbrzymią komorę wypełniło powietrze, wentylatory usunęły z niej nadmiar gorąca wytworzonego przez silniki promu.

Bishop stał przy Ripley, która klęczała nad nieprzytomnym Hicksem. Zerknęła pytająco na androida.

- Dałem mu jeszcze jeden zastrzyk przeciwbólowy. Uporczywie powtarzał, że nie trzeba, ale w sumie nie protestował. Ból... to bardzo dziwna rzecz. Jednak dla mnie dziwniejszy jest ów wewnętrzny impuls charakterystyczny dla pewnego rodzaju ludzi, który nakazuje im twierdzić, że ból nie istnieje. Wiele jest sytuacji, kiedy cieszę się, że nie zrodziła mnie natura.

- Musimy go przenieść do oddziału szpitalnego - odrzekła wstając. - Chwyć za rękę. Ja wezmę go za nogi. Bishop uśmiechnął się.

- Tak jest panu kapralowi dobrze. Lepiej zaoszczędzić mu wszelkich możliwych wstrząsów. Poza tym jesteś zmęczona. I skoro już o tym mowa, j a t e ż j e s t e m zmęczony. Będzie prościej, jeśli przywieziemy nosze.

Ripley zawahała się, patrząc na Hicksa, i skinęła głową.

- Masz rację. Oczywiście.

Wzięła na ręce Newt i przejściem między fotelami ruszyła w stronę wysuniętej rampy. Za kilka minut sprowadzą dla Hicksa nosze.

Bishop mówił dalej:

- Przepraszam, że tak cię przestraszyłem. Wyszłaś na platformę i zobaczyłaś, że statku nie ma, ale wierz mi, lądowisko mogło w każdej chwili runąć. Bałem się, że jeśli nie odleczę, stracę prom. Prościej i bezpieczniej było czekać w pobliżu. Nad ziemią wiatr nie jest taki silny. Cały czas obserwowałem na monitorach wyjście, żeby cię stamtąd ściągnąć, jak tylko nadejdiesz.

- Szkoda, że wtedy o tym nie wiedziałam.

- Tak, szkoda. Musiałem krążyć i miałem nadzieję, że sytuacja nie pogorszy się do tego stopnia, żeby utrudnić ratunek. Pod nieobecność ludzi kierowałem się własnym osądem, zgodnym z oprogramowaniem, w jakie mnie wyposażono. Przepraszam, jeśli nie wywiązałem się najlepiej.

Byli w połowie rampy. Położyła mu rękę na ramieniu i spojrzała prosto w sztuczne oczy.

- Wywiązałeś się na piątkę. Bishop.

- Dziękuję, Ripley. Chciał...

Urwał w pół słowa, bo jego uwagę przykuło coś, co zauważył kątem oka. Właściwie nie było to nic nadzwyczajnego. Ot, na rampę tuż koło jego buta spadła niewinna kropelka cieczy. Najpewniej skondensowana para z pancerza statku.

Kropla zaczęła syczeć i wżerać się w metal. Kwas.



Z piersi Bishopa wystrzeliło coś ostrego i błyszczącego, ochlapując Ripley mlecznobiałym płynem, jaki wypełniał wewnętrzne organy androida. Było to żądło, żądło iście królewskich rozmiarów, które przebiło go od tyłu na wylot. Bishop rzucał się jak ryba na harpunie, bełkocząc, rżąc i obejmując rękami sterczące z piersi ostrze. I nagle jakaś siła podniosła go wolno do góry.

Królowa ukryła się w luku jednej z łap podwozia. Klapy osłonowe, które zamykały luk i spajały go szczelnie z pancerzem kadłuba, były rozerwane i wygięte. Ciężki sprzęt doskonale ją maskował do chwili, gdy postanowiła wyleźć.

Chwyciwszy Bishopa dwiema wielkimi kończynami, rozdarła go na pół i cisnęła o ziemię. Gdy spęzła wolno z góry, na jej lśniącej skórze grały refleksy światła bijącego z wirujących lamp. Jej cielsko wciąż dymiło w miejscach, gdzie Ripley nadpalila ją miotaczem. Z drobnych, szybko gojących się ran kapał stężony kwas. Rozłożyła sześć gigantycznych kończyn, rozmieszczonych podług obcej człowiekowi geometrii.

Ripley wyrwała się z paraliżującego otepienia i nie odrywając wzroku od złażącego monstrum, postawiła Newt na rampie.

- Uciekaj!

Dziewczynka dała nura między sterty najbliższych skrzyń i urządzeń. Królowa zeszła w końcu na pokład. Natychmiast wyczuła ruch i obróciła łeb w tamtą stronę. Ripley zaczęła wrzeszczeć, wymachiwać rękami, stroić miny, podskakiwać - robiła wszystko, co jej przyszło do głowy, żeby tylko odwrócić uwagę bestii od uciekającego dziecka.

Pozorujące manewry przyniosły wreszcie skutek. Monstrum obróciło się i błyskawicznie - z szybkością zaskakująco wielką jak na takiego giganta - ruszyło za Ripley. Bo Ripley już biegła, już pędziła do olbrzymich wrót, które wbudowano w przeciwległą ścianę ładowni. Masywne łapy dudniły tuż za nią.

Minęła wrota i grzmotnęła pięścią w przycisk na framudze. Zawarczał ukryty silnik i wrota posłusznie opadły, reagując znacznie szybciej niż drzwi w nie istniejącej już stacji achemońskiego procesora. Królowa nie zdążyła, zabrakło jej ułamka sekundy. Przez ładownię przetoczyło się echo potężnego zderzenia.

Ripley nie miała czasu stać i patrzeć, czy wrota wytrzymają. Wbiegła między rzędy wielkich ciemnych maszyn. Czegoś szukała.

Królowa odwróciła pysk od nieustępliwej bariery. Jej uwagę znów przykuł ruch. Pod pokładem ładowni, niczym skomplikowany system rzeczny, leżała sieć kanałów serwisowych osłoniętych ciężkimi, grubymi kratami. Kanały były głębokie na tyle, że Newt mogła do nich wejść. Wskoczyła do wjazdu i zaczęła pełznąć w stronę przeciwległej ściany jak królik umykający korytarzami norki.

Królowa natychmiast ją wytropiła. Jednym uderzeniem potężnych szponów rozdarła fragment kraty tuż za nóżkami dziecka. Newt przyspieszyła, szarpnęła się

rozpaczliwie do przodu. Tuż za nią pękł z trzaskiem następny fragment okratowania. Wiedziała, że teraz przyjdzie kolej na pręty osłaniające jej głowę.

Królowa uniosła ramię do rozstrzygającego ciosu i... zamarła. Wrota prowadzące do magazynu zgrzytnęły i rozwarły się na oścież. W progu stała ciężka, masywna sylwetka. Jej nogi i ręce były wyposażone w giętkie stawy.

Opancerzona dwiema tonami utwardzonej stali Ripley wkroczyła do przestronnej komory. Jej dłonie tkwiły w rękawicowatych uchwytach, stopy w podobnych, przymocowanych do podłogi kabiny sterowniczej. Niczym w zbroi wykutej przez najnowsza myśl techniczną, ruszyła na znieruchomiałą bestię. Ciężkie nogi ładowarki zadudniły na pokładzie. Bez cienia strachu na stężałej twarzy, Ripley była wcieleniem matczynej furii.

- Zostaw ją, ty kurwo!

Królowa wydała z siebie nieludzki skrzek i zaatakowała. Ripley wyrzuciła do przodu rękę w ruchu, który nie jest ruchem typowym przy obsłudze ładowarek lub urządzeń jej pokrewnych. Ale maszyna zareagowała wspaniale. Jedno z ramion grzmotnęło królową w łeb, a siła ciosu odrzuciła ją na ścianę. Bestia natychmiast wstała i ruszyła do ponownego ataku, lecz Ripley przyłożyła jej na odlew tak mocno, że królowa runęła na stertę ciężkiego sprzętu.

- No chodź! - krzyknęła Ripley. Jej twarz wykrzywił obłąkany uśmiech. - No chodź, ty dziro!

Smagając wściekle ogonem, ohydztwo zaatakowało po raz trzeci: cztery ramiona przeciwko dwóm ramionom ładowarki. Wielkie żądło dźgało w osłony boczne, usiłowało spenetrować kabinę od dołu, ale za każdym razem ześlizgiwało się bezradnie po gładkim metalu. Ripley robiła uniki, cofała się, uderzała, blokowała cios za ciosem, by znów ruszyć do przodu, by cały czas utrzymywać bestię na dystans. Walka przenosiła się z miejsca na miejsce. Dwa kolosy, mechaniczny i splodzony przez naturę, tratowały sterty skrzyń, przenośne instrumenty, maszyny, wszystko, co stało na ich drodze. Ładownia rozbrzmiewała koszmarnymi odgłosami śmiertelnych zmaganiań.

Ripley otoczyła dwa ramiona królowej, kurczowo zacisnęła palce w sensorycznych rękawicach i zmiażdżyła kończyny, jak prasa hydrauliczna miażdży wiązkę chrustu. Królowa skrzyła się spazmatycznie i wyrzuciła z furją dwa pozostałe ramiona. Szponiaste łapy omal nie przebiły okratowanej kabiny i nie rozerwały tkwiącej w niej kruchej ludzkiej istoty. Ripley uniosła ramię i dźwignęła bestię do góry. Przeciążone silniki zaprotestowały z mechanicznym jękiem: Królowa wbiła nogi w osłonę kabiny. Kraty wygięły się niebezpiecznie. Tuż przed sobą Ripley ujrzała monstrualny, najeżony zębami pysk. Kurczowo zacisnęła palce. Królowa rozwarła zewnętrzne szczęki.

W stronę Ripley wystrzelił wewnętrzny garnitur zębisk. Zrobiła błyskawiczny unik i w fontannie galaretowatej śliny zęby rozorały oparcie fotela. Na ramionach ładowarki pienił się z sykiem żółtawy kwas. Ściekał do kabiny, coraz bardziej zagrażając kratom. Królowa rozszarpała przewody z płynem hydraulicznym. Szkarłatna ciecz trysnęła na wszystkie strony. Krew maszyny mieszała się z krwią obcego.

Straciwszy ciśnienie w dolnej części korpusu, ładowarka runęła na pokład. Królowa natychmiast na nią wpełzła i unikając miażdżących ramion próbowała wcisnąć łapy do osłoniętej kabiny. Ripley trzasnęła przełącznikiem na konsolce, uruchomiła palnik i w pysk szkaradztwa uderzył silny niebieskawy płomień. Monstrum ryknęło skrzelkliwe, szarpnęło się do tyłu i pociągnęło za sobą ładowarkę. Ripley zawisała do góry nogami. Uprząż mocująca ją do fotela wytrzymała.

Runęli w głąb prostokątnego szybu ładowniczego: maszyna, biomechanoid i człowiek. Ładowarka wylądowała na piersi potwora, miażdżąc mu częściowo tors i przygniatając go swoim ciężarem. Z rozległych ran popłynął równomierny strumień kwasu.

Ripley próbowała uruchomić maszynę. Walczyła z przełącznikami i rozszerzonymi z prerażenia oczyma zerkała na gródź szybu. Zalewał ją kwas. W miarę jak wżerał się w supertwardy stop, gródź dymiła coraz silniej. A za nią była już tylko próżnia.

Kiedy w metalu pojawiły się pierwsze maleńkie dziury, Ripley gorączkowo rozpięła uprząż. Nienasycona próżnia zaczęła wysysać powietrze ze szczelnego dotąd kadłuba Sulaco. Gdy opuszczałaabinę, uderzył w nią przybierający na sile wiatr. Przeskoczyła kałużę kwasu, chwyciła za dolne szczeble drabiny wbudowanej w ścianę śluzy i grzmotnęła w przycisk uruchamiający gródź wewnętrzną. Skrzydła olbrzymich wrót nad jej głową ruszyły ku sobie niczym grube, stalowe szczęki. Ripley zaczęła piąć się szaleńczo w górę.

Kwas wyżerał w metalu coraz większe i większe dziury. Strumień uciekającego powietrza bijący jej w twarz był z każdą sekundą obfitszy i utrudniał wspinaczkę.

Newt wychynęła już z labiryntu kanałów serwisowych i chowała się w gęstwinie pojemników z gazem. Kiedy ładowarka, obca, i Ripley runęły na dno szybu, podeszła bliżej, żeby lepiej widzieć.

Ostry strumień powietrza podciął jej nogi i ściągnął w dół. Krzycząc i wymachując rozpaczliwie rączkami, zaczęła zsuwać się po gładkim metalu. Zauważył ją Bishop, a raczej górna połowa jego korpusu. Jedną ręką chwycił się wspornika, a drugą z idealnym, nieosiągalnym dla człowieka wyczuciem, w ostatnim ułamku sekundy złapał za pasek przemykającej obok Newt. Trzymał

mocno. Dziewczynka zawisła w powietrzu, trzepocząc jak flaga na huraganowym wietrze.

Ripley wysunęła głowę ze śluzy. W chwili gdy chciała odbić się od szczebla prawą nogą, coś musnęło kostkę jej lewej stopy. Musnęło i zacisnęło uchwyt. Pierwsze próbne szarpnięcie omal nie wyrwało jej ramion ze stawów. Rozpaczliwym wyrzutem rąk złapała za ostatni szczebel drabiny, który tkwił ledwie kilkanaście cali od pokładu. Skrzydła wrót śluzy sunęły z warkotem ku sobie. Ripley wiedziała, że jeśli się natychmiast nie uwolni albo nie zeskoczy na dno szybu, za kilka sekund będzie wyglądała jak Bishop.

Nadwątlona kwasem śluza zewnętrzna jęknęła, zaskrzypiała. Pękł fragment umocnienia. Ładowarka i przygnieciona nią królowa osunęły się o kilka cali w dół. Ripley czuła, że ramiona już nie wytrzymują, że zaraz spadnie. Ale to but spadł pierwszy. Zsunął się jej z nogi i spadł. Była wolna.

Zebrawszy resztkę sił wypelzła na pokład. W tej samej chwili wrota grodzi zatrzasnęły się z metalicznym łoskotem. Uwięziona pod nimi królowa wydała z siebie wściekły ryk i wyteżyła niepojęte wprost siły. Przygniatająca ją ładowarka drgnęła i zaczęła zsuwać się z jej cielska.

Jeszcze moment, jeszcze sekunda i królowa byłaby wolna, ale nadwerężona kwasem gródź wreszcie ustąpiła. Wielkie płyty metalu, strugi kwasu, uwięzione monstrum i ładowarka runęły w otchłań kosmosu. Ripley wstała i podeszła do najbliższego iluminatora. Bestia wierzgała łapami z taką siłą, że pokonała sztuczne pole grawitacyjne Sulaco. Wciąż skrzecząc i wyjąc, wciąż obejmując ramionami maszynę, spadała wolno w stronę wrogiego świata, z którego nie tak dawno uciekła.

Ripley nie odrywała wzroku od okna. Jej Nemezis zmaląła do niewyraźnego punkciku, potem stała się ledwie mglistą kropeczką, wreszcie pochłonęły ją skłębione chmury Acherona. System wentylacyjny Sulaco pracowicie regenerował utraconą atmosferę. Powietrze w ładowni zawirowało i wiatr stopniowo ucichł.

Bishop wciąż trzymał Newt. Za jego rozerwanym na pół ciałem wlokły się zwoje sztucznych organów wewnętrznych i sypiące iskrami kable. Powieki mu drgały, głowa wykonywała nieskoordynowane ruchy i uderzała o kadłub. Czujniki i regulatory zasklepiły już rozległą ranę i zatamowały upływ androidalnej krwi. Na brzegach rozdarcia krzepła biaława skorupa ochronna.

Patrząc na idącą ku niemu Ripley zdołał wykrzywić usta w smętnym półuśmiechu.

- Całkiem niezłe jak na człowieka. - Zapanował nad ruchem powiek i wyraźnie do niej mrugnął.

Ripley podeszła chwiejnie do Newt. Dziewczynka sprawiała wrażenie oszołomionej.

- Mamusiu? Mamusiu?

- Jestem tutaj, kochanie, jestem przy tobie. - Wzięła dziewczynkę w ramiona, przytuliła ze wszystkich sił i ruszyła w stronę przedziału załogowego.

Wokół nich mruczały uspokajająco systemy i urządzenia pokładowe. Ripley weszła do oddziału medycznego i wróciła do ładowni, ciągnąc za sobą nosze na kółkach. Bishop zapewnił ją, że może poczekać. Rozłożyła nosze, ostrożnie ułożyła na nich nieprzytomnego Hicksa i zawiozła go do oddziału szpitalnego. Twarz miał błogą i spokojną. Szczęściarz, wszystko przespał, rozkoszując się zbawiennym efektem zastrzyku, jaki zrobił mu Bishop.

Bishop miał zamknięte oczy i ręce nieruchomo skrzyżowane na piersi. Nie umiała powiedzieć, czy skonał, czy tylko śpi. Kiedy Sulaco wróci na Ziemię, ustalą to specjaliści. Ona na cybernetyce się nie знаła.

We śnie twarz Hicksa straciła swój wyraz macho. Kapral nie wyglądał już jak twardy, zaprawiony w bojach żołnierz piechoty kolonialnej. Wyglądał jak zwyczajny mężczyzna. Chociaż być może teraz przystojniejszy i na pewno o wiele bardziej zmęczony. Zwyczajny mężczyzna? O nie. Gdyby nie Hicks, Ripley już by nie żyła. Ripley i Newt. Zginęłyby, umarły, obie. Tylko Sulaco by przetrwał. Pusty i cichy, oczekiwali powrotu ludzi, którzy by nigdy nie nadlecieli.

Zastanawiała się, czy go nie obudzić, ale zdecydowała, że tak będzie mu lepiej. Niedługo, kiedy stwierdzi, że najważniejsze organy jego ciała funkcjonują bez zarzutu, że spalone kwasem tkanki zaczynają się regenerować, umieści go w jednej z pustych kapsuł.

Rozejrzała się po komorze hibernacyjnej. Musiała przygotować trzy pojemniki. Bishopowi kapsuła nie będzie potrzebna. Jeśli w ogóle żył, czułby się w niej jak w więzieniu.

Newt podniosła główkę. Szły korytarzem i dziewczynka trzymała Ripley za dwa palce.

- Czy teraz będziemy spać?

- Tak, Newt.

- I możemy... śnić?

Ripley spojrzała z uśmiechem na jej jasną twarzyczkę.

- Tak, kochanie. Chyba możemy.

KONIEC

